

„Czołowy włoski autor kryminałów” — *The Times*

LOŻA NIEWINIĄTEK

MICHELE GIUTTARI



Międzynarodowy bestseller!

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

MICHELE GIUTTARI

Loża niewiniątek

PRZEŁOŻYŁA: IWONA BANACH

ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO

2015

Przyjaźń jest ważniejsza niż sława.
Lepiej być kochanym niż wysławianym.

ARYSTOTELES

Dla Christy

Spis treści

[Przedmowa](#)

Rozdziały:

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[XI](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

[XXV](#)

[XXVI](#)

[XXVII](#)

[XXVIII](#)

[XXIX](#)

[XXX](#)

[XXXI](#)

[XXXII](#)

[XXXIII](#)

[XXXIV](#)

[XXXV](#)

[XXXVI](#)

[XXXVII](#)

[XXXVIII](#)

[XXXIX](#)

[XL](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Przypisy](#)

[Okładka tylna](#)

Przedmowa

Książka ta, tak jak powieść **FLORENCKA GRA**, jest jedynie dziełem wyobraźni, ale bazuje na prawdopodobnych sytuacjach wpływających z moich doświadczeń zawodowych. Metody działania i procedury operacyjne tu opisane są zgodne z rzeczywistymi, stosowanymi we włoskiej policji z jednym wyjątkiem. Obecne prawo nie zezwala na infiltrację funkcjonariusza policji włoskiej do środowiska więźniów. Mógłbym zastąpić ten epizod, znów uciekając się do podsłuchu, tak czy tak w powieści obecnego, aby uzyskać ten sam efekt. Wolałem jednak posłużyć się infiltracją, bo jest efektywniejsza z punktu widzenia narracji, a także by pokazać, jak w niektórych przypadkach przydałoby się prawo bardziej giętkie, które dawałoby większe możliwości operacyjne organom ścigania z zachowaniem praw osób podejrzanych. Wprowadziłem do powieści także kilka epizodów, które sam przeżyłem, ale było to dawno i zostały one przekształcone dla potrzeb opowieści. Jeżeli chodzi o całość, to jakiegokolwiek odniesienie do osób czy rzeczywistych faktów jest całkowicie przypadkowe.

Komisarz Ferrara, szef wydziału śledczego we Florencji, zaczął się zajmować sprawą dziewczyny, albo raczej dziewczynki, dopiero tydzień po tym, jak została znaleziona. A znaleziono ją w niedzielny poranek 29 lipca pod lasem na drodze ze Scandicci. Była niekompletnie ubrana, nie miała dokumentów i umierała z powodu przedawkowania. Została zabrana do szpitala Ospedale Nuovo, ale nie dawano jej prawie żadnych szans na przeżycie.

Piątek 3 sierpnia.

Wszedł do biura w złym humorze z powodu panującego już upału i duchoty, choć była dopiero ósma rano. W przegródce na ważne papiery znalazł raport o zgonie z przedawkowania podpisany przez inspektora naczelnego Violantego, na który jak zwykle musiał spojrzeć. Był to jeden z wielu dokumentów, które na niego czekały co rano ułożone przez nadinspektora Fantiego z maniakalną wręcz starannością. Fanti do biura przychodził co najmniej godzinę wcześniej niż on. Raport nie był ukryty pomiędzy innymi dokumentami, leżał na samym wierzchu, a Fanti nie był typem człowieka, który przejmowałby się śmiercią kolejnego narkomana.

Odłożył pióro, które przyzwyczajony od lat do pracy przy biurku zdążył już wziąć w rękę, i zastąpił je porannym cygarem, które wraz z kawą pomagało mu odzyskać wiarę w szare komórki, tak bardzo nadwyrężane przez stres i czas. Zapalił je i nawet na nie nie patrząc, zaczął czytać relację Violantego. Nie spodobała mu się.

Kiedy zeszłej niedzieli zobaczył depezę nadaną telefonicznie przez funkcjonariusza z posterunku przy szpitalu, automatycznie zaszufłdkował sprawę do tej samej kategorii co kończące się tragediami wieczory w

dyskotekach, co jest niestety normą podczas szalonych, głośnych sobotnich spotkań. Alkohol i narkotyki krążyły po mieście i po okolicznych wzgórzach jak wody wezbranej rzeki Arno, a konsekwencje tego faktu mogły być dużo gorsze niż konsekwencje powodzi z roku 1966¹.

Ferrara czuł od jakiegoś czasu, że się starzeje, bo wydawało mu się, że świat zamiast ku lepszemu idzie ku gorszemu, i coraz częściej łapał się na tym, że niestety myśli, iż „dawniej było o wiele lepiej” tak jak jego własny ojciec, a pewnie i prawdopodobnie dziadek trochę wcześniej. Zlecił rutynowe śledztwo inspektorowi Violantemu i wyrzucił ten epizod z pamięci. Teraz śmierć tej narkomanki odczuł jak coś w rodzaju uderzenia w twarz, sam nie wiedząc dlaczego. Bo umarła? To się zdarza narkomanom. Bo jej wiek, nie do końca pewny, został ustalony na przedział pomiędzy trzynastym a szesnastym rokiem życia, bo ta młodziutka dziewczyna dała radę wstrzyknąć sobie śmiertelną dawkę heroiny? Być może. Albo może dlatego, że mimo iż minął cały tydzień od jej znalezienia, wciąż była określana jako „nazwisko nieznane”? Był to szczegół tak drobny jak źdźbło trawy, a tak istotny, że mógł się okazać belką w oku organów ścigania. Jeżeli był jakiś błąd w dochodzeniu, w ostatecznym rozrachunku wina byłaby właśnie jego.

- Fanti! - zawołał głośno.

Między jego biurem a sekretariatem znajdującym się w sąsiednim pokoju drzwi zawsze były otwarte.

Nadinspektor Fanti niedawno skończył czterdzieści lat. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był przerażająco chudy. Miał też zapadnięte policzki, niebieskie oczy i krótkie, sztywne włosy. Urodził się w Trento, gdzie mieszkał aż do chwili, kiedy prawie dwadzieścia lat temu wstąpił do policji. Pierwsze skierowanie dostał do pracy we Florencji i tu już został. Od początku wyróżniał się nadzwyczajną precyzją i ogromną dyskrecją, miał też szczególnie dar do pracy z dokumentami oraz wielkie upodobanie do przeszukiwania wszelkich typów archiwów internetowych. Jego uwielbienie

do informatyki sprawiło, że biuro wzbogaciło się o skomplikowaną aparaturę, którą kupował za własne pieniądze.

Komisarz po objęciu stanowiska odziedziczył go przypisanego do biurka przez poprzedników i tam go zostawił, z zadowoleniem przyjmował jego usługi, kiedy trzeba było osobiście i dyskretnie zdobywać szczególnie delikatne informacje.

- Na rozkaz, panie komisarzu - odpowiedział nadinspektor, pojawiając się przed biurkiem Ferrary w jednej chwili, jak to miał w zwyczaju.

Komisarz zastanawiał się, czy ten człowiek spędza czas z uchem przy ścianie, gotów się poderwać, gdy tylko usłyszy wezwanie szefa, ale to z pewnością przeszkadzałoby mu w dokładności i skuteczności, z której był dumny, w wykonywaniu tysiąca zadań sekretariatu, najbardziej uporządkowanego i funkcjonalnego biura w całej prefekturze we Florencji. W końcu stwierdził, że tamten musi mieć jakiś szósty zmysł, niewątpliwie naprawdę cenny.

- No więc? - zapytał bez wstępów.

Nadinspektor wzruszył ramionami, nie do niego należało wyciąganie wniosków ani wydawanie osądów, ale widać było po jego spojrzeniu, że spodziewał się po szefie właśnie takiej reakcji, i wcale się nie dziwił, że tamten nawet nie otworzył innych kopert ani że cygaro leży i pali się samo w popielniczce.

- Dziewczyna, a może nawet ledwie dziewczynka - ciągnął Ferrara, zniżając głos, jakby głośno myślał, a nie zwracał się do podwładnego, co zresztą także pomagało mu się zastanowić - a może dziecko, tak? No cóż, teraz dziewczynki szybko dojrzewają. Jak mają jedenaście, dwanaście lat, mają już piersi i paradują z pępkiem na wierzchu, już nie wiadomo, czy one chcą być jak modelki, czy modelki sprytnie udają, że są jeszcze niedojrzałe. Ja to nazywam kulturą pedofilii, Fanti, a potem wszyscy wpadają w rozpacz, jak coś się zdarza... ale cóż chcieć? Dziś dzieci chcą szybko wyglądać jak dorośli, a dorośli chcą wciąż być młodzi, nikt już nie chce dorastać, starzec

się, wszyscy chcą żyć wieczną młodością w ogrodach dzieciństwa bez granic, bez konsekwencji, nawet tych związanych z upływem czasu. Może mówię to ze złością, ale ja czuję swoje lata, wszystkie, i może nawet więcej, ale w moich czasach to byłoby jeszcze dziecko, do cholery! Powinna bawić się lalkami, a nie strzykawką. W jakim cholernym świecie przyszło nam żyć?! Co? Co za pieprzony świat?! I nie ma nikogo, kto by jej szukał? W całej Florencji nie ma żadnej matki, której zniknęła córka, wujka, który straciłby siostrzenicę, jakiegoś turysty, który nie może odnaleźć dziecka?

- Tak, szefie - odpowiedział Fanti, nie wiedząc, co powiedzieć wobec tego, co usłyszał.

- A my? Co zrobiliśmy, żeby ją zidentyfikować? Co zrobił Violante? Siedział z założonymi rękoma? Zawiózł dzieci do Rimini?

- Dzieci inspektora naczelnego Violante'go są dorosłe i niezależne, szefie, z całym szacunkiem, nie sądzę, żeby tatuś je woził nad morze. Jestem pewien, że nadinspektor nie tracił celowo czasu, nie jest nierobem, jak się na początku wydawało, sam pan to zauważył przy sprawie Ricciardiego, prawda?

Nadinspektor był głosem rozsądku.

Ferrara wziął głęboki oddech, potem opuścił głowę i utkwiał wzrok w biurku.

- Przyślij mi go, ale najpierw przynieś mi wszelkie możliwe akta, potem chcę tu widzieć Rizza, ta sprawa naprawdę mi się nie podoba. Co mamy zrobić? Pochować ją bezimiennie? My, właśnie my?

- Komisarz Rizzo jest na urlopie, szefie.

To też była prawda. Przypomniawszy sobie, że na początku tygodnia jego zastępca wpadł pożegnać się przed dwutygodniowym wyjazdem na Sycylię. Ależ mu dobrze!

- Kto jest na służbie?

- Komisarz Ascalchi.

Rzymianin, który znał Florencję jak on Kapadocję.

- Coraz lepiej! Przyślij mi go, nie muszę chyba powtarzać? Potem zapytaj

w prokuraturze, kiedy będzie wykonana autopsja i kto ją przeprowadzi, i powiadom mnie o tym jak najszybciej.

- Oczywiście, szefie! - odpowiedział nadinspektor, oddalając się, by wrócić do swojego biura.



Ferrara tak jak i Rizzo był Sycylijczykiem i od miesiący planował podróż na Sycylię, podróż, którą zawsze, z niezmienną koniecznością był zmuszony odkładać.

Czekając na wieści, zadzwonił do Petry, swojej żony, aby powiedzieć, że nie przyjdzie na obiad. Nie powiedział dlaczego, nie było takiej potrzeby. Zawsze zresztą tak było. Nawet latem. A właściwie najczęściej latem, kiedy komisarz z braku personelu, bo ludzie byli na urlopach, jak zwykle musiał z własnego urlopu rezygnować. Nie sprawiało mu to kłopotu, zdążył się przyzwyczaić, a poza tym było mu wszystko jedno. Miał wyrzuty sumienia jedynie z powodu żony, która upierała się, by przy nim być nawet przez te duszne miesiące, które spadały na Florencję - miasto wszelkiej przesady - z okrutną punktualnością. Żona zawsze przyjmowała jego oświadczenie o odwołaniu wyjazdu - tak samo regularne jak piekielne upały - z uśmiechem i przypominała mu, że tak czy owak, nie mogłaby wyjechać na dłużej, bo kto podlewałby jej kwiaty? On jej przytakiwał. Oboje wiedzieli, że było to wygodne kłamstewko, bo taras był zaopatrzony w najnowszy system nawadniania, aby zapewnić temu, co wyrosło na prawdziwy ogród na dachu, wszystko, co konieczne na czas ich nieobecności, ale tak po prostu było wygodniej. Pomagało im to osiągnąć nieosiągalne.

- Dobrze, Michele, ale będziesz miał kłopoty, jeżeli jutro pójdziesz do biura i jak zwykle przegapisz weekend z Massimem. Tym razem mu przyrzekłeś!

- Bądź spokojna, zrobimy tak, żeby jutro być na autostradzie, zanim zaczną się korki, obiecuję.

- Trzymam cię za słowo, Michele, i wiesz, że ci nie wybaczę, jeżeli...

- Twój kochany Massimo jest ważniejszy niż cokolwiek innego, co?

- *Dein lieber* Massimo, jeżeli już o to chodzi - odparła Petra, która mimo lat spędzonych we Włoszech czasami pozwalała sobie na kilka słów w swoim ojczystym języku. Kiedy była zmęczona, wzruszona, podenerwowana albo wesoła, czy też odrobinę złośliwa, podświadomie uznawała wyższość niemieckiej precyzji nad wyrażeniami typowo włoskimi.

- Nasz, dobrze? - odparował komisarz. - Do zobaczenia, całuję! - zakończył, widząc Fantiego podchodzącego z teczkami dokumentów dotyczących zmarłej dziewczyny.

Było tam wszystko. Zawiadomienie o jej znalezieniu, notatka funkcjonariusza z posterunku przy szpitalu, papiery z karetki wysłanej przez centralę operacyjną zawiadomioną przez osobę, której nazwisko nie było znane. Karetka jechała wzdłuż górzystej drogi prowadzącej ze Scandicci do Montespertoli, gdzie w końcu odnalazła nieprzytomną dziewczynę z niewydolnością oddechową. Próbowano ją reanimować, ale bez skutku, a potem odwieziono ją do najbliższego szpitala.

Następne notatki służbowe inspektora Violante'go były bez zarzutu. Przejrzał zawiadomienia o zaginięciach z ostatnich kilku dni, ale nikt nie odpowiadał opisowi dziewczyny przywiezionej do szpitala. Przerzucił ostatni biuletyn ministerstwa, ale i tam nic nie znalazł. Nie zapomniał nawet o zgłoszeniu się na internetową stronę telewizji RAI do programu „Ktokolwiek widział”, gdzie było wiele zdjęć i dokumentów, często zresztą odwiedzaną przez policję w takich przypadkach. Potem były kopie telegramów oznaczonych jako „priorytetowe”, w których Violante referował fakty i podawał rysopis dziewczyny, prosząc inne komendy policji o pomoc w jej identyfikacji.

Aby ułatwić poszukiwania, przekazał drogą elektroniczną także zdjęcie dziewczyny, zrobione w szpitalu aparatem cyfrowym za zgodą lekarzy. Jego jakość pozostawiała wiele do życzenia ze względu na okoliczności, w jakich zdjęcie zostało wykonane, ale mimo wyraźnie widocznego cierpienia i bladej twarzy nie trudno było zobaczyć portret promiennie pięknej dziewczyny.

Miała regularne rysy twarzy, cerę czystą, jasno-popielate włosy, usta ładnie wykrojone, teraz blade. Pod zamkniętymi powiekami Ferrara wyobrażał sobie pełne życia jeszcze przed chwilą zielone oczy.

Violante, jak należało się spodziewać, skrupulatnie przeprowadził wszelkie przewidziane w tego typu sprawach działania.

Dziewczyna uwięziona pomiędzy życiem a śmiercią, kiedy oni przekopywali się przez dżunglę niewiadomych, zmarła bez rodziców u wezglowia, a nawet bez żadnego śladu, który mógłby wskazać, kim była.

Niewydolność sercowo-naczyniowa spowodowana ostrym zatruciem heroiną - napisał w raporcie ordynator oddziału reanimacyjnego, profesor Ludovico d'Incisa.

Requiescat in pace i amen.



- Wejść!

Nikt nie wszedł.

- Wejść! - krzyknął po raz drugi, słysząc ciche pukanie do drzwi.

Fanti podbiegł, aby je otworzyć. Inspektor Violante, głuchy na jedno ucho, siwowłosy, bezbarwny z wyglądu i ubrania, wszedł i zatrzymał się przed biurkiem komisarza. Ten rozproszył ręką chmurę dymu z cygara, które właśnie skończył palić, i wskazał na dwa fotele dla gości.

- Niech pan wybierze, który pan chce, ale, na litość boską, proszę usiąść.

Violante usiadł, ale był spięty. Szef wyglądał na wyraźnie zdenerwowanego, nie należało się spodziewać niczego dobrego.

- Dziewczynka, ta od narkotyków, co wiemy?

- Martwa i żadnego śladu... Powiedział pan „dziewczynka”, komisarzu?

- A pan może uważa, że to kobieta?

Zamiast odpowiedzieć, inspektor wzruszył ramionami.

- To kim jest... była... w sumie ofiara z raportu, który znalazłem na biurku. Jak tam dochodzenie?

- Nic szczególnego, szefie, a teraz to już sprawa zamknięta...

- O tym, jeżeli pan pozwoli, zdecyduję sam - odparł Ferrara zawstydzony

fatalizmem i rezygnacją, których nie chciał widzieć u swoich ludzi.

Violante jakby nie rozumiał.

- Jasne, szefie, ale czy czytał pan wszystkie dokumenty? - zapytał, widząc, że Ferrara ma właśnie te dokumenty przed sobą.

- To oczywiste, nie kazałem ich przecież przynieść, żeby sobie pooddychały świeżym powietrzem.

Dlaczego czuł się coraz bardziej poirytowany i traktował go w ten sposób? Przecież wykonał swoje zadanie, i to dobrze.

- Widział pan, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe, sam się tym zająłem, niczego nie przegapiłem, w międzyczasie dziewczyna zmarła - stwierdził, wzruszając ramionami.

- A my nie wiemy nawet, kim była! Minał cały tydzień!

Violante nadal nie rozumiał. Przy tym wszystkim, co było do zrobienia w czasie, kiedy był zmuszony do pracy z mniejszą liczbą personelu, śmierć jakiejś narkomanki nie mogła być traktowana jako sprawa priorytetowa.

Poza tym był przekonany, ze swoim cynizmem bazującym na wieloletnim doświadczeniu, że to osoba, ktoś, kogo nie szuka rodzina, kto nikogo nie obchodzi. Dziwiło go więc rozdrażnienie komisarza, ale zdał sobie sprawę, że gdzieś głęboko rozumiał go. Jakby istniało jeszcze miejsce na przebłysk człowieczeństwa w ich pracy, w co przestał wierzyć, od kiedy zaczął liczyć dni, które zostały mu do przejścia na emeryturę.

- Tydzień to nie jest dużo, szefie. To normalne - próbował się bronić. - Nikt się nie pojawił, a denatka nie miała dokumentów ani niczego innego, co pozwoliłoby ustalić jej tożsamość. Wie pan lepiej ode mnie, że czasem trzeba miesięcy, a czasami i to nie wystarcza.

To była prawda i Ferrara jeszcze raz zastanowił się, dlaczego zareagował tak impulsywnie - on, który zazwyczaj był wyważony i ostrożny w reakcji na śmierć, która nawet gdy była dziwna, to jednak nieczęsto zaskakiwała go w mieście naszych czasów, a we Florencji szczególnie.

Coś mu nie pasowało, ale co? Wszystko! Przypatrywał się zdjęciu

dziewczyny raz jeszcze, blada, oczy zamknięte, rysy twarzy ściągnięte i pełne cierpienia - poruszające w tej dziecinnej pięknej twarzyczce. Wszystko i nic, jak to się często zdarza, ale on był uparty, a jeżeli instykt go zaalarmował, powinien wejść w to głębiej. Nie zastanawiał się zbyt, przynajmniej w tej chwili.

- Widział ją pan - kontynuował. - Ile mogła mieć lat?

- Liczę, że ustali to autopsja, ale niezbyt dużo, to prawda.

- Czy dość, żeby być narkomanką?

- I pan mnie o to pyta, komisarzu? Cóż ja mogę wiedzieć o dzisiejszych dzieciakach? Ja, który dwadzieścia lat temu nie rozumiałem nawet swoich własnych! Wiem tylko, że zmarła z powodu zatrucia heroiną, tak jest zapisane w raporcie medycznym, klasyczny przypadek przedawkowania, wiele takich się zdarza, niestety.

- Tak - przyznał Ferrara - możliwe, że ma pan rację, tak było i już. Kolejny przypadek do statystyk nowego tysiąclecia, ale to mi się jednak nie podoba. Pamięta pan, jak się czuliśmy, kiedy szło się do szkoły bez odrobionych zadań domowych? Właśnie tak teraz się czuję, oczywiście nie krytykuję pana pracy, przeciwnie, pan zna ten przypadek najlepiej. Jakie odniósł pan wrażenie?

- Jeżeli już chce pan wiedzieć, to myślę, że dziewczyna była prawie na pewno nielegalną imigrantką, dlatego nikt jej nie szuka.

Ferrara kiwnął głową, zdając sobie sprawę, że hipoteza inspektora zgadzała się z jego przypuszczeniami.

Nielegalna imigrantka, bez rodziny, nie chciał nawet myśleć, że rodzice się nie pojawili jedynie ze strachu przed deportacją. Tylko że taka mała imigrantka nie miewa ani czasu, ani ochoty, ani pieniędzy na to, żeby zdobywać narkotyki. Bardziej logiczne wydaje się, że była jedną z ofiar handlu żywym towarem, którego rozmiar przyprawia o zawrót głowy.

- Z Europy Wschodniej - stwierdził, wracając do zdjęcia.

- Też tak myślę.

- Coś jeszcze?

Violante się zawahał.

- No więc?

- To nic konkretnego, miałem tylko wrażenie... ale to nie ma znaczenia w sumie, proszę mi wierzyć.

- Co znaczy „w sumie”?

- Sam pan doskonale wie. Nielegalna imigrantka - odpowiedział inspektor z obojętną miną, jaka towarzyszy zawsze niewygodnym, zbyt technicznym argumentom, których nikt nie chce słyszeć.

Tak, doskonale wiedział. Nielegalna imigrantka o niemożliwej do ustalenia tożsamości zmarła z powodu przedawkowania narkotyków, dla statystyk była jak worek śmieci. Z jednej strony są zawsze ci, którzy się liczą i mają prawo do zainteresowania prasy i telewizji, z drugiej cała reszta, wypełniająca rubryki i archiwa, do których nikt nigdy nie zagląda. Innymi słowy, trzeba zamknąć sprawę po cichu, starając się nie przeszkadzać prefektowi, który - jak wiadomo - miał o wiele ważniejsze rzeczy na głowie. To tłumaczyło zrezygnowaną postawę Violante.

- A właśnie, że nie - odpowiedział komisarz ze spokojem. - Tym razem nie wiem... Niech mi pan opisz to swoje „wrażenie”, dobrze?

- Jak pan sobie życzy, szefie, prawda jest taka... czy ja wiem... W szpitalu... Było coś, co wydało mi się dziwne.

- Proszę to dokładniej wytłumaczyć.

- Jakby... jakby widząc, że nikt się o nią nie martwi, pozwolili jej umrzeć. Jakby nie starali się za bardzo, a teraz, jak już nie żyje, stała się kłopotliwa, wszyscy nagle szybko chcą zamykać sprawę, najszybciej chcą się tego pozbyć, rozumie pan?

- Chyba zaczynam. Tak.

- Odkąd okazało się, że zmarła, wszystko jest pilne. Wczoraj zadzwonił do mnie nawet kolega z posterunku w szpitalu, żebym jak najszybciej zrobił raport, jakbyśmy nie mieli nic ważniejszego do roboty!

- Wytłumaczył panu, o co chodzi?

- Powiedział, że ordynator mu kazał, ale prokuratura też chce sprawę zamknąć jak najszybciej.

A to dlaczego? Czy pośpiech lekarza sam w sobie nie był już dziwny?

- Sądzi pan, że mogli ją uratować, ale coś przeoczyli?

- Skąd mam wiedzieć? Nie jestem ekspertem, ale jest w tym coś dziwnego. Może to tylko ten sierpień, wszyscy chcą jechać na wakacje, a oni w tym szpitalu są zaważeni pracą, potrzebowali łóżek, przypadek był beznadziejny...

- A jeżeli była nielegalną imigrantką - stwierdził Ferrara, czując, że znowu wzbiera w nim wściekłość - jeżeli jest jakieś nawet najmniejsze podejrzenie o zaniedbanie, nie popuścimy im tego, zgoda? Ma pan kartę informacyjną ze szpitala?

- Nie... Sądziłem...

- Co?

- Że w tym momencie będzie niepotrzebna, a poza tym potrzebny byłby podpisany nakaz od zajmującego się sprawą zastępcy prokuratora.

- Kto się tym zajmuje?

- Prokurator Anna Giuliatti.

Świetnie, pomyślał Ferrara, który przy niedawnej sprawie Ricciardiego nawiązał z nią doskonałe stosunki zawodowe, które potem przekształciły się w przyjaźń. Będą musieli jak najszybciej zamienić ze sobą kilka słów.

- Wystąp natychmiast o nakaz, Violante.

- Oczywiście, szefie.

- Dochodzenie nie jest zamknięte. Zrób wszystko. Ilu ludzi masz do dyspozycji?

- Hmm?

Komisarz powtórzył pytanie głośniej.

- Niewielu, szefie. Brakuje ludzi - jęknął inspektor, ale w jego oczach można było dostrzec przebłysk zainteresowania.

- Fanti! - krzyknął Ferrara i kontynuował, zanim jeszcze pojawił się jego

podwładny. - Sergi też jest na urlopie?

- Nie, szefie - odpowiedział sekretarz z drugiego pomieszczenia.

- Przydziel go natychmiast Violantemu i daj im do dyspozycji tylu ludzi, ilu możesz, zrozumiano?

- Oczywiście, szefie - odpowiedział Fanti, który właśnie się zjawił, ale zaraz znów wyszedł.

- Proszę, inspektorze - ciągnął szef wydziału śledczego, podając Violantemu raport - zmień nagłówek.

- To znaczy?

- Tam, gdzie jest jako przyczyna śmierci „przedawkowanie”, wstaw „morderstwo” jako konsekwencja udostępnienia substancji odurzających, prawdopodobnie złej jakości albo podanie ich w zbyt dużej dawce.

Inspektor wyszedł z biura, jakby poruszała nim sprężyna, którą właśnie ktoś nakręcił.

⊕ II ⊕

- A pan, kiedy bierze pan urlop?

- Jestem już po, szefie - odpowiedział inspektor Ascalchi, który wszedł zaraz po wyjściu Violantego. Rzeczywiście był piękny i opalony, a właściwie tylko opalony, poprawił się Ferrara, bo piękny to on nie był. Niski, krępy z krzywym nosem i asymetrycznym podbródkiem wydawał się parodią młodego Toto².

Był na urlopie w lipcu, a on nawet tego nie zauważył, taki był dla niego nieodzowny! Może zresztą to była jego wina, bo zawsze miał zaufanie raczej do ludzi o dużym doświadczeniu na danym stanowisku, a Ascalchi przybył do Florencji trochę ponad rok temu, poruszał się jeszcze dość niepewnie, choć maskował to typową, pewną siebie miną rzymianina. Powinien go bardziej zaangażować, a teraz, czy tego chciał, czy nie, zdarzyła się ku temu okazja.

- W zeszłą niedzielę rano znaleziono dziewczynę umierającą na wzgórzach niedaleko stąd. Narkomanka. Zmarła wczoraj po południu.

- Słyszałem od Violantego. Przedawkowanie, prawda?

- Tak się wydaje.

- Pewnie narkotyk był zmieszany z jakimś świństwem. Ludzie dają się oszukiwać jak nic, kiedy chodzi o to paskudztwo. Tacy, którzy tego używają, zawsze ryzykują.

- „Tacy” pewnie tak, ale ta dziewczyna mogła mieć najwyżej trzynaście lat. Według pana trzynastolatka jest już...

- Co jest już?

Gianni Ascalchi popatrzył na niego zaniepokojony.

- Pff? - ograniczył się tylko do tego.

Zadzwoił telefon.

- Doktor Francesco Leone, komisarzu - zaanonsował Fanti.

- Daj mi go.

- Dzień dobry, komisarzu - pozdrowił go Leone - chciał pan ze mną rozmawiać?

- Tak, jeżeli to panu zlecono autopsję tej zmarłej dziewczynki ze szpitala Ospedale Nuovo.

- Tej narkomanki?

Także dla lekarza sądowego biedaczka była tylko narkomanką. Teraz kiedy zmarła, prawdopodobnie jeden problem mniej dla społeczeństwa.

- Tej dziewczynki - podkreślił, żeby uwydatnić swój punkt widzenia.

- Właśnie, drogi komisarzu, jadę do Ospedale Nuovo, by wykonać autopsję - odparł Leone, nie zważając na to, co powiedział Ferrara. Nadal uparcie mówili do siebie per pan. Znali się i szanowali od tak dawna, że nie mieli ochoty się nad tym zastanawiać.

- Tak szybko? Nie minęła nawet doba...

- Nie ma obawy, to nie śmierć kliniczna, w szpitalu robili jej elektrokardiogram, jednym ciągiem przez dwadzieścia minut. Pacjentki już z nami nie ma, to pewne. Zastępca prokuratora prosił mnie, żeby zrobić to jak najszybciej. Jest sierpień, komisarzu...

Albo sierpień, albo ktoś, kto chce szybko zamknąć sprawę i pozbyć się jak najszybciej kłopotu, pomyślał Ferrara. Czy nie to właśnie powiedział Violante?

- Ale jeżeli mogę zapytać - ciągnął lekarz sądowy. - Dlaczego ten incydent interesuje samego szefa wydziału śledczego? Z tego, co mi powiedziano, to zwykłe przedawkowanie, których teraz coraz więcej, takie czasy, czy też może się mylę?

- Nie, nie myli się pan, chodzi o to, że moi ludzie nie zdołali jeszcze zidentyfikować dziewczyny, nie jest nawet pewne, ile miała lat, i zastanawiałem się, czy...

Leone się roześmiał.

- Pomyłka w adresie, drogi komisarzu! Jestem świetny w swoim zawodzie, przyznam, może i najlepszy, ale, o ile ta biedaczka nie połknęła dowodu osobistego, i to jeszcze bez pogryzienia go, nie będę w stanie panu pomóc. Nazwiska i daty urodzenia nie można odczytać z DNA.

Co ich podkusiło, Ascalchiego, Leonego i innych do robienia sobie żartów za wszelką cenę? Co takiego zabawnego jest w ledwie co rozpoczętym życiu, które już się kończy? Może to był ich sposób radzenia sobie z najtrudniejszymi aspektami zawodu, który wykonywali, ale on nie był w stanie zgodzić się na taką postawę. Lata spędzone na walce z przestępczością we wszelkich jej przejawach sprawiły, że czuł się jak badacz podziemnego świata, w którym jak wielu innych mógł zostać uwięziony, a który coraz bardziej wpływał na całą jego z pozoru spokojną codzienność.

Przyszły mu do głowy słowa, którymi został przywitany, kiedy jako świeżo nominowany szef wydziału śledczego został przyjęty we Florencji przez Angela Durantiego, ówczesnego prefekta, którego wszyscy nazywali Mefisto z powodu jego ponurego charakteru, a za którym teraz wielu tęskni: „Niech pan uważa, w tym mieście, jak ktoś włoży palec w gówno, może wyciągnąć go całe tony”

On zawsze go lubił, a czasami nadal odwiedzał go w jego domu w Ligurii, gdzie mieszka po odejściu na emeryturę. Tam spędza dni, patrząc na morze i wyspy Palmaria, Tino i Tinetto, zajmuje się sadem i pisze wspomnienia. To zawsze był mistrz, a jego rady były dla niego lekcjami prawa i umiejętności poruszania się pomiędzy instytucjami, a jeszcze bardziej pośród skomplikowanych ścieżek ludzkich serc.

- Oczywiście, ja też to wiem - podjął, kiedy ucichł śmiech lekarza - nigdy bym czegoś takiego nie oczekiwał nawet od pana, ale mamy podejrzenia, że to jest nielegalna imigrantka, dziewczyna spoza Unii, może w tym mógłby nam pan pomóc? A poza tym sam pan jest sobie winien. Przyzwyczaił mnie pan do niespodzianek i teraz spodziewam się, że uda się panu powiedzieć coś

użytecznego, doktorze.

- Jeżeli była operowana albo leczyła się dentystycznie, to niewykluczone, że można będzie dojść do jej narodowości, ale skoro to tak pana interesuje, dlaczego nie zaszczyli mnie pan swoją obecnością? - prowokował go Leone, który wiedział, jak bardzo szef wydziału śledczego z czasem stał się oporny, jeżeli chodzi o takie zadania. Od lat nie brał udziału w autopsji, to niewdzięczne zadanie wolał zostawić innym. Zazwyczaj był to Rizzo, bo ufał mu jak nikomu innemu. Komisarz przez chwilę patrzył na Ascalchiego, który siedział przed nim, ale zrezygnował, miał dla niego inne zadanie.

- Jedzie pan teraz do szpitala, tak pan mówił?

- Dokładnie, sala sekcyjna kostnicy szpitalnej, dlaczego pan pyta?

- Będę tam za pół godziny, może być?

Nie mogąc uwierzyć, Leone aż gwizdnął.

- Czekam w biurze ordynatora oddziału reanimacyjnego, ale proszę się nie spóźnić ani o minutę. Wiem, że D'Incisa jest dość niecierpliwym człowiekiem. To takie ważne, ta niezidentyfikowana dziewczyna, ta imigrantka?

- Jest bardzo młoda - odpowiedział lakonicznie, kończąc rozmowę. - To prawie dziecko, nie sądzi pan? - powiedział do Ascalchiego, który spokojnie przysłuchiwał się konwersacji, w ten sposób zapoznając się dokładniej ze sprawą.

- Jak na trzynaście lat? Co mam powiedzieć, komisarzu, jedno są dziećmi, innym wiele brakuje.

- Dla mnie wszystkie są dziećmi, czy tego chcą, czy nie. Co rozumie dziewczyna w jej wieku? Jaka może być jej wina?

- Jej wina? Może i żadna, ale są jeszcze rodzice. To ich bym wsadził do więzienia.

Jasne, rodzice, którzy może ją sprzedali albo nadal jej szukają w jakimś kraju na wschodzie Europy.

- Jak pan już pewnie słyszał, najprawdopodobniejsza hipoteza w tej chwili,

jako że nikt jej nie szuka, jest taka, że jest to nielegalna imigrantka, biedaczka sprowadzona przez bandę Albańczyków albo Rumunów, albo diabeł wie kogo!

- Rozumiem - stwierdził rzymianin - przeczeszemy to środowisko, ale to dżungla.

- To niech pan zdobędzie maczetę, ale dopiero kiedy będzie to konieczne, a teraz niech pan idzie do wydziału narkotykowego, może tam też znajdzie pan jakiegoś dzikusa, ale proszę się nie dać nabrać, są naprawdę dobrzy. Niech pan sprawdzi, w jakim punkcie jest śledztwo w przypadkach przedawkowania heroiny, niech panu powiedzą, jak oni widzą sytuację w mieście i okolicy i niech pan się dowie, jaki jest minimalny próg dostępu nieletnich do narkotyków. - Zauważywszy, że rzymianin chyba nie zrozumiał, dodał, wstając: - W jakim wieku zaczynają, jasne?

- Zrozumiałem, komisarzu - zaprotestował Ascalchi, przedrzeźniając go.

Sekcja narkotykowa była jedną z sześciu sekcji wydziału śledczego i zajmowała ostatnie cztery pokoje na pierwszym piętrze w prefekturze. Była to część korytarza najbardziej oddalona od ewentualnych wścibskich osób.

Komisarz Ascalchi, który nie miał jeszcze okazji tam się znaleźć, zastanawiał się, czy takie usytuowanie było celowe. Oczywiście. Tu panowała zupełnie inna atmosfera, wszyscy byli bardzo młodzi i ubrani w specyficzne stroje. Mężczyźni mieli po jednym albo nawet po kilka kolczyków w jednym lub w obu uszach, kobietom zaś wyraźnie podobało się pokazywanie przekłutych pępków.

- Kochany, wiesz, gdzie jest Ciuffi? - zapytał pierwszego, którego napotkał, wysokiego, tęgiego mężczyznę, którego wolałby nie spotkać nocą w jakiejś uliczce na peryferiach miasta, a nawet i w centrum.

- Ej, Ciuffi to szef, a nie jakiś twój kumpel, a ty jesteś synem tego faceta, co pojechał do Mediolanu z Peppinem szukać złej kobiety?

- Komisarz Ascalchi, przysłała mnie Ferrara - odpowiedział rzymianin, nie zwracając uwagi na zaczepkę. W Rzymie słyszał takich wiele, lecz były

zdecydowanie lepsze.

- Przepraszam pana... Komisarz Ciuffi jest w ostatnim pokoju na lewo.

- Dziękuję, proszę się nie kłopotać, trafię sam - odpowiedział rzymianin, patrząc na zaskoczzonego agenta, który skamieniały nie zdołał uczynić kroku.

Szef wydziału był neapolitańczykiem, miał trzydzieści dwa lata i był bardzo gadatliwy. Ferrara za wszelką cenę chciał go mieć u siebie w wydziale śledczym. Poznał go lata temu w stołowce letniego obozu policji amerykańskiej, gdzie miał wykłady z metodologii walki z mafią we Włoszech, a Ciuffi chodził na zajęcia z najnowszych metod DEA, agencji rządowej zajmującej się walką z narkotykami. Siedzieli nad talerzem smażonego kurczaka i rozgotowanych ziemniaków. Kurczak smakował jak plastik, co usprawiedliwiało wielkie ilości musztardy i ketchupu czerpane z pojemników ustawionych na stołach. Wystarczyło piętnaście minut rozmowy, aby Ferrara zrozumiał, że najważniejszą sprawą będzie pozyskanie Ciuffiego do swojej ekipy, kiedy już taką będzie miał.

Ciuffi był ubrany normalnie, jak on sam, stwierdził Ascalchi. Widział go do tej pory tylko raz, kiedy zaczął pracę we florenckiej prefekturze. Ferrara przedstawił mu wszystkich kolegów.

- Tutaj też macie co robić, prawda?

- To nie Rzym czy Neapol, ale radzimy sobie całkiem nieźle, zapewniam. Narkotyki, niestety, są wszędzie, a my nie jesteśmy w stanie tego kontrolować. Robimy, co możemy, sam widzisz - odpowiedział Ciuffi, wskazując na ściany wytapetowane artykułami i wiadomościami z gazet o najważniejszych operacjach, jakie w ostatnim czasie przeprowadziła jego grupa. Było to pełne dumy świadectwo skuteczności, które Ferrara tolerował, bo stymulowało ich do osiągnięcia coraz lepszych rezultatów - ale jesteśmy, jacy jesteśmy, co robić.

- Ilu masz ludzi?

- Wszystkiego dwadzieścia osób, więcej mężczyzn niż kobiet. Prawie wszyscy dobrze przeszkoleni do przenikania w strefy uczęszczane przez

dilerów.

- Widziałem. Już miałem ochotę zrobić na nich nalot.

Luigi Ciuffi się uśmiechnął.

- Widziałeś, jakie to typy? Najważniejszych nie widziałeś, tych, których trzymamy w naftalinie.

Ascalchi nie zazdrościł, byli to ludzie, których nie widywało się w biurze, a czasami nawet i rodziny nie widziały ich przez długi czas. Pracowali pod przykrywką. Doskonali policjanci, którzy ryzykowali najwięcej i którzy musieli być odważni, rozważni, wyważeni i bardzo doświadczeni.

- Czyli Ferrara przysłał mi cię tu do pomocy, co? - zażartował Ciuffi.

- Nie, źle zrozumiałeś! Całkiem odwrotnie, raczej to ty możesz nam pomóc.

- Czego ja się spodziewałem! - westchnął komisarz. - No, dobra, strzelaj!

- Jedna dziewczyna zmarła z powodu przedawkowania.

- Ta z Ospedale Nuovo?

Najwyraźniej jako szef sekcji narkotykowej czytał już o tym w raporcie wysłanym z posterunku szpitalnego.

- Tak.

- Nic o niej jeszcze nie wiemy, co was interesuje?

- Zajmujecie się sprawami przedawkowania z powodu zażycia czystej heroiny albo zmieszanej z jakimś szkodliwym świństwem?

- Tak.

- Czyli takich przypadków jest dużo?

- Tak, i wszystkie jakoś tak naraz, nagle jednym ciągiem, nie to, że wcześniej wcale ich nie było, ale i były rzadsze, i prawie zawsze było to przedawkowanie względne. Teraz znacznie zwiększyła się liczba zgonów z powodu przedawkowania bezwzględnej heroiny zmieszanej ze skrobią, talkiem, czasem ze strychniną, to co zawsze w sumie. Sześć przypadków w ostatnich dwóch miesiącach, rozumiesz? Prowadzimy dochodzenie z nakazu zastępcy prokuratora, Ermini Cosenzy.

- Powoli, nie załapałem. Co to za historia o względnym i bezwzględnym?

Luigi Ciuffi wydał się zadowolony, że może się wykazać przy koledze swoją wiedzą.

- Bezwzględna, to kiedy przyjmie się dawkę czystej albo zmieszanej heroiny wyższą od dopuszczalnej w ogóle, a względna to przyjęcie dawki wyższej, niż to wynika z tolerancji danej jednostki i zależy od wielu czynników.

- Czyli w pierwszym przypadku dawka jest śmiertelna dla wszystkich, w drugim dla jednych tak, dla drugich nie - skomentował Ascalchi, nie przejmując się zbyt dydaktycznym tonem kolegi.

- Właśnie. I to dzieje się teraz we Florencji i na dodatek chodzi prawie zawsze o pierwszy przypadek.

- A ty jak to tłumaczysz?

- Najprawdopodobniej chodzi o wewnętrzne walki między bandami dilerów, o zdobywanie terytorium.

- To znaczy?

- Jak wiesz, we Florencji jest duży napływ albańskich przestępców i dotyczy to różnych nielegalnych dziedzin, w tym oczywiście są i narkotyki, a także handel nimi w skali mikro. Nie mówię o tych miękkich, o haszyszu i marihuanie, w tej dziedzinie już od dawna są na pierwszym miejscu. Mówię o heroinie, kokainie, amfetaminie, cracku, o tym wszystkim.

Albańczycy, którzy zalewają Florencję, nie byli nowością nawet dla rzymianina. Wiedział, że już od kilku lat wyraźnie rozrastał się rynek prostytutek, zasilany młodymi kobietami pochodzącymi ze wschodu Europy.

Tutaj dawny obraz starego alfonsa zaczynał zanikać. Na jego miejsce pojawiały się wyspecjalizowane grupy, które rekrutowały kobiety za granicą, nielegalnie wwoziły do Włoch, a na miejscu zmuszały przemocą do uprawiania prostytucji. To były dobrze zorganizowane grupy, skuteczne, bezwzględne, zdeterminowane i krwawe. Ciągnęły ogromne zyski z tego procederu, a teraz zamierzały według przypuszczeń Ciuffiego pomnażać te

zyski, inwestując w przemysł narkotyków.

- Wyraźnym sygnałem tego nowego zaangażowania - ciągnął Ciuffi - są walki i zabójstwa, w które coraz częściej są zamieszani dilerzy północnoafrykańscy.

- Nie do końca rozumiem.

- Dilerzy północnoafrykańscy są zakorzenieni na naszym terytorium od dawna, są najlepszym, jeśli nie jedynym kanałem dostawczym dla narkomanów florenetyńskich i tych z okolicy.

- To wiem, ale co z tym mają wspólnego Albańczycy?

- Daj mi dokończyć. To oni najczęściej zaopatrują Afrykańczyków, ale grają na dwa fronty.

- ?

- Chcą żeby tamci stracili klientów. Wystarczy, że w środowisku narkomanów rozniesie się plotka, że towar Afrykańczyków już nie jest taki, jak trzeba, i że można po nim zapaść w śpiączkę. Sprawa załatwiona. Narkomani szukają innych źródeł zaopatrzenia, a Albańczycy tylko na to czekają! Te świny dostarczają jakieś gówno dilerom, żeby ich załatwić. Tak nam się przynajmniej wydaje, to najprawdopodobniejsza hipoteza, jak już mówiłem. Nad nią pracujemy. Albańczycy chcą zmonopolizować handel narkotykami, nawet ten detaliczny. Mamy już potwierdzenie z wiarygodnych źródeł. Dostarczono nam kilka nazwisk, nad którymi pracujemy, ale wiesz, jak jest z Albańczykami! Oni nigdy nie siedzą w jednym miejscu... Przenoszą się. Dziś Florencja, jutro Mediolan, Neapol, Turyn, a poza tym niektóre grupy współpracują, wymieniają się osobami, które w ten sposób pracują w innych miejscach, co utrudnia identyfikację i dochodzenie.

Ascalchi pokiwał głową. Doprowadzona do skrajności mobilność była jedną z charakterystycznych cech półświatka albańskich przestępców, nie pozwalała na prowadzenie śledztwa tradycyjnymi metodami, bo trudno było śledzić podejrzanych. Kiedy się któregoś zlokalizowało, ten najczęściej zaraz zniknął bez śladu, bo rzadko poruszali się tymi samymi środkami komunikacji,

rzadko też używali tych samych telefonów. Na dodatek te grupy przestępcze często uciekały się do przemocy. To był ich podstawowy sposób działania i rozwiązywania konfliktów, dochodziło do tego różnicowanie działań i ogromne zaplecze przestępcze. Przemoc była sposobem zastraszania i zemsty, istniała też typowa dla organizacji mafijnych zmowa milczenia. Organizacja zbudowana jak klan według tradycji historycznych kraju, z którego pochodziła, stosowała metody włoskich grup mafijnych, ale z dużo większą determinacją i okrucieństwem.

- Zrozumiałem, czyli jeżeli ta, co wczoraj zmarła, miała narkotyki od kogoś z północnej Afryki, kto został oszukany przez Albańczyka, to mamy przechłapanie. Czy tak?

- Jeżeli chcecie złapać tego, kto jej dał to świństwo, to tak. Albo my go wsadzimy przy innej okazji, albo możecie o nim zapomnieć.

- Jeszcze jedno pytanie, wybaczone, ale w jakim wieku tutejsze dzieciaki zaczynają się narkotyzować?

- Skąd to pytanie?

- Bo ta z Ospedale Nuovo miała chyba trzynaście lat, a może i mniej.

Twarz Ciuffiego spoważniała. Zamyślił się.

- Naprawdę? Trafił nam się dwa miesiące temu szesnastolatek, ale poniżej tego wieku wydaje się to nieprawdopodobne. Nawet jeżeli dziś nie bardzo wiadomo, gdzie są granice, nie ma już nic, co mogłoby mnie zaskoczyć. O matko!

Ascalchi wrócił do Ferrary, ale w biurze znalazł tylko Fantiego, który patrzył nań pytająco.

- Nieumyślne zabójstwo, winnym jest biedny czarnuch niedorozwinięty, który nic nie wie i został w to wpakowany przez jakiegoś białego kretyna, który zabija na oślep i zwisa mu, kto będzie ofiarą. Czy to jasne?

- Przekażę.

Nie wiedząc, czy to na serio czy dla żartu, komisarz Ascalchi szybko uściślił:

- Daj spokój, powiedz mu tylko, że go szukałem.
- To proszę się ustawić w kolejce, komisarzu, prefekt także go szukał.

⊕ III ⊕

Z powodu korków Ferrarze zajęło prawie pół godziny, zanim dotarł do szpitala, w słońcu, które rozpalało samochód do czerwoności, a klimatyzacja, chyba uszkodzona, nie była w stanie go schłodzić. Musiał otworzyć okno, wskutek czego do upału dołączyła denerwująca kakofonia klaksonów, rur wydechowych motorów i motorynek. Kiedy już był pod szpitalem, zadzwonił do niego na komórkę Fanti, żeby powiadomić go o telefonie prefekta, tak więc spóźniony odłożył rozmowę z prefektem na potem, kłopotów miał już dostatecznie dużo. Kończąc rozmowę z Fantim, uśmiechnął się z satysfakcją, zadowolony, że nigdy nie dał prefektowi numeru swojej prywatnej komórki, lecz tylko numer telefonu służbowego, który wyłączał, kiedy wykonywał jakąś misję. Zatem Fanti zawsze mógł się do niego dodzwonić w razie potrzeby.

Jego stosunki z Riccardem Leprim, który zajął miejsce Mefista i był zupełnie inny niż tamten, nigdy nie przekroczyły linii wzajemnej tolerancji, mimo że obaj bezskutecznie tego próbowali.

Zbudowany w latach sześćdziesiątych jako nowa siedziba starego szpitala, Ospedale Nuovo - jak często go nazywano - był w stanie przyjąć ponad tysiąc pacjentów. Usytuowany był na południowo-zachodnich peryferiach miasta. Przez lata był kompleksem wielofunkcyjnym i nadal dość nowoczesnym, stosował coraz to nowe technologie i był w awangardzie. Jedyną rzeczą, której nie przewidzieli ówcześni projektanci, był nasilony ruch na drogach dojazdowych, co nierzadko powodowało korki w pobliżu głównego wejścia i utrudniało dojazd nawet karetkom.

Tego piątku, 3 sierpnia, nie było inaczej. Zostali zablokowani kilkaset metrów przed bramą wjazdową, a Ferrara nie miał ochoty dołączać swojej

syreny do tej, którą słyszeć było z karetki torującej sobie drogę.

- Czekaj na mnie przy wejściu do budynku pogotowia - powiedział do kierowcy, wysiadając z samochodu i idąc piechotą.

Drogę, która powinna zaprowadzić go do oddziału reanimacyjnego, przebył w stanie całkowitego i dla siebie niecodziennego nieporządku - poluźniony krawat, rozpięty kołnierzyk koszuli, pod pachami plamy potu i marynarka niedbale przerzucona przez ramię.

Pacjenci, lekarze i pielęgniarki, którzy krzatali się, wchodząc i wychodząc z różnych budynków, wydawali się nie zwracać na to uwagi. Wielu z nich wyglądało nie lepiej niż on, a kiedy w końcu wszedł na schody prowadzące na pierwsze piętro niskiego budynku ze szkła i cementu, gdzie znajdowało się biuro oddziału reanimacyjnego, starał się trochę doprowadzić do porządku, ścierając pot z twarzy i pośpiesznie wkładając marynarkę. Z marnymi rezultatami - co stwierdził, widząc swoje odbicie w jednej ze szklanych ścian w korytarzu - ale nie miał czasu, aby zrobić coś więcej. Klimatyzacja włączona na cały regulator zdążyła zmrozić mu wilgotne ubranie, zanim udało mu się znaleźć odpowiednie drzwi. Zapukał.

- Proszę, proszę!

Głos, który dobiegł z wnętrza, był zdecydowany i zniecierpliwiony. Nie był nieprzyjemny, ale Ferrara zadrżał i nie byłby w stanie przysiąc, czy to z powodu nagłego ochłodzenia, czy z powodu niezbyt serdecznego zaproszenia. Zresztą nie mógł się uskarżać, on też nienawidził, gdy inni się spóźniali.

- Gorąco co, komisarzu? - przywitał go z uśmiechem Leone, kiedy Ferrara przekroczył próg.

Aluzja do jego wyglądu nie mogła być wyraźniejsza, mimo że lekarz sądowy chciał mu okazać raczej sympatię, niż go zganić.

- Korki - odpowiedział Ferrara.

- Doktor Leone też przyjechał z centrum - sprecyzował drugi mężczyzna obecny w biurze, a przyglądający mu się uważnie. Powiedział to tonem

wyważonym, lecz surowym.

- Komisarz Michele Ferrara, profesor Ludovico d'Incisa - Leone pospieszył z prezentacją, aby zatrzeć ten ukryty zarzut i nie dać Ferrarze okazji do riposty.

Kontrast nie mógł być bardziej wyraźny. Ordynator oddziału był dystyngowany, elegancki i opalony. Wyglądał naprawdę świeżo, stwierdził z zazdrością komisarz. Lekki zapach drewna sandałowego snuł się wokół niego. Człowiek sukcesu, pewny siebie, koło sześćdziesiątki, dobrze zbudowany, miał błękitne, pozornie spokojne oczy, badawcze spojrzenie, a gęste, zadbane, siwe włosy dodawały mu jeszcze większej powagi. Wszystko w nim zdawało się skłaniać do szacunku i uległości, a Ferrarze wciąż ciążyła jego własna niechlujność.

Spoglądając na luksusowy zegarek marki Franek Muller, który lekarz miał na ręce, Ferrara stwierdził, choć nie był znawcą, że zegarek z pewnością nie był podróbką, jakie Marokańczycy sprzedają na plażach.

Profesor d'Incisa wstał z fotela.

- Jesteśmy wszyscy, możemy wreszcie zacząć.

Kiedy wyszli z biura, poprowadził ich w kierunku schodów. Pomieszczenia kostnicy znajdowały się w podziemiach. Przeszli przez salę z hermetycznie zamkniętymi chłodniami i znaleźli się w sali sekcyjnej z łacińskim napisem nad drzwiami:

HIC MORS GAUDET SUCCURRERE VITAE.

Reminiscencje z liceum przysły mu z pomocą „Tu śmierć wspomaga życie” albo coś w tym rodzaju. Wewnątrz, na jednej ze ścian wisiała reprodukcja **LEKCJI ANATOMII DOKTORA TULPA** Rembrandta i inskrypcje ją opisujące. Ale najbardziej uderzyły Ferrarę zwłoki dziewczynki leżące na metalowym stole w centrum pomieszczenia.

Kompletnie naga wydawała się jeszcze piękniejsza i bardziej niewinna. Niewielkie piersi o maleńkich różowawych sutkach, wzgórek Wenery ledwie zaakcentowany delikatnym ciemnym meshkiem, członki drobne i delikatne.

Trudno było ustalić, czy jest niedojrzałą nastolatką, czy trochę zbyt szybko dojrzałym dzieckiem, jak on sam o niej myślał. Musiała za życia być niezaprzeczalnie powabna, ale jej ręce o lekko pulchnych palcach, różowawe paznokcie ze śladami czerwonego lakieru jakby z zestawu dla małych dziewczynek, te ręce były rękoma dziecka spragnionego czułości.

Ofiara poświęcona, wydało mu się, obscenicznie wystawiona na zachłanną ciekawość lekarzy tak dobrze odmalowanych przez holenderskiego malarza. Teraz na niej zostanie przeprowadzona sekcja, by wydrzeć jej każdy sekret, a potem pójdzie do ziemi, aby w proch się obrócić jakieś sześćdziesiąt co najmniej lat za wcześniej, pomyślał ze smutkiem Ferrara. Do wielkiego palca u nogi miała przywiązany sznurkiem kartonik, na którym zamiast nazwiska czarnym długopisem narysowano znak zapytania. Taki sam znak widniał na jednej z nóg.

Obok zwłok czekały na nich dwie osoby. Technik sali sekcyjnej ekipy Leonego, którego zdarzyło mu się spotkać już kilka razy w przeszłości, i młody lekarz na specjalizacji.

D'Incisa i Leone włożyli już białe, papierowe fartuchy, lateksowe rękawiczki i maseczki. Ferrara poszedł za ich przykładem, nie wkładając jednak rękawiczek.

- Płeć żeńska, rasa kaukaska, wiek trudny do określenia, na pierwszy rzut oka powiedziałbym około czternastu lat. Zgadza się pan, profesorze? - zapytał Leone, zaczynając oględziny.

Mówił głośno, co było korzystne dla wszystkich obecnych, ale także dla małego przenośnego magnetofonu, za pomocą którego rejestrował oględziny. Był mężczyzną chudym, niskim, o zbyt wcześnie posiwiałych włosach, które kontrastowały z gęstymi czarnymi brwiami. Nosił wielkie, okrągłe okulary w metalowej oprawie, które wyraźnie odcinały się od długiej, opalonej, wychudłej twarzy.

- Nie przesądzałbym - odpowiedział ostrożnie profesor d'Incisa.

- Zgoda, zresztą w tej chwili nie jest to najważniejsze - zgodził się Leone,

otwierając usta dziewczyny, by przyjrzeć się jej zębom. - Kiedy przyjdą rezultaty badania stanu uwapnienia kości, będzie można to ustalić w przybliżeniu, ale z uzębienia powiedziałbym, że nie ma więcej niż szesnaście lat, raczej jednak skończyła czternaście. Tak czy tak, podtrzymujemy przedział wiekowy zasugerowany przez was, pomiędzy trzynastym a szesnastym rokiem życia. Ciało ma sto czterdzieści sześć centymetrów wzrostu, nie ma zewnętrznych śladów ran, kontuzji ani siniaków. Zważywszy na wzrost i wagę, odżywianie w normie i regularne.

Uważnie obejrzał jej ręce.

- Nie ma śladów wcześniejszego używania strzykawek, oprócz tych ostatnich nakłuć, które można przypisać w dużej części kroplówkom i badaniom, jakie przeszła w szpitalu. Potwierdza pan?

- Oczywiście, ale muszę stwierdzić, że kiedy ją przyjęliśmy, jedno czy dwa wkłucia już miała. Dlatego zrobiliśmy badanie krwi i moczu, które wykazały obecność morfiny, która jest głównym metabolitem heroiny.

- Tak - przyznał lekarz sądowy, ale Ferrarze wydało się, że się zawahał. - Powiedziałbym, że śmierć z przedawkowania jest pewnikiem, natomiast chciałbym wiedzieć, czy była przyzwyczajona do narkotyków. Sprawdzimy to po przebadaniu włosów, wątroby i żółci.

Profesor przytaknął. Ta sprawa właściwie go nie dotyczyła, interweniował z powodu przedawkowania i dopóki to było pewnikiem, reszta należała do innych.

Leone przeszedł do badania rąk i nóg.

- Nic nie ma pod paznokciami rąk ani nóg. Nie ma ani ziemi, ani niczego innego.

- Czy to nie jest zastanawiające, zważywszy na miejsce, gdzie została znaleziona? - zapytał Ferrara.

- Co ja mogę powiedzieć? Przecież nie wiemy, jak tam się dostała i co tam robiła.

D'Incisa poparł go, rzucając komisarzowi spojrzenie pełne dezaprobaty,

chcąc zaakcentować, że dla niego było to niefortunną uwagą laika.

Przeszli do badania organów rodnych. Francesco Leone z uwagą obejrzał wargi sromowe, marszcząc czoło. Zdecydowanym ruchem włożył palec do pochwy denatki.

- Hymen został przerwany i jest już zbliznowaony.

- To znaczy? - zapytał Ferrara, ryzykując wrogość ordynatora.

- Że od jakiegoś czasu nie jest już dziewicą - odpowiedział Leone. - Odwrotnie do tego, w co wierzą ludzie, błona dziewicza nie znika po pierwszym kontakcie seksualnym, a nawet i po kolejnych. Dostosowanie do współżycia jest procesem stopniowym, aż hymen atrofizuje się i traci wszelkie aspekty morfologiczne. - Gdy mówił, uniósł lekko miednicę dziewczyny i badał zwieracz odbytu.

Profesor z ciekawością przyglądał się pracy kolegi, nie zapominając przy tym spoglądać od czasu do czasu na swój kosztowny zegarek.

- Fałdy wokół odbytu noszą ślady zranień, a mimo **RIGOR MORTIS** widać zdecydowaną utratę napięcia zwieracza i rozluźnienie. To znaczy - powiedział do Ferrary, wyłączając na chwilę rejestrator - że była wykorzystywana wielokrotnie także od tyłu.

- Czyli zanim zapadła w śpiączkę, została zgwałcona?

- Tego nie mogę powiedzieć. Oznaki przemocy, jak już powiedziałem, nie są widoczne i można by powiedzieć, że dziewczyna nie była dziewicą od...

- Wiedzieliście o tym? - Ferrara zapytał profesora.

- Że była kurwą? - odpowiedział ordynator pogardliwym tonem, który poraził komisarza. Ze względu na wiek dziewczyny nie był to termin, którego on by użył.

- Bo co? Myśli pan, że to powinno nas obchodzić? Ta dziewczyna została przywieziona do szpitala z wyraźnymi objawami przedawkowania, a podanie narkanu, który jest antidotum na zatrucie opiatami - sprecyzował na użytek laika - potwierdziło, że było to właśnie to, czym powinni byliśmy się zająć. Zrobiliśmy to, a kolejne analizy przyznały nam rację. Śmierć nastąpiła po

okresie śpiączki, reszta to nie była nasza sprawa.

- Nawet jeżeli została odurzona po to, by można było ją wykorzystać? - zripostował Ferrara.

- Nawet - potwierdził D'Incisa zdecydowanie – jesteśmy lekarzami, nie policjantami! - Wyraźnie dało się wyczuć pogardę. - Każdy ma swój zawód.

- Czy po tylu dniach można jeszcze znaleźć spermę? - zapytał, ignorując tę uwagę i zwracając się bezpośrednio do Leonego. Wyobrażał sobie odpowiedź, ale nie mając wiedzy technicznej, wolał się upewnić. Doprecyzował: - Przepraszam, profesorze, ale jak sam pan powiedział, muszę wykonywać swoją pracę.

- Ależ ja to doceniam. Pańskie pytanie wcale nie jest bezsensowne. Pacjentka w śpiączce jest myta, cewnikowana i można by pomyśleć, że to może usunąć wszelkie ślady, ale tak nie jest, prawda, doktorze Leone?

- Dokładnie. Spermę zostaje w błonie śluzowej bardzo długo i badania laboratoryjne znajdują ją, jeżeli stosunek seksualny odbywał się bez prezerwatywy.

- Spermę może przetrwać więcej niż pięć dni?

- Nawet ponad dwa razy tyle, komisarzu...

- Ze względu na zawód, jaki uprawiała, zdziwiłbym się, gdybyśmy nie znaleźli spermy i to na dodatek różnego pochodzenia! - stwierdził ironicznie ordynator.

Może Ferrara był uprzedzony z powodu podejrzeń Violantego, ale ten człowiek zdecydowanie mu się nie podobał. Myślał zresztą już o czymś innym. O niewolnictwie seksualnym, o czynie jakiegoś pedofila, który ubezwłasnowolnił dziewczynę, wstrzykując jej heroinę. O gwałcie zbiorowym i o orgiach z nieletnimi, o których od czasu do czasu chodziły słuchy po Florencji, ale których oni nie byli w stanie odkryć. Mogło być wiele hipotez. Nawet taka, że była to zwykła nieletnia prostytutka, która wstrzyknęła sobie o jedną działkę za dużo, o czym wyraźnie przekonany był D'Incisa i co także Leone uważał za bardzo prawdopodobne. Hipoteza w

zasadzie najprostsza. Wystarczyłoby stwierdzenie, że nie była uzależniona od narkotyków, by tę hipotezę przynajmniej w części podważyć.

Zakończywszy badanie zewnętrzne, Leone skinieniem głowy wezwał technika. Był to około pięćdziesięcioletni mężczyzna, niski i krępy, który do tej chwili stał obok wózka z instrumentami, ograniczając się do słuchania i obserwowania wszystkiego z zimną obojętnością. Na znak lekarza sądowego podszedł do umywalki i wziął plastikowy podgłówek, który podłożył pod kark dziewczyny. Wtedy Ferrara zdał sobie sprawę, że nie chce uczestniczyć w masakrze, która teraz miała nastąpić. Leone otworzył klatkę piersiową, nacinając ją w kształcie litery Y, potem brzuch, następnie przetnie skórę głowy, rozchylił ją, żeby przepiłować czaszkę. Medycy sądowi mają specjalny stosunek do śmierci, ale nie on. Minał kawał czasu, kiedy brał udział w sekcji po raz ostatni i trochę się odzwyczaił. Zrozumiał, że nie ma ochoty znów się przyzwyczajać.

- Wychodzę - powiedział, zanim Leone przystąpił do dzieła - ale jeżeli ma pan chwilę, panie profesorze, przedtem chciałbym zadać panu kilka pytań.

Ordynator spojrzał na zegarek po raz kolejny.

- Trochę się spieszę, prawdę mówiąc, bardziej nawet niż trochę... - dodał, patrząc na Leonego.

- Postaram się zrobić to szybko - zapewnił go tamten.

- Nie trzeba mi wiele czasu, tylko kilka pytań - powtórzył Ferrara.

- Dobrze - westchnął d'Incisa.

- W międzyczasie niech pan robi, co do pana należy - powiedział Leone, podając mu plastikowy worek i odprowadzając go do drzwi. - To rzeczy osobiste zmarłej.



Wyszedłszy na korytarz, Ferrara poczuł wątpliwości. A jeżeli naprawdę popełnia błąd? A jeżeli nie było niczego nienormalnego ani dziwnego w śmierci tej dziewczyny? Śmierci z przedawkowania jak w wielu przypadkach dziewcząt w podobnym wieku, zmuszanych do prostytucji we wszystkich zakątkach świata? Znalazł jakąś ławkę i otworzył plastikową torbę, z której

wyjął brudne i wyblakłe dzinsy bez naszywki marki, tanią bawełnianą koszulkę w kolorze lawendy nieznanego mu firmy, niegustowne kolczyki, zbyt ozdobne jak dla dziewczynki, pierścionek z tombaku z fioletowym szkieletem imitującym ametyst. Tylko tyle. W kieszeniach spodni znalazł tylko trzy amerykańskie, miętowe gumy do żucia. To było wszystko.

Zastanowił się, czy Leone dając mu tę torbę, chciał przekazać mu jakąś wiadomość. Czy on też zauważył brak butów i bielizny? Nie było ani biustonosza, którego dziewczyna rzeczywiście mogła nie nosić, ani majtek, a trudno było pomyśleć, że ich nie używała, pensjonarka czy prostytutka, obywatelka czy nielegalna imigrantka, kimkolwiek by nie była, musiała nosić majtki.

Kiedy znów odkładał wszystko do worka, aby oddać to do analizy, wypadł pierścionek. Patrzył nieoczekiwanie poruszony na toczący się po podłodze przedmiot.

Rzeczy osobiste zmarłych zawsze są trochę dziwne, jakby nagle wraz z właścicielem traciły wartość. Stają się tym, czym w rzeczywistości są, czyli kawałkami materiału, bardziej lub mniej zużytymi. Niekiedy coś zmieni właściciela i zacznie znów żyć, nabierając zupełnie innego znaczenia, pamięci. Większość innych rzeczy zblaknie, w każdym razie te rzeczy, które wzbudzają tęsknotę, ale nie to poruszyło komisarza, kiedy się schylił, by podnieść ten tani klejnot ze straganu. Prześladował go obraz rączki, która mogła go wybierać spośród innych, bajkowy zamek i dziecięce złudzenia, które towarzyszyły jej, kiedy wkładała go sobie na palec. I coś jeszcze, coś, czego nie udało mu się określić - coś, co dało mu siłę, której szukał.

Zadzwoił do prefektury i poprosił Ascalchiego.

- Byłem u pana streścić... - powiedział rzymianin.

- Teraz to nieważne, powie mi pan o tym potem. Teraz niech pan słucha. Proszę się skontaktować z personelem ze 118 i niech pokażą dokładne miejsce, gdzie znaleziono dziewczynę, niech pan mi to przekaże i jedzie tam z kimś z ekipy technicznej, niech Sergi panu pomoże, jeżeli nie jest czymś

zajęty u Violantego, lub proszę wziąć kogokolwiek, kto jest w tej chwili wolny. Ogródźcie teren i przeszukajcie. Dojadę, jak tylko dam radę.

- Myśli pan, że to morderstwo? - zapytał zaskoczony Ascalchi.

- Nie wiem, ale działajcie tak, jakby było.

- Czy to zgodne z regulaminem?

- Olejcie to, odpowiedzialność biorę na siebie.

- Szukamy czegoś konkretnego?

- Tego, co zwykle, ale przede wszystkim skarpetek, biustonosza i majtek. I prezerwatyw!

- Dobrze, szefie - odpowiedział Ascalchi. Nie był zachwycony, nie wstąpił do policji, żeby robić za ekologicznego czyściciela. Jeżeli las na wzgórzach był tym, co sobie wyobrażał, to zbiór zużytych środków ochronnych będzie obrzydliwie pokąźny, pomyślał z niezadowoleniem.

Zaraz potem Ferrara zadzwonił do Fantiego.

- Na rozkaz!

- Sprawdź wszystko, co się da, na temat koszulek marki STEAUA ROSIE. Zapisaleś?

- Tak, szefie.

Wyłączył telefon i czekał dalej, zastanawiając się, czy nie traci cennego czasu, ale na tym etapie wszystkie ślady były ważne, jak zawsze na początku dochodzenia. Wiele z nich okaże się chybionymi, ale żadnego nie wolno pominąć.



Oczekiwanie na D'Incisę, przerwane przez telefon od Fantiego, który przekazał mu Ascalchiego, by ten podał mu koordynaty miejsca odnalezienia dziewczyny, okazało się krótsze, niż się spodziewał. Profesor wyszedł z sali sekcyjnej. Ferrara poderwał się i podbiegł do niego.

- Nie zatrzymam pana długo, obiecuję.

- Możemy rozmawiać, idąc? Muszę dołączyć do żony, bo jedziemy do Viareggio, a już jesteśmy spóźnieni. Liczyliśmy na wcześniejszy wyjazd, by uniknąć korków.

- Rozumiem - powiedział Ferrara, idąc obok niego. Lekarz szedł szybkim, energicznym krokiem. - Ja też powinienem jechać w tamte strony. Do Marina di Pietrasanta, ale wyjeżdżam dopiero jutro, tak więc i ja muszę się spieszyć, jeżeli chcę skończyć to, co mam na dzisiaj. Jadę tylko na weekend. Pan zaczyna wakacje?

- Chciałbym! Odwożę tylko żonę, ale w niedzielę wieczorem wracam. Tu praca nigdy się nie kończy.

- I komu pan to mówi?

- O co chciał mnie pan zapytać?

- Ta dziewczyna cały czas była w śpiączce? Nie obudziła się nawet na moment? Może coś mówiła przez sen. Skarżyła się?

- Oprócz polepszenia stanu po podaniu narkanu, kiedy odzyskała funkcje oddechowe, nie wydaje mi się, żeby odzyskała przytomność, i nie słyszałem, żeby płakała.

- Może któraś z pielęgniarek?

- Powinien pan je zapytać.

- A którą szczególnie?

- Niech się pan zwróci do oddziałowej, pani Finzi.

Ferrara zapisał nazwisko w notatniku i ciągnął dalej.

- Jeszcze jedno.

Wyszli z budynku i schodzili po schodkach, które prowadziły na parking dla personelu.

- Proszę pytać.

- Dziewczyna była w śpiączce przez pięć dni, myśli pan, że zrobiono wszystko, co konieczne?

Profesor d'Incisa zatrzymał się nagle, ale nie wybuchnął, czego się obawiał Ferrara. Przeciwnie, sztywność i wrogość, którą mu okazywał od samego początku, nagle jakby zniknęły przynajmniej na tyle, na ile pozwalała mu duma ordynatora ważnego florentyńskiego szpitala. Zachował się, jakby ktoś zdjął z niego jakiś ciężar.

- Ach, teraz rozumiem! - powiedział, patrząc mu w oczy ze szczerością. - Mogę panu dać moje słowo honoru, że dopóki była pod moim osobistym nadzorem, była traktowana z najwyższą uwagą i troską, ale od tego do gwarancji, że nie została popełniona jakaś pomyłka, jest jeszcze daleko. Chciałbym to wykluczyć, to oczywiste, ale to ogromny szpital, jest wielu pacjentów, na dodatek mamy sierpień, sam pan wie, co to znaczy, bo sam pan kieruje instytucją, i wie pan także, jak bardzo dla instytucji ważne jest dobre imię i prestiż. Obiecuję, że ze swojej strony rozpocznę wewnętrzne śledztwo, którego rezultaty panu przekażę. Dobrego weekendu życzę. - To mówiąc, nacisnął pilota odblokowującego drzwi jego maserati coupé, szary metalik.

Błąd medyczny?, pomyślał raz jeszcze Ferrara. To dlatego d'Incisa chciał osobiście asystować przy autopsji, mimo że tak bardzo spieszyło mu się nad morze? I dlatego nalegał na Violante'go, by ten szybko przygotował raport?

Stał, śledząc manewry lekarza, aż ten odjechał. Oddaliła się też smużka zapachu drewna sandałowego i zastąpił ją lekki, ale wyraźny odór mefistofelicznego gówna. Dziś rano wetknął w nie palec. Był tego pewien.

⊕ IV ⊕

Droga pełna zakrętów prowadziła z boczem wzgórza porośniętego bukami i jeżynami powyżej i poniżej wstęgi asfaltu. Gęszcz drzew i krzewów przerzedzał się czasem i widać było wtedy połacie winnic i drzewek oliwnych. Policjanci pracowali na ostrodze ubitej ziemi na prawo od zakrętu, który w tym miejscu ostro biegł w lewo, tworząc zakole, gdzie mogło zaparkować cztery do pięciu samochodów. Ich auta jednak się tam nie zatrzymały, lecz na poboczu, zajmując część wąskiej drogi lokalnej. Dwóch policjantów z lizakami, jeden z jednej, drugi z drugiej strony zakrętu kierowało ruchem, aby przejazd był całkowicie bezpieczny.

Ferrara wysiadł z samochodu i dołączył do Ascalchiego i Sergiego, którzy nadzorowali niepewnie pracę dwóch techników kryminalnych zaopatrzonych w wideokamerę i aparat fotograficzny.

- Znaleźliście coś? - zapytał.

- Nic, szefie. Tylko kilka pustych butelek po wodzie, mnóstwo niedopałków, opakowania po chipsach, puszki po piwie i coca-coli, ale ani majtek, ani skarpet, ani biustonosza. To nie jest miejsce schadzek, mówię panu, szefie - odparł rzymianin.

- Strzykawki?

- Żartuje pan, szefie? Bardziej uczęszczane miejsce jest stąd co najmniej o kilometr, a po drodze można znaleźć setki lepszych miejsc.

Ferrara popatrzył na Sergiego zwanego Serpico z powodu podobieństwa do bohatera filmu z Alem Pacino i dostrzegł w jego oczach niepokój. Wyglądał, jakby się zastanawiał, co tutaj robią.

- Gdzie znaleziono ciało?

- Dokładnie tu, niech pan podejdzie - powiedział Ascalchi, prowadząc go

do punktu tuż przy samym lesie, który w tej okolicy trochę się przerzedzał i gdzie zgnieciona roślinność świadczyła o obecności w tym miejscu jakiegoś ciężkiego przedmiotu.

Komisarz zatrzymał się w pewnej odległości, by mieć dostatecznie dobry ogląd, i zatrzymał także swojego towarzysza.

- Ślady ciągnięcia?

Ascalchi o tym nie pomyślał, może dlatego, że komisarz wyraźnie mu o tym nie powiedział. Gdyby to był Rizzo, nie byłoby tego problemu.

- Ale, szefie, byli tu przecież ratownicy. Ambulans, pielęgniarze z noszami, a poza tym... - rzymianin zaczął się bronić.

- Po prostu nie zwróciliście uwagi? To chce mi pan powiedzieć?

- Nie, szefie - wtrącił Sergi - personel był uważny i ostrożnie się poruszali, jak zawsze, ale jak pan widzi...

- Jak widzę, musimy lepiej sprawdzić teren.

- Tak jest, szefie - odpowiedział Sergi z wyraźnym sceptycyzmem.

Ferrara w głębi serca nie mógł się z nim nie zgodzić, to nie wyglądało na miejsce zabójstwa, o ile w ogóle chodziło o zabójstwo. Było pełno śladów opon, nawet dość blisko miejsca, w którym prawdopodobnie znaleziono ciało, były też ślady butów, bardzo liczne, lecz już zdeptane. Ferrara kazał sfotografować jak najwięcej i jednych, i drugich, a ci, którzy już je fotografowali, posłuchali go, aby go nie denerwować i żeby się czymś zająć, zważywszy, że to, co mieli do zrobienia, skończyli już jakiś czas temu.

- Jedyna pewna rzecz to to, że ciało nie było ciągnięte - skomentował komisarz. - Zgadza się z tym?

- Oczywiście - powiedział Sergi.

- I, że dzieciaki nie wysiadają tutaj z samochodów, chyba że na siusi - stwierdził Ascalchi. - Mnie się zdaje, że te wszystkie ślady to ślady dorosłych szczepionych, szefie.

Może miał to być tylko żart, ale dobitnie pokazywał, że młody komisarz miał zmysł obserwacji.

- Sprawdzę to na zdjęciach, ale pewnie ma pan rację. Jeżeli była boso, a to też sprawdzimy, to nie chodziła po tym terenie. Leone nie znalazł śladu ziemi na jej ciele, nawet pod paznokciami palców u nóg.

- To znaczy? - wyrwał się Sergi nagle poruszony.

- To znaczy, że prawdopodobnie dziewczyna nie przyszła, ale ją przywieziono - stwierdził Ferrara, zastanawiając się nad konsekwencjami - i że nie chodzi o narkomankę, która tu się zaszyła, żeby wziąć działkę, zważywszy na okolicę, brak strzykawek i jakichkolwiek śladów, które wskazywałyby na przemieszczanie się wokół miejsca, gdzie ją znaleziono. Powiedziałbym, że to jest pierwsza naprawdę pewna rzecz, jaką do tej pory wiemy. Jeżeli została tu przetransportowana, to są dwie możliwości. Ktoś ją przywiózł samochodem albo ktoś ją przyniósł przez pola, z którejś z willi albo z jakiegoś domu w okolicy. Pierwsze zabudowania znajdują się o sześćset, siedemset metrów stąd, więc musiałaby być niesiona przez więcej niż jedną osobę, albo wleczona, jeżeli ten ktoś był sam. Jeżeli jednak została wyrzucona z samochodu, to miejsce, skąd ją zabrano, może być wszędzie i może chodzić o jedną osobę.

Może obie hipotezy były niepewne, ale nie mógł ich pominąć, a żeby od czegoś zacząć, trzeba było zintensyfikować poszukiwania.

- Przykro mi, chłopaki, ale praca jeszcze nie jest skończona, trzeba przeszukać wszystko w promieniu co najmniej dwóch kilometrów, na ile to możliwe, ostrożnie, jeżeli chodzi o wszelkie zabudowania. Wezwijcie posiłki, jeśli to konieczne, ja muszę wrócić do szpitala.

Przyszło mu do głowy, że wyszedł, nawet nie pożegnawszy się z Leonem, i że w tej chwili przyda się też krótka pogawędka z panią Finzi i być może z kilkoma innymi pielęgniarkami. Pomyślał także, że już popołudnie, a on nie zjadł nawet kanapki, ale nie czuł głodu. Zazwyczaj, kiedy był zaangażowany w jakąś trudną sprawę, zapominał o obiedzie i nawet sobie z tego nie zdawał sprawy, czasami myślał, że pali zbyt dużo i to cygara odbierają mu apetyt. Tym razem jednak był pewien, że wina leżała po stronie makabrycznego

spektaklu, w którym zdecydował się uczestniczyć tego ranka. Perspektywa powrotu do szpitala wcale go nie cieszyła, ale, niestety, nie mógł tam nie pójść.



Leone już wyszedł, będzie więc musiał do niego zadzwonić, żeby go przeprosić, ale miał szczęście co do pani Finzi, bo była na dyżurze także tego popołudnia.

Była około pięćdziesiątka, chuda i wysoka, miała rudawe włosy i garbaty, wąski nos. Nosila okulary o grubych przydymionych szklach. Wyglądała na kobietę, która nigdy się nie uśmiecha, ale nie okazała się ani wroga, ani nieprzyjemna.

Zaprowadziła go do pustego biura z dala od hałasu, jaki panował w poczekalniach pełnych pacjentów. Były tam metalowe stoły zastawione opakowaniami leków i zasłane papierami. Był też elektroniczny sprzęt medyczny poustawiany na półkach.

- Jestem tu z powodu dziewczyny zmarłej z przedawkowania - wyjaśnił Ferrara.

Kobieta skinęła głową. Jeżeli nawet była zaskoczona, to nie dała tego po sobie poznać.

- Była pani na dyżurze, gdy ją przywieziono?

- Tak.

- Kiedy przeniesiono ją na reanimację?

- Prawie natychmiast. Doktor Carli z pogotowia zauważył natychmiast, że to przedawkowanie i stan bardzo ciężki, uprzedził doktora D'Incisę i ten kazał natychmiast przenieść ją na reanimację.

- Czyli to profesor ją przyjął?

- On i jego ekipa, tak.

- Była niedziela, prawda?

- Tak, ale nie ma w tym nic dziwnego. On pracuje zawsze. Zbyt dużo. Pamiętam, że tego ranka był szczególnie zmęczony i spięty i naprawdę się zdenerwował, kiedy ją zobaczył. Prawdopodobnie nie zmrużył oka przez całą

noc. Tak jest, że oprócz rzeczywiście ważnych przypadków i osób w potrzebie musimy też przyjmować nieodpowiedzialnych ludzi, którzy szaleją w sobotnią noc.

- Ale jak ktoś jest tak zmęczony, czy powinien się czymś takim zajmować? Kobieta zrobiła grymas podobny do uśmiechu.

- Profesor D'Incisa tryska energią, a poza tym to nie chirurgia. Światłość jego umysłu jest wręcz przysłowiowa.

- Kiedy ją tu przywieźli, była ubrana?

- Nie rozumiem?

- Przepraszam, nie wiem, jak to się odbywa. Mogli ją rozebrać na pogotowiu. Jak rozumiem, pacjenci dostają koszule, które potem ułatwiają zabiegi.

- Nie, nie było czasu jej rozbierać. Trzeba było natychmiast działać. Oczywiście to zrobiono potem, kiedy już ją hospitalizowano.

- Kto?

- Pielęgniarki z sali chorych.

- Pamięta pani, jak była ubrana?

- Oczywiście, jak wszystkie nastolatki, dzinsy i koszulka, ale ciuchy były jakie, takie z bazaru. Tak samo świecidełka, które miała na sobie. Musiała być biedna, pewnie uciekła z domu, żeby się narkotyzować, ale nikt jej nie szukał.

- Dużo takich macie?

- Więcej, niżby się chciało, aż trudno uwierzyć.

- Jakieś... kłopoty? - zapytał, myśląc o zdenerwowaniu profesora D'Incisy.

- Nie, komisarzu. Tego bym nie powiedziała. Kiedy przyjeżdżają do szpitala, są spokojni, a my jesteśmy tu po to, żeby się nimi zajmować. To jest nasza praca.

- Ma pani rację, myślałem tylko, że mogą was odciągać do innych pilnych przypadków.

- Narkoman też człowiek i nie wszyscy są tacy sami. To może przytłaczać,

ale to nie kłopot, zabrania nam tego sumienie, nie mówiąc już o etyce zawodowej. Proszę mi wierzyć.

- Niech pani posłucha, czy pośród narkomanów dużo jest nieletnich?

- Tak, wielu.

- Są także dzieci?

- Proszę?

- Przecież nie była dorosła, prawda?

- Nie, właściwie nie, ale...

- Według lekarza mogła mieć koło czternastu lat, może nawet trzynaście.

Kobieta zamyśliła się jakby poruszona.

- O Boże, to możliwe... Myślałam, że była starsza. Może dlatego, że była narkomanką...

- Nie wydało się to pani dziwne?

- Prawdę mówiąc tak, teraz, kiedy mi to pan mówi...

- Teraz pani rozumie, dlaczego tak panią dręczę?

- Proszę się nie przejmować. Jeżeli tylko mogłabym pomóc...

- Dziękuję, miałbym jeszcze jedno pytanie, widzi pani, w jej rzeczach osobistych nie znalazłem butów...

- Tak, była boso - potwierdziła po krótkim zastanowieniu.

- Nie zdziwiło to was?

- O Boże, nikt na to nie zwrócił uwagi. Buty mogli jej zdjąć ci z pogotowia.

- Czy pamięta pani, czy miała poranione nogi albo bardzo brudne?

- Nie, przysięgłabym, że nie...

- Dziękuję, w takim razie sprawdzę, czy ci ze 118 zdjęli jej buty, ale chyba normalnie powinni je komuś oddać, tak?

- Tak, którejś z pielęgniarek.

- Dziwne jest też, że nie miała na sobie ani majtek, ani biustonosza.

- Nie rozumiem.

- Przywieźli wam ją bez bielizny?

- O Boże, nie wiem. Nie rozbieraliśmy jej. Nie było to konieczne do podania narcanu i wkłucia się w żyły ani do założenia kroplówki.

- Pani cały czas przy tym była?

- Tak, byłam obecna przez cały czas.

- Według pani otrzymała wszelką możliwą pomoc?

- Absolutnie tak, komisarzu. Nawet jeżeli profesor d'Incisa był zmęczony, to kierował ekipą z całym oddaniem i zrobił absolutnie wszystko, co należało zrobić. Mogłabym przysiąc to w sądzie.

- Nie ma potrzeby - uśmiechnął się Ferrara. - To nie jest przesłuchanie ani tym bardziej śledztwo, staram się tylko zrozumieć, jak taka dziewczynka nafaszerowana narkotykami mogła się znaleźć w tak odludnym miejscu, które nawet nie jest uczęszczane przez narkomanów, i jak tam dotarła bez butów i bez majtek.

- Jeżeli w ten sposób na to spojrzeć, to rzeczywiście tajemnicza sprawa. Może powinien pan zapytać pielęgniarek z sali chorych, które się nią zajmowały. One z pewnością będą wiedzieć więcej, a może się też okazać, że te rzeczy są, tylko zostały odłożone gdzieś, gdzie nie należało.

- Ma pani rację, pamięta pani, kto wtedy był?

- Na pewno Elena Scandellari, jest dzisiaj, mam ją zawołać?

- Bardzo by mi pani pomogła. Proszę jej powiedzieć, że czekam tutaj, pani może wrócić do pracy, zbyt długo już panią tu zatrzymałem. Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

- Gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, proszę dać mi znać. Nie sądziłam, że była taka...

- Młodziutka?

- Tak.

Ferrara by nie przysiągł, ale jej okulary jakby trochę zaszyły mgłą.

- Mogła też być nieco starsza - starał się ją pocieszyć - to tylko hipoteza. Mogła mieć i piętnaście, szesnaście lat.

- To to samo - westchnęła kobieta, wychodząc.

Był to znak, że po interwencji lekarskiej już jej nie widziała ani razu, rzeczywiście świetna opieka nad pacjentami. Może jednak był niesprawiedliwy, może akurat miała wolne?

Elena Scandellari, która kilka minut potem zapukała do drzwi, nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Była piękna i pełna gracji, wydawała się bardzo energiczna i wesoła, mimo że była onieśmielona obecnością komisarza policji.

- Pani Finzi wytłumaczyła, dlaczego chcę się z panią widzieć?

- Chodzi o ubrania?

- Właśnie tak, o buty, majtki i biustonosz. Oddziałowa powiedziała mi, że przywieziono ją bez butów. Czy może ktoś ze 118 oddał je wam?

- Nie, nie miała ich.

- I nie miała też bielizny?

- Nie, proszę pana.

- To pani nie zastanowiło?

- Zastanowiło mnie to, oczywiście, tym bardziej że zdaje się niedawno miesiączkowała. Pomyślałam nawet: „No patrzcie, patrzcie, jak teraz chodzą po ulicach te kurewki” Przepraszam - dodała szybko, przypomniawszy sobie, że w tej chwili mówi przecież o zmarłej.

- To znaczy, że była zakrwawiona?

- Tak, kiedy ją przebierałam, widziałam ślady krwi.

- Gdzie?

- Po wewnętrznej stronie ud. Narządy rodne wydały mi się czyste, ale to wyglądało tak, jakby umyła się w pośpiechu, takie miałam wrażenie. Dobrze to pamiętam.

- Dżinsy też były poplamione? - zapytał.

- Nie zwróciłam uwagi.

To nie miało znaczenia. Mógł to sprawdzić sam albo lepiej mogli to zrobić technicy kryminalni.

- Rozumiem, a czy nadal krwawiła?

- Nie, dlatego pomyślałam, że okres miała niedawno. To musiała być końcówka.

- Taaak... Miała coś w kieszeniach?

- Paski gumy do żucia... Miała też zużytą chusteczkę higieniczną, nic ponadto.

- Wyrzuciła pani ją?

- To był śmieć, komisarzu - powiedziała jakby przepraszająco.

- Oczywiście, czyli w każdym razie pani ją umyła i przebrała w koszulę szpitalną?

- Tak, oczywiście.

- A o majtkach i o krwi nikomu pani nic nie powiedziała? Nie spisała pani jakiegoś raportu?

- Nie, nic nikomu nie powiedziałam, pomyślałam, że w sumie to jej sprawa, tej biedaczki. Jak kogoś mi tu przywożą po potrąceniu samochodem, a on ma brudne majtki, to przecież nie opowiadam o tym po całym oddziale!

Komisarz uśmiechnął się trochę gorzko - kto wie, co mogła mu powiedzieć ta brudna chusteczka, ale nie mógł mieć pretensji do pielęgniarki.

- Jeszcze jedno, pani Finzi miała wolne?

- Tylko kilka dni. Wróciła dopiero dzisiaj.

To, nie wiedzieć dlaczego, poprawiło mu humor.

Było zbyt późno, żeby wracać do prefektury, więc poprosił kierowcę, by wysadził go na Lungarno, niedaleko domu. Z samochodu zadzwonił do Leonego.

- Wyszedł pan bez pożegnania - lekarz sądowy w taki właśnie sposób rozpoczął rozmowę.

- Ale teraz dzwonię, żeby to naprawić.

- Wyobrażam sobie. Ale pewnie zupełnie przypadkiem ma pan kilka pytań, które chciałby pan zadać?

Ferrara się uśmiechnął.

- Dlaczego nie został pan śledczym, Leone?

- Bo pan nie nadaje się na lekarza sądowego, sądząc po pańskiej dzisiejszej ucieczce i to w najciekawszym momencie! Państwo, niestety, potrzebuje i jednych, i drugich, dobry Bóg pomyślał o podziale pracy z niebiańską akuratnością, przynajmniej w tym, co dotyczy mnie. Więc co chce pan wiedzieć?

- Wszystko.

- Tak, naturalnie, zrobimy tak, dziś piątek, jutro zaczynamy badania laboratoryjne, niech pan do mnie zadzwoni w przyszły piątek, zgoda?

- To niech pan powie choć część, dobrze?

- Czyli mamy skończyć z żartami?

- Jeśli to możliwe.

- Na rozkaz, komisarzu. W tej chwili sądzę, że diagnoza szpitala była poprawna.

- Ja też w to wierzę, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze są okoliczności, które towarzyszyły przyjęciu narkotyku, i jest coś jeszcze, dowiedział pan, że ta dziewczynka...

- Nie byłbym tego taki pewny, sam pan ją widział.

- Dobrze, dziewczyna, przybyła do szpitala z plamami krwi po wewnętrznej stronie ud w okolicach intymnych. Czy można ustalić, czy miała okres lub była tuż po nim?

- Oczywiście, wystarczy badanie histologiczne, biopsja macicy nam to powie, już pobrałem wycinek. Musimy czekać.

- A gdyby hipotetycznie nie była w tym momencie tuż po miesiączce, można by pomyśleć, że stosunki seksualne, które odbyła, miały miejsce w tym samym mniej więcej czasie co śmierć?

- Tak, byłyby to stosunki powtarzalne, wymuszone i nosiłyby znamiona gwałtu, zważywszy, że dziewictwo straciła dawno temu. Trzeba by się upewnić, że to była jej krew.

- A jakbym znalazł próbkę? - powiedział, myśląc o dzinsach.

- Bylibyśmy górą, komisarzu.

- To dobrze, a jakie wrażenie zrobił na panu profesor D'Incisa?

- Zimny, kompetentny, profesjonalny. Nie jest zbyt sympatyczny, ale to ktoś, kto się zna na tym, co robi. Skąd to pytanie?

- Jeden z moich inspektorów, który prowadził sprawę dziewczyny, zanim zmarła, odniósł wrażenie, że nie była pod taką opieką, jakiej można by oczekiwać, że jakby trochę ją zaniedbywano.

- Myśli pan o błędzie lekarskim? Tego z autopsji się nie dowiemy, ale konfrontacja z kartą leczenia szpitalnego mogłaby się przydać. Ma ją pan?

- Wystąpiłem o nakaz do prokuratora.

- Dobrze, niech mi pan przekaże kopię, może ci lekarze tam nie są tak skrupulatni. Zauważyłem zmianę w błonie śluzowej jamy nosowej, którą D'Incisa natychmiast przypisał sondzie nosowej, ale mnie przypominało to przypadki, w których analizy mikroskopowe wykazały obecność ciał obcych.

- I to może być ważne?

- Jeżeli to to, o czym myślę, byłoby co najmniej dziwne.

- A o czym pan myśli.

- Widzi pan, te przypadki, o których wspomniałem, to ludzie zażywający kokainę.

Komisarz zamilkł.

- Czyli poza heroiną przyjmowała także kokainę? - zapytał z niedowierzaniem. - W tym wieku?

- I nie była osobą uzależnioną, ale to wszystko trzeba udowodnić. Poczekajmy na wyniki badań.

- Kiedy będą gotowe?

- Postaram się mieć pierwsze w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Byli na miejscu. Wysiadł z samochodu i poszedł wzdłuż rzeki Arno wąskim chodnikiem, na którym kłębił się tłum turystów zatrzymujących się to tu, to tam, by fotografować Ponte Vecchio w nostalgicznym, pomarańczowym świetle zachodzącego właśnie słońca.

Potrzebował chwili spaceru, nawet w tym upale, aby uporządkować myśli,

które kłębiły mu się w głowie. Narkotyki? Za dużo. Błąd lekarski? Możliwy. Brakujące ubrania. Seks? Prawdopodobnie zbyt dużo seksu. Dzinsy, koszulka nieznanej firmy, pierścionek z tombaku (poruszające, dlaczego?)... Profesor, lekarz sądowy, Ascalchi, Violante, prefekt, który chciał się z nim skontaktować... Prefekt. Nie oddzwonił do niego!

⊕ V ⊕

- Nie oddzwoniłeś?

- Nie.

- Czyli nie rozmawiał z tobą? Nie można cię było znaleźć przez cały dzień? - nalegała Anna Giulietti.

- Byłem zajęty.

- Życzę ci, żeby to była jedna z tych ważnych spraw. Był wściekły. Wiesz, co mi powiedział, kiedy na mnie wpadł w korytarzu koło siedemnastej?

- Wyobrażam sobie.

- Nie wyobrażasz sobie! Wiesz, co mi powiedział? „Za kogo uważa się ten cały Ferrara? Bez przerwy wyłazi przed szereg, a to jest instytucja, gdzie ma panować duch współpracy, dyscyplina! Powinni zrobić go szefem jednostki stacjonarnej, stacjonarnej, rozumie pani? Ale ja go zatrzymam, kiedyś go zatrzymam i przygwożdżę jak Chrystusa na krzyżu”. Dosłownie, tak powiedział przecinek mniej, przecinek więcej i wulgaryzmy, których ci nie powtórzę - stwierdziła pani prokurator trochę z niepokojem, a trochę z rozbawieniem, tonem, który poza godzinami pracy zawsze był wobec niego przychylny, a nawet przyjazny.

Właśnie minęła dwudziesta pierwsza i taras domu państwa Ferrara skąpany był jeszcze w poświacie zachodzącego słońca, które złociło liście bugenwilli rosnącej przy pergoli, pod którą co wieczór małżonkowie jedli kolację. Wróciwszy do domu, komisarz natychmiast zauważył gotowe na jutrzejszy dzień dwie torby z brązowej skóry i prawie się ucieszył. Perspektywa relaksującego weekendu w towarzystwie Petry i Massima kompensowała trudy tego niezwykłego dnia. Jego zmęczenie musiało być dobrze widoczne, bo Petra, zanim go objęła, zapytała:

- A co dzisiaj robił mój komisarz? - Było to pytanie, które zawsze zadawała, widząc go w takim stanie.

Telefon zadzwonił, kiedy z roztargnieniem podnosił do ust kawałek fileta z miecznika, a żona opowiadała mu o swoich peregrynacjach po mieście w poszukiwaniu ulubionego dezodorantu i opisywała mu kostium kąpielowy, którego nie mogła nie kupić. Anna Giuletta zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, jak mu poszło z Riccardem Leprim.

- Był u was? - zdziwił się Ferrara, bo prefekt nieczęsto zachodził do prokuratury.

- Miał osobiste spotkanie z Gallem, który go grzecznie wezwał. NSW. Niezidentyfikowane sprawy wagi państwowej, mój drogi. A ty co zamierzasz?

- Pójdę do niego, ale dopiero w poniedziałek. Jutro nie mogę, mam ważną sprawę, z której nie mogę zrezygnować.

Petra zaaprobowwała skinieniem głowy.

- Może lepiej udawałbyś jakąś chorobę albo weź urlop, to mu przejdzie. Wiesz, o co mu chodziło?

- Poza tym, że byłem niegrzeczny, bo do niego nie oddzwoniłem? Nie mam najmniejszego pojęcia, uwierz mi.

- Daj mi znać, jak się dowiesz.

- Babska ciekawość, co?

- Ja bym to nazwała troską o przyjaciela, Michele.

- Byłem już w gorszych opałach, bądź spokojna.

- To w takim razie zaspokoisz moją ciekawość, OK?

- Obiecuję, cześć.

- Cześć.



- To była Anna, prawda?

- Tak.

- W stosunku do kogo byłeś niegrzeczny?

- W stosunku do prefekta.

- Tego się spodziewałam, i to jest to, co tak cię dręczy?

- Aż tak to widać?

- *Ich sehe das*, Michele, ja to widzę, czy kiedykolwiek nie widziałam?

- Masz rację, ale to nie to. Z Leprim bardzo często mamy spięcia, ale potem wszystko wraca do normy. W głębi serca to zgodny człowiek, dopóki to mu odpowiada, a ponadto woli nie robić sobie wrogów.

- Więc o co chodzi?

Ferrara miał już ochotę opowiedzieć jej o dziewczynce. Wrażliwość kobieca, drażliwość jego ukochanej Petry, która miała takie same zielone oczy, jakie sobie wyobraził u tamtej biedaczki, widząc jej zdjęcie, i identyczne włosy w kolorze popielatego blondu, mogłyby pomóc mu widzieć rzeczy, o których on, mężczyzna z południa, nigdy by nie pomyślał, ale ustanowili cichą regułę, że w domu nie będą rozmawiać o jego pracy, i wolał tej reguły przestrzegać. Pytanie żony było spontaniczną ofertą pomocy i świadectwem jej miłości do niego. Zrozumiał, i to mu wystarczyło.

- Może lepiej pokaż mi ten szalowy kostium! - powiedział, uśmiechając się.

- Nie, nie, nie - zaczęła się droczyć. - Już jest w torbie i będziesz miał kłopoty, jeżeli narobisz w niej bałaganu!

- Powiedz chociaż, jakiego jest koloru - nalegał, nalewając im po pół lampki tokaju z Friuli, który tak lubili. Pachniał owocami i białymi kwiatami i miał lekki posmak gorzkich migdałów.

- Zielony z niebieskim paskiem - odpowiedziała rozradowana.

Przypomniała mu coś, co początkowo mu umknęło.

- Jak tamten?! - zawołał.

- Taki sam, identyczny!

Minęło ponad trzydzieści lat.

On i Massimo Verga, nierozłączni przyjaciele, latem na Lampedusie, na tej wyspie ze snów, gdzie spędzali wakacje pod namiotem. Wyspa Królików na morzu z krystalicznie przejrzystą, w bajecznych kolorach wodą. Wracały

wspomnienia i wilgotniały oczy. Petra była piękna, wysoka jak nieosiągalna bogini, wesoła, dowcipna i pełna życia. To oczy, nie usta, nie długie szczupłe nogi ani piękne piersi sprawiły, że stracił dla niej głowę. To jej głos. Szalał za jej głosem trochę chropawym i namiętym, którym kaleczyła sycylijski dialekt. Za każdym razem, kiedy coś powiedziała, wpadał w ekstazę, śmiał się i zachwycał. To było paskudne, okrutne lato, bo w miłosnym zapamiętaniu nie zauważyli ognia, który tlił się pośród popiołów ich rodzącej się miłości. Ferrara zdał sobie z tego sprawę, kiedy pewnego dnia wyszedł z namiotu i pobiegł do Massima, który był na plaży. Zdyszany i pijany szczęściem zobaczył pełne nienawiści spojrzenie przyjaciela, lecz powstrzymał słowa, które cisnęły mu się na usta. Potem siedząc przy ognisku, w którym piekli ziemniaki i mątwy wielkie jak befsztyki, nikt nie wypowiedział ani słowa. To wtedy Petra zrozumiała, co się stało, zaskoczona poczuciem winy, choć nie była winna. Tylko że było już za późno.

To Massimo ich ze sobą poznał, Massimo kochał ich oboje, ale troje to zbyt dużo, więc kiedy zrozumiał, że jest tym trzecim, zniknął, gdy tylko wrócili do Katanii. Zniknął na dobre i musiało upłynąć wiele lat, zanim Ferrara spotkał go ponownie we Florencji.

- Cieszę się na spotkanie z Massimem, wiesz? - stwierdził komisarz, przerywając potok wspomnień.

- I komu ty to mówisz. Praktycznie zniknął, odkąd zamieszkał w Marina di Pietrasanta. To do niego niepodobne.

- *Cherchez la femme.*

- Tego właśnie się obawiam!

Massimo Verga, którego Petra nazywała niekiedy **TOMBEUR**, był zatwardziałym kawalerem. Może dlatego, że nigdy nie spotkał kobiety, która byłaby w stanie dorównać Petrze, albo był to wrodzony stan ducha, bo wciąż nagle się zakochiwał, nagle, lecz na bardzo krótko. Miłosne przygody przyjaciela bawiły Michele, ale martwiły Petrę, która widziała, jak Massimo starzeje się bez towarzyszkę życia, i obawiała się, że prędzej czy później

wpadnie w jakieś kłopoty o wiele poważniejsze niż marnotrawienie rodzinnej fortuny już i tak mocno naruszonej.

- Założę się, że jutro poznamy jego tajemnicę - powiedział z uśmiechem Ferrara.

Ale przeznaczenie na to nie pozwoliło.

Znów zadzwonił telefon.



- To znowu ja.

- Anna?

- Przepraszam, że przeszkadzam, Michele, ale to pilne. Chodzi o sprawę z prefektem i o tę zmarłą z Ospedale Nuovo.

- Mówisz o tej dziewczynce?

- Mnie powiedziano, że to prostytutka.

Plotki roznosiły się szybko, szczególnie te niedobre.

- Kto?

- Nie mogę ci powiedzieć, musimy się spotkać.

- W poniedziałek?

- Nie mogę. Cały dzień będę zajęta, mam przesłuchania u sędziego w sprawie śledztw wstępnych, potem zebranie z kolegami. We wtorek też mam piekielny dzień.

- Czyli?

- Pozostaje tylko jutro. Wiem, że masz co innego w planie, ale...

- Jutro? - powtórzył zaniepokojony, patrząc na Petrę, która spojrzała na niego z przyganą.

- W sobotę nie mam przesłuchań, ale rano muszę pojechać do Perugii. Wracam do biura po południu. Dałbyś radę koło trzeciej?

To było jeszcze gorsze. Ferrara tracił weekend, ale zrozumiał, że zastępca prokuratora robi dla niego wyjątek i nie mógł tego odrzucić. Tym bardziej że, jak się wydawało, chodziło o śledztwo dotyczące dziewczyny, śledztwo, które coraz bardziej go wciągało.

- W takim razie jutro o trzeciej - potwierdził, spoglądając skruszonym

wzrokiem na żonę.

Petra z zalem skinęła głową na znak zgody.



Północ.

Petra cicho rozpakowała torby, powkładała do szaf bieliznę, odłożyła kostium kąpielowy jeszcze w opakowaniu celofanowym, sandały postawiła w szafce na buty, kosmetyki ułożyła w łazience. Idąc do łóżka, pożegnała go długim i namiętym pocałunkiem, który Ferrara wciąż czuł, kiedy usiłował pozbyć się napięcia, spacerując między tarasem a salonem. Noc była rozgwieżdżona, z ulicy dochodziły odgłosy spacerujących, Ponte Vecchio odbijał echem śmiech, może i niewinny, ale jemu wydał się złośliwy. Ukrył się w salonie. Było to duże pomieszczenie podzielone na dwie części. Z jednej strony stały sofy, fotele i wielkie biurko, przy którym często spędzał noce, pracując, z drugiej stał osiemnastowieczny, wąski i długi stół, który mógł służyć za dodatkowe miejsce pracy albo miejsce do spożywania posiłków, kiedy pogoda nie pozwalała, by czynić to na tarasie. Wokół stołu na ścianach wisały obrazy różnej natury i pochodzenia - kilka niemieckich od jej rodziny, inne zabrali z jego domu rodzinnego. Były też takie, które gromadzili razem podczas wielu lat wspólnego życia. Umeblowanie dopełniały przeróżne stoliki poustawiane w obu częściach salonu, zastawione zdjęciami w ramkach, to była jedna z pasji Petry. Zdjęcia przedstawiały ich dwoje, rodzinę i przyjaciół. Petra dokonując wyboru fotografii, z iście teutońskim uporem i zacięciem starała się, jak to mu w żartach mówiła, znaleźć najlepsze ujęcie, żeby odzwierciedlało ducha czasu. Były tam stare, czarno-białe fotografie, ale też nowsze, kolorowe. Ferrara miał już imponujące archiwum zdjęć elektronicznych, ale od czasu do czasu lubił rzucić okiem na te fragmenty ich historii.

Tej nocy też to robił. Jego wzrok zatrzymał się na jednym ze zdjęć, które przedstawiało Petrę z czasów dzieciństwa. Mogła mieć osiem albo dziewięć lat. Była drobniutka, nosiła bawełniane, zbyt obszerne ubranie, jej szczupłe nogi wystawały spod spódniczki, a na głowie miała dwa warkoczyki. Było to

kolorowe zdjęcie, trochę już wyblakłe, i Ferrara zauważył chyba po raz pierwszy świadomie pierścionek, który dziewczynka nosiła na jednym z palców pulchnych rączek. Był z tombaku, ozdobiony fałszywym ametystem.



⊕ VI ⊕

- A ty, Kocie, nigdy nie wyjeżdżasz na wakacje?

Szef wydziału technicznego, Gianni Fuschi, żartował sobie, używając przezwiska, które zostało nadane Ferrarze wiele lat wcześniej przez pewną dziennikarkę z „Tirreno”, którą zachwyciły jego zielonoorzechowe kocie oczy, miękkie, ostrożne ruchy, sprawiające wrażenie, jakby zawsze był gotowy do ataku. Przezwisko to zostało natychmiast podchwyczone przez innych dziennikarzy, którzy używali go w tonie krytyczno-prześmiewczym albo prowokacyjnym zawsze, kiedy tylko mieli ku temu okazję. Doskonale było też znane jego współpracownikom, którzy jednak nie odważyliby się go użyć w obecności komisarza, ale posługiwali się nim często w rozmowach między sobą - czasami w tonie bezwarunkowego uwielbienia, czasami żartobliwie. Zależało to od sukcesów, jakie przynosiły różne dochodzenia, albo od zadania, jakie im powierzono, a nieraz też po prostu od humoru szefa. Mniej więcej wszyscy oprócz Fantiego.

W ten sobotni poranek w tonie Gianniego Fuschiego, który przyjął komisarza w swoim biurze z bardzo nieufną miną, nie było nic zabawnego.

- Ty też nigdy nie wyjeżdżasz - odparował szef wydziału śledczego.

- A jakim cudem miałbym gdzieś wyjechać, kiedy każecie mi zbierać przeróżne śmieci i zawalacie mi laboratorium puszkami, niedopałkami i butelkami? Możesz mi powiedzieć, po co badamy wszystkie te rzeczy, jedną po drugiej? Chodzi o ślinę, odciski palców? - zapytał niepokieszony. - I po co to? Krążą słuchy, które, jak wiesz, zawsze wiedzą wszystko najlepiej, że nie ma nawet podejrzenia popełnienia przestępstwa, chodzi tylko o postępowanie w stosunku do nieznanymi sprawców. Czy tak?

- W pewnym sensie tak - przyznał Ferrara.

- Powiedz, że żartujesz, bo już nigdy nie powiem ci dzień dobry.

- Jest coś dziwnego w tej historii. Coś paskudnego, może nawet bardzo paskudnego. Gianni, musisz mi pomóc.

- Coś dziwnego? I to ma mi wystarczyć? Czwartego sierpnia, kiedy mam uświęcone prawo do wolnego? I co? Będziesz odwoływał się do moich uczuć?

- Masz rację. Zróbmy tak, daj spokój ze „śmieciami” i zbadaj to - powiedziała, podając mu torbę.

- Co to jest?

- Rzeczy osobiste dziewczynki ze szpitala. Skoncentruj się przede wszystkim na dżinsach i zobacz, czy nie ma po wewnętrznej stronie tkaniny śladów krwi. Chodzi szczególnie o okolice miejsc intymnych.

- Wewnątrz? Bo co? Nie miała majtek? - zapytał z grymasem Fuschi.

- Ja przynajmniej nigdzie ich nie znalazłem, a pielęgniarka ze szpitala powiedziała mi, że kiedy ją do nich przywieziono, uda po wewnętrznej stronie miała pobrudzone krwią, czyli nic prostszego, spodnie powinny były ją wchłonać.

- Dobrze, ale do czego jest ci to potrzebne?

- To ważne, uwierz mi, potrzebujemy tego, żeby upewnić się w hipotezie, która wynikła z autopsji.

- Czyli?

- Chodzi o to, że mogła zostać zgwałcona. Szczególnie jeżeli z badań histopatologicznych wyniknie, że nie miała okresu, i jeżeli znajdziemy krew na jej spodniach.

- Mogła, jeżeli, gdyby - stwierdził sceptycznie technik.

- Cóż chcesz? Na tym właśnie polega nasza praca, sam wiesz, hipotezy, weryfikacje, sprawdzanie na bieżąco na podstawie rezultatów, jeżeli to konieczne... Praca także polegająca na intuicji i cierpliwości, poza twoimi cennymi możliwościami badawczymi, niestety, nawet jeżeli te „mogła, jeżeli, gdyby” znalazły potwierdzenie, drogi Gianni, nie będziemy mogli nawet

wyciągnąć wniosków, że została zamordowana czy zgwałcona, ale będziemy tego bardzo bliscy.

- W tym przypadku i tak będę potem musiał badać te śmieci, tyle że wiem przynajmniej dlaczego, a to już coś znaczy.

- Dla ciebie może nic nie znaczy, ale dla mnie tak, bo nadal będziesz mi mówił dzień dobry.

- Idź już.

- Cześć, ale daj znać, nawet do domu albo na komórkę, to pilne.

- Żegnaj!

- Na razie!



Przybył do prokuratury cztery minuty przed trzecią. Kiedy zapukał do drzwi Anny Giuliatti, usłyszał:

- Proszę wejść, komisarzu. - Przyjęła go tonem formalnym, jakiego używała w pracy.

Kiedy, zostawszy przyjaciółmi, przeszli na ty, nalegała, żeby ich przyjacielskie stosunki ograniczały się jedynie do spotkań poza biurem, twierdząc, że nie mogliby się konfrontować na gruncie zawodowym jak należy, bo czynnik przyjaźni komplikowałby im służbowy układ. I nie było to tylko udawanie dla pozorów w obecności innych, ale profesjonalna zasada zachowania, której należało przestrzegać w każdym przypadku. Przyjaciele na zewnątrz, koledzy owszem, ale jeżeli trzeba wrogowie wewnątrz instytucji, tak jak tego wymagały ich role zawodowe.

Ferrarze ten pomysł początkowo wydał się iście schizofreniczny, był pewien, że to przetrwa może jeden dzień, ale zaczął się przyzwyczajać, nie zawsze szło mu to tak dobrze jak jej, ale ważne, że naprawdę działało!

- Dzień dobry pani - pozdrowił ją, siadając przed imponującym biurkiem z drewna orzechowego, o delikatnie zaokrąglonych kształtach, ozdobionym eleganckimi ornamentami w kształcie litery Z. Był to cenny mebel art nouveau, który zaprojektował van de Velde, sama mu z dumą o tym powiedziała za pierwszym razem, kiedy je zauważył. Odziedziczyła je po

dziadku notariuszu. Starła się uczynić swoje biuro mniej anonimowym, staranie to podkreśliła jeszcze wielokolorowym bukietem gladioli i łubinu w kryształowym wazonie na parapecie okna.

- Kwiaty od adoratora czy próba przekupstwa? - zapytał.

- Proszę nie żartować, komisarzy Ferrara, wie pan doskonale, że moje życie prywatne to praktycznie praca. To kwiaty od kwiaciarza z dołu, wymienione na brzęczącą gotówkę.

W jej słowach nie było cienia smutku, a przecież mówiły o samotności, która mogłaby być niezrozumiała u tak pięknej, bogatej i młodej kobiety należącej do starej i sławnej florenckiej rodziny. Kiedyś opowiedziała mu, jak całkowicie oddała się swojej pracy dającej jej wielką satysfakcję, której pragnęła.

- Wróćmy do tematu - powiedziała.

- Dobrze, Anno.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Podzwoniłam dyskretnie tu i tam wczoraj wieczorem i wiem wszystko, komisarzy Ferrara - ciągnęła, uważając, by podkreślić słowo „komisarzu”.

- Proszę mi wybaczyć. Tak czy siak, jest pani w lepszej sytuacji, bo ja im bardziej się posuwam do przodu, tym wiem mniej. Ile z tego, co się pani dowiedziało, może mi pani powiedzieć?

- Dostatecznie dużo, ale najpierw muszę zadać panu kilka pytań.

- Jestem do dyspozycji.

- Jak pan wie, zostałam oddelegowana do śledztwa dotyczącego młodej prostytutki, która zmarła w czwartek drugiego sierpnia w Ospedale Nuovo. Tym śledztwem zajął się pan z wielkim oddaniem.

Komisarz ograniczył się do przytaknięcia. Znów mówiła o dziewczynie jako o prostytutce.

- Może mi pan powiedzieć, do czego pan doszedł?

- W kilku słowach, pani prokurator. Jestem jeszcze w lesie. Ta zmarła to była dziewczynka, prawie dziecko, i to jest fakt, którego nie wolno nam

przeoczyć.

- Co? Nikt mi o tym nie powiedział. Ile dokładnie miała lat?

- Dokładnie nie wiadomo, ale raczej pomiędzy trzynaście a piętnaście, szesnaście to maksimum.

Zastępca prokuratora zdenerwowała się, ale nie było jasne na kogo.

- Nie udało nam się jeszcze jej zidentyfikować - ciągnął Ferrara - co każe myśleć, że chodzi o nielegalną imigrantkę. Czy rzeczywiście była prostytutką, jeszcze nie ustaliliśmy. Przyczyną śmierci, niemal pewną, było przedawkowanie heroiny, ale okoliczności przyjęcia narkotyku trzeba jeszcze ustalić.

- I dlatego wpisał pan w raporcie zabójstwo jako wynik udostępnienia narkotyku na podstawie artykułu 586 kodeksu karnego?

- Wstępnie tak. Prześlę wszelkie możliwe tropy, ale jest jasne, że ślad związany z zabójstwem w tym momencie jest najważniejszy. Lekarz sądowy i technicy badają elementy, które mogłyby wykazać, że dziewczyna została zgwałcona, a może i zabita.

- Zgwałcona? prostytutka? Jest to możliwe oczywiście, ale mam nadzieję, że nie fantazjuje pan za bardzo, komisarzu, ale powiedzmy, że rozumiem pański upór, jeżeli ta biedaczka naprawdę była tak młoda, nawet gdyby okazało się, że nie była obywatelką włoską. Rozumiem i podzielam pana zdanie. Tak jak doceniam inicjatywę na różnych polach, które pan przedsięwziął, i proszę liczyć na całkowite poparcie prokuratury. Jednak nie jest dla nas jasne, co w tym wszystkim ma do czynienia szpital?

To „nas” nie przeszło niezauważone.

- W jakim sensie? - zapytał.

Prokurator Giulietti otworzyła zieloną, tekturową teczkę, którą miała przed sobą, i wyjęła z niej podanie o zgodę na wydanie szpitalnej karty informacyjnej dziewczyny, podpisane przez Violantego.

- To chyba jest przyczyna skandalu, przynajmniej po części. Teraz, jak rozumiem, należy ustalić, kim była ta dziewczyna, skąd pochodzi, dlaczego

skończyła tam, gdzie skończyła, i czy są osoby odpowiedzialne za to. Tak?

- Tak, oczywiście, ale karta może zawierać cenne informacje.

- Na temat przebiegu hospitalizacji, ale to, co doprowadziło do jej śmierci, zdarzyło się wcześniej. Kiedy przybyła do szpitala, była już po przedawkowaniu, a od przedawkowania zmarła, sam pan to potwierdza.

- Niech pani posłucha, pani prokurator. Analizy wykonane zaraz po przewiezieniu do szpitala mogą nam wiele powiedzieć.

- Nie wystarczy panu to, co powiedział profesor D'Incisa? Nie może pan poprosić o konkretne wyniki, jeśli są potrzebne?

- Skąd pani wie, że się z nim widziałem? - zapytał poruszony, zrozumiałwszy w tym momencie, skąd się wzięło określenie dziewczyny jako prostytutki.

„Bo chodziło o kurwę!” - zawołał profesor D'Incisa w czasie autopsji. Ordynator poskarżył się i protest dotarł aż do Galla, prokuratora głównego, czyli szefa Anny. To z nim spotkał się Galio, zanim poskarżył się na niego do Anny Giulietti...

Odpowiedziała mu rozbawionym spojrzeniem oczu w kolorze kwiatów barwinka.

- Poszukałam trochę, już to mówiłam, ale pan nie mówi mi wszystkiego, prawda?

- Inspektor, który początkowo prowadził sprawę, miał wrażenie, że szpital zupełnie nie zajmował się pacjentką. Jego wrażenie potwierdziło moje spotkanie z ordynatorem - powiedział.

- Tak podejrzewałam. Błąd medyczny? I uważacie, że są podstawy, by wszcząć śledztwo?

- Nie - musiał przyznać - to są tylko wrażenia, już mówiłem, ale może gdybyśmy mieli kartę informacyjną, jak doszło do przedawkowania, odkrylibyśmy także...

Westchnęła.

- To dwie różne sprawy, komisarzu Ferrara, zgadza się pan?

- Tak, pani prokurator.

- I o ile pierwsza nie interesuje nikogo poza panem i mną, o tyle druga już wywołała awanturę.

- Nie rozumiem.

- Czyli nie rozumie pan, dlaczego prefekt był taki wściekły?

- Bo poszedłem do Ospedale Nuovo?

- To była iskra rzucona na proch. Kto jest w szpitalu?

- Profesor d'Incisa?

- Też, ale nie tylko. Doktorzy, profesorowie, ordynatorowie, chirurdzy, lekarze.

- I co z tego?

- Niech pan nie udaje! Nie rozumie pan? Nic panu nie mówią Dzieci Wdowy?

Nieruchome spojrzenie szefa wydziału śledczego było wystarczająco wymowne.

- Na jakim świecie pan żyje, komisarzu? Zielony Wąż. Masoneria! Niech pan mi nie mówi, że nie wie pan, że lekarz, szczególnie we Florencji, praktycznie nie może zrobić kariery, jeżeli nie wstąpi do loży, oficjalnie czy też nieoficjalnie!

Może przesadzała, ale było w tym wiele prawdy. Wszyscy wiedzieli, że w środowiskach medycznych masoneria była bardzo silna, zresztą nie tylko tam. Także więzy braterstwa pomiędzy adeptami narzucały solidarność braci, którzy w tajemnicy wspierali się, kiedy trzeba było chronić dobre imię wolnomularstwa przed resztą społeczeństwa.

Stwierdzenie Anny Giulietti otwierało trudny rozdział w śledztwie. Na dobre czy na złe, masoneria była jedną z „władz”. Przeżywała sporadyczne prześladowania, wykazując siłę, potęgę i upór, by stawić czoło każdemu rządowi, który z zasady był przejściowy. Był to twór niejasny, ale z tego, co było wiadomo, niebezpieczny tylko w swoich aspektach dewiantnych. Oficjalnie cieszyła się wielkim szacunkiem. Jeżeli była to prawda, to w

długiej historii w szeregach tej organizacji były bardzo ważne osobistości świata polityki, wojska, artyści i ludzie kultury, w tym Garibaldi, Washington, La Fayette, Beethoven i Giosue Carducci, wymieniając tylko kilku przypadkowych.

- To znaczy, że Lepri? - rzucił, zastanowiwszy się nerwowo.

- Ferrara, co pan mówi? Nadal udaje pan głupca? Prefekt może być masonem, może nie być, to nie ma znaczenia, wystarczy, że ci, którzy liczą się w środowisku, zaczną odpowiednio naciskać, a te naciski dotrą do Lepriego, do Galla, do każdego, czy są w Bractwie, czy nie.

- Do pani także?

Uśmiechnęła się tajemniczo

- Czy to ma znaczenie? - zapytała. - Ja to tak widzę, robię panu przysługę. Wiadomość jest taka, że ma nie być śledztwa w środowisku lekarskim. Pan, jak ustaliliśmy, ma dwa różne śledztwa i zabranie się za drugie może zaszkodzić pierwszemu. Mam podstawy sądzić, że jeżeli zawieszę wykonanie tej prośby o nakaz - powiedziała, wskazując palcem na dokument Violantego - będzie mógł pan spokojnie prowadzić swoje śledztwo prowadzące do odkrycia przyczyny śmierci tej imigrantki.

Istnieje łoża kobieca? Ferrara się zastanawiał, starając się bezskutecznie zrozumieć, czy zachowanie Anny Giulietti, „żelaznego prokuratora”, jak ją nazywano, mimo blond włosów i błękitnych oczu, było szantażem czy bezinteresowną pomocą. jeżeli taka łoża istniała, to ta kobieta ze swoim pochodzeniem miała wszelkie podstawy, by do niej należeć.

- Rozumiem - wymruczał.

- To dobrze, ale jeszcze nie skończyłam.

- Proszę mówić, pani prokurator.

- Jeżeli z pierwszego śledztwa miałyby wyłonić się jakieś sprawy finansowe, finansowe, rozumiemy się? I jeżeli chodziłoby o ewentualną odpowiedzialność któregośkolwiek z lekarzy czy pielęgniarek z Ospedale Nuovo w sprawie śmierci pacjentki, będzie pan musiał robić, co do pana

należy. W takim wypadku z radością dam panu zezwolenie.

Było jeszcze wcześniej, kiedy wyszedł z prokuratury i wrócił do biura.

W linii działania, którą wybrała Giulietti, nie wszystko było jasne, ale ślad dotyczący masonerii, z tego, co mu się narzucało, mógł być śladem nie do pogardzenia. Oczywiście trzeba było działać bardzo dyskretnie, bo ryzykował, że zburzy cichy pakt zawarty z zastępcą prokuratora. Był to typ operacji, który wymagał współpracy nieodzownego Fantiego, którego wezwał.

- Na rozkaz, komisarzu - powiedział nadinspektor, zanim jeszcze wszedł do pokoju szefa.

- Musisz mi zdobyć listy oficjalnych członków masonerii florenckiej i te nieoficjalne też, jeżeli dasz radę.

Fanti spojrzał na niego zaskoczony.

- I nie stój tu jak zaklęty! Czy nie wyraziłem się jasno?

- Bardzo jasno, szefie, ale...

- Ale co?

- Gdzie ja mam szukać tych list?

- Przede wszystkim w DIGOS, oni interesują się takimi sprawami.

- A jeżeli ich nie mają?

- Nie zachowuj się jak dziecko, spróbuj w internecie, idź do księgarni i kup mi wszystkie książki, jakie znajdziesz na temat masonerii florenckiej, załatw to tak jak zawsze, ale z taktem, to bardzo ważne. To śledztwo jest ściśle tajne.

Fanti już wybiegał z pokoju, kiedy komisarz zawołał go raz jeszcze.

- Nie idź jednak do księgarni, książki kupię sobie sam - powiedział, nie będąc pewnym, czy sekretarz zdoła znaleźć wszystkie dostępne we Florencji.

Miał zadzwonić do Petry, aby zaproponować jej wyjście na kolację do Palmenti, restauracji w miasteczku Montelupo Fiorentino, której kuchnię doceniali oboje, kiedy wszedł nadinspektor z zasmuconą miną.

- Co się stało? - zapytał.

- Szefie, w DIGOS mają te listy, ale...

- Ale co?

- Chcą pisemne podanie, inaczej nie wypuszczą żadnego dokumentu z biura.

- Wydaje mi się to logiczne, Fanti, wyślij im je.

- Podanie ma być podpisane przez pana osobiście, przez nikogo innego, tak mi powiedzieli.

A to znaczyło, żegnaj dyskrecjo.

- Zrozumiałem, zostaw to mnie.

- Idę przeszukać internet.

- Nie, nie rób sobie kłopotu.

Przyszedł mu do głowy inny pomysł.

- Jest pan pewien, szefie?

- Całkowicie, idź już.

Fanti wyszedł powoli i było mu przykro, ale komisarz szukał już numeru prywatnego telefonu do zastępcy prokuratora w Bolonii, Raffaella Petriniego, który kilka lat temu bardzo mu pomógł przyspieszyć śledztwo przeciw pewnemu zamkniętemu środowisku o nazwie Massoneria Deviata, dając mu możliwość dotarcia do filarów różnych bractw, gdzie zarekwirovano robiący wrażenie stos dokumentów. Poznał go, kiedy razem pracowali w Reggio di Calabria. Zawsze darzyli się wzajemnym szacunkiem.

Zastępca prokuratora zgodził się mu pomóc z zaangażowaniem, jakiego oczekiwał, i obiecał przesłać mu faksem prowadzone na bieżąco dokumenty dotyczące łóż florenckich.

Zakończył rozmowę telefoniczną i wreszcie zadzwonił do Petry. Uzgodnili, że pójdą do Palmenti.

- Robisz to po to, żebym ci wybaczyła? - zapytała.

- Nie - skłamał - chcę oszczędzić ci trudu przygotowania kolacji.

- Dzwoniłeś do Massima, żeby go przeprosić?

- Nie, jeszcze nie.

- Dobrze, że ja o tym pomyślałam. Było mu bardzo przykro także dlatego, że dwoił się i troił, żeby zdobyć stolik u Romano w Viareggio, ale powiedział, że nie zmarnuje rezerwacji i pójdzie z kimś innym.

- Znając go, wiemy z kim.

- Taak - stwierdziła nie bardzo ucieszona - tak czy tak, zadzwoń do niego, proszę.

- Bądź spokojna.

- Zrób to. Ja zamówię stolik w Palmenti. Może być na dziewiątą?

- Doskonale.



Nie udało mu się porozmawiać z przyjacielem. Najpierw telefon był zajęty, potem usłyszał dźwięk nadchodzącego faksu w biurze Fantiego i wsłuchiwał się w ten dźwięk z prawie religijnym skupieniem, tak jakby uszy mogły czytać. Po czasie, który wydał mu się rokiem świetlnym, pojawił się nadinspektor z plikiem kartek. Dotyczyły wyłącznie Florencji!

- Tu są listy, szefie - powiedział Fanti trochę pocieszony, choć zdawał sobie sprawę, że nie była to jego zasługa.

- Dziękuję, jesteście wielki!

Dokument zatytułowany „Loże Florencji” opisywał historię i geografię stowarzyszenia działającego w stolicy Toskanii wraz z kompletnymi listami nazwisk członków przeróżnych łóż. Wiele z tych nazwisk było poprzedzonych tytułami doktora i były to tytuły sugerujące osobę z wykształceniem medycznym, ale nie tylko, byli również adwokaci, architekci, inżynierowie. Nawet nie był specjalnie zaskoczony, że wśród nich zobaczył nazwisko Ludovica D’Incisy, i poczuł się lżej, nie widząc po pierwszym pobieżnym przeczuciu kartek, bo było ich zbyt wiele, nazwiska Anny Giulietti ani Riccarda Lepriego czy prokuratora Galla. Zamknął więc skoroszyt, obiecując sobie, że papiery przejrzy w spokoju później, już w domu, i włożył je do teczki.



Montelupo Fiorentino, miasteczko znane z wyrobu ceramiki, leżało kilka

kilometrów od Florencji. Państwo Ferrara pojechali tam starym samochodem, niezniszczalnym mercedesem, z którego komisarz nie umiał zrezygnować.

Restauracja urządzona w starym, pięknie odnowionym młynie miała wspaniałą salę doskonale zadbaną przez obecnych właścicieli, państwa Palmentich, stała się dla nich zwyczajowym miejscem wypadów. Można tam było zjeść poza tradycyjnymi daniami kuchni toskańskiej, którą uwielbiała Petra, także doskonałe ryby, które przypominały Ferrarze niezapomniany zapach Morza Tyrreńskiego i przede wszystkim jego ukochaną Sycylię.

Tego wieczoru właściciel z dumą zaproponował im morlesza³, rzadką rybę głębinową, którą można złowić tylko w tym okresie w pobliżu wysp Elby i Capri. Mięso tej ryby delikatne, ale zwarte było naprawdę doskonałe, a wino, które do tego podano, doskonałe Fior d'uva z Costa d'Amalfi o wyjątkowym smaku, podkreślało walory ryby.



- Nigdy nie jadłem czegoś równie dobrego - stwierdził komisarz, kiedy nieomal w religijnym skupieniu zjadł rybę do ostatniego kęsa.

- Założę się, że nawet Massimo u swojego Romano nie je równie dobrze - dodała Petra ucieszona, że mąż jest wreszcie rozluźniony i zadowolony. - A propos, i co powiedział?

- Nie zastałem go - wytłumaczył się wyraźnie zakłopotany. Miał całe popołudnie, żeby zadzwonić ponownie.

- *Ach Du lieber Gott!* - zawołała żona po niemiecku, co często robiła, by wyrazić dezaprobatę lub zachwyt. - Michele! Tak się nie robi!

- Zadzwonię do niego jutro, teraz chyba nie wypada, jak sądzisz? - powiedział, puszczając do niej oko.

Jej jednak nie spodobało się to trochę zbyt jowialne mrugnięcie. Czuła się winna wobec ich przyjaciela i zażenowana lekkomyślnością męża. Kochała Włochy, kraj, który ją zaadoptował, ale nie zawsze podobał jej się ten brak manier, podejście tak różne od niemieckich reguł, które w rzeczach ważnych bardzo ceniła u swojego Michele. Tym bardziej była zakłopotana brakiem sumienności wobec najbliższego przyjaciela. Oczywiście, rozumiała, że mąż

przeżywa trudne chwile, bo widziała, że jest bardziej zestresowany niż zazwyczaj, co ją martwiło, ale dla niej przyjaźń to była rzecz święta. Dla niego także, jednak on tłumił wyrzuty sumienia w ciszy ciężkiej od wyrzutów żony. Dźwięk telefonu wybawił go z zakłopotania.

- To on! - zawołała ucieszona Petra.

Nie był to jednak prywatny telefon, ale służbowy.

- To ja, Gianni.

- O tej porze?

- Przeszkadzam? Przepraszam, taki jeden cholerny komisarz każe mi wyrabiać nadgodziny. Więc pracuję.

- O co chodzi? Ja też pracuję - skłamał Ferrara, patrząc spod oka na Petrę, która ponad wszystko nie znosiła kłamstw.

- Więc słuchaj, bo nie są to dobre wiadomości.

- Rozumiem, niczego nie znalazłeś - odparł lakonicznie, czując, jak przygniata go zmęczenie kolejnego bezowocnego dnia.

- Nie, nie zrozumiałeś. Plamy krwi, i to jakie, i nie tylko to. Także ślady, przejrzyste i jasne typu grudkowatego, w sumie prawie na pewno sperma.

- Doskonale, Gianni! - zawołał Ferrara, nie mogąc się powstrzymać.

- Tak, dla ciebie, ale ja muszę wracać do pracy. Jeżeli chodzi o spodnie, to tyle.

- Dlaczego?

- Bo żeby kontynuować analizy, musiałbym mieć zezwolenie zastępy prokuratora. Badanie mogłoby zniszczyć tkanki i byłoby to nieodwracalne. Muszę postępować zgodnie z prawem. Kogoś podejrzewacie, jeżeli mogę wiedzieć?

To była prawda. W razie analiz technicznych niemożliwych do powtórzenia dotyczących osób, rzeczy lub miejsc, w których może dojść do nieodwracalnych zmian w próbkach, ministerstwo musi natychmiast poinformować osobę, wobec której toczy się śledztwo, osobę, której dotyczy przestępstwo, oraz obrońców, podając dzień, datę i miejsce, gdzie odbędzie

się badanie próbek, i pozwolić wezwać własnych konsultantów technicznych, którzy mają prawo asystować przy badaniach i formułować własne wnioski.

- Jeszcze nikogo, Gianni - przyznał Ferrara, zdając sobie sprawę, że będzie musiał znowu odwołać się do Anny Giuliotti, która z tą sugestią masonerii trochę go skonfundowała. - Tak, masz rację, ale sprawy takie jak te mogą być prowadzone także bez obecności osób, wobec których toczy się śledztwo.

- W takim razie rozmawiaj z zastępcą prokuratora i daj znać. Materiał zostanie tu do twojej dyspozycji

- Dziękuję, Gianni, jestem ci winien zaproszenie na kolację. Jadłeś już kiedyś morlesza?

- Co to takiego? Zupa z zieleniny?

- Zapisz sobie, jeżeli nie postawię ci tego, zanim skończy się lato, naprawdę możesz przestać mi się kłaniać.

- Przestanę, jak każesz mi się taplać w śmieciach bez potrzeby, zapamiętaj.

W czasie drogi powrotnej Petra poczuła się lżej na sercu, słysząc, jak jej mężczyzna siedząc za kierownicą, pogwizduje arię z **CYRULIKA SEWILSKIEGO**. Tłumił w ten sposób to, co żartując, nazywał jej „niezniszczalnym teutońskim genem”. Kiedy dotarli do domu, nie mogła się powstrzymać, by nie zarzucić mu niewybaczalnie lekkiego stosunku do przyjaciela.

⊕ VII ⊕

Rano, w niedzielę 5 sierpnia, Michele Ferrara natychmiast zadzwonił do Massima. Z tarasu, gdzie jak zwykle jedli niemieckie śniadanie składające się z włoskich produktów, co, jak twierdziła Petra, łączyło oba narody i oba kraje lepiej niż jakiegokolwiek obopólne umowy. To wyrażało się najlepiej w ich związku, czego nigdy nie zapominała dodawać.

- Numer jest niedostępny - wyrecytował Ferrara, przedrzeźniając głos automatycznej sekretarki.

- Pewnie wyłączył na noc, to naturalne. Jest niedziela, ma wakacje, późno poszedł spać.

- Jasne, ale mu dobrze! Tylko że przez to nadal mam wyrzuty sumienia.

- I bardzo dobrze! Zasłużyłeś sobie na to! Mam nadzieję, że będzie spał do południa - stwierdziła złośliwie Petra.

- Tym gorzej dla niego. Straci przeprosiny od samego szefa wydziału śledczego - zripostował z poważną miną, z którą kłócił się jego rozbawiony wzrok.

- Odpoczywa, to coś, co i ty powinieneś czasem robić.

- Idę wziąć prysznic - oświadczył, wstając i dojadając jeszcze ostatni plasterek szynki.

Potem umyty i ubrany jak trzeba zadzwonił do Anny Giuliatti. Udało się na telefon komórkowy po kilku nieudanych próbach.

- Michele, dlaczego dzwonisz o tej porze? Jest niedziela. Masz jakieś nowiny?

- Tak i potrzebuję twojej oficjalnej pomocy, nawet jeżeli dziś nie jesteś na dyżurze.

- Czyli powinniśmy przejść na pan, pani? - zażartowała.

Ferrara opowiedział jej, co odkrył Gianni Fuschi.

- Bardzo ciekawe - skomentowała prokurator - ale jeżeli tego badania nie da się powtórzyć, musimy działać zgodnie z procedurą.

- Nie ma sposobu jej ominąć? Przede wszystkim nie mam jeszcze żadnego podejrzanego, nie wiemy nawet nic o rodzinie ofiary, a potrzebujemy wyników jak najszybciej, rozumiesz, prawda?

- Rozumiem, Michele, ale rozmawiasz z reprezentantem prokuratury, procedury muszą być respektowane, zresztą daj mi pomyśleć, oddzwonię później.

- W takim razie czekam na twój telefon.

- Zadzwoń.

Skończyli rozmowę.

- Spróbujesz jeszcze raz zadzwonić do Massima? - zasugerowała Petra.

Spróbował. Centrala powtórzyła wiadomość niezmiennie miłym głosem.

- Tym gorzej dla niego - wychodząc, ucałował żonę. - Zobaczymy się później.

- Wrócisz na obiad?

- Oczywiście, o ile prefekt mnie nie zamorduje.

Często zdarzało się, że on i prefekt spotykali się w niedzielę. Niekiedy z powodu pracy, zważywszy, że na ogół był to dzień spokojny. Obaj korzystali z tego faktu, by podsumować tydzień, który właśnie minął, i zacząć nowy.

Tej niedzieli spotkanie było nie do uniknięcia, więc wolał sam uprzedzić Lepriego, zanim ten wyśle kogoś po niego albo, gorzej, sam wpadnie do jego biura z wściekłością, którą jeszcze zaostrzy bieg po schodach. Zazwyczaj sprawiało to, chociaż schodził w dół, że stawał się fioletowy mimo swojej imponującej postury. Ferrara wolał więc sam przebyć schody w górę, zwłaszcza że ostatnia próba dodzwonienia się do Massima znów skończyła się niepowodzeniem. Był spokojny i gotowy na konfrontację, którą zamierzał przetrwać spokojnie i grzecznie.

Riccardo Lepri nie był człowiekiem wybuchowym i zawsze wolał

mediacje od konfliktu. Stając z kimś twarzą w twarz, chciał zjednać sobie przeciwnika, pokazując, że jest wyrozumiały i dyspozycyjny. W tych rzadkich chwilach, kiedy się irytował, wybuchał agresją, która nie знаła granic ani rozsądku, a konsekwencje takiego wybuchu mogły być nieprzewidywalne.

Michele Ferrara wszedł do jego biura gotów odegrać rolę piorunochronu w jednym z takich właśnie momentów.

Zachowanie prefekta zdziwiło go.

Siedział przy jasnym biurku z głową pochyloną nad gazetami, które właśnie czytał. Oderwał od nich wzrok i się uśmiechnął.

- O, dzień dobry, komisarzu, niech pan wejdzie. Proszę siadać, mogę zaproponować kawę czy woli pan szklanek zimnej wody w tym upale?

- Woda będzie najlepsza, dziękuję - odpowiedział ostrożnie, obawiając się, że to zachowanie może być wstępem do eksplozji. Nie wyczuł jednak żadnej złośliwości ani ironii w jego słowach.

Lepri nalał wody i podał mu grzecznie szklanek, kiedy Ferrara sadowił się w fotelu z lewej strony, który przeznaczony był dla gości.

- Może pan zdjąć marynarkę, jeżeli ma pan ochotę - ciągnął prefekt, który był w zapiętej koszuli i pod krawatem. - Florencja w sierpniu jest gorsza niż piec. Nie uważa pan, że **PIEKŁO** jest najlepszą częścią, którą napisał ten nasz Dante, czyż nie?

Ferrara milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- A co my robimy w sierpniu i do tego w niedzielę? Wykonujemy nasze zadania, naturalnie! Jak zawsze... Wciąż jest dużo do zrobienia, prawda, komisarzu?

To pierwszy cios, pomyślał Ferrara.

- Przyszedłem, żeby przeprosić.

- Ależ za co? - Wydawał się szczerze zaskoczony.

- Za to, że nie oddzwoniłem.

- Na litość boską, było, minęło. Dowiedziałem się, że był pan zajęty. Myśli

pan, że nie rozumiem? Ja miałbym nie rozumieć? Proszę się nie przejmować. Raczej niech pan powie, co z tą sprawą? Robi pan jakieś postępy? Proszę, niech pan ją szybko zakończy i to bez zbytniego szumu, jeżeli to możliwe. Nie chcemy, żeby ludzie myśleli, że nasza Florencja to zbiorowisko narkomanów i prostytutek. Uchowaj Boże!

- Dziękuję za zrozumienie. Robię, co mogę, ale sprawa jest skomplikowana i niejasna.

- Niech pan mówi.

- Dotyczy nieletniej, prawdopodobnie imigrantki spoza Unii, która raczej nie była uzależniona od narkotyków. Według wszelkiego prawdopodobieństwa została zmuszona do przyjęcia narkotyku i zgwałcona przez jedną lub kilka osób. Tyle wiemy w tej chwili, bo jesteśmy naprawdę dopiero na początku, panie prefekcie. Potem ci ludzie wywieźli ją i porzucili w miejscu, gdzie została znaleziona. Prawdopodobnie sądzili, że nie żyje, albo widzieli, że jest w beznadziejnym stanie. Zresztą potwierdziły to późniejsze wydarzenia.

Kiedy Ferrara mówił, zdał sobie sprawę, że opowiada o sprawie bez uprzedzeń i zwraca się do prefekta jak do kolegi, który mu pomaga zebrać myśli.

- Przestępstwo, morderstwo, paskudna sprawa - skomentował Riccardo Lepri. - Są podejrzani?

- Na razie brak. Z tego, co wiemy w tej chwili, należałoby zorientować śledztwo przede wszystkim na środowisko dostawców narkotyków i pedofilów, bo choć wiek dziewczyny nie jest pewny, to była bardzo młoda. Nie wykluczamy też gwałtu zbiorowego albo gwałtu w czasie jednej z tych tak, niestety, słynnych już orgii z udziałem nieletnich.

Prefekt wykonał gest dezaprobaty, ale nie chodziło o niego, lecz o orgie z nieletnimi, które były jedną z bardziej atrakcyjnych plotek we Florencji. Od czasu do czasu dużo się o nich mówiło, a niekiedy policji udawało się osiągnąć jakieś rezultaty, ale z niewiadomych powodów wszystko kończyło

się na niczym. Fiasko takich akcji komisarz skłonny był przypisywać wysokiemu statusowi społecznemu organizatorów tych bachanaliów, którzy mogli liczyć na trudną do zdemaskowania protekcję i ochronę. Prefekt prawdopodobnie miał takie samo zdanie na ten temat i drżał na myśl o skandalu, który spowodowałby szeroko zakrojone śledztwo w tym kierunku.

- Miejmy nadzieję, że nie, Ferrara, miejmy nadzieję! Tak czy tak, proszę o takt i dyskrecję. Mam do pana zaufanie, wie pan o tym. Niech mi pan nie skomplikuje sierpnia, co? - skonkludował, poruszając palcem wskazującym i żartobliwie udając, że mu grozi, potem dodał: - Powiedział pan, że dziewczyna może pochodzić spoza Unii?

- Prawie na pewno.

- Biedaczka - stwierdził, jakby chciał powiedzieć: No niech pan sam popatrzy, nielegalna imigrantka, bez pracy, dochodów, dachu nad głową z jednej strony, a z drugiej strony reputacja jednego z najpiękniejszych miast świata.

Nie powiedział tego jednak, Ferrara sam powinien był wyciągnąć wnioski...



Schodząc schodami w dół, szef wydziału śledczego był w stanie niejakiego pomieszczenia umysłowego. Rozważał z uporem myśl o orgiach z nieletnimi, na których podświadomie się skupił, odkąd Leone zasugerował mu, że dziewczyna oprócz heroiny mogła zażywać kokainę, substancję rozpowszechnioną wśród zamożnych. Teoria ta spychała na dalszy plan kwestię gwałtu zbiorowego. Niestety, mogła też zepchnąć na boczny tor całe śledztwo. Trzeba było udowodnić, że dziewczyna została zgwałcona przez kilka osób, a były i inne ewentualności, które należało zbadać, zanim będzie mógł skoncentrować się na jednej konkretnej.

Drugim źródłem zakłopotania była prawie religijna staranność, z którą zarówno prefekt, jak i on sam unikali kwestii Ospedale Nuovo. Ze strony prefekta było to ewidentne pragnienie, by nie powodować skandalu. Lepri dzisiaj wyraźnie zminimalizował nacisk, bo kiedy w piątek go szukał, chciał

bardzo dosadnie mu przekazać, iż żąda taktu i ostrożności w kontaktach z lekarzami. Dzisiaj jednak uznał epizod za niebyły. Wykluczając bezpośrednią łączność pomiędzy Leonem, Leprim i Gallem, a wykluczał to z zamkniętymi oczami, takie zachowanie mogło oznaczać dwie rzeczy: albo D'Incisa zinterpretował swoje żądanie nietykalności dla szpitala jako przyjęte i wiadomość o tym przekazał przez prokuratora prefektowi, albo to Anna Giulietti zaakceptowała pakt o nieagresji i w ten sposób uspokoiła prokuratora, który z kolei... Albo wszystko naraz, dlaczego nie?

Wszystkie te możliwości, pierwsza, druga albo obie jednocześnie znów kierowały jego myśli ku masonerii, którą Giulietti z taką naturalnością nazwała Zielonym Wężem.



Zamiast zejść jedno piętro niżej, zszedł dwa. Nie zatrzymał się na swoim, poszedł dalej i znalazł się na ulicy za księgarnią Verga na via Tornabuoni, która w sierpniu była otwarta nawet w niedziele ze względu na turystów, których lato sprowadzało do Florencji.

Jeszcze raz wybrał numer Massima. „Wybrany numer jest chwilowo nie...” Cholera! Zaklął, przerywając z wściekłością połączenie. Rita Senesi, pracownica i kierowniczką księgarni, dawała z siebie wszystko i nikt nigdy nie wiedział, czy robiła to dla księgarni czy może dla księgarza, powitała go z radością.

- Dobry, ...omisarzu! Przynajmniej pan na wa...acje się nie wybiera.

- Nie, Rito, niestety - odpowiedział, zastanawiając się, gdzie, do diabła, podziało się k, które mówiąc z taką zachłannością, połykała. - A twój szef do tego wyłącza telefon, żeby nikt go nie znalazł.

- Też pan to zauważył? - zapytała z oburzeniem.

- Cały dzień usiłuję się do niego dodzwonić.

- Jest trochę roztargniony, co zrobić? Pewnie zapomniał włączyć ten swój telefon, ale jutro po południu powinien się zjawić, choćby nie wiem co. Musimy się zająć rachunkami, przecież chodzi o pieniądze. Mam mu coś przekazać?

- Żeby się odezwał do tych nielicznych przyjaciół, którzy mu jeszcze zostali.

- Niech pan na mnie polega, załatwię to.

- Dobrze, mogę rzucić okiem?

- Pan jest szefem, ...omisarzu Ferrara. Mogę w czymś pomóc?

- Szukam czegoś o masonerii.

- W odpowiednim momencie, ...omisarzu.

- A co to ma znaczyć?

- Że nigdy nie jest zbyt późno.

- No co? Rita? No mów?

- No, żeby się do nich przyłączyć.

- Nie gadaj głupot, myślałaś, że co? Ja...

- Kiedy tu przychodzą, wszyscy są tacy „pilni”, proszą o książki, aby zbadać ten „fenomen”, jak mówią, a ja to myślę, że przygotowują się do egzaminów. Ja jestem ignorantką, panie komisarzu, i dzięki Bogu, ale według mnie legitymacja z takiej loży liczy się teraz bardziej niż jakieś studia.

- Zaraz, chcesz mi powiedzieć, że Massimo...

- O to powinien pan zapytać jego, nie mnie, i niech mi pan poda te książki.

Wrócił do domu z pełną torbą, ale był roztargniony. Petra puściła arie włoskie śpiewane przez Cecilię Bartoli w stereo, aby uprzyjemnić im kolację. Było w powietrzu coś takiego, co skłaniało go do zwierzeń.

- Wiesz, co myślę? - zapytał, popijając Pinot Grigio z Terra dei Forti.

Z ulicy dobiegały odgłosy miasta przytłumione nieco przez liście roślin na pergoli.

- Co, Michele? - zapytała jak zawsze troskliwie żona.

- Że jestem odizolowany. Nigdzie nie należę.

- Co to znaczy?

- Dokładnie nie wiem, ale wydaje się, jakby w tym kraju wszyscy do czegoś należeli, do kościoła, do partii politycznej, do mafii, do ndranghety czy do masonerii... Ja do niczego. Policja tak. W to wierzę, ale czy to

wystarczy? No i odkryłem, że nawet na prefekta są jakieś naciski, sam nie wiem skąd, a twój najlepszy przyjaciel prawdopodobnie jest masonem. Zastępca prokuratora ulega presji jakiegoś organu wyższego, którego nawet sobie nie usiłujemy wyobrazić, a ja, ja jestem tu, pośrodku jak kula w bocce⁴, gdzie nad niczym nie mam kontroli.

- Dość tego, Michele - zarządziła Petra. - Nie rozumiem zupełnie nic z tego, o czym mówisz, i wcale mnie to nie obchodzi - ciągnęła. - Nie obchodzi, bo wiem jedną rzecz. Ty przynależysz. Należysz do mnie, tak jak ja należę do ciebie. A my oboje należymy do naszych rodzin, przyjaciół, którzy są dla nas ważni i na nas liczą. Reszta nie ma znaczenia. Co w ogóle może mieć znaczenie, kiedy reszta świata podrzyna sobie gardła za kawałek chleba albo bak ropy? Chcesz mi opowiedzieć o bezsensownych kłótniach w twoim kraju? Jest także mój i kocham go, ale kocham także mojego Michele i wiem, bo go znam, że zrobi to, co nakaze mu serce. To mi wystarcza, Michele, dobrze by było, żeby wystarczyło i tobie.

Nie mógł odpowiedzieć, bo dźwięk telefonu sprawił, że oboje podskoczyli. To, że codziennie przerywano im wieczorny posiłek, zaczynało być już czymś prawie naturalnym. I nie było to nawet celowe. Tym razem dzwoniła Anna Giulietti.

- Chyba znalazłam wyjście.

- To znaczy?

- Zapytaj Fuschiego, czy można przeanalizować tylko niewielką część tkaniny, ważne, żeby nie zniszczyć całego materiału do badań, rozumiesz?

- Tak, oczywiście.

- Jeżeli to możliwe, powiedz mu, żeby przyszedł do mnie jutro punktualnie o ósmej, zlecę mu konsultację doradczą z artykułu 359 kodeksu karnego, a nie z 360. Inaczej mówiąc, zażądam sprawdzenia natury plam biologicznych albo organicznych na spodniach i wszystkiego, co się da zbadać, grupę krwi, DNA. Dzięki temu będziemy mieli rezultat dla śledztwa, a potem, jak będzie trzeba, na innej części tkaniny wprowadzimy procedurę z artykułu 360 ze

wszystkim, co w takich przypadkach przewiduje kodeks.

Wydawała się nawet bardziej podekscytowana niż on.

- Zrozumiałem, Anno, to wspaniałe wyjście!

- Tylko pamiętaj o ósmej rano, punktualnie!

- Możesz na to liczyć, przyjemnej niedzieli.

- Nawzajem.

Gianni Fuschi, do którego zadzwonił chwilę potem, wcale nie był zadowolony.

⊕ VIII ⊕

W poniedziałkowym briefingu uczestniczyli wszyscy policjanci, których Ferrara miał do dyspozycji w śledztwie dotyczącym nieletniej: Ascalchi, Violante, Sergi, inspektor Venturi i szef działu narkotykowego, Luigi Ciuffi, którego zdecydował się włączyć po tym, jak Ascalchi opowiedział mu o spotkaniu tego ranka. Był też oczywiście Fanti w roli sekretarza.

Po szybkim przedstawieniu faktów Ferrara zapytał:

- Jakież nowiny z waszej strony?

- Z prokuratury nie nadeszło jeszcze zezwolenie na pozyskanie karty medycznej z kliniki - poinformował Violante.

- Wiem, że prokurator Giulietti jest bardzo zajęta. Cierpliwości, nie musimy się spieszyć, teraz musimy skoncentrować się na wydarzeniach, które poprzedziły odnalezienie dziewczyny. Na początek pan Violante. Proszę sprawdzić, kto zadzwonił na 118, i popytać ratowników, jak była ubrana dziewczyna i czy w tamtej okolicy nie zauważyli czegoś niepokojącego. Coś jeszcze?

Fanti przerwał krótką ciszę, która nastąpiła.

- Nie wiem, czy to teraz ważne, ale kazał mi pan szukać tej nazwy STEAUA ROSIE, pamięta pan?

- Oczywiście, i co?

- To znaczy „Stella Rossa”, czerwona gwiazda, szefie, po rumuńsku. Odkryłem, że to jedyna fabryka produkująca bluzki, podkoszulki i bieliznę w Mołdawii, w Kiszyniowie.

- Świetnie, Fanti, jak do tego doszedłeś?

- Internet, szefie, i kilka telefonów do kolegów z Interpolu.

- Doskonała robota, może nie jest to dowód, ale na pewno bardzo poważna

wskazówka dotycząca hipotezy, że chodzi o nielegalną imigrantkę, jeżeli nie mołdawską, to z jakiegoś wschodniego kraju Europy, albo o ofiarę któregoś z tych przeklętych handlarzy żywym towarem. Trudno sobie wyobrazić jakiegoś włoskiego turystę kupującego bieliznę gdzieś tam. Zgadza się ze mną?

Wszyscy przytaknęli. Ascalchi dodał:

- No, jeżeli szef pozwoli, proponuję nazwać dziewczynę Stella, wtedy będzie łatwiej, niż ciągle mówić „nieznana”, „nierozpoznana”, „małoletnia”...

Ferrarze spodobał się ten pomysł zaproponowany przez sceptycznego i ironicznego rzymianina.

- A całą operację nazwijmy „Operacja Stella” - dodał Ciuffi.

- Ustalono - zgodził się Ferrara, uśmiechając się. - Jakież inne hipotezy, inicjatywy? - zapytał, zwróciwszy się do wszystkich.

- Przyspieszam śledztwo i daję całkowite pierwszeństwo sprawie dziewczyny..., to znaczy Stelli - powiedział Ciuffi. - Zobaczą, czy moi ludzie dadzą radę odkryć coś konkretnego w środowisku dilerów. Na ogół są Tunezyjczykami, Algierczykami, Marokańczykami albo Albańczykami. Zaczniemy od najbardziej znanych z narkotyków „placów”, czyli Santa Maria Novella, Santa Croce, Santo Spirito, a potem dalej, dalej dookoła, aż spenetrujemy całe miasto i okolice. To nie będzie łatwa robota.

- A kiedykolwiek była łatwa? - powiedział Ferrara bardziej do siebie samego niż do obecnych tam ludzi.

- Tak czy tak, jeden z moich patroli ma na oku dwóch albańskich braci. Od informatora wiemy, że muszą jechać po narkotyki poza Florencję, wydaje się, że są dość ważni.

- Miejmy nadzieję. To wszystko?

- Jeżeli o mnie chodzi, to tak.

- Dobrze, pan Venturi dogada się z wydziałem do spraw nieletnich i dowie się wszystkiego, co się da, na temat pedofilii i gangów nieletnich, szczególnie jeżeli były ostatnio jakieś doniesienia związane z seksem albo choćby

podejrzenia o próby gwałtu związane z tą grupą.

- Tak, szefie - odpowiedział inspektor.

- A pan, Ascalchi, niech pan dogada się z obyczajówką i przyjrzy się prostytutce, szczególnie tej związanej z nielegalnymi imigrantami.

To powiedziawszy, uważając, że rozdzielił już wszystkie główne zadania związane ze śledztwem, czując, że świeżo narodzona „Operacja Stella” jest na właściwiej drodze, zakończył spotkanie jak zwykle:

- Jakież pytania?

Na to pytanie jak zwykle nikt nie odpowiedział.

Kilka minut po jedenastej Fanti dostarczył mu teczkę.

Dotrzymał słowa, pomyślał Ferrara, widząc, skąd pochodziła.

Doktor Francesco Leone - Uniwersytet Florencki, Wydział Anatomii,
Histologii i Medycyny Sądowej - Sekcja Medycyny Sądowej.

Natychmiast przeczytał.

1. Zważywszy na dokumentację medyczną i badania pośmiertne, uznaje się, że zgon nieznanego młodej kobiety nastąpił na oddziale reanimacji szpitala Ospedale Nuovo i został ustalony na 2 sierpnia 2001 około godziny 16.00.

2. Badanie antropometryczne i zdjęcia rentgenowskie wykazały, że młoda kobieta miała około czternastu lat, ale jeszcze nie miała szesnastu, co zostało ustalone na podstawie uwapnienia kości i uzębienia (obecność siódemek, ale brak ósemek).

3. Badanie zwłok przed sekcją ukazało bez wątplenia, że dziewczynka miała stosunki seksualne także analne, potwierdzone obecnością na zwłokach spermy, na której zostaną wykonane badania laboratoryjne.

4. Badanie autopsyjne nie wykazało żadnego powodu ani przyczyny śmierci, która odnosiłaby się do natury spontanicznej lub traumatycznej

jakiegoś wydarzenia. W trakcie badania na stole sekcyjnym pojawiły się obiektywne elementy, które, jak wynika z raportu medycznego i z wiedzy ordynatora, profesora d'Incisy, mogą świadczyć o przedawkowaniu heroiny (na ten temat więcej precyzyjnych informacji dostarczą kompletne badania histologiczne), która nie spowodowała śmierci natychmiast po zażyciu, ale spowodowała nieodwracalne niedotlenienie, uszkodzając funkcje mózgu, i spowodowała śmierć po pięciu dniach nieodwracalnej śpiączki.

5. W trakcie oględzin zwłok pobrano włosy, skórę, paznokcie, płyny biologiczne, wycinki mózgu i wątroby, a także fragmenty wszystkich pozostałych organów wewnętrznych w celu przeprowadzenia badań chemicznych i toksykologicznych.

6. Z pierwszych badań wynika, że denatka nie zaczęła jeszcze miesiączkować, gdyż podczas biopsji macicy stwierdzono, że błona śluzowa macicy była gruba, co znaczy, że cykl menstruacyjny jeszcze się nie rozpoczął. Badanie histologiczne błony śluzowej nosa wykazało obecność śladów kokainy pomieszanej z inną substancją, nad którą prowadzone są badania laboratoryjne.

7. Wyniki badań będą przekazane, gdy tylko zostaną ukończone analizy histologiczne i toksykologiczne.

Pod tym tekstem widniała napisana piórem, odręczna notka do komisarza Ferrary:

Jeżeli chodzi o kontakty seksualne, to istnieją ewidentne dowody, które wykazują, że dziewczyna uprawiała seks wcześniej, a także prawdopodobnie tuż przed samym przedawkowaniem. Kokaina w takim przypadku może działać jak stymulant.

Ferrara z zadowoleniem zapalił toskańskie cygaro. To było gorzkie zadowolenie, czysto zawodowe, wcale niezmnieszające bólu związanego z

losem dziewczyny, którą zdecydowali się nazywać Stellą.

Po południu Violante wrócił pierwszy ze swojego spotkania z pracownikami ze 118 z potwierdzeniem, że Stella została znaleziona jedynie w koszulce i dżinsach, bez butów. Co do majtek i biustonosza ratownicy nie umieli nic powiedzieć, ponadto nie zauważyli w okolicy niczego, co by im wydało się dziwne. Pracownik centrali nie był w stanie powiedzieć nic na temat dzwoniącego. To, że był mężczyzną, było jedyną rzeczą, której byli prawie pewni. Wiedzieli tylko tyle, że zadzwonił około 6.45 rano 29 lipca. To był krótki telefon, nie zarejestrowano go z powodu jakiegoś defektu aparatury albo zapomnienia.

- Musimy to pogłębić, Violante. Niech prokuratura wystawi ci nakaz dla firmy Telecom o bilingi połączeń z numerem 118 i trzeba sprawdzić, skąd dzwoniono. To teraz pilne. Dopisz, że jeżeli będzie chodziło o telefon komórkowy, konieczna jest identyfikacja właściciela i znak identyfikacji przekaźnika w interesującej nas strefie, z której dzwoniono.

- Zgoda, szefie.

Polecenie Ferrary było podyktowane zdobytą już przez organy ścigania wiedzą, że bilingi telefonów komórkowych są bardzo ważne, a bywają i nieodzowne dla śledztwa, szczególnie kiedy chce się poznać ewentualne kontakty ofiary przestępstwa albo kogoś, kto jest o nie podejrzany.

Nawet jeżeli nie znajdą nic ciekawego, to przynajmniej będą znać datę, godzinę, czas trwania rozmowy, sygnały, okręg zainteresowania ze wskazaniem miasta albo jego terenu i miejsce, gdzie taki telefon został użyty.

Ponieważ można teraz zlokalizować i to dość dokładnie, w pewnym obszarze osobę, która dzwoniła lub odbierała telefon, często udaje się zidentyfikować osoby, które w innym przypadku byłyby zupełnie nieznane śledczym, a które, nawet jeżeli nie są odpowiedzialne bezpośrednio, mogą mieć jakiś związek z przestępstwem, tak więc i z rozwojem śledztwa.

Nagle zrobiła się 17.30 i Ferrarze przyszło do głowy, że Massimo Verga powinien być w księgarni. Pomyślał, żeby tam pójść. To o wiele lepsze niż

telefon, a poza tym nie widział się z nim od jakiegoś czasu i byłoby mu przyjemnie zobaczyć go.

Via Tornabuoni nie była daleko od via Zara, więc mimo upału i duchoty wolał pójść tam piechotą.

Zastał Ritę robiącą rachunki z dwoma innymi sprzedawcami sklepu. Massimo jeszcze się nie pojawił i kobieta nie kryła niepokoju.

- Dzwoniłaś do niego?

- Jasne, nie jestem kretynką, komisarzy! Cały czas wyłączony, więc nie można się nagrać.

- Jest jakiś stacjonarny w tamtym domu?

- Nie wiem, nie dał mi numeru. A pan wie, gdzie się podział?

To była prawda. Oni też nie wiedzieli, który dom Massimo wynajął w Marina di Pietrasanta. To miała być niespodzianka, jak zawsze mówił.

- Może to korki, wiadomo, lato... - usiłował ją uspokoić. Tylko że był już poniedziałek wieczorem, a ruch na drogach, jeżeli nawet był, to raczej w kierunku morza, a nie w odwrotnym.

- Miejmy nadzieję - powiedziała, doskonale wiedząc dokładnie to samo co on.

- Pracuj dalej, ja się rozejrzę.

Począł pół godziny, potem wrócił do biura.

- Idę, Rito, gdyby się zjawił albo zadzwonił, powiedz mu, żeby się ze mną skontaktował.

- Oczywiście, komisarzy.

Nie spiesząc się, wrócił do pracy dopiero około dziewiętnastej i był zaskoczony, widząc w biurze Fantiego. Nadinspektor mieszkał w Prato i dojeżdżał pociągami podmiejskimi, a teraz mógł się spóźnić. Normalnie nie wychodził nigdy później niż o szóstej trzydzieści wieczorem.

- Fanti, co ty tu jeszcze robisz? - Zażartował, ale zdał sobie natychmiast sprawę, że mężczyzna ma bardzo poważny wyraz twarzy i jest blady bardziej niż zwykle.

- Co jest? Coś się stało?

Nie mówiąc słowa, Fanti podał mu kartkę z napisem w górnym prawym rogu: **PILNA DEPEZA TELEFONICZNA.**

Tekst był następującej treści:

Uprasza się o pomoc w poszukiwaniu Simonetty Tonelli, po mężu Palladiani, urodzonej w Carrarze 14 kwietnia 1967 roku, i Massima Vergi urodzonego w Katanii 10 października 1949 roku, właściciela księgarni w historycznym centrum Florencji. Wymienieni Tonelli i Verga zniknęli po podejrzanej śmierci Ugo Palladianiego urodzonego we Florencji 30 stycznia 1940 roku, męża wymienionej Simonetty Tonelli. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie w nocy z soboty 4 na niedzielę 5 sierpnia, a odkryta została dziś rano. Prefektura we Florencji, do której skierowany jest ten dokument, jest proszona o zapoznanie się z nim i o dostarczenie informacji o wspomnianym wyżej Massimie Verdze, w sprawie którego, jak wynika z informacji elektronicznych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, prowadzone było śledztwo przez tę prefekturę w roku 1970.

Sprawa pilna w związku z nakazami wystawionymi przez prokuraturę miasta Lukka.

Podpisano:

SIERŻANT ANGELO BELSITO, KOMENDANT POSTERUNKU KARABINIERÓW W MARINA DI PIETRASANTA

Szef wydziału śledczego we Florencji ciężko usiadł na krześle dla gości, zamknął oczy i złapał się rękoma za brzeg biurka. Kręciło mu się w głowie.

⊕ XI ⊕

Podczas bezsennych, niespokojnych nocy, które nastąpiły potem, Ferrara musiał się zastanowić nad faktami uznawanymi za pewne, a które ewidentnie takie nie były. Pierwszym było podświadome przekonanie, że pomiędzy tyłoma nieszczęściami, które mogą spotkać rodzinę, przyjaciół albo znajomych komisarza policji, iż będą oni podejrzanymi, czy też oskarżonymi o poważne przestępstwa, zostało a priori wykluczone. Z czego wynikała ta pewność? Prawdopodobnie z tego, że każdy z nas sądzi, iż spotyka się z właściwymi osobami, a zważywszy na jego zawód i sposób życia, osoby bliskie mogą być tylko i wyłącznie po stronie prawa. Teraz, kiedy fakty sprzysięgły się, by pokazać mu, że może być to niemożliwe, nadal uważał to za nieprawdopodobne, co sprawiało, że jego dni nabierały dziwnych, psychodelicznych barw koszmaru i musiał się bardzo starać, aby zachować jasność umysłu potrzebną mu teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Inną ważną rzeczą, która została podważona i mogła być dla niego jako dla Sycylijczyka niszcząca, to uświęcona i niepodważalna wartość przyjaźni. Oczywiście różnili się, on i Massimo Verga, ale tylko w wyborach zewnętrznych, w wielu zachowaniach i być może, ale tego nie był pewien, w niektórych przekonaniach ideologicznych, o których nigdy zbyt nie dyskutowali z obawy, by nie odkryć, że albo są zbyt do siebie podobni, albo za bardzo się różnią. Łączące ich wartości były o wiele głębsze i bardziej zakorzenione. Istniało między nimi niekwestionowane pokrewieństwo dusz, które wzmacniało ich przyjaźń bez względu na nieporozumienia i rozbieżności.

Trudno mu było teraz myśleć o ciężkich chwilach, jakie nastąpiły po tym, jak zaręczył się z Petrą. Wszystko zakończyło się wyjazdem Massima z

Sycylii. Był świadom, że także i to ich łączyło i zawsze będzie łączyło. Miłość do tej samej kobiety, zamieniona teraz przez Massima w niepoprawną i nieustającą donżuanerię.

Godziny, które nastąpiły po przeczytaniu tej niewiarygodnej depeszy, były ciężkie i ciągnęły się bez końca.

Współczujący mu Fanti odmówił wyjścia na ostatni pociąg.

- Będę spał w koszarach, komisarzu, niech się pan nie przejmuje, to nie pierwszy raz.

Powiedział i sięgnął po telefon, ale natrafił z drugiej strony, na małym posterunku w Marina di Pietrasanta, na mur milczenia jakiegoś wartownika.

- Nie jest upoważniony, by mówić o tym, gdzie jest komendant, ani tym bardziej, by podawać numer telefonu komórkowego sierżanta Belsity i nie podałyby go nawet samemu prezydentowi Republiki. Według mnie miał z tego radochę ten śmierdziel - powiedział do Ferrary. - Ci z korpusu karabinierów zawsze są gotowi do współpracy.

Ferrara nie był zaskoczony, karabinierzy nigdy nie byli specjalnie chętni do współpracy, otwarci czy gotowi. Nawet jeśli udało się od nich wyciągnąć jakieś informacje, to dawkowali ją niczym kroplomierzem.

- Powiedziałeś, że chodzi o mnie?

- Jasne, szefie, ale było mu to zupełnie obojętne! Przykro mi.

- I powiedziałeś, żeby do mnie zadzwonili, jak tylko to będzie możliwe, nawet do domu na komórkę?

- Tak jest!

- Zatem pozostaje nam tylko spokojnie czekać. Owszem, to dziwne, że przeciw Verdze było prowadzone śledztwo, a ja nic o tym nie wiem...

- Przybył pan tu o wiele później, komisarzu, kto wie, gdzie pan był w siedemdziesiątym roku.

- Oczywiście, a ponieważ musimy czekać, zrób coś dla mnie, proszę. Idź do archiwum i przynieś jego teczkę. Teraz wiemy, że taka musi tam być. Zobaczymy, co takiego straszego zrobił.

Zdążył ledwie dzwonić do domu i powiedzieć, że się spóźni, nie tłumacząc na razie Petrze dlaczego, a nadinspektor już wrócił z cienką teczką z 1970 roku. Sama jej objętość uspokoiła nieco komisarza. Wiedział, jak wyglądają te czki prawdziwych przestępców, a ta z pewnością do takich nie należała. Otworzył. Kilka zżółkniętych kartek.

Massimo Verga był sprawdzany przez agentów wydziału politycznego w jakimś domu ludowym we Florencji, gdzie w tym czasie zbierali się intelektualiści związani z protestami studenckimi i robotniczymi. Ponieważ w prefekturze nie było nic na temat precedensów karnych ani żadnych doniesień, sprawa została zamknięta i nigdy później do niej nie wracano. Głupoty. Poszedł do swojego sekretarza, nie chciał znów go wzywać, zważywszy na jego dyspozycyjność przy tej sprawie i to poza godzinami pracy. Był mu coś winien.

Fanti właśnie szukał po kanałach telewizji lokalnej wiadomości o sprawie z Marina di Pietrasanta, ale nic nie znalazł, zresztą nie była to odpowiednia pora. Była już prawie dwudziesta trzecia.

- Zostaw to. Dlaczego nie zadzwonisz do naszych z komisariatu w Viareggio, jest w pobliżu. Powinni coś wiedzieć, nie?

- Już dzwoniłem, szefie, ale niewiele wiedzą, tylko tyle, że w willi żony znaleziono zwłoki Ugo Palladianiego, a jego żona, piękna kobieta, dość tam znana, zniknęła. Wezwano karabinierów, którzy jak zwykle nic nie chcieli powiedzieć.

- A ten Palladiani, czy myśmy go już spotkali? - zapytał komisarz, szukając w pamięci.

- Nie wiem, komisarzu, nie wydaje mi się... - odparł zakłopotany nadinspektor. - Mogę poszukać w archiwum, dużo tego u nas jest...

- Próbuj, a jeżeli u ciebie nic nie ma, sprawdź, co na jego temat mamy w prefekturze, nawet akta administracyjne, paszport, licencje, zezwolenie na posiadanie broni, wszystko, co możesz.

- Oczywiście, szefie.

- I na temat żony też, na temat tej Simonetty Tonelli, która podobno zaginęła razem z Massimem.

- Już się do tego zabieram.

- O tej porze niczego nie znajdziesz, idź teraz spać. Ja też pójdę do domu. Tak mi się zdaje, że ten Belisto już dziś nie zadzwoni.

- Co odpowiemy na depeszę? - zapytał przejęty Fanti.

- Jutro o tym pomyślę, niech się trochę podenerwują.

Przed Petrą, która czekała na niego z kolacją, tym razem nie mógł niczego zataić. Długo siedzieli w ciszy, przy stole pod rozgwieżdżonym niebem, które utraciło swój urok. Nie byli w stanie tknąć jedzenia. Każde z nich zatopiło się we własnych wspomnieniach o Massimie.

Massimo Verga, starszy od Ferrary o rok, pasjonat sztuki, muzyki i filozofii, od samego początku był uważany przez młodszego krajana za kogoś w rodzaju duchowego przewodnika. Spotkali się w czasach liceum i zrodziła się z tego dziwna, ale głęboka przyjaźń pomiędzy przystojniejszym, bardziej eleganckim, bardziej przygotowanym, pewnym siebie i kontrowersyjnym dziedzicem starej, bogatej rodziny z Katanii a upartym, odrobinę zamkniętym w sobie synem wieśniaków ze zbocza Etny, solidnych i upartych rolników uprawiających tę niewdzięczną ziemię, kultywujących tradycję i wychowujących dzieci.

Petra poznała Massima podczas wakacji na Sycylii. Były to jej pierwsze wakacje bez rodziców, którzy zostali w Niemczech. Zapamiętała go jako fascynującego młodzieńca o szlachetnych rysach, delikatnym wąsiku, który przypominał jej Vittoriniego, pisarza, którym tak się zachwycała, że zdecydowała się na kurs literatury włoskiej na uniwersytecie w Heidelbergu i postanowiła odwiedzić, jak tylko to będzie możliwe, wyspę, na której mieszały się różne kultury, a pachnący Orientem wiatr gładził kolumny świątyń.

Był to czas, kiedy Petra, cudzoziemka, blondynka o nordyckiej urodzie i zielonych oczach, wysoka i szczupła przyprawiała o zawrót głowy

sycylijskich młodzieńców, którzy po dwóch jeździli na zdezelowanych vespach. Kontrolę nad sobą i skuterami odzyskiwali po oczywistym momencie rozproszenia, kiedy zdawali sobie sprawę z możliwości najechania jakiegoś przechodnia albo zatrzymania się na lampie, bo „grzechem śmiertelnym byłoby na nią nie popatrzeć albo choć nie zagwizdać”. Były to piękne czasy, które Petra wspominała teraz z tęsknotą i czułością. Massimo od razu jej się spodobał, ale to nie on sprawił, że studia postanowiła ukończyć właśnie tutaj. Zrobił to nieśmiały, introwertyczny, ale solidny Michele, którego Massimo przedstawił jej z dumą. Po czym nastąpiła „ucieczka” pięknego arystokraty, która trwała lata. Kiedy wreszcie zniknęła jakakolwiek uraza, spotkali się w tym mieście, w centralnych Włoszech, które w końcu ich zaadoptowało, ale ucieczka nadal ciążyła im jak długi, gorzki cień nad ich ciszą. Co z nim się działo przez ten czas? Co robił oprócz uszczuplenia rodzinnej fortuny i łamania niewieścich serc?

Dopiero w tym momencie zdali sobie sprawę, że Massimo zawsze był odrobinę tajemniczy. Ograniczał się do niejednoznacznych, ogólnych stwierdzeń na temat nieprawdopodobnej urody kobiet, którą opisywał skrótowo, odnosząc się z całą powagą do humorysty Campanilego: „Kobiety podobają się nam, bo są cudowne, czy wydają nam się cudowne, bo nam się podobają?”. Były to boskie stworzenia, którym nie umiał i nie chciał się oprzeć. Komentarze te bawiły Michele, ale martwiły Petrę.

Jednak najbardziej ciążył im zawód, jaki sprawili niedawno przyjacielowi. Wszystko to nie miałooby miejsca, gdyby w nocy z soboty na niedzielę byli u niego, tak jak to dawno ustalili. Była to więc cisza pełna zakłopotania i unikali nawet patrzenia sobie w oczy, by nie zobaczyć w nich oskarżenia, które sami na siebie nakładali.

W końcu Petra zdecydowała się przerwać ciszę.

- Musisz coś zrobić, Michele.

- Staram się - wymruczał.

Patrzyła mu prosto w oczy, ale na jej ustach nie było cienia uśmiechu,

który Ferrara tak kochał u swojej żony.

- Wiem, ale to nie wystarczy. Tym razem ja będę cię prosić, żebyś się nie oszczędzał, za wszelką cenę. I musisz w to wejść do końca... Cokolwiek się stało. To nie on.

- Wiem! - wyrwał się zdenerwowany, natychmiast tego żałując, bo ten gniew mógł zdradzić wątpliwości, niepewność, której myślał, że nie ma. Ona mogła je mieć, zawsze się obawiała, że miłosne przygody Piotrusia Pana mogłyby sprowadzić na niego poważne kłopoty. - Oczywiście, że on nie ma z tym nic wspólnego - stwierdził, starając się zminimalizować wrażenie.

Petra siedziała w ciszy. Patrzyła na niego ze smutkiem z oczami błyszczącymi od łez, a rzadko zdarzało się, żeby płakała.

Następnego ranka komisarz nie znalazł niczego w gazetach, z wyjątkiem bardzo niejasnego artykułu w „Tirreno”, dzienniku z Livorno.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ FLORENCKIEGO SPECJALISTY DO SPRAW PUBLIC RELATIONS. KARABINIERZY PROWADZĄ ŚLEDZTWO

Karabinierzy z Marina di Pietrasanta wspierani przez komendę regionalną w Lukce prowadzą śledztwo w sprawie śmierci Ugo Palladianiego, florenckiego pijarowca, który zmarł w niejasnych okolicznościach w willi swojej żony, znanej działaczki kulturalnej, Simonetty Palladiani. Zwłoki mężczyzny zostały znalezione przez służącą wczorajszego ranka w salonie na parterze u stóp schodów, które prowadzą na piętro. Według służącej w jednym z pokoi gościnnych zajętych przez Ugo Palladianiego był nieporządek sugerujący napad. Nie zanotowano jednak zaginięcia żadnych wartościowych przedmiotów, a niepewność pogłębia fakt nieobecności właścicielki domu, której sypialnię służąca zastała w idealnym porządku, tak jak ją zostawiła w sobotę rano. Staraliśmy dowiedzieć się czegoś więcej dla naszych czytelników od karabinierów, ci jednak zachowują, naszym skromnym zdaniem, niezrozumiałą rezerwę. Z niepotwierdzonych informacji,

których wiarygodności nie można być pewnym, wynika, że rezultaty wykonanej po południu autopsji wskazują na zabójstwo.

Samo słowo „zabójstwo” zepsuło komisarzowi przyjemność, jaką poczuł po zapaleniu cygara.

To mogłoby uczynić sytuację Simonetty Palladiani, której miejsca pobytu nie znamy, bardzo trudną. Simonetta Palladiani jest znana w mieście Versilia ze swojej wieloletniej działalności związanej z promocją kultury. Od dwóch lat jest właścicielką galerii sztuki L!Archivolto w Forte di Marmi, gdzie wystawiane są dzieła młodych malarzy i utalentowanych rzeźbiarzy. Znana jest także jako członkini jury nagród literackich oraz organizatorka festiwali i imprez kulturalnych, w czym była wspierana przez męża, z którym żyła w separacji, ale z którym utrzymywała doskonałe kontakty i nadal była z nim w związku małżeńskim. Podczas gdy karabinierzy robią, co do nich należy, my mamy nadzieję, że Simonetta szybko wróci, by rozjaśniać dni i wieczory w Versilia swoim duchem przedsiębiorczości i świetlistym uśmiechem.

C.P.



Dziwny artykuł, pomyślał. Miałby ochotę porozmawiać z tym dziennikarzem o polemicznym tonie, z jakim mówił o służbach państwowych i o poufałości, z jaką traktował Simonettę Palladiani, o której pisał w słowach tak pochlebnych (podczas gdy słowem nie wspomniał o Massimie Verdze), a przecież powinien wiedzieć o nim dużo więcej, niż wskazywał na to ten tekst. Dziennikarz albo dziennikarka? Zastanowił się przez chwilę, łącząc inicjały podpisu z nazwiskiem i twarzą Claudii Pizzi, właśnie tej, która nadała mu przydomek „Kot”.

Teraz jednak miał coś zupełnie innego do zrobienia. Podniósł słuchawkę i poprosił centralę o połączenie z komendantem posterunku karabinierów w Pietrasanta:

- Powiedz, że jestem przy telefonie i połącz, dopiero jak sierżant będzie na

linii.

- Oczywiście, zrozumiałem.

Kilka minut potem usłyszał dźwięk telefonu i podniósł słuchawkę, zanim zrobił to Fanti.

- Komisarzu, sierżant Belsito.

- Słucham?

- Jestem komendantem, starszy sierżant, Angelo Belsito.

- Ach, sierżancie, witam, jestem kierownikiem wydziału śledczego we Florencji, komisarz Ferrara.

- Wiem, że dzwonił pan do mnie wczoraj i bardzo przepraszam, że nie oddzwoniłem, ale byliśmy zajęci do późnej nocy. Proszę pytać, jestem na pańskie rozkazy.

- Usiłowałem się do pana dodzwonić, bo dostałem pański telefonogram. Teraz przeczytałem w „Tirreno”, że może nawet chodzić o zabójstwo, i chciałbym wiedzieć coś więcej.

- Robimy dopiero pierwsze ustalenia w śledztwie. Za wcześnie jeszcze na wyciąganie wniosków - odpowiedział podoficer, trzymając się ogólników.

Pochodząca od szefa wydziału śledczego we Florencji wzmianka o morderstwie wywołała w nim nimal atawistyczną rywalizację i zazdrość o kompetencje, które zazwyczaj należały do tego, kto został na miejsce wezwany pierwszy, a więc w tym wypadku do nich, czyli do karabinierów.

- Z pewnością - kontynuował - wiemy, że mamy zwłoki mężczyzny, a żony nie można znaleźć, tak jak nie można znaleźć jej kochanka, Massima Vergi. Wszystko, czego nam trzeba, to podstawowe informacje, komisarzu, na temat tych dwojga, to zwyczajna procedura. Nic innego, przynajmniej na razie.

- Naturalnie, ale to, co pan mi mówi, wiem już z telefonogramu, sierżancie - odparł zimno Ferrara, który dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że Massimo był kochankiem Simonetty Palladiani, co naturalnie wzmogło jego zaniepokojenie. - A jakie są rezultaty autopsji?

- Przykro mi, ale nie jestem upoważniony, by je panu podawać, komisarzu. Przepraszam, ale sam pan wie, jak jest. Rozumie mnie pan. Mogę zapytać, skąd to zainteresowanie?

- Bo Palladiani jest mieszkańcem Florencji i Verga także, a jest to osoba, o której sędzę, że nie mogła być zamieszana w tak poważną sprawę, chyba że przypadkiem, a w takim razie jest bez winy i nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

- Dlaczego, komisarzu? Zna go pan? - zapytał sierżant po krótkiej przerwie i Ferrara zauważył, że nagle zaczął być uważniejszy.

- Tak, sierżancie, bardzo dobrze go znam, i to od dawna, i mógłbym za niego dać sobie rękę uciąć!

Nastąpiła chwila ciszy, a po czym sierżant Belsito tonem tym razem bardziej oficjalnym powiedział:

- Może dobrze by było, żeby pan tu przyjechał, skoro chodzi o kogoś, kto jest pańskim znajomym.

I to jak najszybciej, pomyślał Ferrara.

- Nie ma problemu, nawet zaraz. Gdzie pana znajdę?

- Będę tu czekał na pana.

- W takim razie do zobaczenia.

- Czekam - odparł sierżant sucho i oficjalnie. Zabrzmiało to bardziej jak wezwanie niż zaproszenie.

⊕ X ⊕

Siedzibą karabinierów w Marina di Pietrasanta był niewielki, czerwony, dwupiętrowy budynek stojący jedną przecznicę od morza na skrzyżowaniu dwóch ulic. Na balkoniku z tyłu widać było wywieszane do suszenia pranie. Z przodu był oddzielony od ulicy niewielkim, dobrze utrzymanym ogródkiem otoczonym niskim białym murkiem.

Kierowca zatrzymał się w drugiej linii przed boczną bramą. Nad drzwiami wejściowymi widniał biało-niebieski szyld. Ferrara przepuścił kobietę ubraną w pareo, która pchała wózek. Obok wózka szła dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka w strojach kąpielowych. Dziewczynka miała na sobie plastikowe koło ratunkowe w kształcie gąski, a wózek pełen był zabawek plażowych.

Ferrara zadzwonił. Strażnik zjawił się prawie natychmiast.

- Jestem szefem wydziału śledczego we Florencji - powiedział, wyciągając kartę identyfikacyjną z napisem: **POLICJA PAŃSTWOWA - KIEROWNICTWO - KOMISARZE**. Pod nim widniało zdjęcie w cywilnym ubraniu.

- Proszę wejść, sierżant czeka na pana.

W niewielkiej poczekalni klimatyzacja była ustawiona na maksimum. Sala urządzona była skromnie i jedynymi przedmiotami dekoracyjnymi na ścianach były druki przypominające o dokonaniach karabinierów. Na stoliku ustawionym przed kanapą pokrytą sztuczną skórą leżały jakieś pisma.

Po kilkuminutowej nieobecności strażnik wrócił do komisarza i poprowadził go.

- Sierżant Belsito. - Gdy tylko Ferrara wszedł do biura, komendant podszedł do niego, przedstawiając się i ściskając mu dłoń.

Był średniego wzrostu, krępej budowy, wydawał się bliżej sześćdziesiątki

niż pięćdziesiątki, miał pobrużdżoną zmarszczkami twarz. Największe wrażenie robiły jego gęste, posiwiałe wąsy wygięte w dół, jak nakazywała tradycja. Był klasycznym przykładem starego wiejskiego sierżanta.

- Witam - odpowiedział Ferrara, który nie miał potrzeby się przedstawiać, gdyż zrobił to za niego anonsujący go strażnik.

- A to jest pan kapitan - dodał Belsito, przedstawiając młodego człowieka, który wstał z fotela i podszedł do nich. Musiał mieć około trzydziestki i był wysoki. Przewyższał ich obu. Blond włosy miał obcięte prawie na zero, a atletyczna budowa ciała pozwalała mu nosić mundur oficerski z wyjątkową elegancją.

- Jestem kapitan Renato Fulvi. Od kilku miesięcy dowodzę komórką śledczą karabinierów z Gruppo Provinciale w Lukce. - Miał akcent z północy, chyba piemoncki.

- Miło mi, komisarz Ferrara, szef wydziału śledczego we Florencji. - Tym razem sam się przedstawił.

- Proszę, komisarzu, niech pan siada - zaprosił sierżant, wskazując jeden z dwóch foteli dla gości ustawionych naprzeciw biurka.

Komisarz usiadł, obaj karabinierzy zrobili to samo. Sierżant usiadł w fotelu obok, a kapitan za biurkiem, na miejscu komendanta. Ustawienie strategiczne, najpewniej zaplanowane. To nie spodobało się Ferrarze. Miało sprawić, by poczuł się jak zwykły obywatel, który został wezwany przez nich na przesłuchanie. Jakby na potwierdzenie tego faktu kapitan bez jakiegokolwiek wstępu, nawet wynikającego ze zwykłej grzeczności, sformułował zimno i twardo pierwsze pytanie. Dawał mu tym do zrozumienia, że w tych okolicznościach role instytucjonalne schodzą na drugi plan. Ferrara nie wiedział, czy się denerwować, czy jeszcze bardziej zaniepokoić losem Massima.

- Sierżant powiedział mi, że jest pan dobrym znajomym pana Massima Vergi albo nawet można powiedzieć... przyjacielem?

- Jestem jego dobrym przyjacielem i właśnie z tego powodu tu jestem -

odpowiedział ostro.

- Czyli nie po to, żeby zdobyć informacje związane z faktem, jaki miał miejsce w willi, w której gościł przyjaciel? - zapytał tamten, zwracając na sierżanta pytający wzrok, który Ferrarze wydał się lekko ironiczny, co zwiększyło jego zakłopotanie.

- To pan powiedział, że tam mieszkał. Ja o tym nie wiedziałem.

- Jest pan oficerem policji - stwierdził dydaktycznym tonem kapitan Fulvi. Jeżeli zawstydził się tym, że nieopatrznie wymknęła mu się banalna, co prawda, informacja, której tamten nie posiadał, to nie dał tego po sobie poznać - więc zdaje sobie pan sprawę, że w tym wypadku śledztwo leży tylko i wyłącznie w naszych kompetencjach.

Nad tym mogliby podyskutować, zważywszy, że Marina di Pietrasanta przy niektórych rodzajach przestępstw podlegała jego jurysdykcji, ale wolał dać spokój i spróbować bardziej przyjacielskiego podejścia.

- Oczywiście, kapitanie! Mam swoją robotę we Florencji, nie mam zamiaru się mieszać, ale tak pomiędzy kolegami... chodzi, jak mówię, o Massima Vergę.

- Który jest pańskim przyjacielem? Tak zrozumieliśmy! Dla nas jednak ten pan jest tylko i wyłącznie obywatelem jak każdy inny i tak pozostanie do końca śledztwa - przerwał mu ostro kapitan, pokazując Ferrarze, że przyjął złą taktykę. - Wie pan, że dopóki śledztwo trwa, nie ma przyjaciół ani przyjaciół przyjaciół.

Aluzja była tak poważna i wypowiedziana w obecności innego członka korpusu karabinierów, że Ferrara zdziwił się, iż jeszcze nie stracił nad sobą kontroli i nie uderzył tego aroganckiego gówniarza, który za całe doświadczenie miał pobyt w jakichś strzeżonych koszarach na północy Włoch, gdzie uczono go tylko teorii. Może był to efekt koszmaru, w którym coraz bardziej się pogrążał. Patrzył zbity z tropu to na jednego, to na drugiego z siedzących przed nim obcych mężczyzn.

Dlaczego jego kontakty z karabinierami zawsze były takie burzliwe?

Sądził, że definitywnie zostawił już za sobą tamte, odległe czasy, kiedy będąc bardzo młodym komisarzem, stawiał swoje pierwsze kroki jako śledczy. To było w Catanzaro. Jego szef kazał mu zatrzymać człowieka, zalecając:

- Idź tam po dwudziestej wieczorem, bo ten człowiek jest na zwolnieniu warunkowym. Po tej godzinie musi być w domu.

Ten „człowiek” to był znany boss mafii, a Ferrara szedł do tamtego domu z drżeniem i determinacją, jaka zawsze towarzyszy pierwszym poważnym zadaniom. Zapukał do drzwi. Otworzyła skromna, niewielka kobieta i powiedziała, że męża nie ma w domu.

- To niemożliwe, jest na zwolnieniu warunkowym, o tej porze powinien być w domu!

- Jest u karabinierów z adwokatem, proszę pana - odpowiedziała kobieta.

Tak więc i on poszedł do karabinierów. Natychmiast. Strażnik usiłował go zatrzymać, mówiąc, że komendant jest zajęty i nie można mu przeszkadzać, ale Ferrara to zignorował. W biurze komendanta zdziwionego i poirytowanego jego wtargnięciem zobaczył dwóch mężczyzn ubranych w ciemne prążkowane garnitury. Nie wiedział, którego z nich przyszedł aresztować.

Zignorował też oficera karabinierów i zwrócił się bezpośrednio do mężczyzny, w którym, podszedłszy, rozpoznał szefa mafii.

- Musi pan pójść z nami, mamy rozkaz zatrzymania do zakończenia kary, muszę zabrać pana do więzienia.

- Wiedziałem o tym, ale nie mogę pójść z panem, przyszedłem z adwokatem, aby dostarczyć zaświadczenie lekarskie - odpowiedział tamten pewnym siebie tonem.

- Jest pan tu, a nie w domu, w swoim łóżku, i tak jak pan przyszedł tu, w ten sam sposób teraz pójdzie pan ze mną - odparł podniesionym pewnym i zdeterminowanym głosem.

- Miałem operację chirurgiczną i jestem cały pozszywany, nie mogę jechać samochodem... gdyby coś mi się stało, będzie pan za to odpowiadał -

odpowiedział mafioso, patrząc na niego z groźbą w oczach.

- Odpowiadam za siebie, proszę się nie niepokoić, a teraz pójdzie pan z nami.

W tym momencie sierżant stojący za biurkiem, który dotąd milczał, zaprotestował.

- Ależ, komisarzu...

On jednak nie pozwolił mu dokończyć zdania.

- Kapralu, proszę założyć kajdanki, tracimy czas - rozkazał podwładnemu, który stał obok.

Trzęsienie ziemi, które nastąpiło po tym źle przez karabinierów przyjętym fakcie, bo boss mafii został aresztowany u nich, ale nie przez nich, zostało zażegnane z wielkim trudem przez szefa wydziału śledczego z Reggio di Calabria, który przekonał go, że również sierżant karabinierów podpisze się pod protokołem z aresztowania.

- Tylko dlatego, że pan mi daje takie polecenie, jest pan moim zwierzchnikiem - skomentował Ferrara. - Gdyby to zależało ode mnie, nie pozwoliłbym mu na to, ale wykonam rozkaz.

- Powie nam pan, co to za człowiek, ten pański przyjaciel?

Głos kapitana dotarł do niego jakby z bardzo daleka i wyrwał go ze wspomnień, które tak nagle zawładnęły jego myślami.

- Proszę mi powiedzieć, kapitanie, czy to jest przesłuchanie? - zapytał z niedowierzaniem.

Zawsze to on przesłuchiwał i nigdy jeszcze nie był przesłuchiwany. To był jakiś koszmar.

- Nieoficjalne, komisarzu... Na razie wystarczą nam informacje uzyskane nieformalnie, a pan przyszedł sam, chyba że...

- Chyba że co? - zapytał Ferrara, widząc, że kapitan chce uzyskać trochę czasu na dokończenie zdania.

- Chyba że zastępca prokuratora, który koordynuje działania, uzna za konieczne, by zaprotokołować pańskie deklaracje, ale w takim wypadku

zawiadomimy pana w odpowiednim czasie.

Zawiadomimy pana w odpowiednim czasie! Nie, zadzwonimy czy coś w tym rodzaju. Nie mogło być bardziej formalnych słów niż te, które zostały w tej chwili wypowiedziane. Poczł je jak cios w żołądek. Dla niego, człowieka prawa, znaczyło to, że w razie gdyby magistrat zechciał sformalizować jego oświadczenie, otrzymałby z trzydniowym wyprzedzeniem pisemne wezwanie do stawienia się osobiście jako osoba mająca wiedzę na temat zaistniałych faktów, jak się to czyni w zwykłej procedurze karnej.

- Nie mam z tym żadnych problemów, kapitanie, i przyszedłem tu z własnej woli, aby poinformować was o tym, co wiem na temat Massima Vergi, w nadziei, że to pomoże w dochodzeniu, mam nadzieję, szybkim i sprawnym. Chcę wam pomóc uniknąć fałszywych tropów. I przypominam, że jako śledczy, a na dodatek zwierzchnik wydziału śledczego, jak pan sam pewnie wie, przy niektórych przestępstwach mam władzę także na waszym terytorium.

- Oczywiście, że wiemy, komisarzu - uciał kapitan Fulvi rozdrażniony aluzją do szybkości śledztwa, która mogła być krytyką jego osoby - ale w tym przypadku śledztwo leży tylko i wyłącznie w kompetencjach naszego korpusu. Otrzymaliśmy wyłączność od zastępcy prokuratora Lupy z prokuratury w Lukce. Dziękujemy, ale nie potrzebujemy współpracy z pana wydziałem... Posiłki możemy wezwać, jeżeli będzie taka potrzeba, ale z własnych specjalnych sił operacyjnych.

Nazwisko zastępcy prokuratora, którego znał, trochę go uspokoiło, ale wolał tego po sobie nie pokazywać i ściszył nieco głos, chcąc jak najszybciej znaleźć wyjście z sytuacji, która zaczynała się ocierać o groteskę.

- Kapitanie, niech pan mi powie, co chce pan wiedzieć - powiedział z wymuszoną rezygnacją, wracając do początku spotkania - jestem do dyspozycji.

- Dobrze, komisarzu, powtarzam pytanie: Jakim człowiekiem jest pański przyjaciel, Massimo Verga?

W tym momencie sierżant wyjął z szuflady kilka kartek i pióro gotów protokołować odpowiedzi komisarza. Mimo że nie chodziło o prawdziwe przesłuchanie, wszystko, co zostanie powiedziane, będzie ujęte w sprawozdaniu dla policji sądowej, podpisane przez tych dwóch karabinierów. Taką notatkę służbową otrzyma prokurator, który zajmuje się dochodzeniem.

- Dla mnie i dla wielu osób, które go znają, to wspaniały, szanowany człowiek, dużo pracuje, od lat jest właścicielem księgarni w historycznym centrum Florencji, księgarni dobrze zaopatrzonej, odwiedzanej przede wszystkim przez ludzi kultury. On sam jest także osobą o wysokiej kulturze. Nigdy nie miał kłopotów z prawem oprócz pewnego młodzieńczego ekscesu, zupełnie bez znaczenia, który sierżant już sprawdził, a jeżeli nie, to mogą dostarczyć materiały.

- Pańskim zdaniem, czy mógł mieć jakieś niejasne powiązania? - kontynuował kapitan, ignorując docinek.

Czyżby chodziło między innymi o niego? - zastanowił się gorzko Ferrara.

- O niczym nie wiem, gdybym coś takiego podejrzewał, nigdy bym się z nim nie spotykał.

Kapitan skinął głową, a komisarz miał wrażenie, że zrozumiał niestosowność swojego pytania skierowanego do policjanta, a na dodatek szefa wydziału śledczego. Renato Fulvi zamilkł, jakby zastanawiał nad kolejnym pytaniem. Potem wymienił z sierżantem Belsitem szybkie spojrzenie i to tamten tym razem zapytał:

- Czy między pańskim przyjacielem a panią Simonettą Palladiani coś było? O to chodzi, pomyślał Ferrara.

- Nie, ale wcale by mnie to nie zdziwiło, sam pan powiedział przez telefon, że byli kochankami.

Nie umknęło mu pełne wyrzutu spojrzenie kapitana skierowane do sierżanta. Byli tacy sami, jeżeli chodzi o mimowolne udzielanie informacji, pomyślał.

- Pan Verga nigdy się nie ożenił i miał wiele przygód miłosnych. Ma

słabość do kobiet, jak zresztą wielu Włochów, ale nie wydaje mi się, żeby było to przestępstwem, a jego towarzyski... nigdy nie były jakoś specjalnie podejrzane.

- Tak, ale cudzołóstwo może powodować kłopoty - przerwał kapitan. - Pani Palladiani była kobietą zamężną.

- Z tego, co pisze dzisiaj „Tirreno”, właściwie nie, ona i mąż żyli w separacji, jak mi się wydaje.

Kapitan popatrzył na niego chyba po raz pierwszy z odrobiną sympatii.

- Nie sądzi pan, że usiłuje się pan chwytać brzytwy, komisarzy? - powiedział sierżant. - Małżeństwo istniało, lecz nie wiemy, jakie dokładnie były między nimi stosunki. Dowiemy się tego, ale w tej chwili wiemy tylko tyle, że owej nocy w willi na via Roma - (dwa do jednego dla sierżanta, pomyślał Ferrara, który nawet tego nie wiedział) - byli tylko we troje. Mąż, żona i kochanek. Jedno z tej trójki nie żyje, dwoje pozostałych zniknęło.

Będąc na jego miejscu, on też wyciągnąłby podobne konkluzje, które rzeczywiście same się narzucały.

- To niemożliwe, sierżancie, pan Verga nie jest kryminalistą i nigdy, naprawdę nigdy...

- Co?

- Pan Verga nie byłby w stanie skrzywdzić nawet przysłowiowej muchy, proszę mi wierzyć.

- Wie pan, gdzie możemy go znaleźć? Wie pan coś, o kimś, kto może mu pomóc w Toskanii albo gdzieś indziej, gdzie mógł się schronić? - zapytał kapitan, sprawiając wrażenie, że chce sam kontynuować rozmowę, która stawała się przesłuchaniem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Pan Verga nie ma tajemnic i to, że zniknął, bardzo mnie niepokoi. Bardzo. Jeżeli nie uda się wam go znaleźć, to znaczy, że prawdopodobnie stało mu się coś złego. Rozumie pan, kapitanie? To jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby nie dawał znaku życia.

Jego ton był tak złośliwy, że kapitan zrobił przerwę, zanim znów się

odezwał.

- Wczoraj w nocy patrol szukał go w domu we Florencji, ale nikogo tam nie było.

- Mieszka sam, kapitanie.

- Nie ma rodziny we Florencji?

- Nie, jedyna rodzina mieszka w Katanii, gdzie się urodził.

- Już zawiadomiliśmy kolegów z Sycylii - doprecyzował kapitan.

- Ale, jeśli mogę zapytać, naprawdę myślicie, że Ugo Palladiani został zabity?

Nastąpiła kolejna przerwa, tym razem nieco dłuższa.

- Jesteśmy tego pewni.

Ferrarze czegoś brakowało.

- Ze względu na?

Fulvi pomyślał przez chwilę, potem odpowiedział, wyraźnie skandując słowa:

- Komisarzu, chyba się źle zrozumieliśmy. To my tu zadajemy pytania!

Tyle wystarczyło, by wybuchła cała frustracja związana z tym absurdalnym spotkaniem.

- Kapitanie, ma pan całkowitą rację. Nie zrozumieliśmy się - zaczął mówić coraz głośniej, nie będąc pewnym, dokąd go to zaprowadzi. - Na początek chcę powiedzieć, że zapomniał pan, iż nie jestem jakimś vuccump⁵, bo tak mnie pan traktuje. Ponadto nie jestem też złodziejem kieszonkowym czy zagrożeniem dla spokoju publicznego. Jestem szefem wydziału śledczego we Florencji, który nie może tolerować, żeby przedstawiciel sił porządkowych zabawiał się, dręcząc go z arogancją, podczas gdy niewinny człowiek jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli w ogóle jeszcze żyje. Gratuluję szybkości działania!



- Nie pozwalam, komisarzu! - rzekł tamten, czerwieniejąc na twarzy.

- Spotkanie zakończone i nie omieszkam przekazać swoich wniosków prokuratorowi generalnemu, jeżeli będzie trzeba.

- To będzie nas dwóch.
- Zobaczymy, kto wygra!
- Jedź całą via Roma i zatrzymaj się, jak zobaczysz karabinierów -
powiedział Ferrara do kierowcy.

Był wściekły. Nie było trudno znaleźć willę pilnowaną przez strażników, ale to było bez znaczenia. Spoza wysokiego muru wystawała bariera z tkaniny na metalowych rusztowaniach, która kompletnie zasłaniała widok. Zdecydował, że będzie musiał tu jeszcze wrócić.

⊕ XI ⊕

Mimo koguta i syreny ponad półtorej godziny zajął mu powrót do biura. W trakcie jazdy odebrał telefon od Petry i od Rity Senesi. Pierwszej opowiedział wszystko, drugiej, że on także jeszcze nie rozmawiał z Massimem, ale robi, co może, i nie powinna się niepokoić. Idiotyczne i bezsensowne zalecenie, ale nie czuł się jeszcze na siłach, aby jej wszystko opowiedzieć. Wzmógłby bardziej jej niepokój, dołączając do tego swój własny.

Zadzwoił do Fantiego, ale nie było go w siedzibie, poprosił o numer redakcji „Tirreno”. Po męczącej rozmowie z redaktorem naczelnym, a potem z dyrektorem gazety potwierdził, że C.P. to były rzeczywiście inicjały Claudii Pizzi, która tego dnia była służbowo poza biurem. Udało mu się zdobyć numer komórkowy i domowy dziennikarki. Nagrał na jej sekretarkę wiadomość, by niezwłocznie oddzwoniła.

Był nadal wściekły, kiedy dotarł do prefektury. Przebiegł korytarze jak cyklon, wrzeszcząc, zanim przekroczył jeszcze próg swojego biura:

- Fanti!

Nadinspektor nie odpowiedział.

- No gdzie, do diabła, się podział?

Było jasne, że nadinspektora w biurze nie ma. Była za to notatka, że przez całe przedpołudnie będzie nieobecny w związku z testami (a już prawie trzecia po południu, stwierdził komisarz) i że doktor Francesco Leone dwa razy o niego pytał.

- No właśnie - powiedział do siebie półgłosem, przypominając sobie niechętnie, że istniała przecież sprawa dziewczyny, którą trzeba było rozwiązać. - Operacja Stella! - wyszczał z wyraźnym sarkazmem. Zadzwoił do lekarza sądowego z nadzieją, że ten odkrył coś, co mogłoby w cudowny

sposób rozwiązać sprawę i pozwolić mu zająć się zaginionym przyjacielem. -
Dziękuję za raport, doktorze. Był mi bardzo pomocny.

- Nie ma za co, mam nowe wiadomości o dziewczynie.

- O Stelli.

- A, tak miała na imię?

W tej chwili Fanti pojawił się na chwilę, pozdrowił go gestem i poszedł do swojego pokoju włączyć komputer.

- Nie, nie wiem, ale tu zdecydowaliśmy się tak ją nazywać.

- Cieszę się. Tak więc Stella nie była narkomanką, to zostało już dowiedzione.

- Skąd pan wie?

- Z analizy włosów i badań toksykologicznych, dopiero co je zrobiliśmy. U osób uzależnionych narkotyki odkładają się we włosach. Jej włosy były czyste, prawie anielskie. To samo, jeżeli chodzi o badanie żółci i wątroby, które nie wykazują żadnych śladów nałogu. Była czysta, komisarzu. Żółć i wątroba wykazują obecność minimalnych śladów metabolitów kokainy, dokładnie benzoekogniny, co oznacza, że w ostatnim czasie zażywała opiaty. Jak ją pan nazwał?

- Stella, doktorze.

- Właśnie, Stella zażyła także kokainę.

- To jest potwierdzenie w związku ze śladem na błonie śluzowej nosa.

- Właśnie.

Ferrara słyszał wyraźnie, z jaką szybkością nadinspektor uderzał w klawisze komputera w pokoju obok, tak cienkie dzieliły je ściany.

- Czyli została odurzona i zgwałcona.

- Musiałby pan to udowodnić, ja podaję tylko fakty, a wy wyciągacie z nich wnioski.

- Nic innego?

- A to nie wystarczy?

- Aż za bardzo. Dziękuję, Leone.

- To był mój obowiązek.



Ktoś zapukał do drzwi, kiedy Ferrara odkładał słuchawkę.

- Fanti, kto to? - krzyknął i dodał szybko: - Fanti, można wiedzieć, gdzie byłeś?

Nadinspektor pobiegł do drzwi potem wrócił do biurka komisarza.

- To inspektor Violante - powiedział ze smutną miną.

- Niech wejdzie, ale najpierw powiedz, gdzie, do diabła, byłeś.

- Szukałem dowodów co do tej Palladiani, co mi szef kazał - powiedział półgłosem.

- A, tak, świetnie, czego się dowiedziałeś?

- Różnych rzeczy, szefie.

- Mów.

- Teraz? A inspektor Violante? Ja jeszcze spisuję wszystko, cały materiał, jeżeli pan chce, mogę przygotować raport wstępny. Będzie gotowy najpóźniej za pół godziny.

- Zgoda, wpuść go, ale przynieś mi ten materiał, jak tylko Violante wyjdzie.

- Dobrze, szefie.



- Dzień dobry, komisarzu - powitał go inspektor, siadając.

- Tak pan sądzi?

- Proszę? - zdziwił się Violante, który nie zrozumiał albo prawdopodobnie nie dosłyszał.

- Mówię - sprecyzował Ferrara, podnosząc głos - wydaje się panu taki dobry? Mnie wydaje się naprawdę paskudny! Ale dajmy spokój, ma pan jakieś dobre wiadomości?

- No więc, szefie, dostałem wreszcie odpowiedź z Telecomu. Wiele razy dziś do nich dzwoniłem.

Ferrara musiał przez chwilę pomyśleć, aby wrócić do sprawy Stelli. Pomagał sobie, przeglądając korespondencję, jaką jego podwładny prowadził

z prokuraturą główną i firmą telekomunikacyjną. Zauważył, że prokurator Giulietti przekazała kopię zarządzeń swojej koleżance, zastępcy prokuratora, Erminii Cosenza, która interesowała się sprawami śmierci z przedawkowania, których śledztwo prowadził wydział narkotykowy. Ucieszył się, bo zdawał sobie sprawę, jak ważna była koordynacja śledztwa pomiędzy prokuratorami, którzy zajmują się w tym samym momencie sprawami pozornie odrębnymi, a które w rzeczywistości mogły mieć coś ze sobą wspólnego.

- Dobrze, niech pan mówi dalej, słucham - powiedział do Violante, który zamilkł, widząc, że komisarz czyta.

- Ten, kto telefonował, dzwonił z publicznej kabiny telefonicznej, która znajduje się kilkaset metrów od miejsca, gdzie Stelli udzielano pierwszej pomocy. Niedaleko od baru, który w momencie pojawienia się ratowników był jeszcze zamknięty. Użyto karty telefonicznej o nominale pięciu tysięcy lirów, której numer seryjny podał nam Telecom.

- Doskonale, udało wam się znaleźć właściciela?

- Niestety, jeszcze nie, karty nie są opatrzone nazwiskiem,

- Oczywiście, ale robi się je po to, by były używane.

Violante popatrzył na niego nieobecny wzrokiem.

- Musi pan natychmiast wystąpić o jeszcze jeden nakaz.

- Proszę mówić, szefie.

- Poproś o rekwizycję billingów, by sprawdzić, gdzie dzwono przed i po tym połączeniu, które nas interesuje, a o którym wiemy na pewno, że miało miejsce dwudziestego dziewiątego lipca o szóstej czterdzieści pięć.

Inspektor zaczynał rozumieć. Kilka lat wcześniej komisarzowi udało się zidentyfikować mordercę prostytutki właśnie dzięki tego typu badaniom, ale w tamtym przypadku morderca głupio się zachował, dzwoniąc do żony, a potem do ofiary, tuż przed tym, jak udał się do niej, by ją zabić, a teraz chodziło o zwykłe, anonimowe zawiadomienie. Może dlatego Violante o tym sam nie pomyślał.

- Tuż przed i tuż po, to znaczy? - zapytał.

- Co najmniej pół godziny przed i pół godziny po - doprecyzował komisarz.

- Doskonale, zrobię to natychmiast, ale minie kilka dni, może tydzień, zanim dostanę odpowiedź.

To była prawda, ten typ spraw wymagał zawsze kilku dni, czas był konieczny do sprawdzenia danych w komputerach firmy telefonicznej. Na dodatek jeżeli pracownicy Telecomu sądzili, że chodzi o śledztwo na temat na przykład nękania telefonami albo coś w tym rodzaju, nie spieszyli się.

- Cierpliwości, Violante, im szybciej złożymy podanie, tym szybciej przyjdzie odpowiedź... poza tym dzwoń do nich bez przerwy, podkreślając za każdym razem, że chodzi o śledztwo w związku z bardzo poważnym przestępstwem.

- Dobrze szefie - powiedział inspektor, chcąc wstać.

- Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem.

- Tak, szefie?

- Poproś jeszcze o billingi z tej karty, żeby się zorientować, czy była używana wcześniej lub później, także z innych telefonów, i z jakimi numerami się łączyła.

- Na rozkaz!

Violante wyszedł z pokoju.

Wszedł Fanti i podał mu swój raport, mówiąc:

- Zechciałby się pan napić kawy, szefie?

Dopiero teraz Ferrara zdał sobie sprawę, że jeszcze nic nie jadł ani przez cały dzień nie pił kawy. Nawet tej grzeczności nie zrobili mu karabinierzy.

- Dlaczego nie? Ale jakbyś jeszcze znalazł dla mnie jakąś kanapkę - odpowiedział, starając się uśmiechnąć i skorzystać z tej chwili przerwy, by się rozluźnić - i niech to będzie dobra kawa, co, Fanti?

- Dobra... Taka jak zawsze, szefie - odpowiedział nadinspektor, wracając do swojego biura.

Smak kawy, którą przygotowywał Fanti, niestety, nie zawsze był taki sam.

Kiedy w przeszłości Ferrara zwrócił mu na to uwagę, zamiast odpowiedzi otrzymał uśmiech i tajemniczy grymas, jakby miał jakąś tajemnicę, której nie zdradzi nawet na torturach. Jednak pewnego dnia uległ presji i wytłumaczył, że używa różnych mieszanek przeróżnych marek, które miesza przed wsypaniem do filtra. To była mieszanka mieszanek, tajemnica i przyczyna zmiennych, nie zawsze dobrych smaków kawy, którą zawsze z wielką uprzejmością serwował swojemu komisarzowi.

To był sekretarz jedyny w swoim rodzaju, pomyślał wtedy z uśmiechem Ferrara, szczęście, że sobie go znalazł, bo kogoś takiego nie dałoby się nawet wymyślić.

Czekając na kawę, otworzył teczkę. To wspomnienie trochę go rozweseliło. Pograżony w lekturze zjadł bułkę z szynką i wypił kawę, która była lekka i nieco za słaba. Fanti nie ośmielił się mu przerwać, wchodząc prawie na palcach i stawiając przed nim na biurku tacę.

UGO PALLADIANI / SIMONETTA TONELLI PALLADIANI

Akta biurowe i relacje

Podmiot numer 1

Ugo Palladiani, syn Folca, urodzony we Florencji 30.01.1940, tam także zamieszkały, ma adres stały na via della Vigna Nuova 680.

Dowód osobisty AE 6149065 wydany przez Urząd Miejski we Florencji.

Paszport B 031285 wydany przez Prefekturę Policji we Florencji

Prawo jazdy AB F10784612 Książeczka wojskowa 468905 79 Różne: patrz zał. C

RELACJA

Podmiot, w którego sprawie toczy się śledztwo, pochodzi z florenckiej rodziny bogatych handlowców działających na rynku tekstyliami. Jest jedynym dzieckiem. Uczęszczał do Liceum Klasycznego im. C. Cavoura w

latach 1954-1958. Uniwersytet Bocconi w Mediolanie w latach 1959-1963.

Studia przerwane z powodu śmierci rodzica. Zajął się rodzinną firmą przechodzącą kryzys. Firma została poddana procedurze upadłościowej (patrz zał. B podrozdział 4) w roku 1965.

1965-1976: - BRAKUJE INFORMACJI (PODEJRZEWA SIĘ, ŻE PROWADZIŁ „HULASZCZY” TRYB ŻYCIA).

1976: poślubił Susannę Spotorno, bogatą rzymską przedsiębiorczynię handlową, właścicielkę dwóch sklepów z konfekcją w stolicy. Jeden sklep na largo Argentina, drugi na via Cola di Rienzo.

Po ślubie podmiot na krótko, ale z sukcesem zajął się produkcją odzieży (nadal są to lata kryzysu Gucciego i wydaje się, że Ugo Palladiani zrozumiał, że nowym polem rozwoju mogą być ubrania „swobodne”, co w rzeczywistości miało miejsce. Wydaje się też, że nie umiał jednak dostosować się do lat osiemdziesiątych, kiedy pojawiła się tendencja do produkcji odzieży codziennej autorskiej, tak zwanej markowej. Nadal utrzymywał niefirmowaną produkcję masową, co doprowadziło firmę do upadku z korzyścią dla bardziej prestiżowych marek, które w tym okresie zawojowały rynek). Kolejne bankructwo finansowe nie przeszkadzało mu prowadzić wystawnego życia (patrz zał. C podrozdział 2). 1986: rozwód z Susanną Spotorno.

1989: ślub z Simonettą Tonelli (czyt. podmiot 2).

1991: ogłoszenie bankructwa przez sąd we Florencji (patrz zał. B podrozdział 1). (Ogłoszenie o sytuacji debetowej podmiotu).

1994: podmiot spłaca wierzytelności i zakłada firmę UP Communications Srl z siedzibą na via Vigna Nuova 680, firmę zajmującą się sprawami public relations. Zbilansował wszystkie pieniądze w 2000 roku.

Podmiot numer 2

SIMONETTA TONELLI, po mężu PALLADIANI urodzona w Carrarze 14.04.1967, zameldowana w Marina di Pietrasanta (prowincja Lukka)

zamieszkała na via Roma, 135. Dowód osobisty, potrzebne dane z Comune di Pietrasanta 7.08.01.

Paszport B 031285 wystawiony przez Prefekturę Policji w Lukce 7.08.01.

Zezwolenie na broń - brak.

Różne: patrz zał. D

RELACJA

Podmiotem numer 2 śledztwa jest kobieta światowa (patrz zał. D). W śledztwie nie ustalono danych dotyczących rodziny i wykształcenia.

1989: ślub z Ugo Palladianim.

1996: przeniesienie zameldowania z Florencji do Marina di Pietrasanta. Aktywny udział w życiu kulturalnym Versilii (małżeństwo cywilne trwa do chwili obecnej). Zachowuje przyjacielskie kontakty z mężem (patrz zał. C do D).

Jak wynika z tego, co powyżej napisałem, w notatce służbowej zleconej mi przez Pana samego.

Podpisano: NADINSPEKTOR NESTORE FANTI

Florencja, wtorek 7 sierpnia 2001.

Załącznik A był to stary paszport, którego ważność już upłynęła, a oddany przez właściciela występującego o nowy dokument. Otworzył go. Długo i uważnie przyglądał się zdjęciu. Twarz zadbana mimo wieku, swobodna i spokojna. Wyglądał na osobę bardzo dbającą o swój wygląd. Miał dość długie, siwawe włosy jak artysta, jak jeden z tych mężczyzn przekonanych, że są ciągle młodzi, ale jego twarz nic mu nie mówiła. Z pewnością nigdy go nie spotkał, bo jego fotograficzna pamięć nigdy go jeszcze nie zawiodła. Było jednak w tym coś dziwnego, głównie nazwisko...

Inne załączniki stanowiły zgłoszenie o posiadaniu trzech strzelb łowieckich i karty myśliwego, zgłoszenie o kradzieży samochodu marki Mercedes CLK, które nastąpiło dwa lata wcześniej, bilanse, wyroki sądu rodzinnego i różne wycinki z gazet (załączniki C i D), które opisywały go w różnych sytuacjach i okazjach, samego lub w towarzystwie żony. Teraz mówiło się tylko o wydarzeniach z Versilii, gdzie kobieta pojawiała się z różnymi osobami, nigdy z mężem.

Simonetta Palladiani była bez wątpienia bardzo piękną kobietą, wysoką i zmysłową. Na niektórych zdjęciach wyglądała bardziej na córkę niż żonę tego florenckiego pijarowca.

Znając dokładność i skrupulatność nadinspektora, komisarz nie mógł nie zastanawiać się, jak zebrał taki ogrom informacji w mniej niż dwadzieścia cztery godziny, a pewnie było to zaledwie sześć czy siedem, jeżeli posłuchał jego rady i poszedł spać poprzedniej nocy.

To była doskonała praca. Komisarz zazwyczaj oszczędny w pochwałach, tym razem nie mógł mu nie pogratulować.

- Fanti! - zawołał.

- Na rozkaz - odpowiedział sekretarz, materializując się z pełnym niepokoju oczekiwaniem.

- Doskonała praca, naprawdę, gratulacje, Fanti!

Nadinspektor wyraźnie się zarumienił.

- Jeszcze nie skończyłem, szefie.

- Widziałem, ale nie przejmuj się, raczej powiedz, jakim cudem zdobyłeś te informacje, oprócz tego, co mówią dokumenty? Odnoszę się do tego, co jest podpisane „notka redakcyjna”. Historia tej firmy odzieżowej jest tak dokładna... Od kogo się dowiedziałeś?

- Od sąsiadki, hrabiny Servi - odpowiedział z zasłużoną dumą - to ta starsza dama, która była u nas złożyć zawiadomienie o kradzieży w mieszkaniu. Pamięta ją pan?

Komisarz bardzo dobrze pamiętał zwawą staruszkę ubraną tak, jak ubierały

się panie z dobrych rodzin jakiś czas temu, którą prefekt odesłał do niego, chcąc się jej pozbyć.

- Hrabina Servi - ciągnął Fanti - mieszka w tym samym budynku, w którym mieszka Ugo Palladiani, nawet na tym samym piętrze.

- Mieszkał - poprawił go komisarz.

- Mieszkał, tak, szefie.

- To także siedziba jego firmy? Tak?

- Nie, siedziba firmy jest na parterze, podczas gdy mieszkania są na drugim piętrze.

- Byłeś tam?

- Nie, to znaczy tak, ale było zamknięte z powodu urlopu.

- Firma doskonale prosperuje, jak wynika z rachunków. Kto wie, jakim cudem udało mu się pozbierać po tylu bankructwach...

- Może druga żona była bogata?

- Niewiele o niej tu jest.

- Nadal badam sprawę.

- Hrabina ci nie powiedziała?

- Czego?

- Czy była bogata.

- Nie zapytałem - przyznał zmartwiony.

- Nic się nie stało, nie przejmuj się. Wykonałeś kawał dobrej roboty, już ci to mówiłem.

- Dziękuję, szefie.

Ferrara zamilkł zatopiony w myślach.

- Mogę odejść?

- Oczywiście, a tak, chwileczkę, Fanti.

- O co chodzi, szefie?

- Trzeba znaleźć komisarza Rizza, powiedz mu, że mi przykro, ale musi przerwać urlop i jak najszybciej wrócić do biura.

- Jak najszybciej? Kiedy?

- Kiedy tylko to będzie możliwe. Fanti, najlepiej natychmiast.
- Zaraz się tym zajmę, szefie.

Wyszedł z pokoju.



Ferrara znów wziął w rękę dossier i skoncentrował się na sprawach finansowych podmiotu numer jeden, jak go nazywał jego sekretarz. Trudno mu było zrozumieć, jak temu człowiekowi udało się podnieść po tak druzgocącej klęsce, która położyłaby na łopatki o wiele bardziej doświadczonych przedsiębiorców niż tacy, na jakiego wyglądał Palladiani aż do utworzenia UP Communications, nawet przy pomocy bogatej żony.

A jeżeli Ugo Palladiani był ofiarą szantażu i nie mogąc spłacić długów, został zlikwidowany? Zastanawiał się. Była to hipoteza wcale niewykluczona, zważywszy na wiele tego typu przypadków, które pojawiały się z niepokojącą częstotliwością, ale tylko hipoteza. Miała ten plus, że mogła oczyścić z podejrzeń Massima. Znalezienie go i to żywego to była już inna sprawa, pomyślał ze ściśniętym sercem.

Odpędził tę ostatnią myśl i zagłębił się w pracy operacyjnej. Najpierw trzeba było sprawdzić, czy Simonetta Tonelli była kobietą zamożną. Może warto byłoby pogawędzić z hrabiną Servi, która, jak się wydawało, mogła naprawdę dużo wiedzieć.

- Fanti! - zawołał.
- Szefie, szukam Rizza, jeszcze nie udało mi się go znaleźć...
- Próbuj dalej, ale nie po to cię wołam.
- Tak, szefie?
- Zadzwoń do hrabiny i zapytaj, czy mogę ją odwiedzić. W ciągu dnia, jeśli to możliwe.
- Już dzwonię.

Kiedy sekretarz dzwonił, on spojrzął na zegarek, wzdychając. Była szesnasta zero jeden.

Pora, by zadzwonić do Rity Senesi i powiedzieć jej, jak się rzeczy mają. Inaczej ona sama zadzwoni.

⊕ XII ⊕

Kazał się wysadzić w głębi via Cavour, zły na przechodniów, którzy zmuszali kierowcę do ciągłego zwalniania.

Przeciął kolejkę turystów przed Santa Maria del Fiore, powtarzając głośno: **PARDON, EXCUSE ME, BITTE, PERMISO!** I myśląc, że wkrótce będzie musiał umieć powiedzieć to także po japońsku, a może i po chińsku, obszedł baptysterium jak żeglarz płynący po morzu podczas burzy. Z chaotycznym bałaganem, który kłócił się z harmonijnymi liniami architektury Giotto i Brunelleschiego, mieszała się spotęgowana upałem woń końskiego obornika pozostawianego na ulicy przez ciągnące dorożki konie.

Doszedł na via Strozzi, przechodząc z placu Republiki i z rogu via dei Vecchietti nazywanej Canto del Diavolo, rzucił okiem na ponurego diabełka z Giambologna, zastanawiając się, czy on także czuje się zagubiony w tej powodzi ludzi, albo czy przypadkiem to właśnie on ich nie wezwał, by ze swojej uprzywilejowanej pozycji napawać się ich widokiem.

Budynek na via della Vigna Nuova był imponujący, masywny i wyniosły tak jak wspaniała była sama ulica, dziś serce miasta, którą w 1477 roku Wawrzyniec I Wspaniały, miłośnik dobrego wina i jadła, nazwał na cześć winorośli, tak jak via Vigna Nuova istniała więc i via Vigna Vecchia.

Odźwierny, tęgi i wyraźnie zmęczony upałem, zostawił marynarkę w dyżurce i ubrany jedynie w koszulę siedział pod jednym ze skrzydeł bramy z lekko otępiełym wzrokiem. Wskazał mu piętro, nie pytając nawet, kim jest. Winda pachniała drewnem i wznosiła się, skrzypiąc w ciężkiej klatce z czarnego metalu ozdobionej pięknie kutymi dekoracjami. Wewnątrz znajdowała się ławeczka obszyta czerwonym, przetartym welurem, która Ferrarze wydała się bardzo potrzebna ze względu na to, w jakim tempie

poruszała się winda.

Otworzył mu ciemnoskóry mężczyzna w białej liberii i poprowadził do eleganckiego, przyjemnie klimatyzowanego salonu umeblowanego florenckimi dziewiętnastowiecznymi antykami. Na ścianach wisiały wielkie lustra ukazujące odbite w nich antyczne obrazy, przede wszystkim pejzaże i sceny religijne.

- Jest pan doskonale punktualny, komisarzu, niech pan siada - przyjęła go hrabina Servi, odsyłając lekkim skinieniem głowy służącego.

Natychmiast pojawiła się kobieta w białym fartuszkach i czepeczku na głowie. Kobieta miała oliwkową cerę i orientalne rysy. Postawiła na dużym, kryształowym stoliku obok sofy srebrną tacę z filiżankami, imbryk i ciasteczka.

- Przyszedł pan w samą porę, nienawidzę sama pić herbaty - stwierdziła hrabina, kiedy pokojowa nalała pięknie pachnącego napoju do filiżanek i oddaliła się w ciszy. - A może woli pan kawę?

- Herbata będzie doskonała, dziękuję, hrabino - odpowiedział komisarz.

Pamiętał ją doskonale, niewielka, koścista, o jasnej karnacji, której nie zdołał ukryć dyskretny makijaż. Włosy miała odrobinę niebieskawe i doskonale ułożone, jakby właśnie przyszła od fryzjera. Miała na sobie jasne, jedwabne ubranie i kilka dyskretnych klejnotów, które nie wyglądały na bardzo drogie. Nie oszałamiały.

- Mam nadzieję, że te ciasteczka, które pochodzą z Sieny, będą panu smakować, komisarzu.

Miała kokieteryjny wyraz twarzy, oczy wesołe i świetliste.

- Oczywiście.

- Proszę, komisarzu, niech się pan częstuje. Zawsze miło jest być w towarzystwie ludzi cywilizowanych, a coraz rzadziej się to zdarza, nie uważa pan? Coraz mniej wychodzę z domu, nie licząc uroczystości, coraz bardziej bezsensownych i nudnych, to już nie to, co dawniej... Żyjemy teraz w złym świecie, drogi komisarzu, i będzie jeszcze gorzej, mówi to panu ktoś, kto

kiedy tylko mógł, bywał wszędzie... kiedy żył mój mąż. Ten paskudny świat jest coraz bliżej, dziś już nie ma spokoju nawet w starych domowych murach. Wie pan, o czym mówię.

- Tak, oczywiście.

- Co za paskudne uczucie. Niemiło jest odkryć, że obcy ludzie grzebali w twoich rzeczach, nie mówiąc już o stratach... Nie wie pan, jak mi brakuje tych składanych wachlarzy z koziej skóry! Były częścią mojego życia, rzadka kolekcja, którą odziedziczyłam po rodzinie, wiedział pan?

- Tak, hrabino, wspomniała pani o tym w swoim doniesieniu.

- Naturalnie, oczywiście, ale tak mi przykro, a propos, są może jakieś nowiny?

- Jeszcze nic, ale pracujemy nad tym. Będą mieli problemy, aby je ukryć, prędzej czy później ich złapiemy, proszę być spokojną.

- Tak pan mówi?

- Zazwyczaj ten rodzaj kradzieży, jeżeli nie jest to kradzież na zlecenie, sprawia złodziejowi wiele kłopotu, kiedy chce się pozbyć łupu.

- Miejmy nadzieję, że jest tak, jak pan mówi, komisarzu, i że uda wam się je odzyskać... Byłabym naprawdę bardzo wdzięczna! Nie przyszedł pan jednak, żeby wysłuchiwać moich lamentów, niech pan powie, czemu zawdzięczam pańską miłą wizytę, czy mam zgadywać.

- Myślę, że dobrze pani zgaduje, hrabino. Chciałbym wrócić do spotkania, które miała pani z moim sekretarzem.

- Jeśli można, sądzę, że powiedziałam mu właściwie wszystko. Jaki to miły młodzieniec!

- Znała pani dobrze Ugo i Simonettę Palladianich?

- Dość dobrze. Nie spotykaliśmy się, jeżeli pan rozumie, co mam na myśli, ale mieszkam w tym domu od urodzenia, a Palladiani zawsze byli naszymi sąsiadami.

- Czyli pamięta pani, jak urodził się Ugo?

- Tak.

- Co to był za człowiek?

- Narwaniec, tak bym go określiła, piękny dzieciak, potem piękny młodzieniec, ale zepsuty. Potem piękny mężczyzna, ale nadal zepsuty! Kosztowne samochody, dziewczyny, takie rzeczy! I jak był młodszy, i jak był starszy też - zaśmiała się.

- Życie ludzi zamożnych. Mieli dużo pieniędzy?

- Rodzina tak, ale kiedy umarł Folco, ojciec, nie zostawił mu nic. Ugo wrócił zająć się firmą, ale raczej z marnymi rezultatami. Tak czy tak, nigdy jednak niczego mu nie brakowało.

- Z tego, co wiemy, miał dość zmienne szczęście i zdarzały mu się również... chude lata, zanim stworzył firmę zajmującą się public relations.

- Ale w życiu prywatnym powodziło mu się całkiem dobrze. Imprezy, przyjęcia jak u nababa, a co to jest to public relations. To jakiś poważny zawód? Niech pan powie...

Ferrara pominął pytanie.

- Czy jego druga żona jest bogata?

- Kto, miss miasteczka Forte dei Marmi? - wykrzyknęła hrabina, zanosząc się szczerym, rozbawionym śmiechem. - Ależ, komisarzu, takie byle co, bez wykształcenia, bez niczego, ładnusia tak, no, ale jak paniczek miał wybrać, to przecież musiała być ładna! Ale bogata? Wcale nie! Klasyczna panienka z okładki, która złapała starucha. Bez nazwiska... Tonelli jakoś tak się nazywała. Ojciec pijak, chyba górnik albo coś w tym rodzaju, gdzieś z okolicy, tam gdzie jest marmur. Nie, nie, komisarzu, Ugo Palladiani z tego związku z pewnością nie miał pieniędzy, może nawet było odwrotnie, proszę mi wierzyć.

- A jednak cudownie podniósł się po powa/nym kryzysie finansowym, kiedy upadła jego firma odzieżowa.

- Bardzo mi przykro, komisarzu, ale nie wiem, co powiedzieć, oprócz tego, że i ja byłam bardzo zdziwiona. Ktoś powiedział wtedy, nie pamiętam już kto, że musieli mu pomóc, ale z pewnością nie wiadomo ani kto, ani

dlaczego, przynajmniej ja nie wiem.

A przecież wyglądała na osobę bardzo ciekawską i dobrze poinformowaną. Nie powiedziała by „plotkara” z szacunku dla pozycji i wieku, ale pomyśleć, pomyślał.

- A kto mógłby to wiedzieć?

- Powiem panu, komisarzu, niech mi pan wierzy...

Jeżeli mnie nie udało się tego dowiedzieć, to nie ma żadnej nadziei. Taka była zakodowana wiadomość, która nie wykluczała, a może nawet nasilała zwyczajowe hipotezy.

- Hrabino - powiedział, wstając - już nie będę zabierał pani czasu. Dziękuję za pani uprzejmość.

- Nie ma za co, to była dla mnie przyjemność, komisarzu, niech pan przyjdzie jeszcze kiedyś, kiedy pan będzie miał ochotę... Lubię, jak mnie ktoś odwiedza - powiedziała kobieta, dzwoniąc srebrnym dzwoneczkiem, by przywołać służącą. - Jacqueline, odprowadź komisarza. Do widzenia, komisarzu, proszę pozdrowić prefekta i niech pan nie zapomina o moich wachlarzach.

- Proszę się nie niepokoić - odparł, oddalając się.

To samo powiedział do Rity Senesi.

Na ulicy Ferrarę owiał gorący wiatr, który spadł na miasto, jednak nie dając ochłodzenia.

Włączył komórkę i przeczytał SMS-a. To była wiadomość od Rizza, który zapewniał, że nazajutrz będzie w biurze. Jedyna dobra wiadomość tego dnia. Chciał przekazać mu nadzór nad śledztwem w sprawie Stelli, aby duchem i ciałem ruszyć na poszukiwania Massima, a to znaczyło także zajęcie się sprawą zabójstwa z Marina di Pietrasanta, które było w kompetencji karabinierów. Postanowił wrócić do domu.

Kiedy wszedł do mieszkania, usłyszał dźwięk saksofonu, **THE MAN IN LOVE** śpiewała Billie Holliday. Jej ciepły głos pomagał Petrze relaksować się, kiedy była czymś zdenerwowana.

Tego wieczoru rozmawiali mało. Jej wystarczyło spojrzenie na jego twarz, by zrozumieć, że nie ma nic nowego. Po kolacji złożonej z surowej szynki i serów, którą zjedli bardzo szybko, komisarz usiadł przy biurku, żeby jeszcze przejrzeć raz całą teczkę operacyjną, zanim nazajutrz przekaże ją Rizzowi.

Zajęcie się czymś było jedynym sposobem, by oddalić choć na chwilę myśl o nieobecności przyjaciela, która ciążyła nad domem, czyniąc go nieprzyjaznym i smutnym.

Spisał coś w rodzaju memorandum „Dla Francesca Rizza”, które zawierało wszystko, co zostało zbadane aż do tej chwili, oraz sugestie co do kierunku, w jakim powinno teraz pójść śledztwo. Przeglądał relację na temat masonerii, kiedy zadzwonił telefon służbowy.

- To pan, komisarzu? Przepraszam, że o tej porze...

Damski, młody, pewny siebie głos. Natychmiast go rozpoznał.

- Dziękuję za telefon, panno Pizzi.

- Cała przyjemność po mojej stronie, komisarzu, bardziej niż obowiązek. Dawno nie rozmawialiśmy. Pewnie jeszcze ma pan do mnie żal za tego Kota, co?

- Nigdy nie miałem, a poza tym teraz...

- Tak?

- *Nolens volens* stało się to już moim znakiem firmowym. Widziała pani w innych gazetach... I nie tylko. Tylko moja żona na szczęście tak mnie nie nazywa. Powiem pani, że w niektórych sytuacjach wolałbym być kotem, a nie komisarzem policji.

- Jakaś paskudna sprawa?

- Dosyć paskudna...

- To jest nas dwoje, ale nie dzwonił pan do mnie, żeby mi się wypłakać na ramieniu, jak sądzę?

- Ma pani rację. Czytałem artykuł na temat śmierci tego florenckiego przedsiębiorcy w Marina di Pietrasanta i chciałem się dowiedzieć czegoś więcej.

- Czy to nie jest sprawa karabinierów?

- Tak, jak najbardziej, to tylko zawodowa ciekawość, powiedzmy.

Była dziennikarką i nie mógł sobie pozwolić, by odkryć przed nią to, co naprawdę go niepokoiło, zaraz następnego dnia zostałby publicznie wmieszany w sprawę i to na pierwszej stronie „Tirreno”. Zdjęty zgrozą wyobrażał już sobie tytuły na całą stronę: „Tajemniczy mężczyzna z willi zamordowanego przyjaciela szefa wydziału śledczego we Florencji”.

- Powiedzmy to jasno - stwierdziła dziennikarka - wyczuwam konflikt interesów i to jest temat, przy którym nie chciałabym być pominięta. Oczywiście, kiedy będzie odpowiedni moment. Czyli skoro zadzwonił do mnie Kot, to podejrzenie zabójstwa nie jest już podejrzeniem? Czy tak?

Zdecydował, że to może jej powiedzieć.

- Jeżeli nie poda pani źródła informacji, to tak.

- Nie podam pana nazwiska, niech się pan nie martwi. Karabinierom to by się nie spodobało, prawda?

- No właśnie. Brawo!

- Właściwie się tego spodziewałam. To paskudna sprawa, komisarzu, o wiele bardziej paskudna, niż na to wygląda.

- To znaczy?

- Nic panu jeszcze nie powiem, ale niech pan czyta w mojej gazecie. Właśnie kończę tekst, o ile go nie ocenzurują. Zaczynam podpalać lont i przewiduję fajerwerki lepsze niż w karnawale, komisarzu - powiedziała z dumą, ale jej głos ani przez chwilę nie był rozbawiony, lecz raczej zmęczony.

- Przeczytam, ale może mi pani powiedzieć coś o Simonetcie Palladiani?

- Co pan chce wiedzieć? - zapytała ostrożnie trochę załamany głosem, jakby do zmęczenia doszło jeszcze cierpienie.

- Pisała pani o niej jak... jakby ją pani dobrze znała. Znała ją pani?

- Chodziłyśmy do tej samej klasy. Razem dorastałyśmy.

- Rozumiem - powiedział Ferrara, myśląc o sobie i o Massimie. Byli kolegami z liceum, dorastali razem. - Może wie pani, gdzie ona teraz może

być?

- Żeby to ja wiedziała! - krzyknęła, wzdychając z niepokojem.

- Może pojechała na wakacje? Może nawet jeszcze przed śmiercią męża? - zasugerował.

- Nie, komisarzu, ona tam była tamtej nocy.

- Skąd pani wie?

- Służąca mi powiedziała. Jak i całą resztę zresztą, czekała na karabinierów.

- Jak nazywa się służąca?

- Grazia Barberi.

- Wie pani, gdzie mieszka? - zapytał Ferrara, zapisując informacje na kartce.

- Mieszka w Pietrasanta, w górze, Via Martiri di Sant'Anna, czerwony budynek, pięć pięter, nie można go pomylić.

- Jaką osobą była Simonetta Palladiani?

- Dlaczego była? - zaprotestowała Claudia złamanym głosem.

- Przepraszam, tak jakoś wyszło spontanicznie. Ponieważ nie ma jej, więc bezmyślnie użyłem czasu przeszłego... Byłyście bardzo związane?

- Kiedyś tak, ale nie widywałam jej, odkąd poślubiła tego typu i wyjechała do Florencji. Rozmawialiśmy kilka razy, jak zamieszkała w Marina, ale nie widywałyśmy się. Jeżeli to była zbrodnia, to ona nie ma z tym nic wspólnego, niech mi pan uwierzy.

W jej głosie słychać było tę samą pewność, jaką on miał w stosunku do Massima.

- Był jeszcze ktoś inny w tej willi?

- Widzę, że już pan wie. Tak, mężczyzna, florentyńczyk, wydaje się, że jej ostatni kochanek.

Było jeszcze mnóstwo rzeczy, o które chciał ją zapytać.

Mogli rozmawiać przez wiele godzin, ale spotkanie vis-a-vis to zupełnie coś innego, intonacja, jakiś szczególny ton głosu, może powiedzieć więcej

niż tysiąc słów wypowiedzianych z daleka.

- Czy możemy się spotkać?

Wydawała się zastanawiać.

- Tak, to mogłoby pomóc nam obojgu... byłoby mi miło - odpowiedziała w końcu. - Kiedy?

- Nawet jutro.

- Rano nie mogę... mogłabym po południu, ale późno. Aperitif w Twiga w Marina di Pietrasanta?

- Co to takiego?

- Ależ, komisarzu, pan nadal zna tylko Capannina⁶? To obecnie najbardziej trendy lokal! Piłkarze i modelki... Sama śmietanka towarzyska.

- Nie za bardzo rzuca się w oczy?

- Jeżeli będziemy potrzebowali być sam na sam, zawsze możemy się spacerować plażą daleko od niedyskretnych uszu - zasugerowała, ale tym razem nie była to kokieteria, raczej niepokój.

Ferrara wyczuł w niej coś w rodzaju pilnej konieczności zupełnie takiej samej jak jego własna i poczuł się mniej samotny.

- Może być o piątej?

- Lepiej o szóstej.



Znów zabrał się za dossier na temat masonerii, ale nie mógł się skoncentrować. Co odkryła ta dziennikarka? Dlaczego wspomniała o fajerwerkach. Jutro będzie musiał jak najszybciej przeczytać „Tirreno”.

Zapalił cygaro i przejrzał listę powiązanych osób, jakby czytał książkę telefoniczną. Najlepszą książkę nasenną, jak to mu zasugerował kiedyś Massimo, tylu bohaterów, a żadnej fabuły, tyle że sen uciekł od niego w tamtą poniedziałkową noc i nie wystarczą książki telefoniczne z całych Włoch, by wrócił.

Nagle jedno nazwisko uderzyło go w oczy jak wyładowanie elektryczne. Ugo Palladiani, urodzony we Florencji 30.01.1940, członek Loży Concorde.

⊕ XIII ⊕

Michele Ferrara nie czekał, aż dojedzie do biura, gdzie na jego biurku leżał stos gazet, ale zanim wsiadł do służbowego samochodu, w kiosku obok domu kupił egzemplarz „Tirreno” Przejrzał go, kiedy kierowca wymijał pieszych jak co rano, i doszedłszy do ostatniej strony, znów zaczął od pierwszej, ale był zawiedziony, jedyny artykuł dotyczący śmierci Ugo Palladianiego to było zdjęcie niemożliwej do zwiedzenia willi Simonetty, obok której stali strażnicy, oraz krótka notka, bez podpisu dziennikarza, niewnosząca niczego nowego. Nie było zapowiadanego wybuchowego artykułu Claudii Pizzi. Ocenzowali go, jak się obawiała? Powiedziała, że będzie zajęta, ale opowie mu wszystko po południu w Twiga.

Dojechali do prefektury i musiał wysiąść. Wziął kawę, którą podał mu Fanti, gdy tylko wszedł do biura, i zaczął przeglądać inne gazety, które rozpisywały się o wydarzeniach opisanych dzień wcześniej w „Tirreno” z tą tylko różnicą, że pisały trochę więcej. Wszędzie drukowano portret Simonetty Palladiani i opisywano jej rozliczne zajęcia. „La Repubblica” i „Corriere della Sera” sugerowały morderstwo, ten ostatni przytaczał, okraszony wieloma zdjęciami, krótki wywiad z kapitanem Fulvim, który nie skupiał się na sobie, ale wychwalał działania sierżanta Belsity i dawał do zrozumienia, że skuteczność karabinierów szybko doprowadzi do rozwiązania sprawy.

Nikt nie wspomniał o Massimie Verdze. Komisarz zastanawiał się, czy był to dobry, czy zły znak. Skłaniał się ku temu drugiemu, bo ta cisza wydawała się doskonale pasować do strategii kapitana Fulviego, który chciał zrobić wszystko, żeby niejako uśpić podejrzanego, podczas gdy jego ludzie z sierżantem Belsito na czele będą zacieśniać krąg poszukiwań, by go dopaść.

Stara sztuczka, która, kiedy się nie ma do czynienia z myślącymi przestępcami, czasami działa. Ferrara starał się odwrócić myśli od tych wydarzeń, koncentrując się na codziennych zadaniach, które chciał załatwić jak najwcześniej, aby zająć się sprawą, która go interesowała, ale myślą wrócił do masońskiej listy, która zawierała nazwisko Ugo Palladianiego. Jakie to mogło mieć znaczenie?

Najbardziej oczywiste było, do czego doszedł wczorajszej bezsennej nocy, że to „bracia” pomogli mu się podnieść z finansowego upadku. Nie podobała mu się ta koncepcja, bo całkowicie przekreślała i tak niezbyt pewną teorię o szantażu, ale śledztwa nie prowadzi się na podstawie preferencji i czy mu się to podobało, czy nie, musiał zgłębić ten trop.

Odłożył na bok akta i wyjął z teczki dokumenty dotyczące łóż masońskich wraz z listami członków. Loża Concorde miała ich czternastu, była to dwa razy większa liczba niż minimum wymagane do stworzenia bractwa. Obok nazwisk i imion można było przeczytać: inżynier górnictwa, adwokat (2), adwokat generalny, dyrektor szkoły, profesor doktor, lekarz doktor, PR, główny księgowy, handlowiec (2), przemysłowiec (2). Teoretycznie wszyscy mogli mieć środki. Chętnie skorzystałby z pomocy Anny, by ich móc przesłuchać, ale śledztwo w sprawie Palladianiego nie należało do niej, lecz do prokuratury w Lukce.

To przypomniało mu, że karabinierzy wspomnieli nazwisko prokuratora Lupo, dawnego znajomego z czasów sycylijskich. Nie wiedział, że przeniesiono go właśnie tutaj. To była znajomość zawodowa, pracowali razem, ale to nie mogło mu w niczym pomóc, bo przestępstwem w Pietrasanta mieli się zajmować karabinierzy, a nie on.

Miał tylko jedno wyjście.

- Fanti!

- Na rozkaz, szefie!

- Zrób fotokopię tej kartki i postaraj się znaleźć, co tylko zdołasz, na temat każdego z tych ludzi, oprócz Palladianiego oczywiście. Jakie mają interesy i

zobowiązania, a przede wszystkim, jak stoją finansowo, ale proszę, żebyś niczego nie chlapnął. Żadnych oficjalnych śledztw ani kontroli bankowych, żadnych takich rzeczy, na litość. Tylko to, co możesz znaleźć, nie rzucając się nikomu w oczy. Niech Venturi ci pomoże.

Venturi był chodzącą pamięcią wydziału śledczego, prawdziwym żywym archiwum z nazwiskami i datami.

- Ale żeby on też nie pisnął ani słowa, rozumiano?

- Niech pan będzie spokojny, szefie!

- Dobrze. Przyszedł już Rizzo?

- Jeszcze nie.

- Przyślij go do mnie, jak tylko się zjawi.

Kiedy wyszedł podwładny, Ferrara znów zajął się dokumentami.

Właśnie kończył najpilniejsze sprawy, kiedy Francesco Rizzo stanął przed jego biurkiem. Ferrara poczuł ulgę. Ten zamknięty w sobie, potężny mężczyzna, o zawsze trochę ponurym spojrzeniu, był lojalny i uczciwy jak mało kto. Sprawiał, że Ferrara czuł się bezpiecznie, a w tym momencie było dla niego bardzo ważne, by ktoś odciążył go z nadmiaru obowiązków.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony Rizzo, czując, że musi chodzić o coś naprawdę ważnego.

Ferrara poinformował go o wszystkim, dając mu dokumenty i notatkę, którą dla niego przygotował, a którą tamten przeczytał natychmiast.

OPERACJA STELLA

· **STWORZYĆ DOKŁADNĄ MAPĘ ZAWIERAJĄCĄ KAŻDY TYP BUDOWLI, KTÓRA ZNAJDUJE SIĘ W STREFIE ODNALEZIENIA NASTOLATKI.**

· **POCZekać NA NAKAZ WYDANIA KARTY INFORMACYJNEJ Z POBYTU STELLI W SZPITALU I DAĆ DO ZBADANIA DOKTOROWI FRANCESCO LEONEMU.**

· **SPRAWDZIĆ WYNIKI LABORATORYJNE BADAŃ PROWADZONYCH PRZEZ TECHNIKÓW ZWIĄZANE ZE ŚLADAMI NA UBRANIU STELLI.**

· **SPRAWDZAĆ POSTĘP SPRAWY W WYZNACZONYCH TROPACH ŚLED CZYCH (DILERZY, PEDOFILY, NIELEGALNI IMIGRANCI).**

· **OCENIĆ, CZY NALEŻY BARDZIEJ WŁĄCZYĆ W ŚLEDZTWO WYDZIAŁ DLA NIELETNICH.**

· **PRZEŚLEDZIĆ DANE NA TEMAT KARTY TELEFONICZNEJ UŻYTEJ DO ZAWIADOMIENIA NUMERU 118.**

· **WSZYSTKIE INNE TYPY BADAŃ I DZIAŁAŃ, KTÓRE PODPOWIE CI INTUICJA.**

- Gdybym przeczytał o tym w gazetach, wróciłbym szybciej, nie czekając na telefon Fantiego, szefie.

- Gazety o tym nie pisały. Kiedy ją znaleziono, była tylko kolejną narkomanką, to nie dla dziennikarzy, a kiedy zmarła, była tylko kolejną zmarłą w szpitalu, gdzie jest ponad tysiąc pacjentów...

- Może tak jest lepiej? A jeżeli chodzi o...

- Tak, Francesco?

- Myślałem, że wiadomość w gazecie z rysopisem i zdjęciem Stelli... chyba że już to zrobiliście.

- Nie, nie było potrzeby, a poza tym chodzi o nieletnią, trzeba w tym wypadku być bardzo ostrożnym.

- Wiem, ale publikacja zdjęcia mogłaby pomóc w śledztwie, może ktoś się zjawi albo zadzwoni, choćby anonimowo.

- Może masz rację, ale musisz poprosić o zezwolenie zastępcę prokuratora, Annę Giulietti.

- Ja?

- Tak, Francesco, bo „Operacja Stella” od tej chwili przechodzi całkowicie na ciebie. Ja mam co innego do robienia.

Opowiedział mu o zaginięciu Massima Vergi i o zbrodni w Maria di Pietrasanta.

- Nie do uwierzenia... - skomentował Rizzo szczerze. Mało mówił, ale był konkretny i solidny tak jak jego postura.

- Tak, ale niestety to prawda. Teraz rozumiesz, że nie mogę zajmować się

także sprawą tej biednej dziewczyny. Poza brakiem czasu nie mam do tego głowy.

- Oczywiście!

- Dziś jadę do Versilii porozmawiać z dziennikarką, która zajmowała się tą sprawą, i może zatrzymam się tam kilka dni.

- Jak będzie pan nas potrzebował, szefie, to jesteśmy!

- Dziękuję, Francesco, wiem.

- A prefekt? Co mam mu powiedzieć?

- O tym sam pomyślę, nie przejmuj się tym. Teraz pójde wy tłumaczyć mu sytuację. Pietrasanta leży także w kompetencji naszego biura, ale tylko w niektórych rodzajach przestępstw, a ofiara mieszkała we Florencji, gdzie prowadziła także część interesów.

- Miejmy nadzieję, że zrozumie i nie powie, że nad tym pracują już karabinierzy - skomentował lakonicznie Rizzo.

Proroczo.



Jak tylko zapaliło się zielone światło, które pozwalało mu wejść do luksusowego biura Lepriego, Ferrara został zalany niepowstrzymanym potokiem słów.

- Jak długo będę musiał przywoływać pana do porządku, panie komisarzu? Zdaje sobie pan sprawę, że służy pan w najważniejszym mieście Toskanii, które jest także na oczach całego świata? Ma pan obowiązki, nie może pan robić, co się panu podoba, na dodatek depreczując wszelkie reguły i mając sobie za nic hierarchię.

Był siny. Ferrara takiego go jeszcze nigdy nie widział.

- Ja nie... - usiłował powiedzieć.

- Ja, co nie? Najpierw pan mi denerwuje lekarzy z Ospedale Nuovo, przymykam oko, potem wtrąca się pan w śledztwo karabinierów i to w innym mieście, a jakby to nie wystarczyło, ja dowiaduję się o tym z Rzymu, i istnieje ryzyko, że zechcą wszcząć wobec pana postępowanie dyscyplinarne! Wie pan, co panu powiem? Jeśli to zrobią, nie kiwnę palcem, by chronić

pański tyłek.

Dobry jest ten kapitan Fulvi, pomyślał Ferrara.

- Nie wtrącałem się - sprecyzował, dodając w myśli „aż do teraz” - stawilem się na ich wezwanie, by złożyć raport na temat pewnego mojego znajomego.

- Tak, Massimo Verga, ten pożeracz niewieścich serc, intelektualista - ciągnął Lepri pogardliwym i coraz bardziej prowokującym tonem - zapewniam, sprawdziłem, wie pan? Wywrotowiec! Pasuje do pana, komisarzu, do pana, który się nie wtrącał. Niieeee, na litość! To nie pan przesłuchiwał z pewnością hrabinę Servi, to był sobowtór, i to nie pański nadinspektor Fanti zbierał informacje na temat Ugo Palladianiego, ofiary zabójstwa, którym zajmują się i nadal mają się zajmować karabinierzy. On też ma sobowtóra. We Florencji mamy pełno sobowtórów!

Wspaniała hrabina Servi, powinien był się tego spodziewać, zawsze była plotkarą.

- Faktycznie byłem u hrabiny.

- Z pewnością nie po to, by rozmawiać z nią o kradzieży, której, tak się przypadkiem składa, nie rozwiązaliście, a ja muszę słuchać ciągłych narzekań. Tu we Florencji złodzieje harcują, Ferrara, a pan jedzie sobie do Pietrasanta wpieprzać się w nie swoje sprawy.

- W to zabójstwo wmieszany jest mój przyjaciel.

Prefekt opadł wyczerpany na oparcie fotela.

- Już rozmawialiśmy, komisarzu, niech pan sobie da spokój z nim i niech pan również odpuści zabójstwo Palladianiego. To rozkaz. Karabinierzy już się tym zajmują i tylko oni mają prawo się tym zajmować. Jeżeli dowiem się, że po cichu zaczyna się pan znowu do tego mieszać, z jakichkolwiek przyczyn, podejmę odpowiednie kroki, których pan pożałuje, zapewniam pana. I proszę więcej nie niepokoić pani hrabiny. Chyba że zechce jej pan oddać tę przeklętą kolekcję wachlarzy!

- Niech pan będzie spokojny, nie będę przeszkadzał, wręcz przeciwnie -

pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy mówił - przyszedłem po to, żeby panu powiedzieć, że biorę kilka dni urlopu.

- Świetnie, doskonale, niech pan się wynosi, sądzę, że dobrze to panu zrobi. Nigdy pan nie odpoczywa. Dobrze to panu zrobi, niech pan wyjedzie, niech pan wyjedzie jak najdalej to możliwe!

Wróciwszy do biura, zebrał swoich ludzi i powiedział im o przekazaniu sprawy Rizzowi. Wszyscy intuicyjnie zrozumieli prawdziwą przyczynę tego nieprzewidzianego „urlopu”, więc niezadowolenie w grupie było oczywiste. To wtedy Ciuffi z narkotykowego, żeby trochę rozładować atmosferę, powiedział:

- Szefie, chyba uda nam się złapać tych dwóch Albańczyków, o których wcześniej mówiłem. Właśnie wracają do Florencji z pewnym florentyńczykiem, z którym, jak podejrzewamy, są w zмовie. Wyjechali dziś rano i po dość podejrzanym przystanku w Versilii na autostradzie A12 pojechali aż do bramek autostrady, skąd zawrócili do Florencji. Kazałem policji drogowej zatrzymać ich do rutynowej kontroli, kiedy tylko miną bramki w Lukce. W patrolu będzie jeden z naszych. Jeżeli jest tak, jak myślę, to nieźle się wpieprzyli.

- Brawo, Ciuffi, jasne, że to dziwne, że ktoś wyjeżdża z Florencji, by zawrócić po kawałku autostrady. Udało wam się sprawdzić, co robili w czasie postoju?

- Prawie nic, zaparkowali na parkingu dla TIR-ów, byli zasłonięci ciężarówkami, a nasi nie mogli dać się zobaczyć, ale w pewnym momencie widzieli, jak tamci ładują do samochodu koło zapasowe, czyli myślę, że trafimy w dziesiątkę. Cała scena została sfotografowana i nagrana na wideo. Przeszukamy ich, jak należy.

- Dobrze, jak już to zrobicie, może przekonasz ich, by powiedzieli coś użytecznego, co pozwoli nam dostać się do diler, który dostarczył narkotyki, które zabiły Stellę, kto wie...

- Małe szanse... To są twardziele.

- Wiem, ale jak to się mówi, nadzieja zawsze umiera ostatnia. Nie?
- Czekaj, czekaj, aż się doczekasz, tak też się mówi - uśmiechnął się Ciuffi.
- Tak czy tak, we wszystkich sprawach zwracaj się zawsze do komisarza Rizza, będzie wiedział, co trzeba załatwić.
- Dobrze, szefie.
- Jakby szef czegoś potrzebował, to jesteśmy - powiedział Ciuffi, a pozostali skinęli głową na znak potwierdzenia.

Kiedy Petra szykowała walizki, Ferrara telefonował w poszukiwaniu hotelu, gdzie mimo sezonu byłyby jeszcze wolne miejsca. Po czternastej próbie miał szczęście, zwolnił się właśnie tego dnia pokój w Principe, jednym z najlepszych hoteli na nadmorskiej promenadzie w Marina di Pietrasanta.

Stawili się w recepcji po południu, po podróży w ciszy nawet bez włączonej muzyki, bo ani jednemu, ani drugiemu nie chciało się niczego słuchać.

Kiedy wszystko załatwili, poszli na spacer po promenadzie. Było bardzo gorąco, dla Petry była to próba odprężenia się, dla komisarza zwiad. Doszli aż do Twiga, na obrzeżach pomiędzy Marina di Pietrasanta a Forte dei Marmi. Restaurację z daleka można było poznać po szyldzie w formie głowy żyrafy. Zanim tam doszli, Ferrara zobaczył raz jeszcze willę Simonetty Palladiani, już bez strażników, ale za to opieczętowaną.

Słońce było wysoko i drogą przejeżdżały samochody, motorynki i liczne rowery. Budynek przeróżnych instytucji, często piękne i fantazyjne, zasłaniały widok na morze, które widać było tylko we fragmentach, to tu, to tam, pomiędzy nimi. Na plaży kłębił się tłum.

Wracając, zatrzymali się przed willą i przyglądali jej się jak dwoje przechodniów ciekawych czegokolwiek, zaglądali przez masywne drewniane bramy prowadzące najpierw do garaży za domem, potem do małego, ale bardzo zadbanego ogrodu także za domem. Sam dom był też pięknym budynkiem w kolorze bladej ochry, podzielonym na trzy części subtelną grą

brył, dwie lekko wycofane po bokach, ale wysokie na dwa piętra, jedna centralna wysokości piętra zwieńczona tarasem, za którym widać było kolejne piętro, które łączyło bryły boczne. Ciemnozielone żaluzje były zamknięte.

- Szkoda, że jest to paskudztwo - powiedziała Petra, wskazując na wystające z muru ogrodzenia zabezpieczenia - przez to nic nie widać! Bez sensu jest mieszkać nad morzem i go nie widzieć.

- Tak - zgodził się komisarz, który także nie rozumiał sensu tego ciężkiego urządzenia. Czy chodziło o to, by chronić się przed spojrzeciami obcych? Wydawało mu się to nieprawdopodobne. Zaskoczony spostrzegł, że nie była to jedyna willa chroniona w ten sposób.

Tajemnicę rozwiązał portier z hotelu Principe. Chodziło o specjalny materiał, który pozwala z wewnątrz widzieć wszystko, ale chroni od piasku i soli przynoszonych przez wiatr i w ten sposób zabezpiecza przed korozją albo co najmniej opóźnia jej efekty.

Zbliżała się pora spotkania, więc Michele Ferrara zostawił żonę, namawiając ją, by skorzystała z basenu hotelowego. Sam poszedł drogą w kierunku Twiga.

Samochody, które parkowały na ocienionym palmami parkingu Twiga Beach Club, wyraźnie wskazywały, że jest to miejsce bardzo ekskluzywne.

Młodziutkie kelnerki i kelnerzy, wszyscy w żółtych podkoszulkach z logo lokalu, podawali aperitify do stolików ustawionych na dużych placach udekorowanych w stylu afrykańskim. Przepiękna dziewczyna podeszła do niego i uprzejmie zapytała, czym może mu służyć. Był to jeden ze sposobów, by dać mu do zrozumienia, że jeżeli nie jest klientem i nie zamierza nim się stać, to nie ma tu dla niego miejsca. Powiedział jej, że ma tu z kimś spotkanie, a ona grzecznie zapytała z kim. Nazwisko Claudia Pizzi nic jej nie mówiło, ale jakiś mężczyzna, który chyba tam pracował, przechodząc, usłyszał je i wtrącił:

- To dziennikarka z „Tirreno”, wczoraj wieczorem zawiadomiła mnie, że

przyjdzie tu na aperitif z przyjacielem. Zaprowadź pana do Chiringuito.

- Proszę - powiedziała piękna dziewczyna, prowadząc go drogą wzdłuż basenu, w którym odbijały się pastelowe barwy kabin, każda w innym kolorze, aż do baru krytego słomianym dachem znajdującego się na brzegu plaży należącej do klubu.

Zamówił napój bezalkoholowy i obserwował plażowiczów, którzy odpoczywali w słońcu albo relaksowali się w obszernych, eleganckich, białych namiotach rozpiętych na czterech drewnianych palach. Każdy namiot dysponował dwoma leżakami, dwoma łózkami, krzesłem i stolikiem. Nie chciał nawet myśleć, ile kosztowałby sezon czy choćby jeden dzień w takim miejscu, pomyślał natomiast, że po raz pierwszy jest naprawdę sam i że sam będzie musiał stawić czoło temu, co będzie prawdopodobnie najtrudniejszą misją jego życia. Być może jedynym sprzymierzeńcem, na którego może liczyć, jest dziennikarka, na którą czekał, a która, jak się wydawało, podzielała jego szacunek dla wartości, jaką jest przyjaźń.

Tylko że była spóźniona. Popatrzył na zegarek i stwierdził, że jest już osiemnasta czternaście. O osiemnastej trzydzieści zaczął się denerwować. Za dwadzieścia siódma spróbował zadzwonić na jej komórkę, ale albo nie miała zasięgu, albo była wyłączona. Za pięć siódma dzwonił do gazety, ale powiedziano mu, że nie było jej w pracy przez cały dzień. Spróbował zadzwonić do domu i jak zwykle odpowiedziała mu automatyczna, sekretarka na której zostawił zwyczajną wiadomość, dodając, że zatrzymał się w hotelu Principe, i zostawił numer telefonu do hotelu. O siódmej piętnaście zadzwonił telefon.

- Tu Ferrara - powiedział powściągliwym tonem, starając się dać jej do zrozumienia, że mimo iż jest kobietą, nie ma prawa kazać mu czekać na siebie tak długo.

- Przeszkadzam, szefie?

To był Rizzo.

Już zaczynali go dręczyć z biura?

- Nie, w żadnym razie. Co jest?

- Bomba! Ciuffi złapał ich na gorącym uczynku, tych Albańczyków, i to bardzo gorącym!

- Jak bardzo?

- Dziesięć kilo heroiny, szefie, dziesięć kilo!

Komisarz aż gwizdnął, to była sensacyjna wiadomość. Takie rzeczy zdarzają się rzadko w życiu policjanta, nawet kiedy dobrze mu idzie.

- Uprzedziłeś prefekta?

- Ja? Myślałem, że sam pan zechce...

- Jestem na wakacjach, Francesco.

- Ale - usiłowałem nalegać jego zastępcę, dobrze wiedząc, że gdyby to zrobił, wzięłby na siebie także całą zasługę.

- Żadnego „ale”. Powiedz to ty Lepriemu, a teraz daj mi Ciuffiego, jeśli go znajdziesz.

- Dobrze, jest obok mnie. Proszę.

- Dobry wieczór, komisarzu - pozdrowił go szef wydziału narkotykowego bardzo rozentuzjasmowany.

- Moje gratulacje, Luigi. Robota pierwsza klasa! Mam nadzieję, że masz jeszcze jakiś pokój do wytapetowania wycinkami z gazet!

- Jeszcze nie zawiadamialiśmy prasy.

- Prefekt na pewno sam to robi, nie przejmuj się tym. To dobrze, że twoja praca zyska uznanie publiczne.

- Dziękuję, szefie.

Miał już się rozłączyć, kiedy przypomniał sobie o Stelli.

- Jeszcze jedno, Ciuffi.

- Na rozkaz, komisarzu.

- Poproś zastępcę prokuratora, panią Cosenzę, ona się tym zajmuje, tak? Niech jak najszybciej zleci podsłuch w celi tych dwóch, o ile sama o tym nie pomyślała.

Podsłuch rozmów zatrzymanych mógł posłużyć do uzyskania

dodatkowych informacji, choćby dla zidentyfikowania miejsca pochodzenia narkotyków i ewentualnych współników. Ferrara ponadto miał nadzieję, że ewentualnie wyjdzie na jaw także coś, co pomoże im w sprawie dziewczyny, sprawie, którą już się nie zajmował, ale która nadal tkwiła mu w głowie. „Czekaj, czekaj, aż się doczekasz”, powiedział Ciuffi, a on chciał, żeby ten ktoś doczekał się stu lat więzienia.

- Ich jest trzech, szefie. Jest też ten florentyńczyk, niejaki Emilio Zancarotti.

- Tym lepiej, dzięki temu może będą mówić po włosku, a nie po albańsku.

Minęła już siódma trzydzieści. Zapłacił i wyszedł.

⊕ XIV ⊕

Gazety z 9 sierpnia nie zawierały informacji ani żadnych nowin na temat zabójstwa Ugo Palladianiego, bo zabójstwo zostało już uznane za pewnik, nawet przez „Tirreno” w długim artykule, który miał za zadanie odzyskać teren stracony poprzedniego dnia, ale artykuł nie nosił podpisu Claudii Pizzi. Komisarz zadzwonił do redakcji, ale było za wcześnie i powiedziano mu, że jeszcze nie przyszła. Spróbował na domowy, ale był zajęty.

Zadzwonił ponownie, kiedy wraz z Petrą jedli śniadanie w jeszcze na wpół pustej sali restauracyjnej hotelu, ale jak poprzedniego wieczoru odezwała się automatyczna sekretarka. Rozłączył się, nie zostawiając żadnej wiadomości. Natychmiast wybrał numer komórki dziennikarki i przez dłuższy czas wsłuchiwał się w jej sygnał. Pomyślał, że siedzi za kierownicą samochodu, jadąc do pracy, i może ma telefon w torebce razem z tysiącem innych rzeczy, co jest typowe dla większości kobiet. Najprawdopodobniej nie jest w stanie nawet usłyszeć dzwonka. Z pewnością zobaczy, że dzwonił, i wkrótce do niego oddzwoni. Nie należało nalegać, lepiej się skupić na następnym ruchu. Jakim? Zdecydował, że nie ma wielkiego wyboru, nawet jeżeli dowiedzą się o tym karabinierzy.



Zostawił samochód blisko wejścia na piazza Carducci, jednym ze zjazdów do Włoskich Aten tak ukochanych przez poetę. Marmurowa tabliczka na ścianie przypominała jedno ze zdań z jego listu: „To co mi się podoba, to Pietrasanta, przepiękne miasteczko z jednym placem i katedrą godną wielkiego miasta, na tle Alp Apuańskich”. Plac i katedra były tuż obok, ale żeby znaleźć via Martiri di Sant’Anna musiał kilka razy pytać o drogę, przejść całą via Mazzini, wyjść z drugiej strony miasta i przejść kawałek

drogą pośród pól. Bez trudu znalazł budynek, który opisała mu Claudia, obok były tylko mniejsze i większe wille. W budynku były dwa wejścia i dwa domofony. Na jednym wisiała plakietka wypisana piórem: **BARBERI - SIGNORINI**. Zadzwoił. Jeden, drugi, trzeci raz. Przy trzecim odpowiedział mu męski głos:

- Jeżeli jesteście dziennikarzami, możecie sobie odejść! - krzyknął zapewne rozwścieczony częstymi wizytami dziennikarzy, którzy są szczególnie natarczywi, kiedy zdarzy się coś poważnego.

- Nie jestem dziennikarzem - powiedział grzecznie, ale zdecydowanie komisarz.

- A kim pan jest?

Nie od razu odpowiedział. Czy należało użyć podstępu? Mógłby powiedzieć, że jest agentem zatrudnionym w agencji nieruchomości zainteresowanej willą Simonetty Palladiani albo kimś na wakacjach, kto szuka służącej, albo... Mężczyzna nie dał mu czasu na zastanowienie.

- Kim pan jest? Poszedł pan sobie już?

- Nie, nadal tu jestem.

- Czego pan chce? Niech nas pan zostawi w spokoju!

- Jestem policjantem - powiedział.

- Czego pan chce?

- Muszę porozmawiać z panią Grazią Barberi.

- Żona przez dwa dni z rzędu siedziała u karabinierów, czego pan jeszcze potrzebuje?

- Może pan otworzyć? Wytłumaczę.

- Niech pan poczeka, już schodzę.

Komisarz obawiał się, że mężczyzna zechce zyskać na czasie, żeby zadzwonić na posterunek karabinierów i upewnić się co do tej wizyty, ale chwilę potem usłyszał szcęk zamka i brama się otworzyła.

- Pan Barberi?

- Ja jestem Signorini, moja żona nazywa się Barberi - sprecyzował

mężczyzna. Był starszy, niski, drobnej budowy ciała, miał białe włosy i delikatne wąsy, one też były białe.

- Jestem komisarz Ferrara.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

- Czytałem o panu w gazetach - powiedział w końcu jakby zawiedziony. - Inaczej sobie pana wyobrażałem.

- W jakim sensie?

- Myślałem, że jest pan wyższy, tęższy.

Nie po raz pierwszy to słyszał, jakby fakt, że był znany, oznaczało postawną sylwetkę.

- Proszę, niech pan wejdzie - zaprosił go mężczyzna.

Weszli na pierwsze piętro. Przed drzwiami mieszkania stała

Grazia Barberi, też była niska, ale tęższa i młodszą od męża.

Komisarz się przedstawił.

- Właśnie szykowałam kawę, wypije pan filiżankę? - zapytała kobieta ze spontaniczną grzecznością.

- Chętnie, dziękuję.

Usiedli wokół laminowanego stołu w kuchni. Było tu skromnie, ale czysto i bardzo porządnie. Otwarte drzwi balkonowe wychodziły na balkonik pełen kwiatów i aromatycznych ziół i wpuszczały tyle powietrza, że w pokoju było w miarę chłodno. Grazia włączyła gaz, na palniku stała już neapolitańska kafetierka.

- Dla nas to zaszczyt, że pan przyszedł, panie komisarzu - powiedział pan Signorini. - Czemu zawdzięczamy pańską wizytę?

- Jak możecie się spodziewać, chodzi o to, co się stało w willi Simonetty Palladiani.

- Okropna sprawa, komisarzu. Mieszkamy tu od ponad dwudziestu lat i nigdy nic podobnego się tu nie zdarzyło. Cóż chcieć, to miejscowość letniskowa, ludzie przyjeżdżają, żeby się zabawić.

- Dlatego właśnie my w policji też chcemy kilka spraw wyjaśnić.

- Aż w samej Florencji? - stwierdził zaskoczony mężczyzna, nie wiedząc, czy ma się czuć zaszczycony, czy zaskoczony.

- Moja żona już wszystko powiedziała karabinierom, więc co? Nie są jak trzeba?

- Ależ nie, przeciwnie, są wspaniali. Nawet więcej, to tylko, że...

- Niech pan się napije kawy - przerwała mu Grazia Barberi, wybawiając go z zakłopotania, podając mu parującą filiżankę kawy. Drugą podała mężowi i usiadła przy stole z własną.

- Tak czy tak, jeżeli pan się tym zainteresował, to myślę, że sprawa szybko zostanie rozwiązana, pan jest lepszy - stwierdził Signorini.

Żona uciszyła go spojrzeniem.

- Pani Grazio, zdaję sobie sprawę, że była pani już przesłuchiwana przez karabinierów.

- Dwa dni pod rząd powtarzałam wciąż to samo, opowiedziałam wszystko, dosłownie wszystko, nie powiedzieli panu? Zresztą pewnie nie, gdyby tak, to by pan tu nie przyszedł.

- Wolę usłyszeć to od pani osobiście, może, kto wie, rozmawiając...

- Tak - powtórzyła kobieta, patrząc na niego.

- Zechce mi pani pomóc? Bardzo byłbym pani wdzięczny.

Grazia Barberi nadal patrzyła na niego, wpatrując mu się prosto w oczy.

- Jeżeli mogę, komisarzu - powiedziała w końcu jakby zadowolona z rezultatu swojej obserwacji.

- Będzie pani przeszkadzać, że będę pisał, podczas gdy pani będzie mówić?

- Nie, oczywiście, że nie, to pana praca.

- Świetnie.

Grazia Barberi zaczęła opowiadać o sobocie, kiedy to rano przyszedł do willi Ugo Palladiani, którego widziała tylko kilka razy przez pięć lat swojej służby u Simonetty.

- To była nieoczekiwana wizyta i żonie się nie spodobała.

- Dlaczego? Co mówili? - zapytał komisarz.

- Natychmiast zaczęli się kłócić. Zrozumiałam tylko kilka słów, bo wyszli do drugiego pokoju. Usłyszałam, że zaczęli krzyczeć i że Simonetta miała mu za złe między innymi, że przyszedł bez zapowiedzi.

- A on? - zapytał Ferrara.

- On też krzyczał.

- Co pani usłyszała?

- Niewiele, ale kilka słów usłyszałam nawet dobrze.

- Jakich?

- „Dziś tu zostaję na noc, mam zepsutą łódź... ty możesz się zabawiać ze swoim dyżurnym fircykiem, rób, co, do cholery, ci się podoba, ale ja tu zostaję, jutro stąd znikam”. Coś w tym rodzaju, przepraszam, ale oni tak mówili... ale sens był właśnie taki, komisarzu.

- Pani Simonetta ma wielu kochanków?

- Nie, to znaczy nie naraz. Co ja gadam. Miała kilku przez te lata, ale to normalne, jest piękną kobietą. Była praktycznie w separacji z mężem, wie pan o tym? Od lat już nie mieszkali razem.

- Rozumiem i co potem?

- Nic, ona wyszła, trzaskając drzwiami, a on wstawił walizki do pokoju gościnnego na piętrze.

- Wyszła z domu?

- W pewnym sensie - powiedziała trochę niepewnie.

- Czy mogłaby pani mówić jaśniej?

- To właśnie powiedziałam karabinierom, ale nie dziennikarzom, nie chciałam, żeby myśleli...

- Nie rozumiem.

- Wyszła do domku letniego za domem, obok garażu. Domek został wynajęty na lato przez jednego mężczyznę.

- Kochanka?

- O Boże, dlaczego muszę o tym mówić?

- Bo musimy im pomóc, droga pani. Dobrze pani zrobiła, nie mówiąc o tym dziennikarzom, ale mnie powinna pani powiedzieć wszystko. Ten mężczyzna nazywa się Massimo Verga? Prawda?

- A pan skąd to wie?

- Bo to jeden z moich przyjaciół, bardzo mi drogi - powiedział, patrząc jej prosto w oczy, jak ona wcześniej patrzyła jemu.

Ta wiadomość zrobiła dziwne wrażenie na Grazii Barberi. Wydawało się, jakby poczuła ulgę.

- A więc to dlatego pan się tym interesuje. Karabinierzy nie wiedzą...

- Tak właśnie jest i muszę państwa prosić o ogromną przysługę.

Mąż wydawał się zaintrygowany i zaniepokojony zarazem. Nie rozumiał zupełnie, co się dzieje.

- Proszę mówić, komisarzu.

- Wolałbym, jeżeli to możliwe, żeby się nie dowiedzieli, że tu byłem.

Małżonkowie popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Dobrze, komisarzu, jeżeli nie zapytają, nie powiemy - powiedziała ona w końcu.

Ferrara odetchnął z ulgą. Podobała mu się ta kobieta, która rozumiała bez słów, o co chodzi.

- Dziękuję, możemy dalej?

- Tego dnia to było wszystko. W sobotę kończę o pierwszej, więc poszłam do domu.

Wróciła do willi w poniedziałek o dziewiątej. Otworzyła drzwi, które były zamknięte jak zawsze na zamek zatraskowy. Wewnątrz było ciemno, więc pomyślała, że pani jeszcze śpi. Otworzyła okno w korytarzu przy wejściu i poszła do kuchni, która była mniej więcej w porządku, tak jak ją zostawiła. Przygotowała kawę, którą zazwyczaj budziła panią, i idąc schodami dla służby, zaniosiła ją do jej pokoju, ale sypialnia była posprzątana, a łóżko było nadal zaścielone. Niepewna zdecydowała się sprawdzić, czy Ugo Palladiani był jeszcze w domu. Wchodząc do domu, zauważyła jego samochód, a z

uszkodzonymi łodziami nigdy nic nie wiadomo, liczyła na to, że już wstał. W takim razie jemu zaproponowałyby tę kawę. Drzwi pokoju w drugim skrzydle były otwarte i, co dziwne, zapalone było światło. Weszła i ujrzała nieopisany bałagan, ale nie było tam męża Simonetty. W tym momencie zaczęła się bać. Dom był zbyt duży, zbyt pusty i zbyt cichy, a w powietrzu wyczuwało się coś dziwnego. Pomyślała, że zadzwoni do męża, ale się powstrzymała, bo bała się, że ją wyśmiej. Odważyła się podejść do głównych schodów, które prowadziły do salonu na parterze. Idąc, zapalała światła. Ze szczytu schodów dostrzegła ciemny zarys czegoś leżącego na dywanie w salonie tuż koło ostatniego stopnia schodów. Drżącą ręką włączyła przełącznik głównego żyrandola i wtedy zobaczyła ciało Ugo Palladianiego leżące na podłodze. Było w nienaturalnej pozycji, a jego twarz była sina, oczy szeroko otwarte i szkliste. Zemdląła.

- Kiedy się ocknęłam, nadal tam był, i zrozumiałam, że nie jest to tylko zły sen.

- Jak to wyglądało, były ślady krwi? Coś, co przywodziło na myśl napaść, przemoc?

Kobieta zamknęła oczy, jakby chciała odpędzić to wspomnienie.

- Nie wiem, komisarzu, w głowie mam tylko te oczy...

- Co pani zrobiła, kiedy się pani ocknęła?

- Krzyczałam, ale nikt nie przyszedł, bałam się.

- Żaden sąsiad ani przechodzień nie usłyszał pani? - zapytał Ferrara.

- Ach, komisarzu, nie zna pan tego miejsca. Willa jest ogromna.

- Rozumiem - powiedział Ferrara, myśląc, że rzeczywiście o tej porze, przy ruchu ulicznym trudno byłoby usłyszeć nawet krzyki z wnętrza tak wielkiej willi, ponadto odgłosy głośny jeszcze ogród i parkan, ale w domku letnim, jeżeli Simonetta i Massimo tam byli, powinni byli usłyszeć. - A potem?

Zadzwoniła do męża, który jest na emeryturze. Akurat był w domu i powiedział jej, żeby zadzwoniła do karabinierów, a on natychmiast do niej przyjdzie. Kiedy przyszedł, ludzie z korpusu już tam byli.

- Poszli też do letniego domku? - zapytał.

- Tak, oczywiście - odpowiedział mąż.

- Pani Simonetty i Massima Vergi tam nie było?

- Nie, nigdzie ich nie było - powiedziała kobieta niepokojona.

- Powiedziała pani, że pracuje pani u Simonetty już od pięciu lat?

- Tak, od kiedy zamieszkała w Marina di Pietrasanta, to był dziewięćdziesiąty szósty, pamiętam doskonale, bo w tym roku nasza córka skończyła studia.

- Czyli zna ją pani dobrze?

- Nie żeby się chwalić, komisarzu, ale cieszę się zaufaniem pani, uważa mnie jakby za kogoś z rodziny, ale, komisarzu, chyba mnie pan chce zapytać, czy uważam, że byłaby zdolna zabić?

Ferrara znowu był pełen podziwu. Ta kobieta była nad wyraz inteligentna.

- Grazia, komisarz musi wykonywać swoją pracę - wtrącił mąż.

- Oczywiście, każdy musi wykonywać swoją pracę, ale mogę zapewnić pana, komisarzu, że pani Simonetta nie jest zdolna zabić nawet muchy... to bardzo dobra kobieta!

- Co pani myśli o tym, że jej nigdzie nie można znaleźć? - zapytał.

- Nie wiem, co panu powiedzieć, komisarzu, ale na pewno by nie uciekła, nawet gdyby zabiła pana Ugo, tak jak myślą karabinierzy. O to mnie pytali przez długie godziny.

- Pani Simonetta ma jakieś interesy w okolicy? Jakąś działalność, jakąś firmę?

Formułując to pytanie, popatrzył na oboje małżonków, jakby dając do zrozumienia, że oczekuje odpowiedzi od obojga. Odpowiedział mąż.

Część tego, co zostało powiedziane, już wiedział. Simonetta Palladiani interesowała się sztuką i była właścicielką galerii w Forte dei Marmi, gdzie często, szczególnie latem, organizowała wystawy obrazów i rzeźb miejscowych i zamiejscowych artystów. Mąż Grazii powiedział też, że zmarli kilka lat wcześniej rodzice kobiety mieli koncesję na niektóre kamieniołomy

marmuru i ta koncesja przeszła na nią, ale bezpośrednio nigdy się tym nie zajmowała.

- Jak to?

- Były praktycznie opuszczone, sędzę, że nie przynosiły dochodu.

Do hotelu wrócił prawie o czternastej. Petrę zastał w saloniku obok holu, przed telewizorem, i ścisnęło mu się serce. Ona, która tak nienawidziła telewizji, spędzała teraz całe godziny na oglądaniu programów, które zupełnie jej nie interesowały, jakby chciała zapomnieć albo jakby czekała na jakieś wiadomości, które pozwoliłyby jej uwolnić się z tego koszmaru, w którym oboje się pograżyli.

- Wybacz mi, kochana - powiedział tylko, a ona z tonu jego słów zrozumiała, że nie wydarzyło się nic nowego.

Pojawiła się czołówka lokalnego dziennika „Tgr Toscana” i komisarz usiadł obok żony.

Program rozpoczął się od skrótu lokalnych wiadomości politycznych, potem opowiedziano o błyskotliwej operacji wydziału śledczego we Florencji. Dokładnie i z emfazą opisano kolejne etapy akcji, które pozwoliły na zatrzymanie dwóch Albańczyków i Włocha, przy których znaleziono ukryte w kole zapasowym samochodu należącego do Emilia Zancarottiego dziesięć kilogramów heroiny.

- Taka ilość - mówił dziennikarz, podczas gdy w tle było widać Ciuffiego, który z satysfakcją pokazywał zarekwirowane dziesięć torebek - że ta operacja wydziału narkotykowego pod dowództwem Michele Ferrary może się okazać jedną z najpoważniejszych akcji przeprowadzonych w ostatnich latach w Toskanii przez policję, celników i karabinierów.

Riccardo Lepri, prefekt Florencji, przyjął gratulacje od ministra spraw wewnętrznych i od szefa policji, a potem sam pogratulował Francesco Rizzemu, który zastępuje Michele Ferrarę będącego aktualnie na wakacjach. Jemu z pewnością by nie pogratulował, uśmiechnął się z goryczą komisarz. Miał nadzieję, że przedstawi ministerstwu propozycję nagrody dla Luigiego

Ciuffiego, a może nawet i dla Rizza. Pewnie to zrobi, w ten sposób będzie mógł zaproponować go na jego następcę.

Rizzo zasługiwał na to, a kto wie, czy nie nadszedł dla niego moment, by odejść na wcześniejszą emeryturę i zacząć cieszyć się życiem z Petrą. Było tyle miejsc na świecie, które od dawna chcieli zobaczyć...

Najpierw jednak musi odnaleźć Massima.

Właśnie mieli pójść do hotelowej restauracji, mimo że żadne z nich nie było głodne, kiedy podszedł do nich pracownik recepcji.

- Telefon do pana Ferrary, proszą pana.
- Wie pan, kto dzwoni?
- Brizzi, Pizzi, nie zrozumiałem dobrze.

Nareszcie! pomyślał.

Mężczyzna zaprowadził go do telefonu.

- Słucham?
- Czy pan komisarz Ferrara?

Nie był to jednak pewny siebie kobiecy głos, który znał. Usłyszał głos mężczyzny.

⊕ XV ⊕

Amilcare Pizzi, ojciec Claudii, niepokoił się nieobecnością córki, do której wiele razy usiłował się dodzwonić. W końcu zdecydował się pojechać do niej do domu w Carrarze, gdzie mieszkała sama. Na wszelki wypadek zawsze miał klucz. Dzwonił do drzwi kilka razy, a potem wszedł. Wszystko było w porządku, ale dziennikarki nie było. Pokręcił się trochę, nie za bardzo wiedząc, co robić, aż zauważył czerwone światelko automatycznej sekretarki, co wskazywało, że były na niej nagrane jakieś wiadomości. Nie był pewny, co zrobić, bo nie chciał szpiegować własnej córki, w końcu jednak stwierdził, że konieczność usprawiedliwia takie zachowanie i odsłuchał je. Były to różne wiadomości, od narzeczonego, od przyjaciółki, od kolegów z biura, od naczelnego z redakcji, który na nią czekał, i jedna, która go zaniepokoiła. Ta była od komisarza Ferrary. Dlatego właśnie dzwonił.

- Wie pan, gdzie ona jest, komisarzu?

- Nie, ja też jej szukam.

- Narobiła sobie jakichś kłopotów?

- Nie, a przynajmniej ja o niczym nie wiem. Mieliśmy się wczoraj spotkać w Marina di Pietrasanta, bo prosiłem ją o wyjaśnienia dotyczące artykułu, który, jak mówiła, napisała.

- I nie przyszła?

- Nie.

- I nawet nie zawiadomiła?

- Nie, z tego właśnie powodu do niej dzwoniłem.

Nastąpiła chwila ciszy.

- To do niej nie pasuje, tak jak nie pasuje, żeby zniknęła, nic nie mówiąc. Boję się.

Ferrara też zaczynał się bać.

- Nie, niech pan się nie boi, niech pan posłucha, jest pan jeszcze w domu córki?

- Tak, dzwonię z jej telefonu.

- Może pan tam na mnie zaczekać?

- Jeżeli pan chce...

- Proszę się uspokoić, przyjadę, jak najszybciej się da, proszę podać mi adres.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z hotelu, przesyłając z daleka całusa żonie, która wróciła do sali telewizyjnej.

Na autostradzie, która z Versilii prowadziła do Carrary, przyspieszył mercedesa do maksimum. Samochód był posłuszny i efektywny tak jak na początku, ale dla niego każdy kilometr wydawał się nieskończonością, więc wciąż naciskał klakson, chcąc utorować sobie drogę na pasie do wyprzedzania. Z prawej strony szybko jechały wielkie żurawie przewożące ogromne, kwadratowe bloki marmuru do miejsca składowania, a dalej widać było góry podziurawione kamieniołomami, które wydawały się ukrywać swoje rany pod czymś białym, podobnym do śniegu, ale był to tylko przez wieki odsłaniany, nagi kamień.

Od czasu do czasu dzwonił na komórkę Claudii, jednak nikt nie odbierał. Wyobrażał sobie, że ojciec robi to samo. Przy wjeździe do Carrary przez chwilę wahał się, zanim zdecydowanie skręcił w lewo w kierunku miasta. Znalazł via Verdi, adres, który podał mu mężczyzna. Zostawił otwartego mercedesa w drugim rzędzie, nie zabrał nawet kluczyków. Ruszył w kierunku niewielkiego budynku i wbiegł po schodach.

Amilcare Pizzi, wysoki, łysy mężczyzna, który czekał na niego w progu, wpuścił go do mieszkania. Był bardzo przejęty i zaczynał wyraźnie wpadać w panikę.

- Szybko pan przyjechał - miał siłę, by powiedzieć tylko tyle.

- Próbowałem dodzwonić się na jej komórkę

- Ja też.
- Mogę się rozejrzeć?
- Proszę bardzo.

Mieszkanie było niewielkie, jasne i gustownie urządzone. Stało tu niewiele mebli, ale wszystkie były doskonałej jakości. Było dużo książek i gazet oraz nowoczesny komputer. Komisarz uważnie przyjrzał się biurku. Był to wielki biały stół z długą szufladą pod blatem.

- Można otworzyć? - zapytał grzecznie.
- Oczywiście, komisarzu.

- To znaczy, czy pan, panie Pizzi, mógłby otworzyć? Wie pan, to nie mój dom i nie chciałbym wtykać nosa w nieswoje sprawy - skłamał, aby nie zdenerwować jeszcze bardziej mężczyzny, który z pewnością bardziej by się zaniepokoił, gdyby zrozumiał, że chodzi o prostą ostrożność w wypadku późniejszych ewentualnych przeszukań.

- Rozumiem pana, ale robimy to w dobrej wierze, prawda? - powiedział tamten, otwierając szufladę.

Był tam niewielki notes. Ryzy papieru EXTRA-STRONG, porządnie poukładane długopisy i ołówki oraz kilka opakowań kosmetyków. Szuflada była dość głęboka i ojciec wyciągnął ją jeszcze bardziej. Leżał też cyfrowy aparat fotograficzny, różne typy baterii, podręczniki do komputera i urządzeń elektronicznych.

- Proszę zamknąć.

Robiąc to, ojciec napotkał dziwny opór.

- Niech pan poczeka - powiedział Ferrara. Pochylił się. Brązowa koperta przyklejona taśmą do szuflady odkleiła się i zwisała z jednej strony. Wyjął ją, nie była zaklejona. Otworzył. Były tam dwa zdjęcia. Wyciągnął je. Oba przedstawiały górę. Jedno z nich wydawało się przedstawiać pewną określoną część tej samej góry, kamieniołom i dwie ciężarówki. Jedną z nich była cysterna. Nie było widać ani napisów, ani tablic rejestracyjnych.

- Te zdjęcia nic mi nie mówią - stwierdził ojciec Claudii, nie czekając, aż

Ferrara go o to zapyta.

Dlaczego je ukryła?

- Miałby pan coś przeciw temu, gdybym je wziął? Potem je oddam.

- Może pan wziąć, odda je pan jej.

- Ma pan na to moje słowo.

Było mnóstwo innych rzeczy, które chciał zrobić (włączyć komputer, przejrzeć notatnik, przesłuchać wiadomości z sekretarki), ale stracił już zbyt wiele czasu.

- Panie Pizzi, jestem pewien, że córce nie stało się nic poważnego, ale na wszelki wypadek...

- Lepiej zawiadomić karabinierów... Prawda?

Komisariat był na via Eugenio Chiesa, zaraz za rogiem.

- Ja poszedłbym na policję, widziałem, że to tu niedaleko, tam ktoś może mnie znać.

- Posterunek jest na placu miejskim - wytłumaczył Pizzi.

- To dosłownie dwa kroki stąd, idziemy?

- Poszedłby pan ze mną? - zapytał z ulgą.

- Oczywiście, jakby inaczej.

- Dziękuję, komisarzu.



Prefektura w Massa-Carrara w sprawie niektórych przestępstw, takich jak narkotyki i porwania w celu wymuszenia, nie podpadała pod jurysdykcję florencką, ale ponieważ leżała w granicach Toskanii, podlegała Genui. Była to anomalia, która w tych okolicznościach mogła być dla Ferrary korzystna. Komenda policji w Carrarze była w rękach komisarza Giuseppe Lojela, młodego, spokojnego człowieka, który przyjął go z uśmiechem na twarzy.

- Jestem zaszczycony, komisarzu, wiele o panu słyszałem, to wielka przyjemność poznać pana osobiście. I gratulacje z powodu tej dzisiejszej operacji - zapewne oglądał dziennik telewizyjny - ale zdaje się, jest pan na wakacjach, prawda?

- Tak, komisarzu, ale jestem bardzo zaniepokojony losem pewnej mojej

przyjaciółki z „Tirreno” która mieszka tu, w Carrarze, to Claudia Pizzi. Ten pan to jej ojciec.

- Witam, proszę powiedzieć, co się stało?

- Od wczoraj nie ma jej w domu - wytłumaczył pan Pizzi.

- Mieszka z panem?

- Nie, sama, ale codziennie do siebie dzwonimy.

- Wczoraj nie zjawiała się na spotkaniu ze mną - dodał Ferrara.

- No, wie pan, jest lato... może wyszła z jakimś przyjacielem? Ile ma lat?

- Trzydzieści cztery - szybko odpowiedział ojciec.

- Nie jest zamężna?

- Nie.

- Zaręczona?

- Tak, jest pewien młody człowiek...

- Próbował pan z nim porozmawiać?

- Niech pan posłucha, komisarzu - uciął Ferrara. - Próbowaliśmy już wszystkiego, co możliwe, a jeżeli i ja tu jestem, to dlatego, że uważam, iż dobrze by było zacząć poszukiwania, nie tracąc więcej czasu.

- Jeżeli pan tak twierdzi... Tylko co ja mam zrobić? Może najlepiej byłoby, żeby pan złożył oficjalne zawiadomienie z danymi i wszystkim, co mogłoby się przydać.

- Tak zrobię. Na razie telefon dzwoni, ale nikt go nie odbiera, więc sądzę, że dobrze by było zdobyć zezwolenie z prokuratury, by w trybie pilnym wszcząć szukanie IMEI jej aparatu telefonicznego. System pozwoliłby w realnym czasie, przez wyszkolony personel firmy telefonicznej wyszukać IMEI (piętnastocyfrowy kod, który określa konkretny, pojedynczy aparat) telefonu Claudii Pizzi, dopóki jest włączony i nie wyładowuje się bateria. Innymi słowy, specjaliści zadzwoniliby na komórkę, odbierając sygnał, który zostałby przejęty przez ultranowoczesną aparaturę, a ta określiłaby na monitorze przestrzeń zajęta przez ten sygnał, by zlokalizować aparat. Gdyby to nie wystarczyło, bo przestrzeń byłaby zbyt duża, co może się zdarzyć,

jeżeli telefon nie znajduje się w mieście, ale na pustkowiu, to inna dokładna aparatura wykonałaby triangulację, która pozwoliłaby na lokalizację z dokładnością do kilku metrów.

- Mówi pan... - zaczął komisarz Giuseppe Lojelo, patrząc z niedowierzaniem. To był poważny krok, który mógł go kosztować bardzo dużo, gdyby okazało się, że to fałszywy alarm, albo gdyby kobieta zaszyła się gdzieś z narzeczonym. Z powodu uciążliwości i wysokich kosztów tego typu działań zastępca prokuratora nigdy by mu tego nie wybaczył.

- Tak, komisarzu, niech się pan zgodzi.

- Ale widzi pan...

- Proszę wybaczyć, panie Pizzi - powiedział Ferrara oddalając się kilka metrów i dając koledze znak, by poszedł za nim.

- Komisarzu, niech pan się na mnie powoła, jeżeli to pomoże, niech pan powie, że ja o to prosiłem, bo prawdopodobnie za tym zaginięciem kryje się coś bardzo poważnego, co może mieć związek ze śledztwem prowadzonym przez moje biuro.

- Jeżeli tak...

- W międzyczasie pan Pizzi może załatwić wszystkie konieczne formalności. Ja muszę wracać do Marina di Pietrasanta - dodał, pomyślawszy o Petrze - ale będziemy w kontakcie. Możemy wymienić się numerami telefonów?

Tak zrobili. Na swojej wizytówce Ferrara dopisał numer telefonu hotelu.

- Jeżeli pan pozwoli, wkrótce zadzwonię.

- Oczywiście, komisarzu, ale sądzi pan...

- Pan może dzwonić do mnie o każdej porze, rozumie pan?

- Oczywiście.

Komisarz Lojelo odesłał ich do nadinspektora, który szybko usiadł do komputera, by zredagować doniesienie o zaginięciu.

- Muszę jechać, panie Pizzi, a pan niech się postara nie upadać na duchu. Jak pan widział, komisarz Lojelo już się wszystkim zajmuje. Zobacz pan,

szybko ją odnajdą.

Nie mógł mu powiedzieć, że może telefon zaginął, a Claudia może być o tysiące mil od miejsca, gdzie mogą go znaleźć. Tyle że dotąd nikt go nie zabrał, co było dziwne. Poza tym zaczynał odczuwać niepokój o los kobiety, której poszukiwanie było bez wątpienia uzasadnione.

- Miejmy nadzieję, komisarzu - powiedział ojciec z wymuszonym optymizmem.

- I niech pan dzwoni, kiedy pan będzie potrzebował. Ma pan numer hotelu.

- Dziękuję, komisarzu, za wszystko, co pan robi.

Nie zastał Petry w sali telewizyjnej ani na basenie. Była w pokoju i czytała jedną z niemieckich powieści, jeszcze nieopublikowanych we Włoszech, które zawsze przywoziła ze swoich podróży do Niemiec, dokąd lubiła jeździć wraz z nim szczególnie w Boże Narodzenie, kiedy dopadała ją nostalgia okresu adwentu i tęsknota za łakociami przygotowywanymi przez matkę, które sprawiały, że dom pachniał wanilią i cynamonem.

Może jednak nie czytała, bo wzrok miała nieobecny. Kobieta praktyczna i konkretna, ona, która tyle razy dawała mu wsparcie i pomoc, zachęcała, by nie tracił ducha, teraz wydawała się zagubiona i jakby nieobecna.

- Ubierz się. Dziś wieczorem zjemy w Pietrasanta.

- Nie, zostanmy tutaj - zaprotestowała bezwolnie.

- Mowy nie ma. Widziałaś restauracyjne menu? Nie, moja pani, zjemy kolację w odpowiednim miejscu. To rozkaz!

- Jak chcesz, Michele.

Ubrała się z ociąganiem. Nie była rozmowna w samochodzie, ale kiedy weszli na placyk Włoskich Aten, zachwycona dziwnym dysharmonijnym pięknem tego miejsca i rozluźniona wesołością ludzi, którzy tłumnie odwiedzali bary i restauracje, odzyskała radość życia. Podobała się jej tablica Carducciego, trochę mniej wieża dzwonnicza z cegły, która ocieniała duomo o czystej fasadzie z białego marmuru. Zwiedzili kilka galerii sztuki i zjedli w Trattoria San Martino, gdzie zamówili dobre, proste dania i lokalne wino.

Komisarz w międzyczasie porozumiał się z Lojelem, tak jak się umówili, i dowiedział się, że prokuratura zezwoliła na wyśledzenie telefonu Claudii, a firma telefoniczna już przystąpiła do pracy. Nic więcej nie można było zrobić. Pozostawało tylko czekać, aż zlokalizują miejsce, w którym znajdował się telefon.



Chwilę po tym, jak się położył, zaskoczył go kopniak w plecy. Nie zdążył zareagować. Na plecach poczuł ciężar Włocha.

- Ty dać spokój, dać spokój! - wrzasnął Alex, rzucając się na pomoc bratu i starając się rozdzielić dwa szczone ciała.

Udało mu się to dość szybko. Mimo że Emilio Zancarotti ważył prawie sto kilogramów i był niebywale umięśniony, ich było dwóch. Trudniej było powstrzymać reakcję Narda i utrzymać ich z dala od siebie.

- Nie róbcie z siebie idiotów - polecił Alex. - Chcecie skończyć w separatkach?

- Lepiej, żebym go nie oglądał.

- To nie być moja wina - zaprotestował Nard, odwracając się na pryczy.

- Słyszysz go? Słyszysz? Mówiłem, żeby zapiął pasy, nie? Tysiąc razy mu to mówiłem...

Alex zamilkł.

- Przez ciebie nas złapali i teraz mamy przerąbane, wiesz czy nie?

- Qetesi'.⁷ - zaprotestował Nard.

- Co, do cholery, powiedział ten kretyn?

- Powiedział, żeby się zamknąć, ale nie zwracaj na niego uwagi... On się boi.



Inspektor Oliva z wydziału narkotykowego wstrzymał oddech, mając nadzieję, że rozmowa nie skończy się właśnie teraz. Siedział w maleńkim pokoju na tym samym piętrze co dyrekcja więzienia w Sollicciano daleko od celi, w której zostali zamknięci przemytnicy, ale gdy tylko usłyszał pierwsze słowa, wstał z krzesła, zbliżył się do aparatury podsłuchowej i włożył do

ucha słuchawkę, żeby nie uronić ani słowa ich rozmowy.

Albańczycy, dwaj bracia, Alex i Nard Dakaj, mieszkali we Włoszech nielegalnie od kilku lat. Wiele razy byli aresztowani za rozprowadzanie narkotyków. Skazani i deportowani uparcie tu powracali, podając za każdym razem inne dane. Wymyślali kolejne przy okazji różnych kontroli i zatrzymań, że teraz nawet sami nie byli już pewni, jakie są ich prawdziwe nazwiska.

Trzecim mieszkańcem celi był florentyńczyk z przeszłością karną związaną z rozprowadzaniem narkotyków, Emilio Zancarotti. Był właścicielem samochodu, a także prowadził go, kiedy samochód został zatrzymany do kontroli przez policję drogową.

Wydział narkotykowy obserwował ich od kilku tygodni w związku z doniesieniem informatorki, młodej rumuńskiej prostytutki, która nie mogła już znieść przemocy Alexa, uciekła od niego i zwróciła się do policji w Montecatini, która z kolei przekazała sprawę sekcji Ciuffiego.

Okazało się, że bracia często chodzą do pewnego baru w okolicy Santa Croce, prowadzonego przez Emilia Zancarottiego, już dawniej podejrzanego o czerpanie zysków z działalności przestępczej i wysyłanie pieniędzy do Albanii po to, by dostarczano mu narkotyki, które były przeznaczone na rynek europejski, a także na zakup kobiet przywożonych do Włoch w celach prostytucji. Nie było pewne, na czyje konto działa. Aby zdemaskować jego działalność, Ciuffi z nakazem prokuratorskim zlecił kontrole bankowe i pocztowe, ale nie uzyskał jeszcze żadnych rezultatów. Potem w związku z prośbą Ferrary o pomoc w „Operacji Stella” rozszerzył nadzór nad tymi trzema osobami.

Tej nocy w maleńkiej celi wciąż wymieniali się zarzutami i groźbami, ale nie doszło więcej do rękoczynów. Kiedy w końcu koło północy minęła frustracja i wściekłość, umilkli i mógł usłyszeć chrapanie. Inspektor Oliva zaczął przepisywać słowo po słowie - wszystko, co usłyszał i zarejestrował.

⊕ XVI ⊕

Po kolejnej prawie bezsennej nocy spędzonej na tłumieniu lęku, wspomnieniach i ciągłych wyrzutach sumienia ledwie wstali z łóżek, kiedy portier podał im telefon. Dzwonił Lojelo.

- Jest na drodze gminnej prowadzącej do kamieniołomów w okolicy Bedizzano. Jedziemy tam.

- Dołączę do was, którą mam jechać? - zapytał Ferrara.

- Z Carrary trzeba jechać na Colonnatę. Niech pan się upewni, że to jest droga, która prowadzi koło Bedizzano.

- Jadę - powiedział komisarz, rozłączając się.

- Mogę pojechać z tobą?

Komisarz popatrzył na żonę. Po raz pierwszy prosiła go o uczestniczenie w operacji policyjnej. Zrozumiałby, gdyby chodziło o odnalezienie Massima, gdziekolwiek by był i był jeszcze żywy, ale cóż...

Petra miała ściągniętą twarz i podkrążone oczy. Jasne włosy, o które ostatnio nie za bardzo dbała, i również jasna, prawie przezroczysta cera sprawiały, że jakby się postarzała o kilka lat. Ferrara poczuł, że kocha ją jeszcze bardziej z upływem czasu, a obecne złe dni nie pomniejszyły jej urody, ale nadały jej powagi. Jej zielone, żywe oczy nie błagały, to nie była prośba - to był nakaz.

- Ale, Petra..., tu chodzi o dziennikarkę, której szukamy. Prawdopodobnie znajdziemy tylko jej komórkę. To będzie jedna z tych wypraw bez sukcesu, które niestety się zdarzają... nie ma nic wspólnego...

- Nie mogę już tu siedzieć przez cały dzień przed tym debilnym odbiornikiem, **MEIN GOTT!** I nie myśl, że mam ochotę iść na plażę czy na basen.

Ferrara się zastanowił. Prawie nie widział żadnego niebezpieczeństwa, trudno żeby Claudia była w rękach jakiegoś złoczyńcy, skoro jej telefon działał. Ubrali się szybko.

O szóstej piętnaście byli już na autostradzie, a pół godziny później jechali w górę pełnej zakrętów szosy z Carrary w kierunku Colonnaty.

To był dramatyczny pejzaż, doskonale pasował do stanu ducha obojga. Powoli, im bardziej zbliżali się do połowy drogi, coraz więcej było wyraźnych, głębokich brzd wyrzeźbionych przez wieki ręką człowieka w masywie, w którym otwierały się głębokie rozpadliny oślepiające bielą w pierwszych promieniach sierpniowego słońca.

Było jeszcze wcześniej, ale już autobusy pełne turystów opóźniały pełną niepokoju podróż Ferrary. Trzy radiowozy stały przy wyjeździe z Bedizzano, gdzie droga łączy się z szosą dla ciężarówek wiodącą z Carrary. Stał tam tylko jeden funkcjonariusz.

Ferrara zatrzymał mercedesa z prawej strony, zostawiając miejsce na ewentualne manewry pojazdów jadących od strony rozwidlenia, i wysiadł. Petra wysiadła wraz z nim.

- Jestem komisarz Ferrara - przedstawił się, pokazując legitymację.
- Komisarz Lojelo czeka na pana wyżej - odpowiedział policjant.
- Jak daleko?
- Około kilometra, ale droga jest wąska i nie wiem, czy samochód da radę przejechać. Chce pan, żebym poszedł z panem?

Popatrzył na Petrę, dała mu przeczący znak głową.

- Wolę iść na piechotę, dziękuję.

Ruszyli. Z prawej strony góra była gęsto porośnięta zwykłymi i ostrolistnymi dębami, z lewej schodziła w dół, otwierając się czasami na niespodzianie skaliste ściany zabezpieczone kamiennymi murkami. To nie był kilometr, ale więcej, może nawet dwa. Droga była trudna, bo pełna zakrętów, ale kiedy się zorientowali, byli już za daleko, by zawrócić. Powoli, w miarę jak się zbliżali, widzieli to tu, to tam pośród roślinności mundury

policjantów zajmujących się poszukiwaniami.

Po zakręcie wydrążonym w skale, z którego pozostał ledwie kawałek drogi pomiędzy dwoma urwiskami, mniej więcej w połowie odległości pomiędzy Bedizzano a Colonnata, zobaczyli niską konstrukcję z blachy falistej pomalowanej na żółto, kiosk z pamiątkami, przed którym stały dwa samochody. Jeden policyjny, obok którego stał Lojelo z komórką przy uchu, i drugi ciemnozielony renault.

Ledwie Ferrara podszedł, Lojelo powiedział, wskazując pojazd:

- To samochód Claudii Pizzi. Odpowiada opisowi, który podał ojciec, i numery rejestracyjne się zgadzają.

Zły znak, pomyślał Ferrara.

- Dzwonię w określonych odstępach czasu - wytłumaczył - na szczęście bateria tamtego telefonu jeszcze trzyma, ale sygnał jest słaby. Mam nadzieję, że nie ustawiła wibracji i któryś z moich ludzi usłyszy dzwonek. Triangulacja wyznaczyła ten teren, ale nie dokładny punkt, a teren, jak pan widzi, jest zalesiony. Nie będzie łatwo, jedyna nadzieja to usłyszeć dźwięk.

To Petra, która stała z tyłu, popatrzyła na ołtarzyk przyczepiony do skały i udekorowany różami, który został postawiony na pamiątkę jakiegoś wypadku drogowego, usłyszała słaby dzwonek telefonu, kiedy komisarz się rozłączał.

- Niech pan spróbuje jeszcze raz! - zawołała, przesuwając się do przodu.

Lojelo to zrobił. Ferrara podszedł do niej. Teraz dzwonek słyhać było lepiej, choć nadal wydawał się odległy. Teren na prawo od skały schodził stromo w prawie pionową fosę pomiędzy lasem a poszyciem, na szczęście niezbyt gęstym. Dwa kable, może elektryczne, a może telefoniczne, przechodziły przez zejście tej gardzieli niedaleko od ziemi.

Lojelo wezwał jakiegoś funkcjonariusza.

- Niech pan zejdzie, ale ostrożnie, ja nadal dzwonię.

Policjant wrócił po chwili ze skórzaną torebką w ręku.

Znalazł ją około dwudziestu metrów poniżej zaczepioną na krzaku jeżyny. Wewnątrz pośród innych rzeczy był telefon komórkowy i portfel z

dokumentami Claudii Pizzi.

- Trzeba zintensyfikować poszukiwania w dolinie - powiedział Ferrara. - Nie może pan kogoś wezwać do pomocy?

- Jest tu sekcja karabinierów w Bedizzano...

- Lepiej wezwać służbę leśną, znają teren - szybko powiedział szef wydziału śledczego - i ambulans.



Ciało Claudii Pizzi zostało odnalezione prawie u stóp urwiska. Miała pięć ran postrzałowych w plecach. To była długa i bardzo trudna akcja, bo nie można było zabrać ciała, zanim przyjadą technicy z prefektury w Spezia. Dziennikarka trzymała w dłoni pasek aparatu marki Nikon zaopatrzonego w potężny teleobiektyw, teraz rozbity po upadku, podobnie jak i aparat. W międzyczasie Ferrara i Lojelo przesłuchiwali właścicielkę kiosku z pamiątkami, ale niewiele od niej się dowiedzieli. Renault parkował tam przez cały poprzedni dzień. Kobieta widziała go, kiedy przyjechała rano, a kiedy wracała do domu wieczorem, nadal tam stał.

- Dlaczego pani nikogo nie zawiadomiła? Nie wydało się to pani dziwne?

- Trochę - przyznała - zazwyczaj nikt się tu na tak długo nie zatrzymuje, ale co ja tam wiem, może to był ktoś, kto poszedł na wycieczkę do lasu. A poza tym wydawało mi się to nieodpowiednie, to tak, jakby mi przeszkadzało, że zajmuje miejsce. Jasne, że widząc ten samochód dzisiaj, przejąłabym się na serio.

Z jej strony nie mogli się spodziewać więcej.

- Trzeba będzie powiedzieć ojcu - padły słowa. Wypowiedział je Lojelo po tym, jak ambulans oddalił się z ciałem dziennikarki.

- My się tym zajmiemy - zaferował Ferrara upewniony spojrzeniem Petry. Obecność kobiety w tych okolicznościach może pomóc znieść niewypowiedziany ból.



Zanim dotarli do domu Amilcare Pizziego, zadzwonił do „Tirreno” i kazał się połączyć z dyrektorem. Podał mu wiadomość i wspomniał o tekście, który

Claudia kończyła pisać w nocy ósmego sierpnia, artykułu, którego nie zobaczył w gazecie następnego dnia.

Dyrektor, strapiony, powiedział, że nic o tym nie wie, ale dowie się i oddzwoni. Skąd cenzura? Nigdy, naprawdę nigdy! To nie było w zwyczaju jego gazety, zapewniał. Oddzwonił dziesięć minut później, kiedy komisarz parkował. Artykuł został rzeczywiście zablokowany przez redaktora naczelnego, bo wydawał się nie na temat, był trochę ryzykowny i nie zawierał konkretnych dowodów.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Oczywiście, niech pan zostanie na linii, już go daję.

- Jestem Francesco Gustavino, komisarzu - powiedział chwilę potem inny głos, młodszy.

Jego też poinformował o śmierci Claudii.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Tylko tyle tamten był w stanie z siebie wydobyć.

- Ja też. Znałem ją i sprawia mi ogromny ból już sama myśl, że odeszła w tak młodym wieku. Teraz pańska kolej, musi mi pan pomóc.

- Może pan na mnie liczyć.

- Dlaczego nie opublikował pan artykułu Claudii Pizzi?

- Był zbyt osobisty jak na taką profesjonalistkę. Poza tym między wierszami miała coś do karabinierów, a jej hipotezy były trochę spiskowe. Chciałem z nią porozmawiać, żeby wyjaśniła mi niektóre kwestie, chciałem zrozumieć, do jakiego stopnia da się udowodnić to, co mówi, ale nie udało mi się. Szukałem jej przedwczoraj, jak dostałem tekst, ale nie odpowiadała na telefony. Wczoraj też nie udało mi się jej złapać.

- O czym konkretnie mówił artykuł?

- O tym, że trzeba przede wszystkim skierować śledztwo w kierunku kamieniołomów marmuru. Widzi pan, już od jakiegoś czasu Claudia interesowała się tą okolicą. Powtarzała mi, że chce zrobić wielkie śledztwo... ale powiązanie między zabójstwem w Marina di Pietrasanta i tym, co

odkryła, cokolwiek odkryła... albo miała nadzieję odkryć, natychmiast wydało mi się trochę naciągane... Jakby chciała zmieścić tę zbrodnię w jakiejś swojej założonej tezie.

Ferrara doskonale rozumiał, co redaktor chciał powiedzieć. Nawet dla śledczego istnieje ryzyko naginania hipotezy do tezy wcześniej przyjętej, z której trudno jest zrezygnować. Ryzyko, które on starał się eliminować, nie lekceważąc żadnego śladu. Sprawdzał wszystko dokładnie, w najbardziej obiektywny sposób w czasie całego śledztwa, które prowadziło do tej tezy. Gotów był ją nawet całkowicie podważyć.

- Zmarła właśnie w kamieniołomach - stwierdził Ferrara.

- Tak - mruknął naczelny z wyraźną goryczą.

- Może pan przysłać mi ten artykuł?

- Nie wiem... teraz, kiedy już nie żyje... To materiał Claudii.

- Gustavino... Gustavino, tak pan się nazwa? Chcę panu przypomnieć, że Claudia Pizzi zmarła, a właściwie została zamordowana w kamieniołomach, i że artykuł dotyczy kamieniołomów. I że ja jestem komisarzem policji.

- Przepraszam, komisarzu, jeżeli tak...

Ferrara uciął, podając mu swój adres e-mailowy, na który Gustavino miał wysłać tekst.



Ojciec Claudii wybuchnął płaczem i to chyba sprawiło, że nie zemdlął. Zbladł i był biały jak najczystszy używany do rzeźbienia posągów marmur, ale Petra szybko znalazła w kredensie jadalni jakiś alkohol i kieliszek. Jego żona zmarła rok temu, starszy syn wyemigrował do Australii. Teraz został sam. Córka była dla niego wszystkim, wyznał zdesperowany.

Dopiero później dzięki pocieszającym słowom Petry mężczyzna był w stanie pojechać z komisarzem do mieszkania Claudii, które Ferrara chciał skontrolować teraz dokładniej z pomocą Lojela i jego ludzi.

- Da pan radę pojechać? Jeżeli pan nie chce, może mi pan dać klucze - powiedział, mimo że obecność ojca Claudii była mu bardzo potrzebna.

- Nie, chcę tam być, komisarzu.

Przyjechali na miejsce razem z Lojelem i technikami. Amilcare Pizzi otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

- Mam nadzieję, że pan nam wybaczy, ale tym razem musimy sprawdzić wszystko - powiedział do niego Ferrara.

- Jeżeli to pomoże w śledztwie, to mnie także na tym zależy, panie komisarzu. Chcę, byście ich złapali, kimkolwiek są.

Najpierw weszli technicy. Nie zajęło to wiele czasu, szczególnie fotografowanie i filmowanie, bo było to niewielkie mieszkanie. Odciski palców były niewidoczne gołym okiem, bo obecne tam przedmioty i otoczenie były czyste i nigdzie nie było śladu kurzu. Odciski ukazały się dopiero po nałożeniu na nie pędzelkiem specjalnego, aluminiowego szarosrebrnego proszku, a potem zostały zabezpieczone za pomocą czarnej taśmy samoprzylepnej. Wtedy je sfotografowano.

Następnie przeszli do przeszukania, z którego protokół miał być przekazany do prokuratury wraz z pierwszymi informacjami związanymi z odnalezieniem zwłok.

W mieszkaniu było mnóstwo książek, gazet, miesięczników, notatników z zapiskami ręcznymi, zeszytów, kalendarzy używanych bardziej do notowania albo zapisywania **PRO MEMORIA** niż do zapisywania spotkań. Zwyczaj zapisywania w kalendarzach wiadomości, faktów i notek pomocnych w redakcji artykułów to był stary zwyczaj dziennikarzy prowadzących kronikę kryminalną. Był też kalendarz z 2001 roku. Był to kalendarz kasy oszczędnościowej z Florencji. Ferrara zaczął go wertować, od początku. Strona po stronie. Zauważył, że niektóre kartki były czyste, jakby w tych dniach Claudia Pizzi nie pracowała albo zapisywała w innym notesie. Dotarł do sierpnia. Znalazł różne notatki zapisywane dzień po dniu. Były tam zdania, które zostały wypowiedziane, jak sądził Ferrara, przez jakiegoś informatora albo świadka. Tak jak zaznaczone wielką literą „G” zeznania Grazii Barberi, którą Ferrara już poznał. Zauważył też, że wiele razy pojawiało się nazwisko Simonetty Palladiani, a obok niego widniał jeden lub

kilka znaków zapytania. Nie dostrzegł nazwiska Massima Vergi, ale było stwierdzenie „floreński księgarz, który wynajął letni domek”. Potem znalazł numery, które odnosiły się do umiejscowienia niektórych kamieniołomów. Nagle uderzyło go jedno zdanie zapisane na kartce w kratkę i umieszczone wewnątrz okładki: „Sprawdzić historyczną obecność firm sycylijskich w Toskanii”. Dlaczego sycylijskie?

- Kolego, zabieramy wszystkie kalendarze i notatniki - zasugerował komisarzowi Lojelo - trzeba je dokładnie przeanalizować.

- A komputer? - zapytał Lojelo, wskazując laptopa Toshiba leżącego na biurku.

- Też, i dyskiety - odpowiedział Ferrara, a potem zwrócił się do Amilcare Pizziego: - Panie Pizzi, teraz musimy zarekwirować cały ten materiał, potem to, co nie będzie potrzebne, zostanie panu zwrócone.

Stary ojciec kiwnął głową.

- A, kolego - dodał Ferrara, zwracając się do Lojela - proszę dołączyć także i to do protokołu przeszukania.

Podał mu kopertę z dwoma zdjęciami, które znalazł podczas poprzedniej wizyty. Lojelo popatrzył z niepokojem.

- Zrobię notatkę służbową - dodał, wyjaśniając, jak koperta znalazła się w jego posiadaniu.

Na koniec komisarz pożegnał Lojela, prosząc, by nie wspominał jego nazwiska przy dziennikarzach.

Wrócili do hotelu po południu. W międzyczasie nie było do nich żadnych telefonów. Był to wyraźny znak, że we Florencji nie zdarzyło się nic istotnego. Ferrara, kiedy tylko wszedł do pokoju, włączył laptop i sprawdził pocztę elektroniczną. Żadnych wiadomości z biur, skonstatował, sam nie był pewien, czy z żalem, czy ulgą, ale był e-mail od Francesco Gustavina z artykułem Claudii.

Przeczytał.

Dowiadujemy się z pewnego źródła, że Ugo Palladiani został zamordowany [Ferrara zadrżał. To był znak, że Claudia skończyła pisać artykuł już po rozmowie z nim].

STWIERDZONO TEŻ OBECNOŚĆ INNEGO MĘŻCZYZNY W WILLI SIMONETTY PALLADIANI, FLORENCKIEGO KSIĘGARZA, KTÓRY WYNAJAŁ LETNI DOMEK I, JAK SIĘ WYDAJE, ON TAKŻE ZNIKNAŁ. CHODZĄ SŁUCHY, ŻE MIĘDZY NIM A WŁAŚCICIELKĄ BYŁO COŚ WIĘCEJ NIŻ „ZWYKŁA PRZYJAŹŃ”, CZYLI POJAWIA SIĘ TROP NAJBARDZIEJ OCZYWISTY I STARY JAK ŚWIAT, EKSPLOATOWANY DO GRANIC MOŻLIWOŚCI, ALE ZAWSZE W TYCH NASZYCH MALEŃKICH WŁOSZECH AKTUALNY. ZWYKŁY TRÓJKĄT MIŁOSNY!

Tak więc karabinierzy, wykonując swoją pracę, skupiają się nad tym, że może zostać to uznane najprawdopodobniej za ucieczkę dwójki kochanków-morderców, i widzimy, jak ulatnia się nadzieja na to, że Stróże prawa zaczną zastanawiać się, jak to jest, że zabity został właśnie mąż kobiety, która jest w posiadaniu koncesji na kamieniołomy marmuru, eksploatowane przez pewnego sycylijskiego przedsiębiorcę, który czerpie z nich zyski, podczas gdy jej rodzice popadli w ruinę. Te kamieniołomy to numery 206, 219 i 225, a przecież wszystkie w tym terenie już dawno zostały uznane za nierentowne. Otóż nasi przedstawiciele sił porządkowych nie zauważają pewnego dziwnego zbiegu okoliczności. Przedsiębiorca, który ratuje kamieniołomy, jest Sycylijczykiem, zabity mężczyzna także... Może chodzi o jakieś idealistyczne rojenia osoby, która to pisze, i nie uwierzy nigdy w winę Simonetty Palladiani (która zrobiła wiele dobrego w naszym mieście), ale jest przekonana, że temu Salvatore⁸ kamieniołomów trzeba by się przyjrzeć.

- Ale przecież czy słowo „salvatore” w takim znaczeniu nie pisze się małą literą? - zwrócił się do Petry, która stała za jego plecami.

- Nie, może po prostu chciała użyć trochę ironii i porównać go do Jezusa Chrystusa, albo to tylko błąd maszynowy, wiesz taki, co się zdarza, kiedy pisze się szybko na klawiaturze. Ja wciąż takie robię.

- Nie zauważyłem innych - stwierdził.

Ferrara już trzymał telefon w ręku.

- Komisarzu Lojelo, to ja, Ferrara. Mógłby pan sprawdzić, kto podnajmuje kamieniołomy 206, 219 i 225?

- Jasne. Czy to ma związek z zabójstwem?

- Bardzo możliwe. Podałem panu e-mailem ostatni artykuł, który napisała Claudia Pizzi, ale nie został opublikowany. Sam pan zrozumie, o co chodzi.

- Dziękuję, szefie - odpowiedział, jakby Ferrara był jego zwierzchnikiem, co go prawie rozczuliło. - Bardzo nam pan pomaga.

Natychmiast potem zadzwonił do Fantiego.

- Znajdź mi wszystko, co dotyczy przedsiębiorstw sycylijskich w Toskanii w ostatnich dziesięciu... nie, piętnastu latach.

- Wszystko? - zapytał sekretarz wyraźnie zbity z tropu.

- Jakie są, czym się zajmują, gdzie są rozmieszczone... na razie to mi wystarczy.

- Będzie zrobione, ale pan... kiedy pan wraca, szefie?

- Nie wracam... to znaczy, jeszcze nie wiem. Czy nie pracuje ci się dobrze z Rizzem?

- Nie o to chodzi... Wszystko u pana dobrze? Robi pan postępy? Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

- Na razie to mi wystarczy. Oddzwonź, kiedy będziesz coś wiedział, albo wyślij mi te informacje.

- Będzie zrobione, szefie.

Kiedy tylko skończył rozmowę, popatrzył na zegarek i zdecydował, że nadszedł właściwy moment, by wreszcie zadzwonić. Tę rozmowę odkładał już zbyt długo.

⊕ XVII ⊕

Alex: TY DAĆ SPOKÓJ, DAĆ SPOKÓJ!

(odgłosy walki)

ALEX: Nie wygłupiajcie się... Chcecie skończyć w oddzielnych separatkach?

ZANCAROTTI: Lepiej, żebym go nie widział na oczy!

NARD: To nie być moja wina!

ZANCAROTTI: Słyszysz? Słyszysz? Mówiłem mu czy nie, żeby zapiął pasy? Powiedziałem mu czy nie? Tysiąc razy mu mówiłem...

(krótka przerwa)

ZANCAROTTI: Co, do cholery, powiedział ten złamas?

ALEX: Powiedział, żeby się zamknąć, ale nie przejmuj się... On się boi...

ZANCAROTTI: Paniczyk chce spać?

ALEX: On bać, strach! Ja też bać.

ZANCAROTTI: Przysięgam, że go zabiję, jak nas wypuszczą, zwisa mi, że to twój brat.

ALEX: Nas zabić prędzej on, Emilio, ten nie wybaczać.

ZANCAROTTI: Zitturi też nie wybacza, a i jego też wyrolowaliśmy.

ALEX: Nie znaleźć nas na czas, kiedy znajdzie, my martwi.

(długa cisza)

ZANCAROTTI: Ale ja najpierw zamorduję jego!

NARD: (niezrozumiałe)

ZANCAROTTI: Zabiję go!

ALEX: Powiedział cisza albo cię udusić. On zdolny to zrobić.

ZANCAROTTI: Ja też.

ALEX: On mój brat, Emilio. Może my móc więcej od ciebie.

(długa cisza. Po czterdziestu minutach słycać chrapanie)

Francesco Rizzo skończył czytać transkrypcję podsłuchu i skoncentrował się. Czerwonym pisakiem podkreślił „on” ze zdania „Nas zabić prędzej on” i zakreślił nazwisko Zitturi, potem wezwał Venturiego, który był najlepszy w przeszukiwaniu archiwów, oraz Ascalchiego i Ciuffiego. Była dziewiąta trzydzieści w piątek dziesiątego sierpnia.

W tym momencie komisarz Ferrara czekał, aż strażacy wydobędą ciało Claudii Pizzi z głębi kamieniołomu.

- Prawdopodobnie jeden „on” to dostawca, drugi to odbiorca narkotyków - wyjaśnił Rizzo Venturiemu. - Dając się złapać, oszukali obu i teraz się boją. Na tym można coś ugrać, bo zamiast dać się zabić, mogą zechcieć współpracować.

- Może Włoch - stwierdził sceptycznie Ciuffi. - Albańczycy nie sypią, oni są tuosti⁹, znasz ich. Zancarotti to też twardy orzech do zgryzienia, ma dużo do stracenia, jeżeli się sprzeda. Jak będzie miał czas i dobrego adwokata... Wiesz, jakie jest nasze prawo.

- Nie można by kogoś wsadzić do celi z nimi, zanim adwokat go wyciągnie? - zapytał Ascalchi.

Ciuffi przytaknął.

- To nie jest zły pomysł, mógłbym użyć jednego z moich, którzy działają pod przykrywką. Umieją się przystosować i może uda się sprawić, żeby tamci zaczęli mówić. Warto spróbować, mówimy tu o dużych rybach, niebezpiecznych, a niełatwo sprawić, żeby kurier się wygadał. Widzieliście, jak już się boją?

- Tak czy tak, spróbujmy - stwierdził Rizzo. - A nazwisko Zitturi nic ci nie mówi, prawda?

- Nie, pierwszy raz słyszę.

- Venturi, ty się tym zajmij. Przegrzeb wszystkie możliwe archiwa, a jak trzeba, sprawdź wszystkich Zitturich we Włoszech. To nie jest popularne nazwisko. Może, jak będziesz miał szczęście...

- Dobrze, szefie - odpowiedział inspektor i natychmiast dodał: - O ile jest Włochem... To jest przemyt międzynarodowy... Może jest Grekiem albo Marokańczykiem. Może wymowa jest błędna.

- No to mamy pecha, ale masz rację, będziesz musiał sprawdzić też w Interpolu.

- Tak, szefie.

- Trudniej będzie zidentyfikować tego, o którym Albańczycy mówią „on”, który chyba jest ich szefem. Masz jakieś pomysły, Luigi?

- Na razie zero. Analizujemy telefony komórkowe obu braci i prosiłem już prokurator Cosenzę, by zezwoliła na kontrolę numerów, z którymi ostatnio się łączyli, a są jeszcze w pamięci telefonów, oczywiście oprócz tych, które uda się zidentyfikować i okażą się zupełnie bez znaczenia. Moi ludzie są w gotowości i pokładamy wielką nadzieję w informatorach. Taka wpadka jak ta robi dużo szumu, coś może z tego wyniknąć.

- Doskonale, sądzę, że to wszystko jak na razie - stwierdził Rizzo, kończąc spotkanie.



Chwilę potem, kiedy Rizzo szedł do Fantiego spytać o nowiny od Ferrary, został zatrzymany w korytarzu przez inspektora Violantego.

- Szedłem właśnie do pana, panie komisarzu. Zidentyfikowaliśmy właściciela karty telefonicznej, z której zadzwoniono na 118. Chodzi o sprawę Stelli, wie pan?

- Oczywiście, doskonale, kto to jest?

- Nazywa się Pietro Franceschini i mieszka w San Michele w Torri, w okolicy miejsca odnalezienia dziewczyny, ale trochę dalej, w kierunku Montelupo, na via Canto allé Gracchie. Wezwaliśmy go. Chce pan uczestniczyć w przesłuchaniu?

- Oczywiście, chodźmy.

Poszedł za inspektorem do biura, gdzie Sergi właśnie robił kawę dla mężczyzny i kobiety. Oboje byli w średnim wieku i skromnie ubrani. Byli wyraźnie onieśmieleni i czuli się nieswojo. Po zwyczajowych prezentacjach

Rizzo zapytał mężczyznę, czy to on zadzwonił na 118 rano 29 lipca. Pietro Franceschini zmieszany zwiesił głowę i nie odpowiedział.

- Zadzwoniono z kabiny publicznej z karty telefonicznej. Tej samej, z której trzy razy dzwoniono do pańskiego domu, panie Franceschini, dwa razy do domu pańskiej matki i trzy razy do siostry - wtrącił Violante grzecznym, ale zdecydowanym tonem.

Kobieta, która była jego żoną i miała na imię Rita, pociągnęła go lekko za ramię, zachęcając do mówienia.

- Odpowiedz, Pietro.

- Proszę nam wszystko powiedzieć - poradził Serpico porozumiewawczym tonem. - Jeżeli nie zrobił pan nic złego, nie musi się pan bać. Nie oskarżamy pana, chcemy się tylko wszystkiego dowiedzieć.

- Nic nie zrobiłem... Ja nic nie wiem - mruknął mężczyzna nadal ze zwieszoną głową.

- Violante, Sergi, możecie wyjść? Chcę zostać sam na sam z tym państwem - powiedział Rizzo, zakładając, że małżonkowie byli przerażeni i może źle się czuli w obecności zbyt wielu śledczych.

- Niech pan posłucha, panie Franceschini - powiedział, jak tylko policjanci się oddalili - nie mamy nic przeciw panu. Przeciwnie! Z tego, co wiemy, zrobił pan, co do pana należało, wykonał pan obywatelski obowiązek, wzywając 118 do osoby poszkodowanej i powinien pan zostać nagrodzony, więc nie ma pan czego się obawiać. Tego ranka trzy kilometry czterysta metrów od drogi międzymiastowej 98 ze Scandicci znaleziono prawie martwą dziewczynę. Ktoś używając pańskiej karty telefonicznej, zadzwonił na 118. Nie zgubił pan tej karty, bo te telefony, o których mówił mój kolega, miały miejsce i przed, i po 29 lipca, rozumie pan? Toteż jeżeli pan nie chce mówić, będę zmuszony pomyśleć, że tę dziewczynkę to pan tam zostawił.

- Nie, komisarzu, przysięgam, że nie! - krzyknęła kobieta. - To nie on, my nie mamy z tym nic wspólnego. Piętro, Piętro, powiedz to komisarzowi, och, Matko Najświętsza! - błagała, zaczynając płakać. - Dlaczego nie mówisz?

Dlaczego nic nie mówisz? I tak już wiedzą!

- Zadzwoiłem - przyznał mężczyzna cichym głosem.

- Wiem, dlaczego nie chciał pan mi tego powiedzieć?

Mężczyzna podniósł głowę i popatrzył na komisarza niewidzącymi oczami.

- Jesteśmy prostymi ludźmi, nie mieszamy się do nie swoich spraw... Nigdy nie mieliśmy nic do czynienia z policją, jesteśmy czyści. Zrobiłem to, co powinienem i to wszystko.

- Niech pan mi uwierzy, rozumiem. Kiedy ja po raz pierwszy tu wszedłem, też byłem pod wrażeniem - skłamał. - Fakt, to my jesteśmy tymi, którzy nakładają mandaty, karzą obywateli, ale wie pan, dlaczego to robimy? Aby was chronić, nie żeby prześladować. Wiem, wrażenie może być inne, czasami też się mylimy, ale zazwyczaj nie. Wszystko to robimy, byście żyli lepiej... Niech pan mnie posłucha, panie Franceschini, niech pan postara się mi zaufać i niech pan mi opowie wszystko, zobaczy pan, że będzie dobrze.

- Nic nie zrobiłem. Co mam powiedzieć?

- Co się stało tamtego ranka?

- Zawiozłem żonę do kościoła, do parafii Santa Maria na piazza Cioppi w Scandicci, prawda, Rita? Też mu powiedz, to mi uwierzy.

- To prawda, panie komisarzu.

- Która była godzina?

- Przed siódmą. Żona chodzi wcześniej na mszę, bo potem mamy robotę, trzeba dać jeść zwierzętom i plewić ogród.

- Dobrze, niech pan mówi dalej. Poszedł pan do kościoła, a potem?

- Nie, nie potem, zanim dojechaliśmy do kościoła, wzdłuż drogi Mosciano, na tym zakręcie panoramicznym, wie pan. Tym na drodze od restauracji Domenico, to znaczy za zakrętem za rozwidleniem na San Martino alla Palma, jak tylko przejechałem, musiałem się zatrzymać, bo...

- Bo?

Mężczyzna się zmieszał.

- Musiałem iść za potrzebą - przyznał w końcu, czerwieniąc się.

- Często mu się to rano zdarza - wytłumaczyła żona - ma nietrzymanie, nawet z tego się leczy.

Mężczyzna, upokorzony, spiorunował ją wzrokiem.

- I co z tego, to nie jest przestępstwo! Co nie? Poszedłem na brzeg placyku i załatwiłem się, a potem kiedy się zapinałem, zobaczyłem coś tak w górze, na lewo, jakby rękę, która wystawała zza zakrętu. Z placu nie było widać, bo to było zaraz z brzegu, gdzie las schodzi w dół.

- I co pan zrobił?

- Cóż, poszedłem zobaczyć.

- Pani też?

- Nie, ja zostałam w samochodzie, byłam porządnie ubrana, komisarzu, nie chciałam sobie zabrudzić butów.

- Znalazł pan dziewczynę? - zapytał Rizzo, zwracając się znów do mężczyzny.

- Tak, leżała tam na ziemi, wyglądała, jakby była martwa...

- Podszedł pan do niej?

- Tak, była bez butów... zobaczyłem, że oddycha. Wtedy wróciłem biegiem do samochodu i z pierwszej kabiny zadzwoniłem na 118.

- Dobrze pan zrobił, mówiłem panu. Niczego pan nie zauważył, jak pan był jeszcze na tym placyku?

Mężczyzna zawahał się i znów opuścił głowę.

- Nie... Niczego.

Kobieta wyglądała, jakby chciała go zachęcić, ale milczała.

- Nikogo pan nie widział, nie było tam żadnych zaparkowanych samochodów?

- Nie.

- Nie widział pan gdzieś jej butów? Nie było w okolicy niczego, co mogłoby wskazywać, jak tam się znalazła ta dziewczyna? Motor? Cokolwiek?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Czyli nic więcej nie może mi pan powiedzieć?

- Nie, panie komisarzu - odpowiedział Piętro Franceschini.

- Dobrze. Możecie iść na razie, ale najpierw muszę spisać pana zeznanie, proszę o cierpliwość, bardzo nam pan pomógł. .. Proszę, niech państwo usiądą w poczekalni.

Mężczyzna przytaknął, rzucając żonie ukradkowe spojrzenie.

Kiedy małżonkowie wyszli, wrócili Sergi i Violante, których Rizzo poinformował o wyniku rozmowy. Wtedy usłyszeli pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - powiedział Violante.

- Są tu państwo Franceschini, komisarzu - powiedział funkcjonariusz, otwierając drzwi - chcą z panem rozmawiać.

- Znowu?

- Stali w połowie korytarza, rozmawiając po cichu, potem zapytali mnie, czy mogą się jeszcze raz z panem zobaczyć i to szybko, bo to pilne.

- Niech wejdą.

Wahając się, małżonkowie weszli do pomieszczenia. Na ich twarzach malowało się poczucie winy.

- Chcecie państwo zostać ze mną sami? - zapytał Rizzo.

Mężczyzna przecząco pokręcił głową. W rękę trzymał białą zwiniętą w kulkę chusteczkę.

- No więc, zapomniałem powiedzieć... to znaczy dać panu... Znalazłem to na placu, w pobliżu dziewczyny - powiedział, podając mu zawiniątko.

Komisarz otworzył to zaimprovizowane opakowanie. Wewnątrz błyszczał jakiś mały przedmiot. Trzymając go przez chusteczkę, podniósł go do oczu, by lepiej mu się przyjrzeć. Była to spinka do mankietu, złota spinka z ułamanym strzemiączkiem. Ozdobiona była wygrawerowanym eleganckim znakiem z dziwnym symbolem.

⊕ XVIII ⊕

Michele Ferrara przyjechał do Lukki niewiele przed piątą po południu. Był piątek. Zastępca prokuratora, Armando Lupo, wydał mu się bardziej milczący i formalny, niż się tego spodziewał, kiedy zadzwonił, by go pozdrowić, proponując spotkanie. Dlatego nie podał mu prawdziwego powodu przyjazdu, ale po prostu powiedział tylko, że będąc na wakacjach w Marina di Pietrasanta i dowiedziawszy się, że jest on teraz na służbie w Lukce, miałby ochotę się z nim spotkać. Reakcja urzędnika sprawiła, iż obawiał się, że został on już uprzedzony przez karabinierów i teraz, kiedy zbliżał się do prokuratury, nieco się denerwował.

Siedziba prokuratury w Lukce mieściła się w pięknym budynku z czerwonej cegły, piętrowym, na via Carducci obok płatnego parkingu, gdzie Ferrara zostawił samochód. Była to siedziba tymczasowa, miała jednak wszelkie szanse zostać siedzibą stałą ze względu na przeciągającą się renowację dawnej, zabytkowej siedziby znajdującej się w kompleksie pałacu Galii Tassi w samym centrum miasta.

Ferrara przeszedł przez przybudówkę pokrytą pleksiglasem i poprosił, by go zapowiedziano. Został zaprowadzony do Lupa, który przywitał go oficjalnie, jak tego wymagała hierarchia, ale nie bez odrobiny serdeczności.

Pokój był raczej mały, ciemny tak bardzo, że nawet w ciągu dnia trzeba było zapalać światło. Umeblowanie było skromne. Stało tam biurko z komputerem i drukarką, kilka krzeseł, biblioteczka, sofa i dwa niewielkie fotele ustawione jeden obok drugiego. Nie było dość miejsca, by swobodnie się poruszać. W każdym kącie pokoju, a nawet na podłodze leżały sterty teczek i skoroszytów.

- I pan także opuścił Sycylię - stwierdził Ferrara.

- Kilka miesięcy temu... właściwie musiałem. Niech pan sam się domyśli dlaczego, komisarzu.

Nie musiał się domyślać. Doskonale znał środowisko sycylijskie i trudności, jakim niektórzy funkcjonariusze państwowi, sędziowie, policjanci musieli stawiać czoło, codziennie ryzykując bezpieczeństwo swoje i swoich rodzin. Znał ogromne zaangażowanie tego młodego zastępcy prokuratora w walkę z mafią w tamtym rejonie, czyli w prowincji Palermo, gdzie zagrożenie zawsze było największe.

- Mam nadzieję, że jest tu panu dobrze.

- Przyzwyczajam się, a pan, jak pan się czuje we Florencji?

- Florencja to nie Palermo. Dobrze się tam żyje, mimo że muszę przyznać, tęsknię za Sycylią.

- O tak! To cudowne miejsce, ale przestępczość...

Prokurator Lupo przerwał i przez chwilę nic nie mówił. Nie było sensu ciągnąć tego bolesnego dla obu tematu. Zamiast tego zapytał:

- Komisarzu, mogę poczęstować pana kawą?

- Z przyjemnością się napiję.

Kiedy czekali, aż przyniosą kawę, Ferrara wrócił do wspólnych doświadczeń zawodowych, starając się odtworzyć klimat porozumienia, który jakiś czas temu ich połączył, a którego teraz desperacko potrzebował.

- Pamięta pan tę masakrę na via Rosselli?

- Jak mógłbym zapomnieć? To jedno z wydarzeń, które na zawsze pozostają żywe w pamięci. I muszę powiedzieć, nawet po latach, że bardzo pana podziwiałem. To, co pan zrobił, to była dobra robota.

- Moich współpracowników i moja.

- Oczywiście, pana ludzi także, jakby inaczej.

Na via Rosselli w Palermo pewnego kwietniowego ranka dziesięć lat temu grupa bezlitosnych zabójców zaczęła strzelać do samochodu, zabijając całą rodzinę, małżeństwo i ich dwóch nieletnich synów. Komisarz współpracował z kolegami Sycylijczykami i tymi z Kalabrii, by odnaleźć sprawców tej

zbrodni i ich zleceniodawców. Zaczął od zidentyfikowania jednego mordercy, Kalabryjczyka, wynajętego przez ndranghetę. W tym czasie Lupo pracował od niedawna, miał praktyki w prokuraturze w Palermo. Z entuzjazmem młodego śledczego wspierał starszego kolegę prowadzącego to śledztwo.

Po kawie i ciszy, która nastąpiła po tym krótkim wspomnieniu, Ferrara uznał, że nadszedł właściwy moment.

- To nie tylko przyjemność ze spotkania sprawiła, że przyszedłem.

- Spodziewałem się tego - odpowiedział Lupo, a jego twarz spochmurniała. Piękna, szczerą, jeszcze młoda twarz, ale już poznaczona głębokimi bruzdami. - Iz całym szacunkiem, nie chciałbym, żeby to spotkanie było powodem do zakłopotania. Pan jest na wakacjach, jak pan powiedział, ja jednak wykonuję swoją pracę. Może spotkamy się innym razem, jeżeli będzie pan chciał wykąpać się w morzu...

Ferrara popatrzył mu prosto w oczy poruszony, ale niezaskoczony.

- Nie mam zamiaru wprawiać pana w zakłopotanie. Potrzebuję pana jako funkcjonariusza nie po to, żeby sobie popływać, choć może byłoby miło.

- Nie ma sensu bawić się w chowanego, prawda, komisarzu? Nie my. Pan wie, że ja wiem, iż pan jest zamieszany w śledztwo karabinierów, które dotyczy pańskiego przyjaciela podejrzanego o popełnienie morderstwa, i że pańskie zachowanie nie było specjalnie przykładowe, w związku z czym prowadzone jest postępowanie dyscyplinarne wobec pana. Proszę mi wierzyć, źle się czułem, kiedy mnie o tym poinformowano. Przykro mi, że pański przyjaciel jest zamieszany w tak poważne przestępstwo. Jeszcze gorzej się poczułem, kiedy kapitan Fulvi oficjalnie złożył doniesienie na pana. Starąłem się go od tego odwieść, ale już było po fakcie. Wolałbym... Wolałbym nie ja prowadzić to śledztwo. To najgorsza rzecz, która mi się przytrafiła, ale się przytrafiła, cóż mogę zrobić?

- Nie ma kłopotu! - zawołał Ferrara. - Mną proszę się nie przejmować i robić, co do pana należy. Ufam panu, proszę wykonywać swoją pracę, nie

patrząc na nikogo, nawet na mnie, a wyjdziemy z tego wszyscy obronną ręką.

Zastępca prokuratora popatrzył na niego, jakby komisarz bredził albo nie do końca rozumiał powagę sytuacji.

- Cokolwiek zdarzyło się w tej willi, panie prokuratorze, Massimo Verga nie ma z tym nic wspólnego. On nie mógł zabić Ugo Palladianiego.

Wtedy prokurator zrozumiał i nawet współczuł.

- Też bym tak powiedział, gdyby to był mój przyjaciel. Powiem nawet, że pański przyjaciel jest niewinny. Niewinny, dopóki nie znajdziemy dowodu na coś przeciwnego. Kłopot w tym, że kiedy my tu rozmawiamy, dowody się mnożą. Czasami rzeczywistość jest o wiele twardsza od naszych iluzji. Ja pana rozumiem, ale proszę nie utrudniać mi sprawy, która i tak jest trudna.

Ferrara ważył długo słowa, zanim odparł. Potem, powoli wymawiając sylabę po sylabie, powiedział:

- Nie jestem idealistą. Zawsze stałem mocno na ziemi i wiem, co mówię. Massimo Verga to wyjątkowo uczciwy człowiek. Prawda jest taka, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Pewna dziennikarka to odkryła, ale została zabita... Coś to panu mówi?

Armando Lupo zmarszczył czoło. Nie chciał dać się wciągać w coś, co mogło być tylko sztuczką obliczoną na zyskanie na czasie, czego od samego początku się obawiał, znając spryt sycylijskiego policjanta, ale ta wiadomość była trudna do zignorowania.

- To znaczy? Nie zauważyłem...

- Dziś znaleźliśmy zwłoki, jutro rano będzie o tym pisała prasa.

- Przecież podobno jest pan na wakacjach? - zapytał prokurator i trudno było zrozumieć, czy był zaskoczony, skrycie ironiczny czy szczerze zawstydzony.

- Proszę to zostawić - odpowiedział Ferrara i opowiedział mu wszystko, począwszy od pierwszego telefonu Claudii Pizzi aż do smutnego epilogu.

- Ma pan ze sobą ten artykuł? - zapytał Lupo po przerwie, która Ferrarze wydała się zbyt długa.

Komisarz podał mu dyskietkę.

- Przepraszam, ale w hotelu nie mam drukarki.

Lupo wstał i podszedł do komputera, włożył dyskietkę i otworzył plik. Podczas gdy czytał, Ferrara nieproszone usiadł na jednym z foteli naprzeciw biurka.

- Więc? - zapytał z niepokojem, kiedy tamten oderwał oczy od ekranu.

- Gdzie, jak pan powiedział, znaleziono zwłoki tej kobiety? - zapytał prokurator, patrząc nieodgadnionym wzrokiem.

- Na drodze do kamieniołomów, nad Carrarą.

- Czyli to jest w kompetencji innej prokuratury, tej z Massa-Carrara.

Ferrara poczuł, jak znów pogrąża się w koszmarze, z którego nie ma wyjścia. Możliwe, że Lupo zechce go odesłać, umywając ręce jak Poncjusz Piłat.

- To wiem, ale nie wydaje się panu oczywiste, że może być związek pomiędzy tymi dwoma morderstwami?

- Pan to mówi, komisarzu. Podejrzewała, ale niech pan słucha uważnie, mówię, że „podejrzewała”, a ta dziennikarka z prowincjonalnej gazety miała bujną wyobraźnię. Gdzie dowody?

- Musimy je znaleźć my... karabinierzy i my - poprawił się. - Wiem, że chodzi o hipotezę, ale jakoś przypadkiem z powodu tej hipotezy Claudia Pizzi została zamordowana!

Prokurator przez chwilę się wahał, ale szybko się opanował.

- Tak... jak zwykle chodzi o mafię? To właśnie chciała udowodnić ta dziennikarka? I co ja mam powiedzieć? - zapytał, wzruszając ramionami. - Moja rada to zwrócić się do prokuratury w Massa-Carrara. Nie sądzi pan, że ta Pizzi mogła... powiedzmy, pisać bzdury?

- To znaczy?

Lupo z głębokim westchnieniem opadł na oparcie fotela.

- A powinien pan to zrozumieć... Utrzymuje pan, że Massimo Verga to człowiek honoru, chcę w to wierzyć, mimo że trzeba to jeszcze udowodnić, a

potem daje mi pan artykuł, w którym się go oskarża na podstawie uprzedzenia, czegoś, co znamy doskonale, i pan, i ja. Massimo Verga jest Sycylijczykiem, ergo, jest mafiosem, ergo Ugo Palladiani został zabity przez mafię, a nie przez żonę... Przy czym ta hipoteza nadal utrzymuje pańskiego przyjaciela jako podejrzanego. Nie, komisarzu... nie mogę panu pomóc, chyba że radą, proszę mi wierzyć szczerą i winien panu ją jestem z powodu szacunku. Niech pan zostawi sprawę Pietrasanta, zajmują się nią karabinierzy i wiele już osiągnęli, zapewniam pana. Jeżeli pański przyjaciel jest niewinny, nie ma się czego obawiać, a gdyby się do pana odezwał, powinien się pan udać na policję, wie pan, że mam rację.

Nie miał już siły walczyć o swoje racje. Było jasne, że tamten ma wyrobione zdanie na ten temat i nie ma zamiaru go zmieniać, nawet dla policjanta, którego podobno szanował.

- Gdyby tak było, sam go przyprowadzę - odparł ostro.

Mina Ferrary, kiedy wrócił do hotelu, wystarczyła, by Petra zrozumiała, że nie ma sensu zadawać pytań. On nie odpowiadał, zdecydował się zachować wszystkie odpowiedzi dla siebie i przemyśleć je nocą.

Tego wieczoru nic nie jedli.

Poszli na plażę i spacerowali wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce i nie mówiąc ani słowa. Oglądali światła portu w Viareggio, spacerowali pod gwiazdami, potem zawrócili znów aż do Forte dei Marmi, ruszyli w drugą stronę, aż dotarli do punktu wyjścia. Byli wykończeni.

Ferrara rozłożył dwa krzesła leżakowe oparte o ścianę hotelu i niemal rzucił się na jedno z nich. Petra zostawiła go tam i poszła do hotelu, po chwili wróciła z dwoma lekkimi pledami. Jednym otuliła nogi komisarza, potem i ona okrywając się, usiadła obok niego. W ciemności chwyciła męża za rękę, on ścisnął ją mocno, jakby w ten sposób mógł wyrazić swój lęk i myśli, które go dręczyły.

Ferrara wciąż miał przed oczami pobrużdżone czoło prokuratora, jego sylwetkę, która wskazywała na zrozumienie, ale całkowity brak możliwości

pomocy, i pełne sympatii spojrzenie, które mu posłał, odprowadzając go do wyjścia - takie, jakie posyła się pokonanemu. Słyszał wciąż jego słowa, które powtarzał, bo pochodziły od prowadzącego śledztwo: „poważnie podejrzany o popełnienie morderstwa”, „jest w to zamieszany właśnie pański przyjaciel”, „kiedy my tu rozmawiamy, dowody się mnożą”, „karabinierzy wiele już osiągnęli”.

Była to prawdziwa karuzela cierpienia, koszmarów, które nawiedzały go aż do czasu, kiedy nie mogąc się ich pozbyć, zamknął oczy.

Przed drzemką, która poprzedziła nerwowy sen, ostatnią myślą jak balsam kojącą, która wyrywała go ze szponów obsesyjnego myślenia o przyjacielu, było to, że przez cały dzień nie rozmawiał z biurem i nie wiedział nic na temat tego, jak przebiega śledztwo w sprawie zabójstwa Stelli.

⊕ XIX ⊕

Heraldyka była ostatnią rzeczą na świecie, o której pomyślałby inspektor Riccardo Venturi jako o czymś, czym miałby się zajmować, pracując w policji. Syn biednych ludzi, wieśniaków z Agro Pontino, którzy znali tylko herb dynastii sabaudzkiej, liktorskie fasces i herb Republiki Włoskiej. Wiedział coś niecoś o tym, że kiedyś podzielony na hrabstwa, księstwa, margrabstwa, diecezje i co tam jeszcze było, półwysep wyprodukował pod dostatkiem herbów i było wielu ludzi, którzy lubili się nimi chwalić, a jeszcze więcej marzyło, by taki posiadać. Jemu, który służył republikańskiej ojczyźnie, takie aspiracje wydawały się śmieszne i zupełnie nie na czasie. Tym bardziej śmieszne wydawały mu się osoby, które sobie takie herby wyszywały na koszulach albo grawerowały na sygnetach (innym relikwie dawnych, na szczęście minionych, jego skromnym zdaniem, epok).

W sobotę rano przyszedł do biura. Najpierw zawitał do Rizza, by oddać mu stos list i map posiadłości znajdujących się na terenie, gdzie znaleziono Stellę. Prosił o nie Ferrara, zanim wyjechał. W upale krążył więc pomiędzy bibliotekami, archiwami, antykwariatami w poszukiwaniu kogoś, kto potrafiłby rzucić światło na ten przedmiot, który komisarz Rizzo kazał sfotografować, powiększyć, skopiować i rozdać kopie wszystkim obecnym w prefekturze, aby postarali się zidentyfikować herb i symbol najszybciej jak to możliwe. Najlepiej, gdyby wraz z wyjaśnieniem dostarczyli jeszcze nazwisko właściciela klejnotu, bo był to jedyny trop aż do teraz, jedyny, który mógł doprowadzić do mordercy Stelli. W związku z tym nowym tropem wyniki jego poszukiwań na temat zabudowań znajdujących się w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono dziewczynę, odłożono szybko na bok.

Takie same zdjęcia mieli Sergi, który został wysłany, by popytać w

środowisku drukarzy, Violante, który odwiedzał kościoły i monastery, Ascalchi z kolei jeden po drugim sklepy jubilerskie, mając nadzieję, że znajdzie złotnika, który wytopił złoto i wygrawerował herb, a także Ciuffi, który na swój użytek powielił zdjęcie i rozdał swoim ludziom, by pokazywali je informatorom, dilerom i narkomanom. Jedno z nich miał też Fanti, który przeszukiwał internet. Rizzo nie zapomniał także uprzedzić Ferrary i wysłać mu e-mailem kopię kolorowego zdjęcia przepuszczonego przez skaner.

Krótko mówiąc, cały wydział śledczy został postawiony na nogi i komisarzowi, który zastępował szefa, nie pozostało nic innego poza czekaniem na rezultaty, których po raz pierwszy wreszcie był pewien. Sam, żeby niczego nie pominąć, wysłał pisma zawierające opisy do rejestru przedsiębiorstw i biura patentów, bo mogło to być jakieś logo, a nie herb, choć wątpił, bo znak wydawał się starej daty. Wolał wątpić, gdyż zasięg logo jest tak duży (firmy, towarzystwa sportowe, profesjonalne studia, strony internetowe), że poszukiwania mogłyby ciągnąć się w nieskończoność.

Teraz czekając, aż pojawią się jakieś informacje, bawił się papierem i ołówkiem, oddzielając symbol, wycinając go, dzieląc na części, pracując na kolejnych kawałkach. Usiłował znaleźć jakiegokolwiek znaczenie, które mogłoby wyjaśnić tajemnicę. Jedyne, co wydawało się jasne, to obecność litery „P” Kiedy się ją wyizolowało, pozostawał prostokąt bez podstawy, który jednak nic mu nie mówił. To mogło być stylizowane „M”, ale też i „N”. Trzeba pobudzić wyobraźnię. Może to wcale nie była litera. Zatem co?

Ponownie próbował zakładać, że to litera grecka, litera pi, i zastanawiał się, czy warto pytać matematyków. Zrobił notatkę i przez ciąg skojarzeń doszedł do tego, że mogą to być litery z cyrylicy, czyli „P” byłoby „R” ale o drugim znaku nie miał pojęcia.

Zostawił to zniechęcony, starając się skoncentrować na pozostałych elementach herbu. Wyraźnie widać było słońce, gwiazdy i księżyc, które mogły dotyczyć astronomów lub astrologów, ale zrozumiał, że idąc tą drogą, ryzykował poszerzenie obszaru śledztwa do całego kosmosu, więc

zrezygnował. Wróciłby do którejś z hipotez, jedynie mając jakieś inne, bardziej pewne dane, bo teraz to była tylko zabawa umysłowa.

Jedyna konkluzja, do której doszedł, to poszukiwanie osoby, której imię lub nazwisko zaczynało się na „P”.

- **DERI KUR DO NA MBAJNË KËTU BRËNDA?** (Jak długo będą nas tu trzymać?) - zapytał Nard.

- *Si her e tjera, pastaj bëjnë procesin e na hedhin jashtë, pastaj rikthelmi* (Tyle co zawsze, potem będzie proces i nas stąd wyrzucą, a my wrócimy) - odpowiedział Alex.

- Zamknijcie się albo mówcie po włosku! - zaprotestował Emilio Zancarotti, który nie chciał, by bracia kombinowali coś za jego plecami, szczególnie po wczorajszych groźbach.

Przez cały ranek obaj go ignorowali i nadal to robili. Zancarotti z natury skory do gniewu obawiał się, że wybuchnie i wolał nie wyobrazić sobie konsekwencji takiego wybuchu. Nie byłoby to dla niego miłe, bo ich było dwóch.

- *Heret e tjera ishin dozat e vogla* (Poprzednio mieliśmy tylko małe ilości) - ciągnął Nard, nadal go ignorując.

- *Çfar kerkon se di une? Kerkoja atij italianit!* (A co ja mogę wiedzieć? Zapytaj Włocha!) - powiedział Alex, wymawiając z pogardą słowo „Włoch”, które Zancarotti nie tylko doskonale zrozumiał, ale też wyczuł w nim szyderstwo.

- *Italian muti!* (Włosi złamasy!)

- Zabiję was obu - splunął bardziej, niż powiedział, ale udało mu się utrzymać ręce przy sobie. - Zabiję was, jak tylko stąd wyjdziemy!

Albańczycy się roześmiali.

- Zrozumiałeś coś z tego?

- Tylko kiedy mówi ten świrnięty, a ty? - zapytał inspektor Oliva, zdejmując słuchawki.

- Dostatecznie dużo. Nard jest niespokojny, bo nie wie, co go czeka, brat

liczy na to, że jak zwykle ich deportujemy, ale z listą precedensów, jakie mają na koncie, myślę, że Albania zweryfikuje ich, kiedy będą już starzy... o ile ojczyzna i prawo się za nich porządnie zabiorą - odpowiedział Aldo Guzzi, też odkładając swoje słuchawki.

Był młodym mężczyzną w wieku około dwudziestu siedmiu lat, średniej budowy ciała. Miał zapadniętą, ascetyczną twarz okoloną długimi, czarnymi, prostymi włosami i nieporządną brodą, która sprawiała, że był podobny do hrabiego Monte Christo, zanim tamten się ogolił. Piercing szpecił mu odrobinę prawy policzek. Dwa inne kolczyki były widoczne, jedynie kiedy nerwowym ruchem odsuwał włosy z lewego ucha. Kościste ciało odziane było w koszulkę z niebieskiej, spłowiałej bawełny. Przy dzinsach u szlufki zwisał łańcuch, który podzwaniał, kiedy mężczyzna wstawał od biurka.

- A Emilio nie rozumie i się wkurza - roześmiał się Oliva.

- Tak, wydaje się, że atmosfera zaczyna się rozgrzewać tam w środku... Tym lepiej, teraz moja kolej.

- Cześć, do zobaczenia... Przepraszam, powiedziałaś, że jak się nazywałeś?

- Aldo. Nazwisko Guzzi¹⁰, jak motor.

Venturi zjadł jedynie kanapkę i wypił coca-colę w barze w Borgo Allegri. Był wymęczony upałem i brakiem rezultatów swoich poszukiwań. Nigdy nie ufał herbom, może jedynie temu, który znajdował się na odznace policyjnej. We florenckim instytucie heraldycznym dali mu kilka adresów osób, które mogły mu pomóc, między innymi adres właściciela antykwariatu Belloni na via delle Conce. Było to jedno z ostatnich miejsc, które mu pozostały do sprawdzenia, przynajmniej w tę sobotę, która ciągnęła się w nieskończoność.

Był to mały sklepik raczej niż sklep i znajdował się na niezbyt pięknym dziedzińcu. Napis miał wymalowany na matowym szkle obskurnych drzwi, otwartych teraz, by wpuszczały trochę powietrza. Przyjął go właściciel, stary Żyd, który prawdopodobnie był jedynym pracownikiem. Był niski i siwy, miał świdrujące, badawcze, błękitne oczy o małych źrenicach. Pokoik, do którego wszedł, był skromny. Stała tam drewniana lada, za którą siedział

staruszek na wysokim stołku otoczony ściennymi szafami z segregatorami i skoroszytami. Przez drzwi za jego plecami można było zobaczyć inny pokój, większy, w którym panował półmrok. Na środku stał wielki stół, na którym leżały stare księgi. Były tam też drewniane półki wypełnione mnóstwem książek, równo poustawianych jedne obok drugich. Niektóre musiały być cenne.

- W czym mogę pomóc? - zapytał grzecznie.

- Jestem inspektorem policji, nie przyszedłem nic kupić, potrzebuję pewnej informacji - sprecyzował natychmiast, by nie dawać mu złudnej nadziei.

- Niech pan pyta - grzecznie zaproponował mężczyzna.

- Umiałby pan rozpoznać ten herb? - zapytał Venturi, kładąc fotokopię na ladzie.

Mężczyzna włożył na nos okulary o półksiężycowatych soczewkach w metalowych oprawkach i przyjrzał się obrazkowi.

- To nie jest właściwie herb, można powiedzieć, że bardziej to symbol, ale jakoś mi umyka... Nie, na pewno nigdy go nie widziałem, ale jest coś... Mogę prosić o chwilkę cierpliwości?

- Oczywiście - odpowiedział inspektor, mimo że cierpliwość stracił już jakiś czas temu.

Stary księgarz wyszedł do pokoju obok, gdzie szukał w książkach tak długo, że Venturiemu wydało się to przesadą. Potem wrócił, kręcąc głową.

- Nie, nic nie mam, ale założyłbym się, że to ma coś wspólnego z masonerią, wie pan? Nie dałbym głowy, ale coś mi mówi...

- Co takiego?

- Widzi pan te trzy niby-kolumny poniżej słońca? Jeżeli wyciągnąć z tego to kółko, które nie wiem, co znaczy, to może, kto wie, jest częścią jakiegoś rytuału, to mogłyby przedstawiać trzy kolumny. Dwie boczne to kolumny świątyni, północna Boaz, a ta południowa Jachin, w ikonografii bardzo często używanej przez masonów. Dodają jeszcze trzecią, pośrodku, tu jest krótsza. Symbolizują one mądrość, siłę i piękno, także słońce, księżyc i gwiazdy

często powtarzają się w ich symbolach.

Inspektor więcej nie pytał. Podziękował i wyszedł, myśląc, że tylko mu brakowało, by brać pod uwagę to, o czym bredził staruszek.

Strażnik więzienny zamknął ciężką żelazną kratę i Guzzi poczuł oczy tamtych trzech skierowane na siebie. On też popatrzył na nich z wrogością. Znalazł swoją pryczę i położył się na kołdrze, którą mu przydzielono. W tym upale! Można było tu umrzeć.

- Nie przywitamy się? - zagał Emilio Zancarotti.

- Macie coś? - odparł nowo przybyły, patrząc posepnie.

- Tutaj?

- To odwalcie się - stwierdził Guzzi, odwracając się tyłem do wszystkich.

- *Italian muti!* - krzyknął Nard, który niezbyt był zadowolony z sytuacji.

- *Lene rehat, ęfar te intereson me até té marr?* (Zostaw go w spokoju, co cię obchodzi ten gnój?) - poradził brat. On też nie był zadowolony, że siedzi z jednym z tych narkomanów, których wykorzystywał, ale też którymi pogardzał.

Cela była bardzo mała, a wymuszone towarzystwo Emilia tworzyło kontrast i rywalizację, które mogły być niebezpieczne. Włoch wiedział za dużo i nawet jeżeli siedział w tym po uszy, to mógł próbować układać się z policją w sprawie kary, narażając na szwank organizację. A on, Nard nie miał jak uprzedzić Viktora. Już kilka razy w ciągu tych dwudziestu czterech godzin miał ochotę zabić Włocha, by w ten sposób zyskać w oczach szefa.

Tylko Zancarotti nie był wściekły na pojawienie się nowego skazanego. Gdyby dobrze rozegrał karty, zyskałby równowagę sił.

Robiło się już późno, a żaden drukarz nie rozpoznał symbolu, który Sergi ALIAS Serpico im pokazywał. Wszedł do Fratelli Solari na via Serragli, uruchamiając dzwonek nad drzwiami, i poczuł po raz enty tego dnia zapach ołowiu, którego używano jeszcze do drukowania zaproszeń i wizytówek. Znow zadał te same pytania i znow otrzymał te same odpowiedzi.

Właśnie wychodził, kiedy zauważył kolorowy druk, który go zaniepokoił. Były na nim dwie różowe marmurowe kolumny ze złożonymi kapitelami, pośrodku narysowana była otwarta księga i napis hebrajskimi literami. Pięcioramienna gwiazda widniała na dole, a w górze dwie inne gwiazdy. Po lewej sierp księżyca, a z prawej słońce, które wydało mu się identyczne jak to na fotokopii. Dookoła narysowane były inne, o wiele mniejsze przedmioty. Czaszka i dwie skrzyżowane piszczele, otwarty kompas, na którym była linijka, gwiazdki i inne znaki.

- Co to jest? - zapytał zaniepokojony.

- Wydruk próbny do książki o masonerii - odpowiedział drukarz.



Gdyby chodziło tylko o słowa Sergiego, który pod koniec dnia powiedział mu niepokojony, że nic nie znalazł, a wychodząc z biura, dodał, śmiejąc się, że to słońce mogło być masonskie, komisarz Rizzo nie zwróciłby najmniejszej uwagi na tę wskazówkę. Dopiero kiedy Venturi oddał mu raport, w którym przytoczył hipotezę starego księgarza, lecz opisał go jako zbyt posuniętego w latach, by zachował jeszcze sprawność umysłową, zaczął o tym myśleć poważnie. Prawdą jest, że dwie wskazówki to jeszcze nie dowód, ale nie wolno ich pominąć, a zbiegi okoliczności, jak niezmiennie powtarzał komisarz Ferrara, zawsze są podejrzane w śledztwie.

Ponieważ z innych relacji też niczego nie uzyskał i chciał się dowiedzieć, jak czuje się Ferrara, zadzwonił do niego, jako pretekstu używając wymówki, że chce go powiadomić o tym ciekawym zwrocie akcji, może choćby po to, żeby razem się pośmiali.

⊕ XX ⊕

Było ciemno i Ferrara z trudnością poruszał się w wąskim szybie, który wciąż się zwęzał w formę lejka. Brakowało mu powietrza i był pewien, że umrze, zanim dojdzie do końca. Musiał wyciągać przed siebie ręce, opierać się łokciami o mokre lepkie podłoże, podnosić się i przeć naprzód, kiedy one zostawały w tyle. W końcu ogromnym wysiłkiem udało mu się zyskać kilka milimetrów. Powinien używać nóg pomyślał, i wtedy zorientował się, że jego nogi w kostkach trzymają jakieś zimne ręce i ściskają je jak żelazne szpony. To właśnie z nimi walczył, od nich usiłował uciec...

Okrutny śmiech, ogłuszający, upokarzający i makabryczny, rozbrzmiał w jego głowie, by pokazać mu bezsens tego infantylnego zachowania. Tak infantylnego jak wszystko, co robił. To nie Massimo Verga nie dorósł, prawdziwy Piotruś Pan to był właśnie on, który będąc w tym wieku, nadal bawił się w policjantów i złodziei. A złodzieje teraz postanowili się zemścić.

Ale to nie drwina szyderczego śmiechu sprawiła, że zamarło mu serce, lecz jego zadziwiająca przejrzystość. Rozpoznałby go nawet pośród tysiąca innych, tylko Francesco Leone śmiał się w ten sposób. I nagle zobaczył go pochylonego nad ciałem Claudii Pizzi, ciałem jeszcze niedojrzałym, piersi maleńkie o maleńkich sutkach, wzgórek Wenerę ledwie zaznaczony, pokryty ciemnym owłosieniem, kończyny delikatne...

- Ach, to pan, Ferrara, niech pan wejdzie, czekaliśmy - powiedział lekarz sądowy, odwracając się do niego. Miał szyderczą twarz profesora D'Incisy i taki sam kosztowny zegarek na przegubie ręki.

- O mało co nie stracił pan najlepszego - powiedział głosem nadal należącym do Leonego, biorąc w dłoń piłę. - Tym razem zechce pan być z nami, prawda? - powiedział, znów zaśmiawszy się piekielnie.

- Niech pan pozwoli mi odejść, lepiej jak sobie pójdzie... nigdy nie bierze urlopu. Dobrze mu to zrobi! - powiedziały zwłoki, podnosząc się na łokciach i patrząc na niego twarzą wściekłego, czerwonego prefekta.

- Też mu to doradziłem, proszę mi wierzyć, panie prefekcie, powiedziałem mu - poparł go służalczo zastępca prokuratora w Lukce, Armando Lupo.

- To nadęty głupek i wieśniak, samotnik, on też powinien się przyłączyć do braci! - STWIERDZIŁA Z WYŻSZOŚCIĄ HRABINA SERVI, a Anna Giulietti wydawała się przytakiwać wszystkim w milczeniu.

Żwawa staruszka obwieszona była klejnotami i Ferrara poczuł się winny, widząc na jej palcu pierścionek z tombaku z fałszywym ametystem, który ukradła jego Petrze. Powinien ją aresztować, ale był bezsilny. Jego najlepszy przyjaciel też go oskarżał, słyszał jego głos, który wołał go z oddali:

- Michele, gdzie byłeś? Gdzie jesteś? Michčle, Michele... - JĘCZAŁ, ZBLIŻAJĄC SIĘ DO NIEGO.



- Michele, Michele, obudź się, Michele! - wołała Petra, lekko szarpiąc go za ramię, ale jemu trudno było obudzić się z tego koszmaru.

Znajdował się w swoim pokoju w hotelu. Pokój był zalany słonecznym światłem. Nie pamiętał nic z tamtej nocy, tylko tyle, że położył się na leżaku na brzegu morza. Nie zdawał sobie sprawy, kiedy Petra z pomocą portiera podniosła go i ledwie trzymającego się na nogach zaprowadziła do pokoju i położyła do łóżka.

Poczuł przyjemny zapach kawy i wyciągnął rękę, by wziąć ze stolika zegarek. Była ósma dwadzieścia.

- O mój Boże! - zawołał.

- Wiem, ale nie mogłam cię obudzić, spałeś mało i bardzo źle. Przez całą noc się rzucałeś i krzyczałeś. Dopiero koło szóstej zapadłeś w głęboki sen, więc jak mogłabym...

Wyskoczył z łóżka i już miał iść do łazienki umyć się, ale Petra go zatrzymała.

- Zjedzmy śniadanie, zanim wystygnie.

Taca na stoliku była zapełniona tak, jak lubili. Czajnik z herbatą, kafetierka, dzbanek z mlekiem, świeży sok wyciśnięty z pomarańcz, owoce, w koszyku chleb i bułeczki maślane, pięć rodzajów marmolady w tyłu szklanych pojemniczkach i słoiczek z miodem. Ferrara odkrył, że mimo wszystko jest głodny.

Jedząc śniadanie, opowiedział jej swój koszmar.

- Brr - zadrżała, uśmiechnąwszy się. To był pierwszy uśmiech, jaki u niej zobaczył od czasu wiadomości o Massimie - ale to dobrze, dobrze jak tak jest.

- Co chcesz powiedzieć?

- Złe sny pomagają się wyładować. Zobaczysz, że dziś poczujesz się lepiej.

Nie mógł w to uwierzyć. Było to niemożliwe, kiedy tylko pomyślał o przyjacielu, który wołał go, błagając o pomoc, ale jeżeli go wołał, pomyślał, nie starając się być specjalnie logicznym, znaczyło, że jeszcze żył. Dziwne to było, ale ta myśl sprawiła, że poczuł się lepiej, bo tylko czując się dobrze, był w stanie naprawdę mu pomóc.

- Są jakieś nowiny? - zapytał, widząc, że Petra, kiedy on spał, przeczytała już gazety, które kazała przynieść wraz ze śniadaniem.

- Niestety, żadnych. Są wiadomości o Claudii Pizzi, ale nic, czego byśmy nie wiedzieli. Lojelo dotrzymał słowa, nie wspomniał o tobie.

- Brak wieści to dobre wieści - zdziwił się, że to powiedział.

- Widzisz, już czujesz się lepiej!

Kiedy się mył, zaplanował sobie dzień. Znów był pełen energii, a kiedy już był gotowy, natychmiast zadzwonił do Lojela.

- Dziękuję za artykuł Claudii Pizzi, komisarzu Ferrara. Jest niepokojący. Dziewczyna chciała chyba zasugerować obecność mafii w tych stronach, co wydaje mi się nieprawdopodobne. Takie głosy już słyszano tu kilka lat temu, był jakiś przedsiębiorca, który podobno prał brudne pieniądze, ale to nie trwało długo i więcej się o tym nie mówiło, choć przyznam, jest to trop, którego nie wolno zlekceważyć, poza tym została zabita strzałami z

rewolweru.

- Z bębenkiem? Tak? Nie automatycznym?

- Prawie z całkowitą pewnością. Ślady po kulach wskazują na kaliber 38 special, ale nie udało się znaleźć łusek. To nie takie łatwe w lesie.

- Może to być jakaś mafijna broń, a na temat ewentualnej obecności sycylijskich przedsiębiorstw w okolicy trzeba wszystko sprawdzić. Nie dlatego, że skoro są sycylijskie, muszą być mafijne, na litość, sam to mówię, ale Claudia Pizzi coś wywąchała i winni jej to jesteśmy, nie sądzi pan? Ma pan może te dane dotyczące kamieniołomów, tych trzech?

- Jeszcze nie, komisarzu Ferrara. Dziś jest sobota i urzędnik katastralny wyjechał na weekend, ale w poniedziałek już będzie i wszystko panu załatwię.

- Dobrze, jakieś inne nowiny?

- Prowadzimy przesłuchania. Narzeczony, rodzina, przyjaciele, sprawdzamy każdego, kto może cokolwiek o niej powiedzieć. Dziś po południu czekamy na naczelnego „Tirreno” i dwóch współpracowników, którzy byli dość blisko z nią, może oni wiedzą coś więcej o tej sprawie z mafią.

- Miejmy nadzieję, mogę się panu do czegoś przydać?

- Na razie nie, chyba że chce pan uczestniczyć w przesłuchaniach - powiedział komisarz Lojelo, a po chwili dodał:

- Byłaby to dla nas przyjemność.

- Nie wiem, może później, ale raczej nie - powiedział Ferrara, trochę zwlekając, bo nie chciał wprawić w zakłopotanie prowadzącego śledztwo - ale niech pan będzie tak miły i powiadomi mnie, jak pan coś odkryje, nawet nieistotny drobiazg.

- Oczywiście, komisarzu - odpowiedział Lojelo jakby z odrobiną ulgi.

- Mamy dzisiaj co najmniej trzy miejsca do zbadania

- powiedział do Petry, odkładając słuchawkę. - Galeria sztuki należąca do Simonetty Palladiani, która znajduje się w Forte dei Marmi, restauracja

Romano, gdzie jadła kolację z Massimem w wieczór zabójstwa, to jest w Viareggio, i plaża, gdzie zazwyczaj chodziła, ale nie wiemy, gdzie to jest. Od czego zaczynamy?

- Zaczęłabym od tego, co jest najbliżej.

- Więc plaża, ale jest problem, Petra.

- Mów.

- Jeżeli karabinierzy dowiedzą się, że wtrącam się w nie swoje sprawy, będą poważne kłopoty, a jesteśmy na ich terenie.

- W Viareggio też. To prawie jedna miejscowość, wczoraj dotarliśmy tam na piechotę, pamiętasz? Udawajmy turystów i szukajmy naszego Massima. Na początek dowiedzmy się, czy zalecał się do niej.

Ferrara zauważył, że unikała słowa „kochanek”.

- Możliwe, że wynajął kabinę w tym samym ośrodku, nie wydaje ci się?

- Doskonale, a dwa inne miejsca?

- Potem pomyślimy - odpowiedziała Petra, która przejęła dowodzenie, co sprawiło, że uśmiechnął się i zastanawiał, skąd brała tyle energii. Przecież też kilka nocy prawie nie spała, a ostatnią spędziła na nogach, doglądając go. Nie miała nawet możliwości doznać ulgi, przekładając swoje frustracje na senne koszmary, jak mówiła.

Nie przyszło mu do głowy, że to może jego odzyskane siły dodawały jej witalności, zresztą czy przed tym dramatycznym zdarzeniem nie była zawsze kobietą energiczną i pełną silnej woli?

Zanim wyszli, Ferrara odebrał telefon. To był Rizzo. Opowiedział mu o znalezieniu klejnotu i zawiadomił, że wysłał mu e-mailem jego zdjęcie.

- Gratulacje, Rizzo! Wspaniale. Potem popatrzę i zadzwonię, teraz wychodzę.

- Dobre nowiny?

- Nie, to skomplikowana sprawa. Poczytaj w gazetach, dziennikarka z „Tirreno” została zabita, a mogła coś wiedzieć o Simonecie Palladiani. Opowiem ci o tym potem.

- Dobrze, szefie.

- Teraz ty jesteś szefem. Bierz się do roboty, możliwe, że jesteś na właściwym tropie.



W sobotę rano plaże i tak już zatłoczone w ciągu tygodnia pękały w szwach. Różnokolorowy, półnagi tłum napływał bez przerwy z uliczek, które schodziły prostopadle do brzegu morza. Ludzie szli przebierać się w szatniach. Było ich wiele, Ferrarowie musieli stanąć w kolejce do kasy, potem do baru, zanim ktoś ich wysłuchał.

Zaczęli od pawilonu, który stał na wprost domu Simonetty. Nie musieli się za bardzo zmęczyć, by znaleźć się w Gabbiano Azzurro, pawilonie oddalonym trochę bardziej, ale i bardziej eleganckim. W spisie figurował Massimo Verga jako gość Simonetty Palladiani, przychodzącej tu od wielu lat stałej klientki.

Zarządczym, kobieta około pięćdziesiątki o ruchach zwinnych i pospiesznych, była serdeczna i rozmowna. Mówiła, że była zaskoczona tym, co stało się w willi, i zaniepokojona nieobecnością Simonetty i jej przyjaciela „prawdziwego dżentelmena, wykształconego i dobrze wychowanego”, którego chciałaby znów spotkać. Czy czytała wzmianki w „Tirreno”? Nie, nigdy nie czyta gazet, ma dużo pracy, ale jest zawsze do dyspozycji klientów, a klienci mówią i to dużo, a poza tym willa jest o kilka kroków stąd. Jasne, że wie wszystko, ale tylko to, co trzeba wiedzieć. A o dziennikarce dziś rano słyszała? Nie, o jakiej dziennikarce? Tej z „Tirreno”. A coś jej się stało? Beznadzieja.

Ferrara chciał odejść, ale Petra nalegała, by zostali.

- Wie pani, chcieliśmy spotkać się z Massimem już w zeszłą sobotę, ale nie udało się. Zależało mu, by przedstawić nam Simonette, sądzę, że się do niej zaleca...

- Delikatnie, ale tak, a ona się zgadza! Mąż, ten biedak, co nie żyje... albo go zabili? Pokój jego duszy, zresztą on nie miał z tym nic wspólnego, już nie był prawdziwym mężem, wszyscy to wiedzą, ale w sobotę byście jej nie

spotkali. Jej nie było tu w sobotę, on przyszedł sam. Pamiętam dobrze, bo w czasie obiadu siedział o tu, przy tym stoliku, przy trzecim w drugim rzędzie, widzi pani? Wziął tylko sok pomarańczowy i siedział tu, paląc fajkę, i miał taki nieobecny wyraz twarzy. Musiał się czuć zagubiony bez niej.

- A jak ona była, to jak się zachowywał?

- Zawsze był wesoły, gadatliwy. Taki dla niej uważający, dużo mówił. Chodząca encyklopedia. Był wykształcony, mówiłam wam.

- Mieli tu jakichś przyjaciół?

- Nie. Ona zawsze była na uboczu, jakieś okazjonalne znajomości związane z pracą, ale takie znajomości... jak to się mówi, formalne. Czasami z kimś rozmawiali, ale tak jak to się robi w takich przypadkach, wie pan, jak jest. Dwa słowa z sąsiadem z namiotu obok albo z kimś na brzegu, ale na ogół byli tylko ze sobą. Musieli mieć mnóstwo spraw do załatwienia. Wyglądali jak spiskowcy!

Komisarzowi nie spodobało się to określenie.

- Dziękuję pani, mam nadzieję znów panią zobaczyć, jak wróci. Na pewno przyjedziemy się z nim spotkać.

Wyszli i skierowali się do samochodu, by pojechać do Forte dei Marmi.

- Byłaś świetna - skomplementował żonę Ferrara.

- Niczego się nie dowiedzieliśmy - jęknęła.

- Nieprawda! Dowiedzieliśmy się, że Simonetta została w domu z mężem kłócić się albo godzić, dobrze by było się dowiedzieć, o którą z tych dwóch możliwości chodziło. Jeżeli się pogodzili, to nieprawdopodobne, żeby go potem zabiła, nie sądzisz?

- Prawda...

- I wiemy, że nie ma żadnych znajomych na plaży, kto mógłby powiedzieć coś więcej. Cierpliwości. Przynajmniej możemy odfajkować plażę, a to też coś. To kwestia metody.

- Jeżeli tak uważasz.



Lepiej by zrobili, idąc piechotą, nawet w tym słońcu, bo znalezienie

parkingu w Forte dei Marmi w sobotę, w dzień słynnego targu, który ściąga tłumy turystów i mieszkańców z Versilii, jest prawie niemożliwe.

Po ponad półgodzinnym krążeniu po ulicach zostawili mercedesa na parkingu posterunku policji miejskiej, wystawiając na widok biało-różową plakietkę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którą z przyzwyczajenia woził ze sobą. I dobrze, że ją miał.

Galeria Archivolto mieściła się na via Roma, w uliczce, która wychodziła na piazza Garibaldi na wysokości niewielkiego fortu zbudowanego z woli wielkiego księcia Leopolda Toskańskiego w latach 1782-1788 dla obrony, ale i do pobierania opłat celnych. To wokół tego fortu rozwinęło się miasteczko.

Dwa białe niezbyt duże pomieszczenia połączone łukiem z cegły podtrzymywanym przez kolumny z białego marmuru.

- Stąd nazwa? - zastanawiał się komisarz.

Na ścianach obrazy artystów współczesnych, niektóre niezrozumiałe, inne interesujące, futurystyczne rzeźby na piedestałach o różnych kształtach, ustawione to tu, to tam w obu pomieszczeniach.

Młoda kobieta w kostiumie z białego lnu i fioletowej bluzeczce siedziała za biurkiem z blatem z tafli przydymionego szkła. Z wdziękiem prezentowała długie opalone nogi. Nie podniosła oczu znad katalogu, który przeglądała albo udawała, że przegląda.

Ferrara przeczytał na tabliczce nazwisko autora wielkiego płótna w tonacji jasnobraźowej, w głębi przerwanej przez linię czerni. Na brązie w czerni i szarości namalowane techniką, która wydała mu się ciekawa, były różne przedmioty, pośród których stało niskie krzesło po lewej i pół postaci Pinokia z prawej u góry, z czerni wyłaniał się ptak w locie, ale bez skrzydeł zarysowany na biało. Zdecydował, że mu się podoba i podszedł do kobiety z katalogiem.

- Przepraszam.

- Słucham? - odpowiedziała melodyjnym głosem, podnosząc głowę. Oczy

miała fioletowe w kolorze bluzeczki.

- Szukam pani Palladiani.

Kobieta popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

- Nie ma jej - powiedziała w końcu.

- Dziwne, czy dzisiaj nie jest sobota jedenastego?

- Tak.

- Cóż... mieliśmy się spotkać, nic nie mówiła?

- Wie pani, przyjechaliśmy z Mediolanu, specjalnie - dodała Petra.

Kobieta westchnęła.

- Rozumiem, ale pani... Nic nie słyszeliście?

- O czym? - zapytała Petra, udając zdziwienie.

- No, że musiała wyjechać niespodzianie tydzień temu. Może ja do czegoś się przydam?

- No nie wiem... uzgodniliśmy z nią, miała nam pokazać Baricchiego i jeszcze jakiegoś innego artystę, powiedziała... Kiedy wraca? - zapytał Ferrara.

- Szczerze mówiąc, nie potrafię powiedzieć, to było nagłe, już mówiłam.

- Ale pani może się z nią skontaktować? Właścicielka musi przecież dzwonić, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w galerii!

- Do teraz nie dzwoniła.

- A pani nie miała potrzeby się z nią kontaktować?

- Proszę wybaczyć, ale dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania? - zapytała podejrzliwie kobieta.

- Bo muszę się z nią zobaczyć! - Ferrara podniósł głos, okazując zdenerwowanie. - Przyjechałem specjalnie z Mediolanu i to, o czym mówimy, to duża sprawa. Mam galerię w Brera, jedną z ważniejszych, i to jest dla tej pani wielka okazja! Nie do pomyślenia! A jej nie ma! Co ona sobie myśli?! Proszę mi powiedzieć, gdzie i jak się z nią skontaktować. I to szybko, nie mam wiele czasu. Nie jechałem trzystu kilometrów, żeby popatrzeć na pani piękną buźkę! Ja zajmuję się poważnymi sprawami. Niech

pani mi da jej telefon komórkowy, domowy, cokolwiek, proszę.

- Nie mogę - wymruczała dziewczyna onieśmielona.

- Dlaczego?

- Daj spokój, Fausto, nie może, to nie może - wyrecytowała Petra.

- Proszę, nie wtrącaj się. Nie dam się tak traktować przez jakąś galerię z prowincji.

- Proszę, zapewniam, że nie mogę, zrobiłabym to, gdybym mogła.

Ferrara popatrzył jej w twarz.

- To mi się nie podoba. Jest pani pewna, że pani z nią nie rozmawiała? Proszę nie kłamać, bo mam w swojej branży pozycję i potrafię sprawić, że pani pożałuje. I dlaczego pani Palladiani nie zadzwoniła do mnie, żeby odwołać spotkanie?

- Nie wiem - powiedziała kobieta, spuszczać oczy - ja naprawdę nie kłamię.

- I dobrze, a gdyby zadzwoniła, niech pani jej powie, że dzwonił pan Benelli, Fausto Benelli z Mediolanu. Jasne? Proszę sobie zapisać.

- Tak, panie Benelli.



Na autostradzie do Viareggio Ferrara pomyślał, że jeżeli kobieta naprawdę uciekła, powinna zachować jakiś kontakt z centrum swoich interesów, ale albo kobieta o fioletowych oczach była bardzo lojalna i na dodatek bardzo uzdolniona aktorsko, albo Simonetta Palladiani zniknęła naprawdę, co było hipotezą prawdopodobną i pocieszającą, bo wykluczającą jej winę, ale też była bardzo nieprzyjemna, bo wraz z nią zniknął Massimo.

Wizyta w Romano, jednej z najlepszych restauracji w Viareggio, również nie była owocna. Właściciel i kelnerzy byli bardzo grzeczni, zrozumieli niepokój pana Benellego, tym razem z Florencji, z powodu nieobecności wspólnika, który powinien wrócić do pracy już w zeszły poniedziałek, ale nie umieli powiedzieć nic innego poza tym, że para, pamiętali ich bardzo dobrze, bo on był pięknym mężczyzną, a ona cudowną kobietą, spędziła w restauracji wspaniały wieczór. Byli spokojni i weseli i oboje wydawali się szalenie

zakochani w sobie. A kelner, gej, który to powiedział, podniósł oczy do nieba z ekstatyczną miną.

Jeżeli karabinierzy przepytawali także ich, a w szczególności tego kelnera, nie mogli dojść do przekonania, że byli „wspólnikami” i że tej nocy omawiali jakieś straszne zbrodnicze plany. Wiedział jednak, że to nie było wiele warte. Musiała być inna teoria. Przyłapani przez męża kochankowie. Mąż, który wielu dotąd jakoś znosił, ale nie był w stanie zaakceptować akurat tego jednego, a zobaczył ich w łóżku razem pod swoim dachem, choć dach nie był właściwie jego. W sensie przenośnym jednak tak.

Jeżeli tak było, to dlaczego Ugo Palladiani został znaleziony w willi u stóp schodów? Czy nie powinien znajdować się w letnim domku? Czy karabinierzy znaleźli ślady ciągnięcia ciała, choć sprzątaczką mówiła, że dom był w doskonałym porządku oprócz pokoju pana? To były te ważne dowody, które zebrali? Nie, to nie było możliwe. I nie mogło być, bo wiedział doskonale, że Massimo nie miał z tym nic wspólnego, a więc także Simonetta. A może kobieta zabiła ich obu?

Inny kelner odwrócił jego myśli od tych medytacji, tłumacząc Petrze, że Simonetta Palladiani nie była tu specjalnie znana, jej mąż tak, był tu codziennym gościem. Zawsze tu jadł, kiedy wypływał statkiem.

- Jakim statkiem? - zapytał komisarz.

- Jachtem, swoim.

- Tu go trzyma?

- Tak.

- Jak się nazywa? Chciałbym zobaczyć, może go sprzedadzą?

- Nie wiem, nigdy go nie widziałem, ale może pan zapytać w kapitanacie portu albo w Yacht Centre, oba są na piazza Lorenzo Viani, w porcie.

- Dziękuję.



Yacht Centre w Viareggio mieścił się w budynku ze szkła poprzecinanego poziomymi pasami błękitnego, czerwonego i złotego metalu. Pokazali mu Princess 65 Fly, dwudziestometrowy jacht zacumowany niedaleko.

Na pokładzie był marynarz. Ferrara podszedł, udając, że podziwia statek.

- Piękny! - zawołał.

Mężczyzna w średnim wieku i średniej budowy ciała przytaknął głową.

- Jaki ma silnik?

Marynarz prawie się roześmiał.

- Ma dwa silniki, tysiąc pięćdziesiąt koni każdy.

- Ile łóżek?

- Cztery kabiny, trzy łazienki... a dlaczego pan pyta?

- Szukam właśnie takiego. Może właściciel chce sprzedać?

- Należy do firmy z Florencji. Właściciel nie żyje i może rzeczywiście będą chcieli go sprzedać. Powinien pan zwrócić się do UP Communications, oni go mają.

- Biedaczyna... był chory?

- A gdzież tam, w zeszłą sobotę mieliśmy wypłynąć, ale zauważyłem defekt śruby dziobnicy, więc wolał zrezygnować. To była głupotka, w niedzielę wszystko było gotowe, ale jego już nie było... Tak o, z dnia na dzień.

- Tak o? Nagle? - zapytała Petra, otwierając oczy szeroko. - **ACH DU LIEBER GOTT!** Jakie życie bywa okrutne... Jechał na wakacje... Rejs?

- Mieliśmy płynąć do Nicei, nie wiem, czy na wycieczkę, czy do pracy, nic mi nie powiedział.



Francesco Rizzo zadzwonił do hotelu po ósmej wieczorem.

Kiedy przekazał szefowi idiotyczną wiadomość, niestety, jedyną, jaką posiadał, o masońskim tropie, Ferrara zaniepokoił się i dopiero wtedy opowiedział mu wszystko, czego przedtem mu nie powiedział, uprzedzając go, aby unikał kłopotów z prokuraturą i prefektem.

- Upredź Annę Giuliotti, ale nie mów, że ja ci kazałem. Znajdź jakąś wymówkę, powiedz, że musisz zdobyć listy członków wszystkich łóż albo coś w tym rodzaju. I tak nie da ci zezwolenia przy tym, co masz. Dla niej to nie będą nawet wskazówki, tylko głupoty staruszka niespełna rozumu i

wymysły sfrustrowanego policjanta, ale ty będziesz mógł opowiedzieć jej całą historię i coś z tego do niej dotrze i połączy to z tym, co usłyszała na spotkaniu ze mną.

- Zrobię to, niech pan będzie spokojny.

- Zrób to natychmiast, bardzo proszę. Ona pracuje w soboty i niedziele. Jest jeszcze coś innego. Miej na oku profesora D'Incisę. On jest w masonerii, wiem z całą pewnością, bo widziałem listę, mam ją w domu, a Stella skończyła właśnie u niego! Może to zbieg okoliczności, ale wiesz, co ja myślę... Zbiegi okoliczności w śledztwie dźwięczą dość fałszywie. Nie?

- Tak, jasne, ale coś mi nie pasuje. Klejnot został znaleziony, zanim Stella została przewieziona do szpitala, nie potem...

To było jak błyskawica. Nagle wróciły do niego słowa oddziałowej: „i naprawdę się zdenerwował, kiedy ją zobaczył”.

- A skąd wiadomo, że jej nie znał wcześniej?

- Kto? On? Wielki, możny, bogaty ordynator i nielegalna imigrantka? - Rizzo nie dowierzał.

- A dlaczego nie? Jeżeli z nią sypiał... Zresztą może masz rację, może za bardzo uprzedzam fakty. Nie wiemy nawet, czy to jest symbol masoński, czy nie, ale trzeba mieć go na oku, przyznaj mi rację. Ja teraz obejrzę sobie zdjęcie klejnotu, którego jeszcze nie widziałem, i wyślę do zastępcy prokuratora w Bolonii, który mi dał te listy. On wie wszystko o masonerii i jeżeli on tego nie rozpozna, to będziemy pewni, że to nie o to chodzi.

Po chwili włączył laptopa, podłączył się do sieci, załadował pocztę i otworzył e-mail od Rizza z dołączonym zdjęciem. Przyglądał mu się długo. Drugi przebłysk przebiegł mu przez głowę, ale go zlekceważył. Odłożył go na potem. Ugo Palladiani też był masonem, a to, co miał przed sobą, miało literę P ozdobioną kolumnami klasycznymi takimi jak wykonywane przez Palladia¹¹. Tak, zdecydowanie przesadzał. Sprawa z Marina di Pietrasanta i tak była już bardzo skomplikowana z powodu ewentualnych powiązań z mafią, a mieszanie w to jeszcze masonerii wydało się przesadą nawet dla

niego.



Zadzwoił do zastępcy prokuratora w Bolonii, wytłumaczył krótko, o co chodzi. Poprosił o podanie adresu poczty elektronicznej i wysłał mu zdjęcie.

Znów nie miał nic do roboty poza oczekiwaniem. Zastanawiał się, czy Rizzo nie trafił rzeczywiście na właściwy trop. Miał nadzieję, że tak, mimo że wskazówki, które posiadali, były niepewne. Nawet jego intuicja sprzed chwili mogła niewiele znaczyć, irytacja profesora D'Incisy mogła być wytłumaczona jego zmęczeniem i koniecznością zajęcia się przypadkiem, który i tak wydawał się beznadziejny. Rizzo jednak robił postępy, a on był z tego zadowolony. On przeciwnie, albo zbyt ulegał fantazji, albo nie był w stanie posunąć się nawet o milimetr.

Komisarz Lojelo nie odezwał się. Był to znak, że on także nie zanotował żadnych postępów, czego zresztą należało się spodziewać, zważywszy, jak niewiele czasu minęło od odnalezienia zwłok.

Minął kolejny dzień, a o Massimie nie było żadnej wzmianki, ale jeżeli karabinierzy chcieli go znaleźć, to może go szukali.

⊕ XXI ⊕

Odpowiedzi na pytanie Rizza dostarczył Ferrara, odpowiedź na pytanie Ferrary Rizzo. To ten ostatni zadzwonił. Tymczasowo zajął miejsce Ferrary, więc i przejął jego przyzwyczajenia, tak więc w niedzielę rano poszedł do biura. Żona i dzieci zostali na Sycylii, a on sam w domu po prostu się nudził. Obiecał sobie przeznaczyć ten czas na przejrzanie danych katastralnych i map z terenu, gdzie znaleziono Stellę, które Venturi dał mu dzień wcześniej. Nie miał wielkiej nadziei natrafić w nich na coś użytecznego, szczególnie teraz, kiedy mieli o wiele bardziej obiecujący trop związany z klejnotem, ale chciał, by dochodzenie było kompletne.

Telefonogram, który znalazł w biurze, zepsuł mu humor i sprawił, iż pożałował, że nie został w łóżku.

- Mam coś, szefie - stwierdził.

- Ja też, i to nic dobrego - odpowiedział Ferrara, nie zwracając uwagi na bardziej oschły niż zwykle ton zastępcy. Lakoniczny był zawsze.

- To znaczy? - zapytał Rizzo, który chciał zyskać na czasie.

- Ty pierwszy.

- Ma pan rację, wszystko inne może poczekać. Mam złe nowiny.

Ferrara pomyślał, że może chodzić o Massima, i zaczął wyobrażać sobie najgorsze. Nie powiedział jednak nic, czekał, aż tamten się wypowie.

- Pański przyjaciel, Massimo Verga - stwierdził Rizzo - jest od teraz oficjalnie poszukiwany wraz z Simonettą Palladiani. Przyszła kopia telefonogramu od karabinierów z Lukki podpisana przez kapitana Fulviego, a wysłana do wszelkich oddziałów policji, ze szczególnym uwzględnieniem portów, lotnisk, dworców kolejowych i posterunków granicznych. Nakaz natychmiastowego zatrzymania zarządzonej przez prokuratora Lupa... Już jest

w bazie elektronicznego centrum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, szefie.

Ferrara nie chciał pytać, z powodu jakiego przestępstwa, ale wyobrażał sobie, że może zabójstwo lub współuczestnictwo. Był to nakaz zatrzymania, znak, że musieli mieć dowody. Jeżeli go zamkną, nie będzie łatwo wyciągnąć go z kłopotów.

W porównaniu z drugą, jeszcze straszniejszą hipotezą, że został odnaleziony martwy, ta wiadomość wydała mu się jeśli nie dobra, to przynajmniej znośna. Dopóki życia, dopóty nadziei, tak się mówi, a aż dotąd, dokąd będzie choć cień nadziei, Ferrara nie zamierzał rezygnować. Przeciwnie.

- Dobrze, Rizzo... dziękuję. Zajmę się tym, ty natomiast zajmij się „Operacją Stella”. Na tym froncie też nie ma nic dobrego. Zastępca prokuratora z Bolonii nie rozpoznał symbolu, wyklucza, żeby mógł być masoński, przynajmniej oficjalnie. Przyznaje, że są tam elementy używane przez masonerię, ale są ogólne i popularne. Słońce, księżyc, gwiazdy, kolumny, jeżeli ktoś chce je zobaczyć, są też chyba rzymskie liczby i mamy Pil albo PIH, wersja nowsza starego P2¹².

- Tego od... - Rizzo urwał. Nie chciał wymawiać imion, które w przeszłości wypełniały stronice gazet, i przypominać sobie twarze pojawiające się na ekranach w związku ze sprawami, które pozostały w dużej części owiane tajemnicą, co często się zdarza, kiedy w grę wchodzi tajemne moce - ...przecież to jakaś fikcja polityczna - stwierdził w końcu.

- Zgadzam się, to absurd, więc konkluzja jest taka, że może lepiej zostawić ten trop i szukać symboli, wychodząc z innych hipotez.

- Kłopot w tym, że wszystkie przejrzelśmy i nic.

- Przykro mi... Zawiadomiłeś Annę Giuliatti?

- Tak, szefie, wczoraj wieczorem, jak mi pan polecił.

- Jaka była jej reakcja?

- Jak pan przewidział, nie posłała mnie do diabła, tylko grzecznie kazała mi znaleźć jakieś mniej niejasne argumenty.

- Naturalnie, zważywszy, jak się sprawy mają, to nawet dobrze. Obawiam się, że z mojego powodu trochę się wygłupiłeś, Francesco.

- Nie to mnie niepokoi.

Nie, niepokoiło go wszystko inne. To samo, co i jego. Rozłączyli się zdecydowani wrócić każdy do swoich zajęć.

Ferrara powiedział Petrze, by przygotowała się do wyjścia. Rizzo wbrew sobie wziął do ręki papiery Venturiego.

Zastępca prokuratora, Anna Giulietti, nie spała dobrze tej nocy. Telefon komisarza Rizza z fantazjami na temat masonerii zaniepokoił ją bardziej, niż sądziła. Nie miała wątpliwości, że za tym wszystkim stoją działania Ferrary, wobec którego czuła się winna. Trochę dlatego, że miał kłopoty i musiał wziąć przymusowy urlop, trochę też dlatego, że go naprawdę szanowała i nie uważała, że byłby w stanie trwać przy wymysłach, by rozwiązać sprawę. Szef florenckiego wydziału śledczego nie był taki, był konkretny, racjonalny, skrupulatny i nade wszystko zawsze gotowy do zmiany toru śledztwa, jeżeli dowody na to wskazywały. Jego zachowanie jako pracownika było nienaganne i w sercu zastanawiała się, czy nie zachowała się wobec niego niestosownie.

Obudziła się późno, zjadła szybko śniadanie, wypila podgrzaną kawę, która zostawiła w ustach gorzkawy posmak. Właśnie jechała do rodzinnego domu, w którym mieszkała sama, i wciąż była coraz bardziej niespokojna.

O dziesiątej dwadzieścia zdecydowała się do niego zadzwonić

- Słucham - odebrała Petra.

- Dzień dobry, pani Ferrara, jestem Anna Giulietti. Szukam pani męża.

- Dzień dobry, prowadzi, jesteśmy na autostradzie, coś pilnego?

- Nie, nic, proszę mu powiedzieć, że potem zadzwonię.

- To była Anna Giulietti, ale chyba nic poważnego, powiedziała, że zadzwoni jeszcze raz - powiedziała Petra, wyłączając komórkę.

Wjechali na A12 w kierunku Carrary. Petra streszczała artykuły Claudii Pizzi, które przeczytała uważnie poprzedniego dnia, podkreślając ważne,

znaczące fragmenty. Były to teksty opublikowane w prasie lokalnej albo urywki, które pozostały w komputerze dziennikarki, które Lojelo przesłał Ferrarze.

- Dobrze, dalej.

- Część najważniejsza i dość świeża dotyczy kamieniołomów marmuru. To coś w rodzaju śledztwa dotyczącego sytuacji, która wyraźnie ją martwiła. Niektóre artykuły są długie i raczej nudne, pełne danych technicznych. Wydaje mi się jednak, że podstawą tego wszystkiego było zainteresowanie ochroną lokalnego dziedzictwa i tradycji, które mogą ulec zniszczeniu z powodu nadmiernej eksploatacji tych miejsc przez przedsiębiorców pochodzących spoza tych terenów. Chcesz, żebym ci opowiedziała, jak ja to rozumiem? Może ci to pomoże?

- Tak, słucham cię.

- Więc, na początek musisz wiedzieć, że marmur z tych stron jest unikatowy na skalę światową. Nie wytłumaczę ci wszystkiego, ale składa się z węgla wapnia w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, czyli jest czysty. Blok marmuru nazywanego tu białym złotem to sprasowany węgiel wapnia, najlepszy na rzeźby, bez żyłek, wydobywany jest z jednego jedyne kamieniołomu nazywanego Il Polvaccio albo Kamieniołom Michelangelo, bo on właśnie stąd wybierał bloki, które obrabiał. Choć nie jest pewne, że to był akurat ten kamieniołom.

- Nie streścisz mi chyba całej historii, co?

- Tylko to, co może nam się przydać, a to może.

Użycie słowa „nam” spodobało się Ferrarze.

- Marmur wydobywa się w blokach, zazwyczaj około dwudziestu ton, z gruzów produkuje się pył marmurowy, który ma wiele zastosowań do różnych zapraw, do restaurowania antycznych posągów, do papieru kredowego używanego do niektórych ilustrowanych książek, a także, tego nie wiedziałeś, daje się kurom, miesza się go z karmą, i wtedy znoszą więcej jajek.

- A my je jemy?

- Cóż, nie skorupki, tylko one są z węgłanu wapnia.

- No tak, ale wytłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Zaraz będziemy w Carrarze.

Zjechali z autostrady i wjechali na viale XX Settembre w kierunku stolicy marmuru, skąd Ferrara zamierzał dotrzeć aż do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki dziennikarki, a nawet dalej, jeśli będzie trzeba. Chciał skorzystać ze świątecznego dnia, by jeszcze raz obejrzyć to miejsce, dlatego prosił Petrę, by przeczytała wszystkie artykuły, bo mogły zawierać wskazówkę co do śmierci Claudii Pizzi, a może i doprowadzić go do Simonetty Palladiani.

- Ma coś wspólnego, ma! Handel pyłem marmurowym jest oczywiście mniej prestiżowy i mniej dochodowy od handlu samymi blokami, ale jest łatwiejszy i przynosi całkiem spore zyski. Nie wymaga dużej siły roboczej, bo prawie wszystko robią maszyny, rozumiesz? Jest to działalność niespecjalnie dobrze widziana przez niektórych... powiedzmy, purystów... szczególnie przez Claudię Pizzi, która wypowiedziała im wojnę, wyruszając przeciw nim na prawdziwą krucjatę. Widzisz, jest faktem, że handel marmurem przynosi dochody cyklicznie, w zależności od stanu zamożności świata. Kiedy w ekonomii wszystko idzie dobrze, bogaci z najbogatszych krajów budują sobie wille i pałace, używając naszego cennego marmuru, kiedy jest gorzej, obywają się bez niego, a ekonomia tego okręgu na tym cierpi. Wtedy ludzie zwracają się ku handlowi pyłem jako rezerwą, a bloki czekają na lepsze czasy. Problem, który chciała nagłośnić Claudia Pizzi, jest taki, że ostatnio tego typu handel wzrósł niepomiarnie, także kiedy nie było kryzysu, i to do tego stopnia, że na produkcję pyłu poświęcano nawet całkiem porządne bloki i nie robiły tego firmy lokalne, lecz napływowe. Posłuchaj, co o tym pisała.

Petra założyła okulary w szylkretowej oprawie, by przeczytać mu fragmenty.

Nie można się nie zastanawiać, dlaczego przedsiębiorstwo z siedzibą w Bellomonte di Mezzo na Sycylii inwestuje w rewitalizację starych, już nieprzynoszących dochodu kamieniołomów, by potem uzyskiwać z nich tylko pył marmurowy. Zatrudniają niewielką liczbę niewykwalifikowanych pracowników fizycznych, i to nie miejscowych. Udaje im się zdobywać odpady z innych kamieniołomów dla zwiększenia produkcji. Wszyscy wiedzą, że tona pyłu nie jest warta nawet jednej dziesiątej bloku. Starzy patrzą na nowych jak na wariatów. Naprawdę tak jest? Czy pod tym kryje się coś innego, czego nikt nie widzi albo nie chce widzieć? Ale co? Pranie brudnych pieniędzy, które byłoby plamą na honorze całej naszej wspólnoty, albo coś gorszego, o czym wasza dziennikarka napisze, kiedy znajdzie dostateczne dowody.

- Faktem jest, że ta dziewczyna była uparta. Jeżeli za tym stoi mafia, nic dziwnego, że skończyła, jak skończyła. Kiedy wyszedł ten artykuł?

- To tylko fragment, Michele, plik jest z dwudziestego szóstego lipca, data ostatniego otwarcia. Posłuchaj, co pisała cztery dni potem w innym pliku.

Zmieniajcie w pył, nadal zmieniajcie w pył te góry, które i tak już znikają! Przyjeżdżajcie ludzie z wysp napychać sobie konta i zostawiać okruchy, ale uważajcie, bo w górach są dzikie zwierzęta, które zwęchały już zapach padliny, i nie odpuszczą wam.



- Odważna, nie?

- Raczej nieostrożna - stwierdził - jeżeli jej to opublikowali. Jest też możliwe, że badając te sprawy, wystawiła się sama na niebezpieczeństwo. Coś musiała wiedzieć, a zniknięcie Simonetty, która odziedziczyła koncesję na kamieniołomy po ojcu, musiało wzmocnić, a nawet może potwierdzić jej tezy. „Zaczynam podpalać proch”, powiedziała mi, ale dlaczego, co było przedtem? Chodziło o sztuczne ognie? Nie powiedziałbym. Jeżeli jest jakaś prawda w tym, co pisała, to już siedziała na minie.

Przejazd przez Carrarę był zablokowany przez niekończący się ciąg samochodów i autobusów. Ferrara spróbował skrótu i wjechał na plac centralny, gdzie zobaczył kiosk Ente Turismo i wpadł na pewien pomysł. Zaparkował i poprosił Petrę, by na niego zaczekała. Wrócił po chwili z rozkładanym folderem i zadowoloną miną.

- Będą problemy z dojazdem, dziś odbywa się coroczna „zwózka marmuru”.

- A co to takiego?

- Jak to? Nie było tego w notatkach Claudii Pizzi? - usiłował zażartować, ale mu się nie udało. To nie była dobra chwila na żarty.

- Nie, no więc?

- To stara metoda, jaką wieki temu sprowadzano marmur w doliny. Tak powiedział mi ten z kiosku. Ludzie podkładali pod blok marmuru okrągłe kłoc drewna i transportowali go z góry aż do samego morza. To było niebezpieczne, nieraz zdarzały się wypadki, dobrze, że teraz wszystko się zmieniło.

- I dziś to odtwarzają?

- Co roku w drugą niedzielę sierpnia jest taka impreza. Zwożą blok jakies pięćdziesiąt metrów, robią to tysiące osób, które ustawiają się wzdłuż trasy i blokują ruch.

- Wolisz, żebyśmy dziś odpuścili?

- Nie - powiedział Ferrara - kazałem sobie dać mapę ze wszystkimi numerami kamieniołomów. Tak więc pojedziemy zobaczyć także i te należące do Simonetty Palladiani, skoro dojechaliśmy aż tutaj.

Potrzebowali jeszcze prawie dwóch godzin, by dostać się do miejsca odnalezienia Claudii Pizzi. Było takie zamieszanie, że nie udało się nawet zaparkować. Ruszyli dalej i pół godziny później dotarli do kamieniołomu numer 206.

Komisarz zostawił samochód i ignorując napis teren prywatny, zakaz wstępu, podniósłszy szlaban, poszedł kamienną ścieżką, która prowadziła w

kierunku wykopów. Pozornie wszystko było w porządku. Uderzył go dziwny zapach, jakby woń gnijącej ryby. Nigdzie nie było żadnego strażnika. Wielka żółta koparka stała przy zboczu góry wyciętej w formie schodków, a w pobliżu metalowego baraku biała od marmurowego pyłu cysterna. Podeszedł i oczyścił drzwiczki, na których zauważył napis. Przeczytał. estrattiva mineraria.

Zapisał to w notatniku i wracając do samochodu, wybrał numer Anny Giulietti, która mimo obietnicy nie oddzwoniła. Nie odebrała też. Petra wysiadła i podeszła do niego.

- To mnie niepokoi - powiedziała.

Uśmiechnął się, wziął ją pod ramię i zaprowadził do mercedesa. Ruszyli dalej.

Dwa kolejne kamieniołomy były podobne do pierwszego. W jednym nie było żadnego samochodu, w kolejnym stała ciężarówka tej samej firmy.

Byli niedaleko Colonnaty i jeszcze nic nie jedli.

- Chciałbyś coś przekąsić?

- Dlaczego nie? - Nie był głodny, ale pomyślał, że chwila przerwy by się przydała.

- W tym czasie ruch się trochę zmniejszy, więc kiedy będziemy wracać, droga będzie mniej zatłoczona, mam nadzieję.

Znalezienie miejsca na małym parkingu w Colonnacie nie było łatwe. Potem weszli stromymi kamiennymi schodami, które biegły do głównego placu. Była tam tabliczka poświęcona anarchistom, łuk prowadzący do antycznego centrum i kilka restauracyjek. Wybrali jedną z nich i usiedli przy stoliku obok grupy, która świętowała przy daniach z „lardo di Colonnata” i białym winie. To nie byli turyści, ale miejscowi. Bohaterem był starszy mężczyzna, ale wyraźnie jeszcze na chodzie, ładnie się wysławiał i był dowcipny.

Ferrara dosłyszał, że tamten wygrał jakiś zakład

- To znaczy? - zapytał mężczyzny przy sąsiednim stoliku, który siedział

najbliżej niego.

Był łysy i potężnie zbudowany, i trochę, jak się wydawało, wstawiony. Ten wytłumaczył mu, że Franchi pokonał wszystkich, odgadując dokładną wagę bloku marmuru ogromnych rozmiarów, ostukując go jedynie młotkiem

- Bo my znamy te góry, drogi panie - stwierdził z dumą. - To jakby nasz zawód, trzeba je znać, bo inaczej wszystko pójdzie w diabły.

- Kamieniarzem człowiek się rodzi, nie staje - dorzucił ktoś inny i wtedy wszyscy odwrócili się w kierunku turystów.

Franchi, który pełnił honory przy stole, zaprosił ich, by się przyłączyli. Ferrara wymawiał się, mówiąc, że muszą już iść, ale skorzystał, by zapytać:

- Czytałem, że działają tu nie tylko przedsiębiorstwa z Carrary... Jak się zapatrujecie na tych z zewnątrz?

- Żyj i pozwól żyć innym - odpowiedział starzec, wzruszając ramionami.

- W „Tirreno” jedna dziennikarka, właśnie stąd, mówiła, że nie wiedzą, co robią, i niszczą górę.

Stary powtórzył ten sam gest.

- Każdy zajmuje się swoimi sprawami. My pracujemy i oni pracują.

- Czyli nie przeszkadzają wam?

- To, co robią, to ich sprawa. Jeżeli kupując odpady, wychodzą na swoje, to nam to nie przeszkadza, a oni mogą robić, co chcą.

- Jak są idiotami - zachichotał inny.

- I robią pył?

- Niektórzy tak.

- I to do tego są potrzebne cysterny? Jedną widziałem - zapytał, wciąż nie rozumiejąc obecności cysterny w kamieniołomie 206.

- Tak, bo inaczej w transporcie wszystko wywieje.

- Dziękuję i przepraszam, że przeszkodziłem, nie chcieliśmy wam zepsuć świętowania. Bawcie się dalej - dodał Ferrara, wstając, by wziąć kanapkę i szklankę piwa dla siebie oraz herbatę i kawałek tortu dla Petry, bo nikt ich dotąd nie obsłużył.



Droga powrotna była rzeczywiście mniej zatłoczona i Ferrarze udało się zaparkować obok kiosku z pamiątkami. Wsiadł z samochodu.

Wejście do wąwozu nie było zagrodzone taśmą, bo ciało znaleziono dużo niżej i strefa została już przeszukana przez ludzi Lojela tak dokładnie, jak tylko było to możliwe.

Popatrzył dookoła, nie wiedząc za bardzo, czego szuka. Góra z przodu poza doliną była częściowo pokryta dębami i kasztanowcami. Pośród zieleni prześwitywała biel marmurowych skał огоłoconych aż do samej góry. Co tu robiła Claudia Pizzi o wschodzie słońca, zanim otworzono kiosk?

Szedł wzdłuż skalnej ściany oddzielonej od reszty góry asfaltową drogą. Była niewielka, długa nie więcej niż na dziesięć metrów. Z drugiej strony ciągnęła się łąka, która znikwała w głębi doliny, a miejscami była porośnięta dzikimi krzewami. Niektóre gałązki były połamane i Ferrara podszedł tam, uważając, gdzie stawia stopy. Stamtąd można było zobaczyć górę, która z tej strony była ukryta za skałą i roślinnością. Wyraźnie widział kamieniołom z wielką żółtą koparką i cysterną obok metalowego baraku. Teraz zrozumiał, o co chodziło.

Claudia musiała się tu zatrzymać, by robić zdjęcia kamieniołomowi 206 i przypuszczalnie tego, co się tam działo. Z tej pozycji zobaczyła prawdopodobnie, że drogą z Bedizzano jedzie jakiś pojazd, rozpoznała go i się przestraszyła. Chciała wrócić do samochodu, ale napastnicy dopadli ją, gdy biegła wzdłuż wąwozu. Uderzenie pocisków i to, że biegła, sprawiło, że spadła do wąwozu. Zabójcy prawdopodobnie nie zeszli, by sprawdzić, czy żyje, bo znaleźliby torebkę i aparat. Poza tym, jeżeli to była mafia, pewnie podpaliliby ciało. Wąwóz był bardzo stromy i głęboki. Uważali, że to wystarczy, by wykończyć kobietę, gdyby nie uczyniły tego kule.

Było już po południu, kiedy dojechali do hotelu. Petra była zmęczona, Ferrara niespokojny i zdenerwowany.

Portier wyszedł do nich i powiedział:

- Czeka tu jakaś pani na pana.

- Do mnie? Gdzie?
- Jest tam, w salonie.
- Długo czeka?
- Będzie już pół godziny.

Komisarz rozpoznał natychmiast kobietę, która czekała, czytając gazetę.

- Anna? - pozdrowił ją zaskoczony, idąc ku niej wraz z żoną.

⊕ XXII ⊕

- To ty kazałeś, żeby Rizzo zadzwonił do mnie?

- Jeżeli mam odpowiedzieć prokuratorowi, to nie powiem ani tak, ani nie. Powiem, że Rizzo jest teraz odpowiedzialny za śledztwo i odpowiada za podejmowane kroki, by wynik był szybki i pozytywny. Jeżeli mam odpowiedzieć przyjaciółce, to powiem, że hipoteza związana z działaniem masonerii, nawet jeżeli trochę naciągana, wyszła od niego, ale do telefonu zachęciłem go ja, i przykro mi, że kazałem mu z siebie zrobić kretyna.

Anna Giulietti się uśmiechnęła. Siedzieli w salonie hotelu Principe. Zamówili aperitif. Ferrara zapalił toskańskie cygaro, czego nie mógł uczynić w samochodzie, a którego bardzo potrzebował.

- Porozmawiajmy jak przyjaciele. Może wcale nie było to takie złe posunięcie, oczywiście było jasne, że inicjatywa pochodziła od ciebie, ale dało mi do myślenia. A jeżeli szpital naprawdę popełnił błąd? To nie ma nic wspólnego z drugą częścią śledztwa, nawet jeżeli Rizzo... to znaczy ty, chyba myślicie inaczej, sugerując masonerię nawet na miejscu odnalezienia tej dziewczyny.

- Stelli.

- Wiesz, jak miała {ja imię? Zidentyfikowaliście ją? Nie wiedziałam...

Ta sama reakcja jak u Leonego z odrobiną podejrzliwości na dodatek, pomyślał Ferrara.

- Nie, to imię kod, nie przejmuj się, chodzi o to, żebyśmy nie mówili wciąż „dziewczyna” czy „nieznana”.

- Rozumiem. Cóż, jeżeli szpital popełnił błąd, nie powinnam tego odpuścić. W sumie przyjechałam powiedzieć ci, że jutro podpiszę nakaz wydania karty szpitalnej.

- Dziękuję, Anno, jestem wdzięczny, ale teraz musisz o tym rozmawiać z Rizzem. Ja jestem poza tą sprawą, mam inne zajęcia.

Opowiedział jej wszystko, nie omijając żadnych szczegółów, oprócz pomysłu na temat inicjału P, który mógł łączyć Palladianiego z masonerią i klejnotem, ale bał się, że zaszkodzi to tropowi związanemu z lekarzami masonami i d'Incisy, który Anna Giulietti w końcu wzięła pod uwagę, a jemu dane medyczne były potrzebne, bo mogły wspomóc działania Leonego albo Fuschiego.

- Jesteś pewien, że Massimo nie ma z tym nic wspólnego? - zapytała na koniec.

Słuchała go z rosnącym niedowierzaniem zaznaczającym się chronometryczną punktualnością pojawiania się zmarszczek na jej czole.

- Tak jak jest się pewnym przyjaciół - powiedział Ferrara i nie było jasne, czy było to potwierdzenie pewności czy słabości.

- *Massimo ist keine Morder* - wtrąciła Petra.

Anna Giulietti popatrzyła na jedno, potem drugie, w końcu potrząsnęła głową.

- Niestety, nie ma nic, co mogłabym zrobić. To inna prokuratura, nie znam tego Lupa, więc jak mogę ci pomóc, Michele?

- Nie możesz - odpowiedział komisarz, patrząc na wyświetlacz komórki, która zaczęła dzwonić.

- Wybacz, muszę odebrać, to Rizzo.

- Niech szef najlepiej usiądzie! - wykrzyknął jego zastępca do słuchawki.

- Co jest?

- Ugo Palladiani, czy to nie ten, którego według karabinierów zabił pański przyjaciel, Massimo?

- Tak, a o co chodzi?

- A nie miał fabryki dżinsów i innych ciuchów?

- Nie... pracował w public relations, ale wcześniej miał.

- Czyli to on.

- On? Kto on?

- Właściciel pawilonu.

- O czym ty mówisz, Francesco?!

- O pawilonie, który znajduje się około kilometra w linii prostej, może mniej od miejsca, gdzie została znaleziona Stella. To dawna fabryka dżinsów o nazwie Fabbrica Abbigliamento Casual, czyli po prostu FAC. Jej administratorem był Ugo Palladiani. Została opuszczona w związku z likwidacją firmy, ale z tego, co wynika z map i z raportów katastralnych, nadal jest własnością administratora, Ugo Palladianiego. Ciekawy zbieg okoliczności, co?

O wiele bardziej niż ciekawy, tak jak i jego pomysł na temat inicjału „P” wcale nie wydawał się aż tak niedorzeczny.

- Nie tak bardzo - mruknął Ferrara.

Nie myślał o sprawie Stelli, ale o możliwości, że to odkrycie mogłoby oznaczać, iż śledztwo podlegałoby teraz pod Florencję. Mogło więc także dotyczyć Palladianiego, więc Ferrara miałby oficjalnie dostęp do śledztwa i otwarcie mógłby wpływać na losy Massima.

- Musimy tam pojechać i rzucić okiem - odparł Rizzo. - Myśli pan, że prokurator Giulietti podpisze nam nakaz przeszukania?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Ferrara, rzuciwszy okiem na zastępcę prokuratora, która także popatrzyła na niego pytająco.

Teraz był czas, by zaspokoić tę ciekawość w sposób dokładny i kompletny.

- No, no! - zawołała zamyślona Anna Giulietti, kiedy Ferrara skończył. - Oczywiście, że wydam nakaz przeszukania... Posiadanie budynku w okolicy miejsca odnalezienia dziewczyny to nie jest dużo, bo inaczej bylibyśmy zmuszeni przeszukać wszystkie budynki w tej strefie, ale zbieg okoliczności z inicjałem, odnalezienie spinki i to, że właściciel zmarł w tajemniczych okolicznościach, to więcej niż potrzeba, by to usprawiedliwić.

- I nie można zapominać o symbolice przypuszczalnie masońskiej tego klejnotu.

- Znowu? Michele! Czy ty się nie zafiksowałeś? Najpierw lekarz, teraz Palladiani...

- Obaj są, nie? Nawet jeżeli nie należą do tej samej łoży.

- Tak jak wielu jeszcze innych florentyńczyków, Włochów, Francuzów, Anglików i Amerykanów... daj spokój! Dość już masz na głowie, nie ma sensu sprawdzać, gdzie moi ludzie następują sobie na odciski, bo potem wszystko się rozmyje.

Jak zawsze była rozsądna i mogła mieć rację, ale coś go dręczyło jak ukryty cień, który wciąż mu dokuczał.

- Ale odblokujesz tę sprawę z kartą informacyjną?

- Już ci to obiecałam - odpowiedziała bez przekonania.

⊕ XXIII ⊕

Tydzień Ferragosto¹³ zapowiadał się pełen chaosu i nie chodziło o zatłoczone plaże. Odkrycie Rizza dało Ferrarze taki ładunek adrenaliny, że nie spał prawie całą noc, do czego ostatnio się przyzwyczał. W poniedziałek po tej nieprzespanej nocy zerwał się z łóżka o wschodzie słońca i spacerował po pustych korytarzach hotelu, potem wzdłuż brzegu basenu, paląc cygaro w oczekiwaniu, aż nadejdzie jakaś w miarę rozsądna godzina na pierwszy telefon. Kiedy w końcu wskazówki zaczęły się przybliżać do godziny siódmej, zadzwonił do Fantiego.

- Witam, szefie, nie skończyłem jeszcze tych badań na temat przedsiębiorstw sycylijskich w Toskanii, którą mi pan zlecił, ale pracuję nad tym.

- Dobrze, ale na razie to odłóż, a sprawdź wszystko, co się da, na temat Estrattiva Mineraria z siedzibą w Bellomonte di Mezzo.

- Tak, zdaje się, że to jedno z tych, które już sprawdzałem.

- Co znalazłeś?

- Nic. Tylko że jest jednym z wielu sycylijskich przedsiębiorstw, które tutaj pracują.

- Pogłęź to.

- Zrobię to, szefie.

Po telefonie miał jeszcze dwa zadania, które sobie wyznaczył. Skontrolować sprawę zezwolenia i zgłębić sprawę kamieniołomów Simonetty Palladiani. W pierwszej sprawie musiał poczekać do późnego ranka, co do drugiego, najlepiej było pojechać do Carrary. Wolał nie budzić Petry, która zasnęła dopiero, kiedy słońce zaczęło wschodzić. Zostawił jej

wiadomość na komodzie, dobrze widoczną, żeby mogła ją przeczytać, jak tylko się obudzi.

Wyszedł.

Z wybicciem ósmej był w biurze komisarza Lojela.

- O której gmina zaczyna pracę?

- O dziesiątej.

- Za późno, muszę obejrzeć te kamieniołomy jak najszybciej. Urzędnicy przychodzą wcześniej, prawda?

- Nie ma kłopotu, ważne, żeby był urzędnik katastralny.

- Da mi pan któregoś ze swoich ludzi?

- Sam z panem pojedę, ale najpierw trzeba sprawdzić. - Poleciał funkcjonariuszowi sprawdzić i zadzwonić, gdy tylko przyjdzie urzędnik.

- Dziękuję. Jakież nowiny w śledztwie?

- Sprawdzamy jeszcze, ale nie wydaje mi się, żeby pojawiło się coś ważnego. Dziennikarka była szanowana także dlatego, że się nie wywyższała, wie pan, w takim małym mieście ktoś, komu udało się wejść do poważnego dziennika, nawet tylko lokalnego, bardzo się liczy. Uważano ją za „artystkę”, „pisarkę”, mimo że jej praca była zupełnie inna, wywiady, śledztwa, kronika. Wszyscy się zgadzają co do tego, że była bardzo konkretna i rozważna. Była twarda i łatwo nie popuściła, zaciekle prowadziła swoje batalie, ale nie ulegała fantazjom, wszystko dokładnie weryfikowała.

- Oby wszyscy tacy byli - skomentował Ferrara, myśląc o pewnych dziennikarzach, których znał, a którzy żeby zaliczyć **SCOOP**, byli w stanie podać za prawdę absolutną pierwszą wygodną dla siebie pogłoskę.

- W istocie... Narzeczony to przedstawiciel handlowy w branży materiałów budowlanych, w tym samym wieku co ona. To Fabio Rubini. Powiedział, że ostatnio była bardzo spięta, ale dla niego to nie nowość. Byli ze sobą od czasu, kiedy uczęszczali na uniwersytet i że kiedy były egzaminy, ona stawiała się nieznośna. Zawsze się wtedy kłócili. Według niego robiła to specjalnie, żeby móc być sama i skoncentrować się na nauce. To samo

zdarzało się też potem, kiedy była zaangażowana w jakieś szczególnie trudne śledztwo. Tyle że już się nie kłócili. Nauczył się, że powinien się w takich chwilach wycofać. Tak właśnie było w ostatnim tygodniu.

- Czyli niewiele wie o tym, co się działo, i nie będzie w stanie powiedzieć nam nic użytecznego?

- Niestety, nie.

- A może tak się pokłócili, że to był on?

- Cóż, komisarzu Ferrara, kiedy w grę wchodzi miłość, wszystko jest możliwe, wie pan to lepiej niż ja, ale w tym przypadku nie sędzę. Jej ojciec mówi o nim bardzo dobrze, ponadto narzeczony ma alibi, które właśnie sprawdzamy. W czwartek dziewiątego i w piątek dziesiątego jak zwykle robił objazd po północnych terenach swojej strefy, Ameglia, Sarzana, Aulla, Pontremoli, gdzie spędził noc w hotelu. Nie będzie trudno znaleźć dowody, które ostatecznie go uniewinnią.

- Rozumiem. I naturalnie nie ma nikogo innego, kto miałby powód ją nienawidzić?

- Nie, jak na razie nic takiego się nie pojawiło.

- Co znów nas zwraca ku hipotezie związanej z mafią... albo z kimś, kto robił coś niejasnego właśnie w kamieniołomach Simonetty Palladiani albo w innych także.

- Z braku innych możliwości...

- Czyli pozostaje nam gmina.

- Jak tylko zjawi się urzędnik.

Ferrara popatrzył na zegar.

- Dlaczego nie możemy być przed nim? Teraz już może przyjść w każdej chwili.



Urzędnik spóźnił się i stracił co najmniej pięć minut na usprawiedliwienia. Kiedy w końcu Ferrara zapytał go o to, co chciał wiedzieć, oddalił się, by sprawdzić w archiwach, w dużej części spisywanych ręcznie (jeżeli odkryli istnienie maszyn do pisania dopiero w połowie ubiegłego wieku, to aż strach

pomyśleć, ile im zajmie informatyzacja!). Wrócił po chwili z odpowiedzią.

- To są kamieniołomy Tonellich.

- Wiedzieliśmy, kto jest właścicielem, chcemy tylko wiedzieć, kto realnie się nimi zajmuje - wytłumaczył cierpliwie Ferrara.

Mężczyzna spojrział na niego z niepokojem, potem popatrzył na Lojela, jakby chciał powiedzieć „To on nic nie wie?” Ale w końcu odezwał się do komisarza z Florencji:

- Tu nie chodzi o własność, są własnością gminy, a gmina daje koncesję. Tonelli mieli koncesję od czasów Marii Teresy d'Este.

- To znaczy była przekazywana z ojca na syna? Jest dziedziczna? To jak długo to trwa?

- Do niedawna dziewięćdziesiąt dziewięć lat odnawialnych na ogół dla tego samego koncesjodawcy. Właśnie Maria Teresa wprowadziła tę praktykę, by zintensyfikować produkcję marmuru. Nic się właściwie nie zmieniło, ale od dwóch lat obowiązuje nowy regulamin ograniczający okres koncesji na dwadzieścia dziewięć lat, niestety, bardzo trudno jest go wdrożyć w życie. Są tacy, którzy się sprzeciwiają, mówią, że kamieniołomy były podarowane przez księżnę rodzinie, a nie gminie... wie pan, jak to jest. Powoli jednak wszystko zaczyna się regulować, bo jak ktoś tego nie robi w terminie, który jest ustalany dla każdej koncesji indywidualnie w zależności od przypadków, traci prawo do eksploatacji kamieniołomów.

- Zrozumiałem, tak więc w pewnym sensie jest to rodzaj własności... Ale ten, kto ma prawo do kamieniołomu, czy musi go eksploatować sam, czy może to zlecić komuś innemu... a w takim razie komu wynajęła go Simonetta Tonelli, która, jak wiemy, nie zajmowała się tym bezpośrednio.

- To już inna sprawa, też skomplikowana. Ogólnie, nie ma potrzeby wynajmować i także dlatego wprowadzono nowy regulamin, który oficjalnie uznaje, że góra należy do gminy, która może dać koncesję temu, kto rzeczywiście eksploatuje kamieniołomy, po to, by były produktywne, ale czy istnieją prywatne ugody, że ktoś pracuje dla kogoś, to już gminy nie

interesuje. Dopóki istnieje działalność, nie znikają miejsca pracy, respektowane jest prawo i opłacane podatki związane z koncesją i wydobywaniem, dopóty my nie wtykamy w to nosa.

- Fatalnie. Czyli nie wiecie, kto pracuje w kamieniołomach 206, 219 i 225?

- Proszę chwilę poczekać.

Oddalił się, by wrócić z karteczką z nazwiskiem.

- Z papierów wynika, że podatki opłacane są w imieniu Simonetty Tonelli przez niejakiego Ugo Palladianiego. Nic więcej nie wiemy.

- Dziękujemy - powiedzieli obaj komisarze, wymieniwszy zawiedzione spojrzenia, i opuścili biuro.

Było już po dwunastej.



- Proszę się nie przejmować, komisarzu Ferrara, wyślę jednego z moich ludzi, by sprawdził, jak stoją rzeczy.

- Ma pan tu co innego do roboty, sam się tym zajmę - powiedział Ferrara, wyciągając telefon. - Tu Ferrara, proszę mnie połączyć z komisarzem Rizzem - powiedział do centrali wydziału śledczego we Florencji.

- Dzień dobry, szefie - pozdrowił go po chwili jego zastępca.

- Przyszedł nakaz od Anny Giuliatti?

- Właśnie w tej chwili, szefie, akurat tam idę.

- Dobra. Zadzwoń. Wysłała ci też nakaz wydania karty informacyjnej Stelli?

- Tak, szefie.

- Doskonale. Działaj i natychmiast wyślij kopie do Leonego i Fuschiego.

- Tak, szefie.

Przed prefekturą wsiadł do samochodu i ruszył drogą w góry, drogą, którą zaczynał znać co najmniej tak dobrze jak przejazd z via Zara do własnego domu. Nie pojechał do kamieniołomów Simonetty, by nie przestraszyć ewentualnych przestępców, ale zatrzymał się wcześniej, chcąc porozmawiać z robotnikami z innych kamieniołomów. Nie odkrył wiele. Może istniała także i tu zмова milczenia albo po prostu każdy zajmował się swoimi

sprawami, jak mówili miejscowi, których spotkał dzień wcześniej w Colonnacie.

W trzecim kamieniołomie odnalazł starego Franchiego, zwycięzcę zakładu. Nie był zbyt rozmowny, ale warto było spróbować. Przedstawił się jako naukowiec piszący esej o marmurze z Carrary. Niewiele było trzeba, by go sobie zaskarbić. Mężczyzna nie był nastawiony wrogo, był po prostu miłkiwy z natury. Powoli naprowadził go na rozmowę o obecności firm spoza Toskanii w kamieniołomach 206, 219 i 225, gdzie widział ciężarówkę z firmy sycylijskiej.

- Tak, to Estrattiva Mineraria, to oni tam pracują, my także im sprzedajemy czasem odpady, wydobywają trochę marmuru, ale przede wszystkim pył.

- A kim oni są?

- Nie wiem, są z Sycylii, tyle wiemy, ale nie wiemy, kim są i kto nimi rządzi. My zazwyczaj nazywamy go Sycylińczykiem i tyle. Niektórzy, jak się z niego wyśmiewają, nazywają go „Salvatore, zbawca kamieniołomów”.

Tak jak Claudia Pizzi.

- Jak to?

- Bo to są kamieniołomy Tonellich, które były praktycznie opuszczone od lat. Gdyby nie oni, gmina by je zabrała, bo nie wolno, by kamieniołomy były nieczynne, mogą dać pracę wielu ludziom, ale tam już nie ma czego wydobywać. Mówię panu, znam się na tym.

- Może wzięli je tylko po to, żeby wydobywać pył marmurowy?

Staruszek wzruszył ramionami, jakby ta działalność, która w jego oczach była świętokradztwem, była dla niego niezrozumiała i wcale go nie obchodziła.

- Jaki jest ten słynny pył marmurowy? - zapytał Ferrara.

Mężczyzna popatrzył dookoła siebie, potem wpatrzył się pod nogi komisarza. Wszystko tutaj, od drogi z kruszywa po wejście do kamieniołomu, od sprzętu po budy na narzędzia, pokryte było delikatną białawą warstwą taką samą jak na cysternie, którą widział dzień wcześniej.

- Nie widzi pan? - zapytał z uśmiechem. - Niech pan idzie ze mną, ale proszę uważać.

Poprowadził go do zbocza góry z wyciętymi stopniami, gdzie grupa pracowników wycinała blok marmuru. Operacja była fascynująca. Maszyny tnące cięły marmur, jakby był masłem, wzniecając przy tym tumany białego pyłu.

Starzec zbliżył się do kupki, nabrał garść i podał Ferrarze. Ten wziął odrobinę w palce i roztarł. To mogłaby być heroina albo czysta kokaina.

- Mniej więcej to coś takiego jak tutaj - wytłumaczył Franchi, podnosząc głos, by przekrzyczeć piły - tylko że to tutaj to jest odpad poprodukcyjny, nie jest dobry, bo zanieczyszczony. Diamentowa nić, która tnie marmur, zużywa się, zanieczyszczając pył, dlatego używa się specjalnie mielonych odpadów.

Znów trochę odeszli, by móc rozmawiać.

- Rozumiem, a ci Sycylijczycy od jak dawna tu są?

- Od sześciu, siedmiu lat.

- Połowa lat dziewięćdziesiątych?

Mężczyzna zastanowił się przez moment.

- Dokładnie dziewięćdziesiąty czwarty.

- I nie zauważyliście nigdy niczego dziwnego?

- Czego dziwnego?

- Czy ja wiem? Dziwnych transportów, jakichś ruchów towaru, obcych ludzi wchodzących do kamieniołomów.

- Nie. Dlaczego? Pracują. Wiem tylko, że te niewielkie ilości marmuru, co go robią, wysyłają do Ameryki, ale nie wiem, czy to się panu na coś przyda. Pył rozprawdzają po całych Włoszech do Cartiere del Garda, do hodowli w Reggio Emilia, firm budowlanych na północy i w Rzymie.

- I to jest normalne?

- Najnormalniejsze w świecie. Dlaczego pan pyta?

- Chcę zrozumieć. Nie rozumiem za bardzo, jak to działa. Rozumiem, że marmur to tradycja wielowiekowa i jedyna na świecie, ale pył?

- Ja też tego nie rozumiem... Sprzedaje się, to pewne, ale nie ma sensu przyjeżdżać i wydobywać go tutaj, wystarczyłyby jakiekolwiek kamieniołomy. Nasze są specjalne i marnowanie ich na takie coś... Cóż, czego chcieć, ja jestem stary.

- Czyli mądry. Kiedyś tak było, teraz chyba nie, bo nikt nie chce być stary. Błąd według mnie. Wystarczy popatrzeć, jak działa ten świat.

- Święte słowa, profesorze.



Po południu wrócił do hotelu i znalazł Petrę w ogrodzie. Czytała. Usiadł koło niej, pocałował ją i opowiedział wszystko.

- Nie zdziwiłbym się teraz, gdyby Estrattiva Mineraria była centralą handlu narkotykami. Marmur może też służyć do mieszania, wygląda zupełnie tak samo, ale nie rozumiem...

- Czego, Michele?

- Po co od razu trzy kamieniołomy? Ile tego im potrzeba? Z jednego dałoby się wymieszać światową produkcję heroiny przez rok!

- Tak - przyznała Petra. - To nie ma sensu.

Zamilkli oboje, a potem Ferrara wciąż zastanawiając się nad tą układanką, zadzwonił do prefektury we Florencji. Powiedziano mu, że Rizzo jeszcze nie wrócił, więc poprosił Fantiego.

- Jak tam? - zapytał.

- Witaj, szefie. Spędziłem cały rano, szukając czegoś o tych z Bellomonte, ale jest gorzej jak z małpami, nikt nie widzi, nie słyszy, nie mówi. Nikt nic nie wie, szefie. Papiery są przeniesione z powodu trzęsienia ziemi w dziewięćdziesiątym ósmym, które było zagrożeniem dla siedziby, i jest prowizorka i są wkur... w sumie mają za złe tym z Rzymu i z kontynentu. Myślę, że będę musiał poprosić jakiegoś kolegę z tych stron.

- Zrób tak, Fanti, masz wolną rękę. Muszę wiedzieć, kto stoi za tą firmą.

- Rozkaz, szefie!

⊕ XXIV ⊕

Rizzo wraz z Sergim, Ascalchim i trzema funkcjonariuszami dotarł do pawilonu opuszczonego przez FAC trochę po drugiej po południu. Był to biały budynek ze zbrojonego betonu, jednopiętrowy, szeroki na około dwadzieścia metrów i długi na sześćdziesiąt. Oświetlały go tylko wąskie, długie okna umieszczone bardzo wysoko, prawie pod samym dachem. Nakaz wydany przez prokurator Annę Giuliatti zezwalał na usunięcie ewentualnych przeszkód, więc Sergi przeciął nożycami kłódkę zamykającą ciężką roletę, którą mimo że była na wpół zardzewiała, łatwo dało się podnieść. Prowadnice były doskonale naoliwione. Sforsowanie zamków żelaznych drzwi nie było trudne.

Znaleźli się w obszernym, prostokątnym pomieszczeniu, gdzie kłębił się kurz gromadzący się tu od wielu lat, a pośród stosów ubrań panował nieopisany bałagan. Kartonowe pudła, często na wpół zbutwiałe, były nieporządknie ustawione jedne na drugich. Gdzieś stały jeszcze długie, drewniane stoły na kozłach, inne wywróciły się wraz z całą zawartością, również z maszynami do szycia. Tak wszystko pozostało po porzuconej działalności handlowej, która się nie opłacała.

- Weszliśmy od strony hali produkcyjnej - powiedział Rizzo - obejdziemy teraz wszystkie pomieszczenia, zanim zaczniemy przeszukiwanie.

- Zejdzie nam tu pół życia w tym bałaganie - jęknął Ascalchi.

W głębi widać było ścianę z przeszklonymi drzwiami. Za nimi korytarz oddzielał od siebie kolejne pomieszczenia, dwa z jednej i trzy z drugiej strony. Wszystkie były zamknięte. Miały ściany z płyt gipsowo-kartonowych. Była też łazienka, brudna. Kolejne cztery pomieszczenia stanowiły biura. Stały w nich jeszcze biurka i tanie fotele, wszędzie walały się ogromne stosy

kart, próbek, segregatorów, kalendarzy, zwoje powyrywanych przewodów telefonicznych i prowadnic do kabli komputerów, których już tu nie było.

Korytarz kończył się drugimi drzwiami identycznymi jak pierwsze. Wychodziły na tonącą w ciemnościach recepcję, bo okna w górze zostały zasłonięte. Sergi znalazł włącznik i zapalił światło.

Żarówki były halogenowe, bardzo mocne, nawet, można powiedzieć, ostre. Kiedy ich oczy przyzwyczyły się do światła, Rizzo i jego współpracownicy zaniemówili z wrażenia. Przed sobą ujrzeli obszerną elegancką salęumeblowaną nowoczesnymi fotelami i sofami. Mogła pomieścić nawet trzydzieści osób. Stały tam niskie stoliki, na podłodze leżały dywany, na ścianach wisiały futurystyczne obrazy. W rogach pomieszczenia ustawiono wielkie głośniki. Lada recepcyjna została przesunięta pod ścianę i teraz, sądząc po butelkach poustawianych na blacie, służyła za bar. Także i tu panował bałagan, brudne kieliszki, pełne niedopałków popielniczki i leżące na ziemi poduchy. Wszystko to sprawiało, że miejsce wyglądało na opuszczone w pośpiechu. Jednak najbardziej uderzył policjantów ogromny ekran telewizora plazmowego wiszącego na ścianie za barem, gdzie w sposób oczywisty musiały się skupiać spojrzenia gości z każdego miejsca tego pomieszczenia. Pokonawszy początkowe zaskoczenie, Rizzo podszedł do baru, gdzie znalazł pilota. Wziął go w rękę przez chusteczkę, by nie zatrzeć ewentualnych śladów odcisków palców, i nacisnął jeden z przycisków.

Włączył się telewizor. W tej samej chwili światło przygasło, a z głośników dały się słyszeć melancholijne tony nokturnu Szopena. Na ekranie zaczęły się pojawiać fotografie. Pierwsze z nich można było uznać za „artystyczne”. Były doskonałej jakości i przedstawiały dziewczynki i chłopców różnych ras. Dzieci były nagie, ale przedstawiono je w niewinnych pozach. Kolekcja była tak bogata, że zachwyciłaby każdego pedofila. Następnie wyświetlił się pierwszy film. Jego jakość była gorsza, a pozy dzieci mniej niewinne. Zabawiały się między sobą swoimi narządami płciowymi. Kolejne, coraz bardziej okrutne obrazy przesuwały się przy akompaniamencie IX symfonii

Beethovena, która stanowiła z nimi odrażający kontrast. Zdjęcia i filmy stawały się gorszej jakości, amatorskie, z dziećmi dotykanymi przez dorosłe ręce i przymuszanymi do różnych zachowań seksualnych, które wykonywały czasami wyraźnie dobrowolnie, czasami były do nich zmuszane z sadystyczną gwałtownością. Spełniały zachcianki okrutników, których twarze zostały zasłonięte, podczas gdy kamera była skierowana z nienasyconą lubieżnością na cierpienie malujące się na twarzach dzieci.

Rizzo był zszokowany, mimo że praca przyzwyczała go do oglądania najróżniejszych okropności. Wyłączył telewizor, światła znów pojaśniały, muzyka ucichła. Ascalchi, Sergi i trzech funkcjonariusze stali w progu jak skamieniali.

Rizzo nie powiedział nic. Pokręcił tylko głową i zadzwonił do centrali, by przysłano grupę techników kryminalnych.

- Co za syf, chłopaki! Uważajcie na to, jak chodzicie - poinstruował. - To nie wygląda na prywatne gniazdko pana Palladianiego, ale na prawdziwe centrum operacyjne grupy zboczeńców. Dlatego im więcej odcisków palców lub innych śladów znajdziemy, tym lepiej. A teraz do roboty!

Zaczęli przeszukiwać pawilon centymetr po centymetrze. Sprawdzali fotele i sofy, przeglądali dokumenty w biurach, przerzucali stosy dzinsów i koszulek. Byli w połowie, kiedy Ascalchi znalazł majtki z etykietką STEAUA ROSIE i parę butów z napisem ORHEI.

Technicy, którzy niebawem się zjawili, spędzili ponad dwie godziny na pobieraniu próbek. W tym czasie jeden z techników wyposażony w lampę i luminol zawołał Rizza.

- Komisarzu, niech pan to zobaczy.

Skierował wiązkę fioletowego światła na pokrycie sofy i pojawiły się bardzo wyraźne pospiesznie starte plamy krwi. Kolejne plamy pokrywały dywan w pobliżu sofy.

Była prawie dziewiętnasta. Komisarz Rizzo natychmiast wybrał numer telefonu swojego zwierzchnika.

- Pakujmy się, wracamy do domu - oświadczył żonie Ferrara pełen nowej energii, gdy skończył rozmowę. - Ugo Palladiani może być odpowiedzialny za śmierć Stelli. - Opowiedział jej wszystko, potem stwierdził: - W każdym razie śledztwo dotyczące jego śmierci będzie musiało stać się częścią śledztwa dotyczącego śmierci Stelli i będę mógł zajmować się tym oficjalnie. Wracam na stanowisko.

- Doskonale, Michele! - odpowiedziała Petra, czując się o wiele lżej, ale chwilę potem jej entuzjazm zmalął.

- O co chodzi?

- O nic, Michele, o nic... - uśmiechnęła się. - Czy to nie jest trochę dziwne, że morderca został zamordowany?

- A dlaczego? Jeżeli nie był sam, a z tego, co mi powiedział Rizzo, z pewnością tak właśnie było. Tu chodzi o te słynne orgietki z nieletnimi, w których udział bierze wiele osób. Możliwe, że któryś z innych uczestników bał się, że tamten zacznie mówić.

- Właściwie to możliwe...

- Ale cię nie przekonuje? - Popatrzył na nią z uwagą.

- No wiesz... Wiemy, że szykował się do wyjazdu do Nicei, i z tego, co mi mówisz, raczej nie były to wakacje, ale zwykła ucieczka. Nie łatwiej byłoby pozwolić mu uciec?

Komisarz po raz któryś podziwiał przenikliwość swojej towarzyszki życia. Byłaby doskonałą współpracownicą, gdyby kiedyś zechciał przejść na swoje.

- Możesz mieć rację, przyznaję, że nie pomyślałem o tym albo nie chciałem pomyśleć. Chcę wrócić na swoje stanowisko. Natychmiast. Twoje wątpliwości są zasadne. Prawdziwych dowodów nie ma, ale o wakacjach czy ucieczce wiemy tylko my dwoje, tak? - stwierdził, uśmiechając się. - I co robimy?

- *Lass uns zuriickkehren!* Jedziemy! - zawołała Petra, zaczynając wyjmować torby z szafy.

⊕ XXV ⊕

Postawienie nogi w swoim biurze tego wtorku o siódmej rano było dla Ferrary jak narodzenie się na nowo. Nie to, że niepokój spowodowany zniknięciem Massima się zmniejszył. Wcale nie! Zwiększał się z każdą godziną, ale sprawił to powrót do swojego biurka i reszty przedmiotów, do których przyzwyczał się przez lata. Znów siedział z nogami na podłodze wydeptanej przez innych o wiele ważniejszych szefów wydziału śledczego we Florencji. Właśnie ta podłoga go prawie wzruszyła, kiedy po raz pierwszy przekroczył próg swojego nowego biura. Podobał mu się delikatny zapach dymu, który przesiąknął meble i ściany. Ferrara poczuł, jak wracają mu siły, zdolność do kontrolowania i kierowania śledztwem, jasność umysłu konieczna, by rozwiązać tę skomplikowaną zagadkę handlu narkotykami, pedofilii i mafii. Wiedział, że przeszukanie pawilonu to był dopiero czubek góry lodowej.

Noc też była względnie spokojna, spędził ją na dopracowywaniu hipotez i strategii, które teraz chciał jak najszybciej wdrożyć.

W biurze jednak brakowało mu Fantiego, który przyszedł jak zwykle przed nim, ale teraz nie było go w sekretariacie.

Wezwał Rizza, który stawił się chwilę potem.

- Zrobiłeś już raport do prokuratury? - zapytał po wymianie pozdrowień.

Zastępca był wyraźnie uspokojony jego obecnością, która przywracała zakłóconą równowagę w wydziale.

- Tak, szefie, poprosiłem też o nakaz przeszukania mieszkania, biura i samochodu Palladianiego.

- Dodaj do tego jacht. Ma jeden w porcie w Viareggio - powiedział, przeglądając własny notatnik, z którego wyrwał w końcu pół zapisanej kartki.

- Weź to.

- Dobrze, szefie.

- Jest coś jeszcze, Francesco, byłoby dobrze rzucić okiem na konta bankowe i billingi telefoniczne - dodał, myśląc o ewentualnej ucieczce Palladianiego do Nicei, na co wpadła Petra.

- Rozumiem... oczywiście, że to zbieg okoliczności, że ofiara z Pietrasanta to także zabójca Stelli...

- A w naszym zawodzie zbiegi okoliczności zazwyczaj śmierdzą na odległość, prawda?

- Niestety, szefie, i to bardzo.

W międzyczasie wrócił Fanti, który słysząc, że rozmawiają, nie ośmielił się im przerwać.

- Fanti! Pokaż się! - zawołał Ferrara.

Nadinspektor jednak się nie pojawił.

- Fanti, słyszałeś mnie? - wrzasnął komisarz zaskoczony i trochę już rozdrażniony.

Usłyszał odsuwane krzesło i wolne kroki.

Kiedy sekretarz wszedł do jego biura, był blady i miał błyszczące oczy.

- Co ci jest? Źle się czujesz?

Nadinspektor pokręcił głową i spuścił wzrok.

- Jak to nie? Wyglądasz jak skazaniec. Nawet mi nie przyniosłeś korespondencji. Co jest... nic się nie dzieje już w mieście?

Fanti popatrzył na niego wzrokiem zbitego psa.

- Tak jest, szefie. Już przynoszę - odpowiedział, oddalając się.

Ani dzień dobry, ani witamy, co się dzieje? Wymienił pytające spojrzenie z Rizzem, ale ten nie umiał odpowiedzieć.

Korespondencja, którą przyniósł Fanti, to była jedna kartka. Ferrara poczuł się źle. Cała energia natychmiast go opuściła. To była scena, którą już przeżył i nie chciał jej przeżywać na nowo w gorszej wersji. Dłoń wyciągnięta po dokument lekko mu zadrżała. Szybko się zorientował, że to

nie to, czego się bał, ale ulga była krótka. Dokument miał dobrze widoczny nagłówek szefa policji, dyrektora Ministerstwa Bezpieczeństwa. Było to zarządzenie. Przeczytał je z drzeniem. Szef policji zarządził zawieszenie go w służbie na miesiąc, pozbawienie pensji z wyjątkiem sumy w wysokości połowy wynagrodzenia. Powody:

ZA SZCZEGÓLNIENIE NAGANNE I NIELICUJĄCE Z FUNKCJĄ SZEFA WYDZIAŁU ŚLEDZCZEGO ZACHOWANIE WOBEC REPREZENTANTÓW KORPUSU KARABINIERÓW, SZKODZĄCE PRESTIŻOWI ADMINISTRACJI POLICJI PAŃSTWOWEJ.

- Nie zgadzam się! Właśnie teraz? Nie zgadzam się! - krzyknął wściekły, przekazując pismo swojemu zastępcy. - Mam gdzieś szefa policji, karabinierów, prefekta i prokuratora... Niech wyślą karabinierów, żeby mnie aresztowali. Ja się stąd nie ruszam!

- Niech się pan uspokoi, szefie - poprosił Rizzo - tylko pan wszystko jeszcze pogorszy.

- Wszystko pogorszę? Chodzi o mojego najlepszego przyjaciela, nawet nie wiem, czy on żyje, a jakiś kapitan żółtodziób nie widzi nic prócz własnego nosa, podczas gdy mafia hasa po jego terytorium! Nie, Francesco! Nie wchodzimy w to. Przestępczości nie zwalcza się dobrymi manierami, a ten idiota wziął to sobie za najwyższy punkt honoru. Tylko, że kiedy on tracił czas, ja szukałem Massima. W tej chwili otwieramy właśnie puszkę, która może być większa i niebezpieczniejsza niż puszka Pandory. I według ciebie mam odejść? Właśnie teraz?!

Zaczął dzwonić prywatny telefon Ferrary.

- Jasne że nie, może porozmawiamy z prefektem?

- I to coś zmieni? A to dobre!

Nietrudno było wyobrazić sobie, że i Riccardo Lepri przyłożył się do wydania tego zarządzenia, czym zresztą mu groził.

- Ale to jedyny sposób.

Komórka dzwoniła nadal, komisarz wreszcie wyjął ją zawstydzony z kieszeni.

- Kto mówi? - burknął.

- Tu Anna, Michele. Jadę do Sieny, ale chciałam ci powiedzieć, że wiem wszystko o operacji Rizza, i chciałam ci pogratulować. Miałeś rację. Na szczęście w tej tragedii jest też dobra wiadomość dla ciebie, nie? Teraz trzeba będzie przyjrzeć się temu Palladianemu i będziemy musieli skoordynować nasze śledztwo z tym z Lukki. Dobrze byś zrobił, wracając do Florencji na swoje stanowisko.

- Już tu jestem, ale to na nic.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że w tej chwili nie jestem już szefem wydziału śledczego i być może już nim nigdy nie będę. - Opowiedział jej wszystko, poczynawszy od wymiany grózb z kapitanem Fulvim, skończywszy na dyscyplinarnym zawieszeniu, które właśnie otrzymał, a które musiało także zostać dostarczone prefektowi i prokuratorowi. - A ty nic nie wiesz?

- Nie byłam jeszcze w biurze, mam coś do załatwienia w Sienie... Co zamierzasz?

- Nie wiem, sadzę, że powinienem porozmawiać z Leprim.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, daj mi pomyśleć - powiedziała prokurator i prawdopodobnie jej umysł zaczął działać na wysokich obrotach.

- Nie, Michele, nie rób tego. Kto cię widział w prefeturze?

- Oprócz strażnika tylko Rizzo i Fanti.

- Ufasz im?

- Żartujesz? Bardziej im niż sobie samemu.

- Niech cię kryją. Wróć do domu i niech nikt cię nie znajdzie. Nie czytałeś zarządzenia, rozumiesz? Więc nie możesz go przyjąć. Zadzwoń później.

- Zgoda, cześć.

- Cześć.

- Fanti! - zawołał zaraz potem.

- Niech pan mówi, szefie - odpowiedział, pojawiając się.

- Posłuchajcie mnie dobrze - powiedział Ferrara, zwracając się do obu - nie

widzieliśmy się. Nie przyszedłem dziś do biura. Nie jesteście w stanie mnie złapać, nie wiecie, gdzie jestem.

Fanti i Rizzo się zgodzili.

- Co pan zamierza zrobić? - zapytał jego zastępca.

- Pozostać szefem wydziału śledczego tak długo, jak się da. Teraz idę do domu. Wiecie, gdzie mnie szukać, jeśli to konieczne.

- Mam gotowy raport o tych firmach sycylijskich. Dać go panu? - zapytał Fanti.

- Tak, zabiorę go, będę miał coś do zrobienia i dla zabicia czasu. Dowiedziałeś się czegoś o Bellomonte?

- Rozmawiałem z kolegą z Trapani, który razem ze mną robił kurs. Stara mi się pomóc, ale nie robimy sobie nadziei, to miasteczko to praktycznie jedno wielkie lenno mafii. Prawdziwy Far West, tak mi powiedział.

- Opowiedz o tym komisarzowi Rizzowi - dodał, widząc, że tamten nie wie, o co chodzi. - Jeżeli to konieczne, będzie mógł zwrócić się do Izby Handlowej, ministra albo i Boga Ojca, ale musimy absolutnie odkryć, kto jest szefem Estrattiva Mineraria. Kto jest szefem naprawdę. Nie wystarczą mi ci ludzie w papierach, bo prawie na pewno będą to tylko „słupy”.

- Dobrze, szefie.

Wyszedł, przemknąwszy przez podwórze. Musiał jedynie minąć furgon więzienny, z którego dwóch funkcjonariuszy wyprowadzało młodego człowieka w kajdankach. Był to dwudziestosiedmiolatek z piercingiem na prawym policzku. Był średniego wzrostu, miał zapadnięte policzki i ascetyczną twarz.

Ferrara rozpoznał inspektora Guzziego, jednego z ludzi pracujących pod przykrywką u Ciuffiego, który tylko w taki sposób mógł się pojawić w prefekturze policji, nie wzbudzając podejrzeń. Przyszło mu do głowy, że obiecał sobie, iż tego dnia zapyta Ciuffiego o zdanie na temat swojej teorii wykorzystania kamieniołomu jako centrum handlu narkotykami, ale teraz nie mógł już tego zrobić, bo jego biuro i jego ludzie byli w tej chwili OFFLIMITS.



Guzzi, kiedy zdjęto mu kajdanki, złożył raport komisarzowi Ciuffiemu.

- Szef Albańczyków nazywa się Viktor. Narkotyki były przeznaczone dla niego. Dostawcą jest ktoś z Nuova Mafia, która zajęła się też handlem narkotykami. Wygląda, że sprowadzają ze wschodu, szczególnie z Afganistanu. Mafia używa Zancarottiego do prania brudnych pieniędzy w Albanii, ale on albo nie wie, albo nie chce powiedzieć, kim są najbardziej wpływowi członkowie. Mówi, że kontaktują się z nim różni ludzie. On jest kimś w rodzaju łącznika pomiędzy tymi dwiema bandami, bo zna Albańczyków i pracuje na zlecenie dla Sycylijszczyków. Zazwyczaj nie jest wmieszany bezpośrednio w handel nawet niewielkich ilości, ale teraz musieli się nim posłużyć, bo miał odebrać zapłatę właśnie w siedzibie Viktora, a on nie ufa Sycylijszczykom, podczas gdy Zancarotti nie mógłby go oszukać, zważywszy na pogłoski, które o nim krążą w Albanii.

- Ale dlaczego mieli się spotkać właśnie w jego siedzibie? Nie mogli się spotkać na terenie neutralnym?

- Tego on też nie wie. Takie były rozkazy i musiał być posłuszny.

- Udało ci się go skłonić, by coś powiedział, gratulacje!

- To przypadek, jestem mu potrzebny. Potwornie się boi, że tamci dwaj go załatwią. Od kiedy tam jestem, nienawidzą się. Bracia myślą, że to wina Zancarottiego, że ich złapaliśmy, bo samochód był jego własnością i to on prowadził, a Zancarotti był przekonany, że drogówka zatrzymała ich tylko dlatego, że Nard nie zapiął pasów bezpieczeństwa - wytłumaczył, uśmiechając się ironicznie. - Albańczycy nie rozmawiają ze mną wcale. To normalne, uważają mnie za sprzymierzeńca Włocha, ale nie wiedzą, że rozumiem ich język i udaje mi się co nieco złapać, jak choćby imię szefa. Co jakiś czas mówią o tym Zitturim, o którym mówił też Zancarotti, a kiedy to robią, zawsze na niego patrzą. Może to nazwisko szefa Sycylijszczyków. Próbowałem zapytać Zancarottiego tak od niechcienia, ale powiedział, że zupełnie nie rozumie, o co chodzi.

- Co wygląda na potwierdzenie, zważywszy, że to on powiedział, że go

oszukali.

- No właśnie. Udało wam się go zidentyfikować, szefie?

- Nie. Próbowaliśmy Zitturi i kilka innych wariantów nazwiska, ale nic. Może uda się przez przechwytywanie numerów wybieranych w komórkach, które im zabraliśmy, ale wątpię, żeby szef dał im własny numer.

- Cóż, powodzenia. Sądzę, że moje spotkanie z sędzią powinno się już zakończyć i odstawią mnie teraz do celi.

- Zawołam strażników.



Po jedynym telefonie, jaki uznał za ważny, Ferrara jako więzień w swoim domu oddał się badaniu raportu Fantiego. Zadzwoił do Carrary, by się dowiedzieć czegoś o zabójstwie Claudii.

Nowin było mało i nie były specjalnie interesujące. Kusiło go, by bardziej zdecydowanie naprowadzać komisarza Lojela na wątek Bellomonte, ale kiedy tamten go zapytał, jak mu poszło dzień wcześniej w kamieniołomach, coś go od tego powstrzymało. Pomyślał, że może chodziło o to, iż trop był niepewny, ale w głębi serca obawiał się, że trzeba będzie innego, o wiele większego doświadczenia niż to, jakie zdobył dotychczas młody komisarz. Nie chciał zmarnować tropu, zbyt wcześnie alarmując prawdopodobnych mafiosów.

Kiedy skończył przeglądać mapy Fantiego, był już tego całkowicie pewien. Zaraz potem zadzwoniła Anna Giulietti.

- Wracam z Lukki - stwierdziła.

- A nie byłaś w Sienie?

- Rano tak, potem pojechałam do Lukki, bo nie mogę przecież pojawić się w biurze. Mogłabym się wtedy niechcący dowiedzieć, że zostałeś zawieszony, a poza tym chciałam poznać tego Armanda Lupa. Jest jak ty Sycylijszym. Bardzo cię szanuje, nie powiedziałaś mi o tym.

- Może i mnie szanuje, ale nie był szczególnie skory do pomocy ostatnim razem, kiedy go widziałem.

- Dziwne, a mnie się wydawało, że wręcz przeciwnie. Mówił o tobie same

dobre rzeczy, a najważniejsze jest to, że powiedział, iż trzeba połączyć oba dochodzenia. Zwołujemy spotkanie jutro rano w Lukce, z tobą i kapitanem Fulvim od karabinierów.

- Jutro? W Ferragosto?

- Mówisz tak, jakbyś kiedykolwiek spędzał tam wakacje...

Ferrara pomyślał.

- Dwadzieścia siedem razy, potem zacząłem pracę w policji.

- Świetnie, miałeś szczęście, a ja nigdy nie miałam wakacji.

- Tylko, że nie wiem, czy powinienem... zważywszy na sytuację.

- Dlaczego? Jaką sytuację masz na myśli? Ja wiem tylko tyle, że jest pan na wakacjach, komisarzy Ferrara, ale potrzebuję pana natychmiast w świetle tego, co zostało odkryte w sprawie zabójstwa, pedofilii i podejrzanego związku przestępczego. Niestety, jestem zmuszona wezwać pana natychmiast do powrotu do służby.

⊕ XXVI ⊕

Kapitan Fulvi był zdenerwowany.

Po pierwszej, raczej szybkiej, ale dokładnej ocenie rezultatów przeszukań i autopsji ofiary nietrudno było sformułować rozsądną hipotezę dotyczącą dynamiki wydarzeń, które doprowadziły do zabójstwa florenckiego pijarowca. Zeznania służącej i pościg za dwojgiem kochanków dobrze do tego pasowały, a dowody były wystarczające, by już wkrótce oczekiwać pozytywnych rezultatów. Jednak sprawa trochę za bardzo się przeciągała.

Rozkaz zatrzymania Simonetty Palladiani i Massima Vergi nic nie przyniósł. Kochankowie po prostu zniknęli. Śledztwo nagle stanęło w miejscu, a wezwanie do zastępcy prokuratora Armanda Lupa w dzień świąteczny nie pozwalało spodziewać się niczego dobrego.

Prokurator Lupo powiedział mu, że pojawiły się nowe, ważne ustalenia, ale fakt, że te ustalenia pochodziły od kogoś innego, a nie od niego, tylko pogłębiał jego niepokój. Był spod znaku Panny i nie lubił niespodzianek.

Kiedy wszedł do biura zastępcy prokuratora i zobaczył, że wraz z prokuratorem czeka na niego jakaś kobieta o arystokratycznych i wyniosłych rysach, której nie znał, oraz komisarz z wydziału śledczego z Florencji, którego poznał w okolicznościach, których wolał sobie nie przypominać, zrozumiał, że to będzie Ferragosto, którego nie zapomni do końca życia.

- Niech pan siada, kapitanie, czekaliśmy na pana - przywitał go serdecznie prokurator Lupo.

Siedzieli wokół zaimprovizowanego stołu zebrani, a miejsce, które mu wskazano, było obok prokuratora, naprzeciw dwóch pozostałych osób. Kobieta uśmiechała się zadowolona, Ferrara palił cygaro, co nie wydawało się nikomu przeszkadzać. Kapitan zatrzymał się obok krzesła, zanim usiadł,

oczekując na prezentację.

- Zastępca prokuratora, Anna Giulietti, z prokuratury we Florencji - powiedział Lupo - komisarz, Michele Ferrara, którego już pan zna.

- Miło mi - powiedział, zwróciwszy się do kobiety.

Przez kilka sekund usiłował przygotować się na wszystko.

Ten nieoczekiwany obraz, który zobaczył, był dostatecznie wyraźny. Obaj prokuratorzy dogadali się, by załagodzić spór pomiędzy służbami państwowymi, chcąc uratować skórę szefa wydziału śledczego od nieprzyjemnego postępowania, które wdrożono na jego prośbę. Czy ulegnie i zgodzi się na negocjacje? Kapitan Fulvi nie był tego pewny. Przede wszystkim to Ferrara pierwszy groził mu doniesieniem do prokuratury generalnej, a on tylko go uprzedził, by chronić siebie i dochodzenie, które prowadził. Jeżeli teraz komisarz uznał swój błąd, będzie musiał ostro się namęczyć, żeby otrzymać jego „przebaczenie”. Gotów był już zakosztować smaku bezwarunkowego zwycięstwa, kiedy został zaskoczony słowem wstępnym prokuratora Lupa, które ze sprawą nie miało zupełnie nic wspólnego.

- Kapitanie, pozwoli pan, że poinformuję go o nowych dowodach, które rzucają nowe światło na osobę Ugo Palladianiego, a które sprawiły, że należy skoordynować pracę naszej prokuratury i prokuratury we Florencji w związku ze śledztwem dotyczącym śmierci tego florenckiego pijarowca. Jak już wszystko będzie wiadome, będziemy mogli swobodniej opracować odpowiednio skoordynowane strategie, które będziemy wprowadzać w życie w obu naszych śledztwach.

- Słucham - powiedział kapitan karabinierów.

Lupo zwracając się tylko dwa razy dla potwierdzenia faktów to do Ferrary, to do Giulietti, zreasumował wydarzenia, które doprowadziły do odkrycia działalności związanej z pedofilią w dawnej siedzibie firmy Palladianiego. Działalność ta doprowadziła do śmierci dziewczyny o nieznanym jeszcze nazwisku. Obok jej ciała znaleziono spinę z inicjałem „P”, której zdjęcie

pokazał.

- W obecnym stanie śledztwa - stwierdził zastępca prokuratora z Lukki - nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy śmierć Palladianiego jest powiązana z jego działalnością w kręgach pedofilskich, ale prokurator Giulietti i ja ustaliliśmy, że byłoby poważnym zaniedbaniem nie wziąć pod uwagę tej możliwości. Taki związek może istnieć. To sprawia, że uważamy, iż wymiana informacji pomiędzy służbami śledczymi zaangażowanymi w tę sprawę jest wysoce pożądana. Jeżeli będzie konieczne, to nawet i faktyczna współpraca dla dobra śledztwa dotyczącego śmierci Palladianiego. Wiem, że powstały pomiędzy panem a obecnym tu komisarzem jakieś nieporozumienia w związku z tym, iż w sprawę zamieszany jest Massimo Verga, ale ufam, że w tej sytuacji w interesie sprawiedliwości urazy zostaną odłożone na bok. Czy wszyscy się zgadzają?

Giulietti i Ferrara przytaknęli, Fulvi z braku argumentów poszedł za ich przykładem. Wydawał się jednak pogrążony w swoim sposobie myślenia, którego nie omieszkał wykazać w formie pytania. Sprawa pedofilii, choć nie obalała jego hipotezy badawczej bazującej na zabójstwie z zazdrości, niestety, bardzo tę hipotezę osłabiała. Trudno było wyobrazić sobie, że mężczyzna, którego zainteresowania seksualne były tak mocno zboczone, mógłby żywić urazę do towarzysza dojrzałej kobiety, z którą był w separacji od lat, a która miała wcześniej wielu innych kochanków, co mu nie przeszkadzało. Tak więc, jeżeli jego hipoteza była prawdziwa, a co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości, to konkluzje, do których chcieli dojść komisarz Ferrara i prokurator Giulietti, musiały być błędne.

- Z pana słów, panie prokuratorze, wydawać by się mogło, że istnieje wyraźne prawdopodobieństwo powiązania Ugo Palladianiego z sytuacją, która doprowadziła do śmierci tej nieznannej nieletniej.

- Nazywamy ją Stella - przerwała Anna Giulietti - to imię zostało jej nadane dla wygody śledczych.

- Świetnie - odparł kapitan. - Chciałbym jednak zrozumieć, jak bardzo to

„prawdopodobieństwo" może być uznawane za pewność. Innymi słowy, dowiedziono albo wykazano winę Palladianiego czy tylko chodzi o poszlaki?

- W pawilonie, który był jego własnością, odbywały się spektakle o charakterze pedofilskim i prawdopodobnie orgie z nieletnimi, tam też znaleziono przedmioty, które mogły należeć do ofiary - wytłumaczyła prokurator Giuliatti.

- Ale ten pawilon, jak rozumiem, był od lat opuszczony przez Ugo Palladianiego - drażył Fulvi - a on zajmował się zupełnie czymś innym. Skąd możemy być pewni, że go komuś nie wynajął albo nie wypożyczył. Taki fakt byłby jeszcze trudniejszy do udowodnienia, bo nie byłoby dokumentów tego dowodzących.

- A klejnot z inicjałem „P”? - zapytał Lupo.

- Przyznam, że to może być zbieg okoliczności, ale żeby uznać ten klejnot za dowód obecności Palladianiego w miejscu znalezienia dziewczyny, trzeba by udowodnić, że należał właśnie do niego... Nazwisk zaczynających się na „P” jest wiele. Trzeba by znaleźć w jego rzeczach drugi taki sam od pary albo coś innego, co wskazałoby, że posługiwał się tym herbem. Z naszych przeszukań nie wynika nic takiego. Na dodatek ten herb wydaje mi się nieco zbyt ozdobny. Obraz, jaki wyrobiliśmy sobie na temat Palladianiego, przywodzi na myśl inny styl, szczerze mówiąc, bardziej nowoczesny, swobodny, młodzieńczy.

Widząc, że argument ten robi wrażenie na prokuratorze z Lukki, Ferrara szybko odbił piłeczkę.

- Robimy konieczne badania, moi ludzie dostali nakaz od pani prokurator na przeszukanie domu, samochodu i jachtu. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Owszem ślad związany z klejnotem jest słaby. I ja go początkowo pominąłem, ale jeżeli połączy się to z pawilonem... Choć muszę przyznać, że hipoteza wypożyczenia budynku jest inteligentna, kapitanie, i nie może zostać pominięta w śledztwie, które musi być spójne i wyczerpujące tak samo jak wszystkie inne. Gratuluję. Na szczęście pawilon został opuszczony

bardzo szybko i w ogromnym pośpiechu, tak więc technicy mają już ogromne ilości odcisków palców. Skorzystam z okazji, by poprosić pana prokuratora Lupa o kopię odcisków palców pobranych w czasie autopsji od Palladianiego. Sądzę, że będziemy mogli zdobyć dowód jego obecności w pawilonie tamtej nocy.

- Zgoda - powiedział zastępca prokuratora z Lukki.

- Jakież inne pytania? - prokurator zwrócił się do kapitana.

- W tej chwili nie. Tylko jedno uściślenie, bo nie chcę być źle zrozumiany. Nie twierdzę, że odkrycie pawilonu nie jest ważne ani że hipoteza związana z klejnotem nie jest sugestywna, ale wydają mi się, szczerze mówiąc, bardzo słabymi dowodami w porównaniu z tymi, które my zebraliśmy, a które prowadzą w innym kierunku. Nie licząc już, że z ostatniej analizy może wynikać, iż fakty są zupełnie z sobą niepowiązane. Mężczyzna mógł tej nocy zabić dziewczynę, a potem sam zostać zabity z zupełnie innych powodów, i wcale nie musi to mieć ze sobą żadnego związku. Dlatego uważam za swój obowiązek iść dalej tą drogą, którą dotąd szedłem. Przyjmę oczywiście wszelkie sugestie związane z naszym śledztwem, które mogłyby wynikać z konkretnych elementów lub rozwoju waszego śledztwa, ale jak na razie niczego takiego nie widzę.

- Panie Ferrara? - Lupo poprosił o wyjaśnienia, widząc zdecydowaną i nieprzejednaną postawę kapitana.

- Jeżeli mogę zacząć od początku... Kapitan Fulvi powiedział, że Ugo Palladiani został zabity, a i gazety to potwierdziły. Czy mógłbym wiedzieć, w jaki sposób?

- Zechce pan odpowiedzieć, kapitanie?

- Muszę?

Zastępca prokuratora nie stracił cierpliwości.

- Niech pan posłucha, kapitanie - powiedział dobrotliwym tonem - poznałem komisarza Ferrarę w innych okolicznościach zawodowych i mogę panu zagwarantować, że jest to śledczy najwyższej rangi. Najlepszy. Mówię

to przy nim bez najmniejszego wahania, rozumiem, że jest emocjonalnie powiązany z tą sprawą i szanuję jego ból i oddanie przyjaźni, ale jestem absolutnie pewien, że jego uczucia nie miały, nie mają i nie będą miały najmniejszego wpływu na jego postępowanie w śledztwie, i dodam, nie pytając go nawet o zdanie, że gdyby Massimo Verga okazał się winny, on sam pierwszy będzie chciał oddać go w ręce sprawiedliwości. Zaproponowałem to spotkanie, oczekując współpracy, ale nie zamierzam jej narzucać. Niech pan decyduje.

Oficer milczał. To odniesienie do przyjaźni dotknęło jednak jakiejś jego czułej struny.

- Przepraszam - powiedział w końcu - niech mi pan wierzy, komisarzy, przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela, ale mam mocne przesłanki. Ugo Palladiani nie umarł, spadając ze schodów. Jego śmierć w świetle badań wynikała z dwóch co najmniej przyczyn, ran wewnętrznych nieprzystających do upadku ze schodów, i przyjęcia środków odurzających w ilości dużo wyższej od średniej tolerancji.

- Przedawkowanie?

- Tak - potwierdził kapitan.

- Także Stella... - stwierdziła prokurator z lekkim żalem. - To może być zbieg okoliczności, a jednak nie mogę nie zauważyć, jak bardzo destrukcyjnie na śledztwo wpływa konflikt pomiędzy służbami.

Przekonany, że to on jest po stronie racji, kapitan Fulvi nie odczytał aluzji, a nawet popatrzył na Ferrarę z wyrzutem.

- Czyli ofiara została pobita, zanim spadła albo została zrzucona ze schodów? - zapytała jeszcze raz.

- Dokładnie tak - potwierdził Lupo.

- Pokój gościnny, gdzie spał Palladiani, wyglądał jak miejsce, gdzie mogło dojść do bójki - dodał kapitan.

- Odciski palców? - zapytała Giulietti.

- Bardzo dużo. Niestety, żadnego nie możemy przypisać do Massima

Vergi, bo brakuje próbek porównawczych.

Kiedy został zatrzymany w siedemdziesiątym, nie pobrano mu odcisków, ale będą z pewnością decydujące, kiedy już ich złapiemy, jego i Simonetty Palladiani. Jeżeli kiedykolwiek ich złapiemy - stwierdził z powątpiewaniem.

- Oczywiście - przyznał Ferrara ze ściśniętym sercem - ale nie można wykluczyć, że Massimo będąc gościem Simonetty Palladiani, mógł je zostawić w innym momencie. Nie sądzi pan?

- Pan Verga mieszkał w domku letnim, ale jest możliwe, że zanim go wynajął, mógł spać w tym pokoju. Tu ma pan rację.

- Zgoda, teraz pan zakłada zazdrość jako motyw - podjął temat Ferrara. - Czy nie byłoby bardziej logiczne w takim razie, że do zabójstwa doszło w domku letnim, gdzie kochankowie zostali przyłapani przez męża?

- Tego też nie możemy wykluczyć. W domku letnim także panuje potworny bałagan, co nie leżało w zwyczajach gościa, który według służącej był człowiekiem porządnym i dokładnym.

- Potwierdzam - powiedział Ferrara przejęty myślą o tym, co mogło się stać w tym pomieszczeniu - ale dwa pokoje z bałaganem to nie za dużo? Bójka mogła nastąpić w jednym albo w drugim.

- Według rekonstrukcji kapitana i jego ludzi - wyjaśnił prokurator z Lukki - mogło dojść do następujących wydarzeń: Ugo Palladiani będąc pod wpływem narkotyku, przyłapuje kochanków w domku letnim i wynika z tego bójka. W trakcie bójki mężczyzna zostaje zabity, a potem zanieiony do domu w celu upozorowania upadku ze schodów. Chodzi o to, by usprawiedliwić odniesione wcześniej rany. W jego pokoju zostaje zrobiony bałagan. Ma to sprawiać wrażenie, że zrobił go sam Palladiani w wyniku nagłego bólu spowodowanego narkotykami, które uczyniłyby jego zachowanie niekontrolowanym, czyli spowodowały wypadek. Może zresztą w trakcie bójki nie umarł, ale zemdłał, a narkotyk wstrzyknięto mu potem. Niewiele to jednak zmienia.

- Jest to do przyjęcia - przyznała Anna Giulietti.

Niestety, to możliwe, pomyślał Ferrara. Ale przecież było niemożliwe, bo chodziło o Massima, i było niemożliwe, bo chodziło o sprawę pedofilii, która ciążyła nad Ugo Palladianim i mafiosami, którzy kręcili się koło jego żony, Simonetty Tonelli. Te aspekty poważnie komplikowały tę prostą i linearną teorię spreparowaną przez Fulwiego. Kusiło go, żeby wprowadzić do tego wszystkiego elementy wskazujące na mafię, ale się powstrzymał, bo wykazałby w ten sposób swoje wcześniejsze zainteresowanie śledztwem, co z pewnością rozdrażniłoby kapitana. Poza tym, jeżeli zastępca prokuratora, z którym rozmawiał, uważał za ważne, by o tym nie wspominać, nie powinien był podejmować takiej inicjatywy. Z tego samego powodu nie powiedział o masonerii. Prokurator Anna Giulietti o tym również nie wspomniała.

- Zgadzam się - stwierdził w końcu. - Naturalnie ewentualne potwierdzenie pedofilii Palladianiego mogłoby zaburzyć ten obraz, trochę go komplikując, ale w tej chwili to jest z pewnością hipoteza operacyjna najbardziej konkretna. Postaramy się przyspieszyć badania i pomożemy w poszukiwaniu zaginionych, jeżeli wam to odpowiada.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Im nas więcej, tym lepiej. Nawet jeżeli...

- Co chce pan powiedzieć?

- Mieli czas uciec za granicę. Wysłaliśmy nakaz zatrzymania w całym kraju wiele dni temu i aż do teraz nic. Sprawdziliśmy wyjazdy po piątym sierpnia we wszystkich portach i na wszystkich lotniskach, ale ich nazwiska nigdzie się nie pojawiły. Jeżeli przejechali granicę samochodem, a potem wsiedli do jakiegoś samolotu w którymś z krajów na wschodzie Europy, niełatwo będzie ich znaleźć. Zawiadomiliśmy już Interpol.

- Brakuje samochodów?

- Brakuje jej samochodu marki BMW X5, czarnego.

Jeszcze jeden punkt na korzyść kapitana, pomyślał Ferrara, czytając w twarzy Anny Giulietti to samo spostrzeżenie.

- Dobrze, jeżeli nie ma innych pytań lub sugestii, możemy skończyć. Trop

kapitana Fulviego pozostaje uprzywilejowany, więc musi dalej prowadzić i aktywizować swoje prace. Pogłębimy jednak inne aspekty, szczególnie dotyczące pawilonu i litery „P” z jednej strony oraz przedawkowania w obu sprawach z drugiej, bo z doświadczenia nie wierzę w zbiegi okoliczności w dziedzinie kryminalistyki. Potwierdzenie lub zaprzeczenie działalności pedofilskiej Ugo Palladianiego powierzam komisarzowi Ferrarze. Pozostaje ponadto ustalone, że komórka karabinierów z Lukki i wydział śledczy z Florencji łączą siły w poszukiwaniu zabójcy lub zabójców Ugo Palladianiego. Dziękuję wszystkim za przybycie. Jeżeli pani prokurator może jeszcze zostać, ustalimy aspekty techniczne. Nie zabierze nam to wiele czasu.

- Chętnie. Proszę na mnie poczekać, komisarzu Ferrara.
- Oczywiście, będę na zewnątrz, na parkingu.
- Proszę czekać w cieniu - zażartowała prokurator. - Gorący ten sierpień, upał nieznośny.



Ferrara i kapitan Fulvi wyszli razem z siedziby prokuratora i zaraz się pożegnali. Może było to tylko wrażenie, ale komisarzowi wydało się, że kapitan uściśnął mu rękę jakby nieco przyjaźniej.

⊕ XXVII ⊕

FLORENCJA - LUKKA, 15 SIERPNI 2001

TEMAT: śledztwo powiązane z artykułem 371 kodeksu procedur karnych w dziedzinie postępowania nr 1307/01 Ministerstwa Spraw Publicznych we Florencji dotyczącego zabójstwa dziewczyny pochodzącej spoza Unii Europejskiej o nieznanym jeszcze personaliach i postępowania nr 589/01 Ministerstwa Spraw Publicznych w Lukce dotyczącego zabójstwa Ugo Palladianiego.

*Do Komendanta Głównego Policji Państwowej
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Via del Viminale
Rzym
(kurierem)*

W związku ze śledztwem, którego przedmiotem stały się zdobyte elementy śledcze wymagające współpracy oficerów Policji Sądowej Korpusu Karabinierów i Policji Państwowej z prefektury we Florencji, a pośród nich, szczególną potrzebę współpracy z komisarzem Michele Ferrarą, który ze swoimi szeroko uznanymi zdolnościami i wiedzą jest nieodzowny.

Zatem oba ministerstwa przyznały komisarzowi, Michele Ferrarze, specjalne upoważnienia śledcze, które muszą zostać wdrożone z maksymalną szybkością.

Toteż, ponieważ Wasza Ekscelencja zarządził oddalenie ze służby tegoż funkcjonariusza na okres miesiąca, co mogłoby uniemożliwić prowadzenie

tego śledztwa, prosimy o rozpatrzenie oddalenia lub o możliwość zastosowania oddalenia ze służby po zakończeniu śledztwa.

Z podziękowaniami i szacunkiem

Armando Lupo, zastępca

Anna Giulietti, zastępca

- Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale dziękuję - powiedział Ferrara, oddając jej pismo.

- Nic nie zrobiłam. To on wszystko załatwił. Nie rozumiem naprawdę, czy to z sympatii do ciebie, czy z powodu zmowy milczenia pomiędzy Sycylijczykami. Tak czy tak, jutro rano przez funkcjonariusza list będzie oddany szefowi policji w Rzymie - wyjaśniła Anna Giulietti.

- Zmowa milczenia to nie jest właściwie słowo.

- Jak chcesz, ale powiedział mi, że już nie jest tak bardzo przekonany do hipotezy Fulwiego, choć go szanuje jako śledczego, ale poczuł się spokojniejszy, wiedząc, że i ty się tym zajmiesz.

Siedzieli przy stoliku w barze na piazza Napoleone w Lukce. Ferrara zaproponował wspólny posiłek, ale żadne z nich nie miało apetytu, więc poprosili o cappuccino i porcję **BUCCELLATO**¹⁴.

- I to ci nie odpowiada?

- Nie wiem. Musisz przyznać obiektywnie, że teoria kapitana jest rozsądna, a jej zaletą jest prostota, którą wielu teoretyków nauki uważa za podstawę uznania teorii.

- Życie nie jest naukowe, a już najmniej proste.

- Zgoda, Michele, żartowałam... ale do pewnego stopnia. Jeżeli odłożysz fakt, że nam jest wygodnie myśleć, iż obie zbrodnie są powiązane, hipoteza, że Palladiani został zabity z powodu pedofilii, jest raczej ryzykowna. Przyznaj. Jeżeli potem odkryjemy, że on nie miał z tym nic wspólnego, a ktoś inny korzystał z jego pawilonu, to mamy naprawdę kłopoty.

- Przekonał cię ten nasz kapitan, co?

- Była to uwaga rozsądna i logiczna, Michele, ty też to powiedziałeś, ale nie o to chodzi. Ważne jest, że nie wiemy, dlaczego został zabity!

- Ale wiemy... ja wiem, przynajmniej, że nie zabił go Massimo Verga! I tu upada cała ta rekonstrukcja karabinierów. Zdajesz sobie sprawę?

Anna Giuletta popatrzyła na niego z sympatią.

- Powiedz mi szczerze, jeżeli nie chodziłoby o twojego przyjaciela, zgodziłbyś się na teorię Fulwiego?

- Tak, i dobrze o tym wiesz - przyznał Ferrara z niezauważalnym grymasem. Przykro mu było przyznać nawet przed sobą samym, że ktoś miał przywileje. Massimo Verga gdyby nie miał całkowitego zaufania komisarza Michele Ferrary, byłby w oczach wszystkich zwykłym przestępcą. W jego własnych także...

- Naturalnie. Zaakceptowałbyś ty, zaakceptowałabym ja... Wyłumacz więc, dlaczego nie powinien tego zaakceptować właśnie prowadzący śledztwo? I to nie jest twoim zdaniem zmowa milczenia? A skoro już tu jesteś, to powiedz mi, dlaczego sprawa z mafią nie została wyciągnięta na jaw, choć on żegnając się ze mną, powiedział, żebym ci przypomniała, abyś nie zaniedbał tego wątku?

Ferrara się zamyślił.

- Też się nad tym zastanawiałem i pomyślałem, że może nie chce denerwować Fulwiego, przyznając, że zajmowałem się tą sprawą, choć nie powinienem był, ale teraz myślę o czymś innym.

- To znaczy?

- Że Lupo wysłał mi wiadomość. Prawdopodobnie pawilon i działalność pedofilską wcale go nie interesują, i nie sądzi, że może to pomóc w śledztwie, ale chce zgłębić sprawę mafii i ma rację o tyle, że nie chce w to mieszać Fulwiego z dwóch powodów, bo jest zbyt młody i niedoświadczony i mógłby zepsuć śledztwo i dlatego, że nie zna mafii tak, jak my ją znamy. Mafia to niebezpieczne zwierzę, a młody oficer z północy mógłby go nie docenić. To

poważny problem, Anno. Robiłem badania i odkryłem coś niewiarygodnego. Otóż od dziewięćdziesiątego trzeciego roku wyraźnie widać stopniowe zwiększanie się liczby sycylijskich przedsiębiorstw w Toskanii. W dziewięćdziesiątym dziewiątym było ich sześćset siedemdziesiąt trzy, większość z nich posiadała siedziby główne w prowincji Palermo, a wiesz, ile ich było przedtem?

- Ile?

- Sześćdziesiąt dwa.

Liczby były naprawdę imponujące i Anna Giuliatti wyjęła z torby swój nieodłączny notatnik i zapisała je.

- Jak to tłumaczysz?

- Nie wiem, i żeby było jasne, to nie znaczy od razu, że Sycylia to mafia. Są na pewno i czyste przedsiębiorstwa, ale to są lata, kiedy państwo zadało najcięższe ciosy przestępczości zorganizowanej na wyspie, sprawiając, że przestała być już tak dla nich bezpieczna... Pamiętam szczególnie, że właśnie na początku lat dziewięćdziesiątych na Sycylii został złapany jakiś przedsiębiorca bez precedensów karnych, ale bardzo podejrzany o mafijność, jego nazwisko jakoś mi umknęło. Facet zaczął współpracować z wymiarem sprawiedliwości i wyszło na to, że był czymś w rodzaju „ministerstwa prac publicznych” Cosa Nostry. Pracował sobie spokojnie w ukryciu i zarządzał interesami mafii w sektorze zamówień publicznych, szczególnie w budownictwie. Jest możliwe, że od tamtej chwili firmy powiązane z Cosa Nostrą nie czuły się już pewne na Sycylii i powoli, powoli zaczęły przemieszczać się, wnikając w świat przedsiębiorczości innych regionów, także Toskanii.

Anna Giuliatti skończyła pisać i zamknęła notes. Miała twarz zamyśloną, ale zdecydowaną.

- Dziękuję, Michele, sądzę, że trzeba włączyć do śledztwa wydział przestępczości zorganizowanej, aby lepiej monitorować to zjawisko i ewentualnie rozpocząć śledztwo w sprawie nielegalnych adiudykacji

zamówień publicznych realizowanych w Toskanii. Wchodzi w to ta sprawa z kamieniołomami?

- Nie mam pojęcia. Oczywiście pył marmurowy jest używany w budownictwie, ale sędzę, że pole ich działania to raczej narkotyki i sędzę też, że wiem, co mogę zrobić, czekając, aż zostanie rozpatrzona wasza prośba do szefa policji.

- Co?

- Wykonać polecenie zastępcy prokuratora z Lukki - odpowiedział tajemniczo.

- Zechcesz mi to wyjaśnić?

- Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

- Zgoda, ale nie narób sobie kłopotów.

- Wykonując swój zawód?

Kobieta uśmiechnęła się niewesoło.

- Wracasz do Florencji? - zapytał.

- Bo ty nie wracasz, prawda?

⊕ XXVIII ⊕

Książka telefoniczna Carrary zawierała tylko trzech Franchich. Ferrara znalazł tego, który go interesował, już przy drugiej próbie. Na imię miał Emilio.

Mężczyzna pamiętał naukowca i był do dyspozycji. Marmur to było jego życie, zainteresowanie profesora, który miał o nim pisać, pochlebiało mu, tak jak i pochlebiała mu myśl, że przyczyni się do powstania książki. Ponieważ po południu miał się udać do Marina di Carrara, zaproponował spotkanie w barze Imperial na placu kościelnym obok portu, w którym były oddzielne gabinety, gdzie mogli porozmawiać, by nikt im nie przeszkadzał.

Potem komisarz zadzwonił do Lojela. Wyjaśnił mu swój plan i poprosił, by dołączył do niego przed barem Imperial. W końcu zadzwonił do Petry, mówiąc jej, że tej nocy nie wraca do Florencji. Na piazza Gino Monconi przybył przed czasem i czekał w palącym słońcu, delektując się cygarem. Kiedy zobaczył Lojela, był już cały zlany potem. Weszli do baru i czekali na przybycie Franchiego, który się nie spóźnił.

Gdy tylko usiedli, Ferrara przedstawił mu komisarza Lojela. Mężczyzna był wyraźnie zakłopotany i niezadowolony.

- Ja też jestem komisarzem. Nazywam się Michele Ferrara i jestem szefem wydziału śledczego we Florencji. Proszę wybaczyć, że pana oszukałem, ale to było konieczne. Prowadzimy śledztwo, które wymaga najwyższej tajności i potrzebujemy pana, panie Franchi, i pana wiedzy. Czy nam pan pomoże?

Staruszek był zmieszany i nie odpowiedział.

- Mamy podstawy sądzić, że firma, która zarządza kamieniołomami Tonellich, jest zamieszana w nielegalny handel. Jeżeli tak jest, to wam, uczciwym kamieniarzom, pierwszym powinno zależeć na tym, żeby oddać

ich w ręce sprawiedliwości. Musimy sprawdzić, ale tak, żeby tamta firma się nie zorientowała, bo wtedy nie uda nam się namierzyć ich szefa.

- A co ja mam z tym wspólnego? - zapytał w końcu Emilio Franchi.
 - Pan się zna na marmurze lepiej niż na czymkolwiek innym, prawda?
 - No tak - odpowiedział staruszek z dumą.
 - Więc niech pan słucha.
- Ferrara wyłożył raz jeszcze swój plan.

O dwudziestej drugiej 15 sierpnia komisarz Ferrara, komisarz Lojelo, trzech funkcjonariuszy policji i Emilio Franchi znajdowali się w parku Falcone e Borsellino naprzeciw portu handlowego, gdzie składowano wielkie bloki marmuru przeznaczone do wysyłki. Oczekiwały tam na załadunek na statki transportowe. Starzec miał ze sobą ciężką torbę z narzędziami. Brzeg morza był zatłoczony, ale chodniki były puste, bo ludzie udawali się na festyny, które odbywały się bardziej na północ, gdzie było mnóstwo pubów, lodziarni i lunaparków.

Podeszli do bramy portowej zablokowanej długą, przesuwaną kratą. Na lewo był kapitanat, na prawo niski żółty budynek, który mieścił Policję Graniczną i Straż Przybrzeżną. Lojelo, który po raz pierwszy używał swoich wpływów w Policji Granicznej, nie miał trudności z wejściem i co jeszcze ważniejsze, ze współpracą ze strażą.

Magazyn był oświetlony jak za dnia trzema zestawami po sześć reflektorów każdy, umieszczonymi na wysokich, żelaznych słupach. Dochodziły do tego światła z pokładu ogromnego japońskiego statku „Da Qiang” do przewozu towarów, który zajmował prawie całą długość nabrzeża. Funkcjonariusz na służbie zaprowadził ich do biura, gdzie trzymano rejestry ładunków będących na składzie wraz z wyszczególnieniem miejsca składowania i miejsca przeznaczenia oraz daty załadunku.

- Wie pan, gdzie są ładunki płynące do Ameryki? - zapytał Ferrara.
- Przepraszam, komisarzu, ale nie wiem. Tym zajmują się cywilni pracownicy celni. My zajmujemy się kontrolą zawartości ładunków, ale

można to znaleźć w dokumentach.

Usłyszano trzy wystrzały jeden po drugim.

- Petardy - stwierdził Lojelo.

Był dzień Ferragosto i właśnie zaczynało się świętowanie.

Zajęło im ponad dziesięć minut, zanim zorientowali się, gdzie są złożone i ile jest bloków marmuru należących do Estrattiva Mineraria.

- Tędy - powiedział Ferrara do ludzi, wychodząc wraz z Lojelem. - Jest wszystkiego pięć bloków - wytłumaczył Franchiemu po drodze.

- Niewiele. Mówiłem panu, że nie mają wielkiej produkcji.

- Prawdopodobnie to nie produkcja interesuje ich najbardziej.

Z trudnością poruszali się po labiryncie uliczek pomiędzy stosami grubo ciosanych bloków. Od strony morza usłyszeli syrenę statku.

Pięć bloków marmuru było oznaczonych numerami wybitymi w kamieniu i napisami:

ESTRATTIVA MINERARIA SNC i PHILADELPHIA USA.

Funkcjonariusz z kamerą zaczął je filmować.

- Daje pan radę? - zapytał Ferrara.

- Jest dość dużo sztucznego światła, jakoś nie będzie doskonała, ale zupełnie wystarczająca.

- Dobrze, teraz czas na pana - powiedział Ferrara, zwracając się do staruszka.

Franchi podszedł do pierwszego bloku i zaczął go badać. Gra cieni i światła utrudniała mu zadanie, bo smugi światła pozwalały widzieć tylko fragmenty powierzchni, reszta pozostawała w ciemności. Po pobieżnym obejrzeniu bloków wyjął z torby młotek z drewnianą główką, którym zaczął uderzać w marmur to tu, to tam. Młotek sprawiał, że kamień dźwięczał, ale nie pozostawały na nim żadne ślady.

Powtórzył to samo przy wszystkich pięciu blokach. Zatrzymał się, zastanowił, gładząc sobie policzki, potem skierował się do trzeciego, ustawionego na dwóch innych i uderzył z większą siłą. Odpadł okruch, kiedy

akurat zielona raca wzbija się w niebo i wybuchła w kulę złotych iskier, które spadały powoli w morze, oświetlając przez chwilę wszystko trupim światłem.

Ferrara zobaczył, że starzec kręci głową na znak zdziwienia.

- Mam nadzieję, że nie będzie trzeba go podnosić, bo spędzimy tu całą noc - mruknął. - Jest tu jakaś drabina?

- Znajdźcie mu coś - rozkazał Lojelo swoim funkcjonariuszom.

Kiedy przyniesiono drabinę, oparł ją o blok kamienia i wdrapał się na nią, mając ze sobą ciężką torbę. Wydawał się niezdarzy, ale poruszał się z precyzją i pewnością. Zniknął na górnej powierzchni wielkiego kamiennego sześcianu.

Po kilku minutach policjanci usłyszeli okrzyk satysfakcji, a twarz Franchiego ukazała się znad krawędzi.

- Jest tu, znalazłem.

Ferrara i Lojelo wdrapali się po drabinie. Wybuchły kolejne dwa ognie bengalskie.

- Tu - powiedział, wskazując promieniem latarki.

Nie zobaczyli niczego, tylko powierzchnię.

- Tu jest kawałek naprawiony sztucznym marmurem, widzicie? - wytłumaczył Franchi, a obaj komisarze, ponieważ nie chcieli go zawieść ani też wyznać, że nie mieli pojęcia, o czym mówi, milczeli.

Franchi wyjął z torby wiertarkę na baterie z długim grubym wiertłem.

- Nie teraz - powstrzymał go Ferrara zaniepokojony - jeżeli zrobi pan otwór, zorientują się.

- Nie zorientują się, komisarzu, mówiłem panu, to sztuczny marmur, to tak jak stiuk zrobiony z wapna i pyłu marmurowego. Odtworzę go, będzie jak nowy.

Wybrał miejsce, pochylił się i miał zaczynać wiercić, kiedy Ferrara znów go zatrzymał.

- Niech przyjdzie policjant z kamerą - powiedział do Lojela.

Dopiero kiedy wszystko było gotowe do filmowania, pozwolił mu zacząć.

Wiertło weszło szybko na głębokość około dziesięciu centymetrów, potem zagłębiło się jeszcze bardziej.

- Widzi pan? Jest pusty - powiedział zadowolony, wyciągając wiertarkę i posługując się młotkiem do powiększenia otworu. Kiedy był wystarczająco duży, włożył rękę i wyjął woreczek z białym proszkiem.

- To nie jest pył marmurowy - powiedział prawie ze śmiechem, a jego pomarszczona twarz przybrała barwy wielokolorowych sztucznych ogni, które rozpalały się na niebie od Bocca di Magra aż do Versilii.

Ze statku japońskiego doszły ich okrzyki radości i wystrzały korków butelek od szampana. Także Ferrara i Lojelo uśmiechnęli się. To był dobry sposób świętowania Ferragosto.

⊕ XXIX ⊕

Resztę nocy, do końca której zostało niewiele, Ferrara spędził w domu Lojela.

W magazynie przesiedzieli aż do trzeciej rano. Wyjęli ze skrytki wszystkie torebki z narkotykami, także i te, które uszkodziła wiertarka, sprawiając, że heroina zmieszała się z pyłem marmurowym. Naliczyli około pięćdziesięciu kilogramów narkotyku, a pomnożywszy przez pięć bloków marmuru, była to jeszcze nigdy dotąd tak duża przechwycona ilość. W przybliżeniu dwieście pięćdziesiąt kilogramów o wartości około pięciu, sześciu miliardów lirów. Ilość ta pomieszana z wypełniaczem dałaby zarobek siedem razy większy. Lojelo chciał, aby te narkotyki zostały natychmiast zarekwirowane, ale Ferrara sprawdzwszy, że spedycja bloków była ustalona na dwudziestego trzeciego sierpnia, wołał z powrotem włożyć wszystko na miejsce, zanim Franchi zrekonstruuje powierzchnię marmuru. Komisarz z Carrary ustąpił, ale bez przekonania, a kiedy byli u niego w domu, znów zaczął rozmowę na ten temat.

- Wybaczy pan, komisarzu, ale jutro rano muszę złożyć raport. Chodzi o fakt ogromnej wagi, nie mogę udawać, że nic się nie stało, a sam pan wie, że w takich przypadkach istnieje obowiązek rekwizycji. Naturalnie powiem, że chodziło o pańską inicjatywę, nie zamierzam odbierać panu zasług, ale muszę też zaznaczyć, że nie przystąpiłem do rekwizycji na pańską wyraźną prośbę.

- Niech pan posłucha, Lojelo, jeżeli ta sprawa ujrzy światło dzienne, a z pewnością wyjdzie na jaw, jeżeli złoży pan ten raport, prawdziwi przywódcy na pewno znikną.

Nie powiedział, że jeżeli oni znikną, zniknie też możliwość odnalezienia Massima, do czego z takim trudem dążył.

- Zdaję sobie sprawę i napiszę o tym w raporcie. Tę odpowiedzialność muszą wziąć na siebie moi szefowie, ja muszę robić, co do mnie należy zgodnie z regulaminem. Muszę uprzedzić naszego prefekta, mojego prokuratora i centralną dyrekcję służb antynarkotykowych.

- Prawo mówi, że sąd także może wydać polecenie opóźnienia rekwizycji ze względu na wymogi śledztwa, kiedy konieczne jest zdobycie dowodów, albo by wykryć lub złapać osoby odpowiedzialne za handel narkotykami, czy też członków grupy przestępczej - wytłumaczył.

- Tym lepiej. Jeżeli pan chce, jutro rano poinformuję zastępcę prokuratora, który koordynuje śledztwo w sprawie zabójstwa Claudii Pizzi. Posłucham, co będzie miał mi do powiedzenia, zanim złożę raport.

- To nie jest konieczne, komisarzu Lojelo, tą sprawą zajmuje się już prokuratura we Florencji, ja załatwię panu doskonale umotywowane zarządzenie.

- Nie rozumiem... Jak pan wie, w niektórych przestępstwach, pośród których są także i te związane z handlem narkotykami, nie podlegamy pod prokuraturę we Florencji, ale pod tę w Genui. Zabójstwo dziennikarki miało miejsce na naszym terytorium, a także odnalezienie narkotyków... Jakim więc cudem Florencja?

- Proszę mi zaufać, komisarzu. Jak pan sądzi, jakim cudem dotarłem do tego hangaru? Akcja z dzisiejszego wieczoru jest częścią większej operacji skierowanej na wykrycie grup kryminalnych działających w całej Toskanii, a Massa-Carrara jest ich częścią. - Ferrara trochę przesadził, uprzedzając nie które sprawy i podał mu dane dotyczące ekspansji firm sycylijskich na całym terytorium, chcąc zrobić na nim wrażenie. - Operacja jest prowadzona przez prokurator Annę Giulietti, która wystawi panu nakaz, dzięki czemu będzie pan całkowicie czysty.

- Dobrze, ale musimy poinformować Centralną Dyrekcję Antynarkotykową, by zajęli się sprawami międzynarodowymi. Zdaje się, że narkotyki są przeznaczone do Filadelfii w USA.

- Nie ma problemu, zrobimy wszystko, co trzeba będzie zrobić. Interesują nas także adresaci tych narkotyków i trzeba będzie powiadomić o wszystkim DEA¹⁵.



Rano w czwartek 16 sierpnia komisarz zadzwonił do Anny Giuletti.

- Witam panią. Dokonałem przeszukania w magazynie portu z pomocą komisarza Lojela i kilku jego zaufanych ludzi. Akcję przeprowadziliśmy nocą, do minimum redukując możliwość odkrycia przez organizatorów przemytu. Rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania. Jest tam co najmniej pięćdziesiąt kilo narkotyków gotowych do wysłania do Ameryki albo i pięć razy tyle... dwieście pięćdziesiąt kilo.

- Oszalałeś, Michele? Coś ty nawywijał?

- Wszystko zgodnie z prawem i udokumentowane. Teraz potrzebuję, żeby pani wydała komisarzowi Lojelowi nakaz opóźnienia rekwizycji i to jak najszybciej. Chodzi o tajność operacji, jak się pani domyśla.

Na szczęście Anna Giuletti była kobietą rozumną, urzędniczką z jajami, jak ją określał, zrozumiała wszystko, tym bardziej że Ferrara zwracał się do niej per pani. Zapytała, czy Lojelo jest obok i kazała przekazać mu telefon, by w ten sposób wzmocnić efekt i aby podał jej dane konieczne do sporządzenia nakazu. Potem znów rozmawiała z Ferrarą

- W zarządzeniu nie mogę cię wymienić, bo nadal jesteś zawieszony, Michele.

- To nie ma żadnego znaczenia, pani prokurator, proszę się tym nie przejmować.

- Masz być u mnie w biurze jak najszybciej, masz mi wszystko opowiedzieć z detalami, bo jak mi się wydaje, to zaczyna być naprawdę grubsza sprawa.

- Też tak sędzę.

Uspokoiwszy Lojela, Ferrara mógł wyjechać do Florencji pewien, że przez kilka dni banda mafiosów nie zostanie przez nikogo uprzedzona. Niestety, zaledwie przez kilka, bo procedura robi swoje i prędzej czy później zaczną

się kłopoty.



Wróciwszy do Florencji, Ferrara nie poszedł do Anny Giuliatti, lecz do domu, skąd zadzwonił do Rizza. Nie opowiedział mu o narkotykach, ale o tym, że wystąpiono o odwołanie jego zawieszenia i liczy, iż wkrótce wróci do biura. Zapytał o nowiny, ale się zawiódł. Potem poprosił do telefonu Fantiego.

- Masz wiadomości o Bellomonte di Mezzo?

- Jestem w kontakcie z kolegą z Trapani, szefie, pomaga mi, ale powtarza, żeby nie robić sobie nadziei, ta miejscina jest cała w rękach mafii, od burmistrzów przez radnych po woźnych!

- Bądźmy dobrej myśli, wiem, co to znaczy. Powiedz koledze, żeby dał z siebie wszystko, ale żeby się nie narażał. W tamtych stronach śmierć bywa szybsza od pytań. Słuchaj, jest może Ciuffi?

- Zobaczę, szefie.

Komisarz z wydziału narkotykowego był najodpowiedniejszą osobą, z którą powinien był rozmawiać o sprawie z Carrary, a Ferrara woląc nie iść do biura, poprosił go o spotkanie w Belvedere. Do Anny Giuliatti zamierzał pójść potem, być może z większą ilością informacji dzięki ekspertowi z tej dziedziny. Spotkali się godzinę później w mercedesie. Ferrara nie wyłączył silnika, by klimatyzacja działała przez cały czas.

Opowiedział mu wszystko od samego początku aż do odkrycia wielkiej ilości heroiny w bloku marmuru. Luigi Ciuffi, który w myślach pomnożył to przez pięć, aż zagwizdał z zachwytem.

- Operacja stulecia, komisarzu! Już samo to wystarczy, żeby mógł pan wrócić do służby, o ile nie przeniosą pana do Rzymu na miejsce obecnego szefa policji...

- Daj spokój, Florencja mi starcza. Nie wezwałem cię, byś mnie podziwiał. Jest coś, co tu nie pasuje. Jeżeli używają bloków do eksportu narkotyków do Ameryki, to co według ciebie robią z pyłem marmurowym, który jest głównym polem ich działalności? Może używają do mieszania z

narkotykami? Jak sądzisz?

Komisarz myślał.

- To jest naprawdę genialne - stwierdził po długiej przerwie. - Nigdy bym nie pomyślał o kamieniołomach marmuru, a na międzynarodowych seminariach wymyślamy naprawdę niesamowite hipotezy. Zaopatrzenie rynku amerykańskiego w narkotyki pochodzące ze wschodu to bardzo lukratywne przedsięwzięcie świata przestępczego. To musi być niesamowicie potężna organizacja, czyli bardzo niebezpieczna, szefie... - wciąż się zastanawiał, kiedy mówił - ale też rynek wewnętrzny nie jest taki mały. Jeżeli dysponują aż takimi ilościami, muszą je jakoś wykorzystywać... Pył marmurowy to może być dobra wymówka, żeby wozić narkotyki po całych Włoszech. Nie wydaje się panu? Używa się go w budownictwie, prawda?

- Nie tylko, w piernictwie, w przedsiębiorstwach rolnych i tak dalej, i tak dalej.

- Na całej powierzchni włoskiego buta, czego chcieć więcej... Jeździ pan z ciężarówką pełną pyłu, wozi ze sobą torebki z próbkami...

- To cysterny, nie ciężarówki - skorygował Ferrara.

- To to samo, nie? - stwierdził Ciuffi, marszcząc czoło.

- Właściwie, to samo.

- Powiedział pan cysterny?

- Tak, dlaczego?

- Nic, mam pewne podejrzenia, ale muszę to sprawdzić w biurze... W takim razie ci Albańczycy, których złapaliśmy w zeszłym tygodniu, mieli tych samych dostawców.

- Jesteś pewien?

- Prawie... wydaje mi się, że to wszystko obraca się wokół tego samego... mafia, Versifia, może i cysterna, ale muszę sprawdzić.

- Więc jedźmy!

- Pan też?

- Tak, ale twoim samochodem. Lepiej, żeby tam nikt nie widział mojego.

- A jak wpadniemy na prefekta?

- A kogo to obchodzi? Chyba wolno mi odwiedzać przyjaciół, prawda?

Po drodze Ciuffi opowiedział mu o powolnych postępach w śledztwie, które prowadzi w sprawie Albańczyków dzięki infiltracji Guzziego. Potem zadzwoniła do Ferrary na komórkę Anna Giuliatti, by powiadomić go o rezultatach badań Gianniego Fuschiego przeprowadzanych na kawałku tkaniny z džinsów Stelli. Potwierdzały one w całej rozciągłości, że w nocy, z 28 na 29 lipca dziewczyna była obiektem grupowego aktu seksualnego.

- To jest to, czego szukałem! - zawołał Ciuffi, pokazując mu jedno ze zdjęć ze śledzenia Albańczyków i Włocha, kiedy ładowali koło zapasowe do bagażnika swojego samochodu na wpuł ukrytego pomiędzy dwiema ciężarówkami. Jedna z nich była cysterną.

Ferrara poczuł dreszcz, widząc napis:

ESTRATTIVA MINERARIA.

- Teraz ty musisz mi wszystko opowiedzieć, niczego nie pomiń, nawet gdyby miało nam zejść na tym całe popołudnie. Ta sprawa to naprawdę ciężki kaliber i wszystko może się przydać.

Nie zajęło im to popołudnia, ale sporą jego część. Na komórkę Ferrary zadzwonił Rizzo.

- Chciałem powiadomić o sprawie Stelli, szefie.

- Mów!

- Doktor Leone nie jest za bardzo przekonany co do badania ze szpitalnej karty informacyjnej. Wydaje się, że znalazł dwa badania krwi zrobione po hospitalizacji i podczas gdy pierwsza analiza krwi nie wykazywała obecności narkotyków, druga wykonana kilka godzin potem już tak. Hipoteza Leonego jest taka, że nie znaleźli potwierdzenia na to, co wynikało z reakcji po podaniu narcanu, i D'Incisa chciał sprawdzić, rozumie pan?

- Dawaj dalej, ale spiesz się, bo telefon się rozładowuje - skłamał.

- Przepraszam, a gdzie pan jest? Zadzwonić na stacjonarny?

- Jestem na tym samym piętrze, u Ciuffiego, ale ty udawaj, że o tym nie

wiesz. Mów dalej, zanim się rozładuje.

- No więc doktor Leone mówi, że drugie badanie było robione na nowej próbce krwi pobranej o dziewiątej czterdzieści pięć, to znaczy pod koniec czasu, kiedy morfina powinna ulec metabolizacji i nie pozostawić żadnego śladu, co jest dziwne, bo wyglądałoby na to, że Stella została znaleziona tego ranka zaraz po tym, jak wzięła narkotyki. Chciał rozmawiać z d'Incisą, aby to wyjaśnić, ale dziś przez cały dzień nie było go w szpitalu i w domu też nie odbiera telefonu. Udało nam się znaleźć żonę, ale ona nic nie wie i nawet się zdenerwowała, bo mówi, że to nie w jego stylu tak zniknąć, tak więc jedziemy do jego domu. Chciałem tylko pana o tym powiadomić.

Reakcja Ferrary na tę wiadomość była niesłychanie gwałtowna. Nagle znów poczuł cień domysłu, który nawiedzał go, niejasny i niepewny, przeczucie, że istniało coś, co łączyło Palladianiego z d'Incisą: masoneria.

- Jedź jak najszybciej, Francesco! Jedź tam i rozwal drzwi, jeżeli to konieczne, nawet bez zezwolenia Anny Giulietti, ale najpierw zawiadom służby, żeby go zatrzymano, w jakimkolwiek miejscu by nie był. To jasne, że Stella nie była znarkotyzowana tuż przed odnalezieniem. Tam nie było żadnej strzykawki. Narkotyki podano jej w pawilonie, a przecież trzeba było trochę czasu, by ją ubrać, nawet jeżeli ktoś robił to pobieżnie i w pośpiechu. Zwłaszcza że ten ktoś zapomniał o połowie ciuchów. Potem trzeba było ją jeszcze przenieść i pozbyć się jej. Dla mnie to wyjaśnia sprawę.

- Czyli w takim razie, szefie, wszystko jakby koncentrowało się na tym Zitturim, którego nie udało nam się zidentyfikować - stwierdził Ciuffi.

Potrzebowali trochę czasu, by wrócić do rozmowy po telefonie Rizza, ale w końcu udało im się odwrócić uwagę od sprawy d'Incisy, a skierować na sprawę z Carrary, której obaj przypisywali wielkie znaczenie i najwyższy priorytet, choć każdy z nich z różnych powodów. Dla Ferrary sprawa była ważna, bo był w to zamieszany jego przyjaciel, którego trzeba było ratować, dla Ciuffiego, bo była to akcja antynarkotykowa o epokowym znaczeniu. Poza tym nazwisko Zitturi coś Ferrarze mówiło od chwili, kiedy Ciuffi

wymówił je po raz pierwszy, opowiadając o podsłuchu w celi. To było coś odległego, coś, co w gorączkowym ferworze starało się jak na razie bez skutku wypłynąć na powierzchnię jego podświadomości. Przyjrzał się raz i drugi transkrypcji podsłuchu, ale nic z niego nie udało mu się wyciągnąć.

- Masz też taśmę? - zapytał w końcu.

Komisarz miał taśmę. Włożyli ją do odtwarzacza i odsłuchali. Dialogi po albańsku sprawiły mu kłopot i rozdrażniły go trochę, ale kiedy mówił Emilio Zancarotti, Ferrara słuchał bardzo uważnie.

- Zatrzymaj! Wróć odrobinę i puść jeszcze raz - powiedział, kiedy usłyszał zdanie: „Nawet Zitturi, mamy...”.

Dźwięk nie był dobry, a wymowa niezbyt wyraźna. Jakby akcentowano „i” w pierwszej sylabie, ale Ferrara zauważył, że mężczyzna mówił raczej „Zitturri” i nagle przyszło mu do głowy połączenie, które rozjaśniło mu wszystko, rozpoczynając łańcuch skojarzeń.

Zi Turri... Zi Turi... Salvatore, Zbawca, Salvatore z kamieniołomów...

Nic nie mówiąc, poderwał się na równe nogi i wybiegł na korytarz. Wszyscy widząc go w tym stanie, patrzyli zdziwieni. Wszedł do swojego biura.

- Fanti! - krzyknął, idąc bezpośrednio do pokoju sekretarza, który zbladł, widząc go. - Dzwoń do swojego przyjaciela z Trapani. Natychmiast. Niech ci powie, w rękach której rodziny mafijnej jest Bellomonte di Mezzo - mówił, podczas gdy nadinspektor wybierał już numer.

- Halo, chciałem rozmawiać z inspektorem Cavallarim, tu prefektura we Florencji. Tak, dziękuję, poczekam.

- Przekaż mi telefon, jak tylko będzie na linii.

- Giuseppe, to ja, Nestore, daję ci komisarza Ferrarę.

- Potrzebuję pilnie pomocy, inspektorze. Co to za rodzina z Bellomonte di Mezzo?

- Nazywają się Laprua, komisarzu.

- Nie słyszałem o nich. Kto to taki?

- To trzech bracia, odkąd nie ma starego.

- Jak się nazywają?

- Tonio, Vito i Alfio.

- Czyli nie ma tam żadnego Salvatore?

- Stary tak miał na imię. Salvatore Laprua, nazywali go Zi Turi.

Ferrara poczuł, jak serce zaczyna bić mu szybciej.

- Co się z nim stało? Zmarł?

- Nikt nic nie wie, zniknął.

- Kiedy?

- Na początku lat dziewięćdziesiątych.

- Oskarżony? Osadzony?

- Nie, to nie była jakaś szczególnie wpływowa rodzina mafijna. Dopiero tak gdzieś od dziesięciu lat zaczęli wypływać, odkąd władza przeszła w ręce synów, a od czterech czy pięciu lat mamy ich na oku, ale nie udało nam się ich złapać.

- Dziękuję, inspektorze. Niczego więcej nie potrzebuję. Niech pan zostawi tę Estrattiva Mineraria. Teraz wiem, kto za tym stoi. Niech się pan nie naraża, zrozumiano?

Zakończył rozmowę i zwrócił się do Fantiego:

- Mam inne zadanie dla ciebie. Sprawdź, czy Salvatore Laprua jest w Toskanii i co robi. Skoncentruj się przede wszystkim na strefie nadmorskiej. Czuję, że go mamy.

Teraz tak, teraz był gotów iść do Anny, ale powstrzymał go kolejny telefon. Dzwonił Rizzo.

- Znaleźliśmy go, szefie. Jest w domu. Martwy. Wpuściła nas kobieta, która zastępuje odźwierną budynku, ale najpierw zadzwoniła do żony profesora, aby poprosić o zezwolenie.

- Jak umarł?

- Sądząc ze strzykawki obok ciała, powiedziałbym, że z powodu narkotyków. Już jadą doktor Leone i technicy, uprzedziłem już prokurator

Giulietti, ona też tu jedzie.

Brakowało tylko jego, ale zrozumiał, że nie może tam pojechać. Było zbyt wielu jego kolegów po fachu w oficjalnych rolach. Wszyscy wiedzieli o jego zawieszeniu, więc jego obecność tylko by ich zdezorientowała. Szczególnie Annę.

- Dobrze, informuj mnie na bieżąco, czy są jakieś wieści. Będę w domu.

⊕ XXX ⊕

Ponieważ szef wydziału śledczego nie został jeszcze przywrócony do służby, Anna Giulietti zdecydowała się wezwać wszystkich do siebie do domu, a nie do prokuratury.

Był to apartament, który zajmował całe PIANO NOBILE¹⁶ piętnastowiecznego pałacu na via de'Sassetti, i miał wysokie, pokryte freskami sufity, które u każdego wywoływały zachwyt i podziw. Wielki salon, pełen światła, wypełniony był meblami z różnych epok, ale wszystkie były florenckie. Oprócz siedemnastowiecznego, orzechowego biurka stały sofya i fotele zdolne pomieścić nawet dziesięć osób.

Ferrara, Rizzo i Leone przybyli punktualnie o dziewiątej rano, a ona powitała ich ze srebrnym dzbankiem parującej kawy.

Na początek komisarz kazał sobie opowiedzieć szczegóły odnalezienia zwłok. Z opowieści wynikało, że Rizzo i jego ludzie poszli w kierunku jedyne go zapalonego światła w całym domu. Była to sypialnia Ludovica d'Incisy, który leżał na łóżku w ubraniu, miał podwinięty lewy rękaw koszuli. Niezbyt daleko od prawej ręki leżała strzykawka. Leone, który jeszcze nie zrobił autopsji, skłaniał się ku wnioskowi, że śmierć nastąpiła z powodu przedawkowania, a stało się to późnym wieczorem 15 sierpnia, prawdopodobnie pomiędzy godziną dziewiętnastą a północą.

Sypialnia profesora była względnie uporządkowana, tak jak i reszta domu, ciało nie nosiło śladów przemocy, a w szafce w łazience znaleziono kilka niezbyt dobrze ukrytych gramów heroiny i kokainy. Nie było tego więcej niż pięć gramów. Wystarczyłoby na kilka dawek do użytku prywatnego.

- Wykluczałbym wypadek. Nie był nowicjuszem, a ponadto był lekarzem.

Narkotyk był porządny, nie został z niczym zmieszany. Samobójstwo to w tej chwili najlepsza hipoteza - stwierdził Rizzo.

Lekarz sądowy i zastępca prokuratora zgodzili się z nim, skinąwszy głową.

- Samobójstwo co najmniej podejrzane w świetle odkrycia podwójnych analiz laboratoryjnych - stwierdził Ferrara.

- Co potwierdzałoby wasze początkowe podejrzenie o błędzie lekarskim. Prawda? - powiedziała prokurator, obdarzając Ferrarę i Rizza uśmiechem pełnym podziwu.

Szef wydziału śledczego jednak nie wydawał się usatysfakcjonowany.

- A jeżeli było coś jeszcze? - rzucił i widać było, że to pytanie wiele go kosztuje.

Wszyscy popatrzyli na niego niepewnie, czekali, co powie dalej.

Do Ferrary wróciło stwierdzenie pielęgniarki „i zrobił grymas wściekłości, widząc ją”, co mogło rzucić złe światło na ordynatora, gdyby odczytać to jako znak, że znał tę dziewczynę przywiezioną rankiem do Ospedale Nuovo, i chciał, aby zniknęła, i nie mogła mówić, ale jeżeli zabójcą był lekarz, sprawa Stelli się zamykała. W takim razie, o co chodziło z tą spinką (albo to kapitan Fulvi miał rację?) i co by się wtedy stało z ich udziałem w sprawie Palladianiego?

Jasne, można było się spodziewać, że istniał spisek pomiędzy tymi dwoma, obaj byli w masonerii. D'Incisa mógł doprowadzić do końca to, czego nie udało się zrobić Palladianiemu. Ten ostatni zostawił dziewczynę na drodze, myśląc, że nie żyje, a ordynator zobaczył ją w szpitalu jeszcze żywą.

Była to jednak hipoteza bazująca na innych hipotezach i nic w tym momencie nie wskazywało, że pomiędzy pijarowcem a lekarzem był jakikolwiek związek. To było coś, nad czym powinien się skupić, ale dopiero potem.

- Odkrycie doktora Leonego - podjął temat - każe myśleć o czymś więcej niż tylko o błędzie medycznym, nie sądzicie?

- Co pan o tym sądzi, doktorze? - skierowała do niego pytanie Anna

Giulietti.

Zaskoczony lekarz się zawahał.

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem... Naprawdę, nie zamierzałem wysnuwać żadnych pochopnych wniosków. Ja to widzę tak, nie ma wątpliwości, że Stella została przywieziona do szpitala w stanie krytycznym z powodu przedawkowania, a reakcja na narcen, udokumentowana w karcie informacyjnej, jest tego potwierdzeniem niepodważalnym. Nie, brak dowodu bezpośredniego w pierwszym badaniu można złożyć na błąd w badaniu i o to chciałem zapytać d'Incisę. Teraz to już niemożliwe...

- Ale czy ślady heroiny w drugim badaniu nie sugerują, że przyjęcie narkotyku nastąpiło w momencie za bardzo bliskim odnalezienia ciała? - zdziwił się Ferrara.

- Najwyżej pół godziny wcześniej. To pewne, może trochę więcej. Zależy od reakcji organizmu, ale różnica nie jest wielka.

- Co nie jest dowodem - dorzuciła Anna Giulietti - teoretycznie to jest czas przeniesienia dziewczyny z budynku aż na tamto miejsce...

- Bardzo teoretycznie - skomentował sarkastycznie komisarz, myśląc o drodze z pawilonu na miejsce porzucenia, o koniecznym czasie, by narkotyk zaczął działać, o ubraniu, wyniesieniu...

Zastępca prokuratora zmroziła go spojrzeniem.

- Trzymajmy się faktów, jeżeli to możliwe. Napisaliśmy prośbę, żeby został pan, komisarzu, przywrócony do służby, zważywszy, że możemy podejrzewać na podstawie własności budynku i litery „P” na spince, że Stellę zabił Ugo Palladiani.

- Który na dodatek szykował się do ucieczki - dodał niespodziewanie Rizzo.

- To znaczy?

- Kazałem zrobić analizy kont bankowych, które mi pan zlecił, szefie, na które pani zezwoliła. Konta Palladianiego zostały praktycznie wyzerowane, wszystkie jego środki finansowe zostały przelane na jego konto w banku w

Nicei we Francji.

- Jeżeli obawiał się, że jego kółko pedofilskie zostanie odkryte, wcale mnie to nie dziwi - skomentowała z satysfakcją zastępca prokuratora - to dodatkowa wskazówka, można by powiedzieć. Sprawa d'Incisy to już inna historia. Prawdą jest, że on także miał do czynienia ze Stellą, ale przyczyn samobójstwa może być wiele... Zbadajmy to, a potem się zdecyduje. Ale to są dwa oddzielne śledztwa, nie ma nic, co łączyłoby D'Incisę i Palladianiego.

- Nie ma dokumentów, notatników, czegoś, co mogłoby wskazywać na związek pomiędzy nimi? - zapytał Ferrara Rizza, korzystając z okazji. - Dobrze przeszukaliście apartament?

- Pobieźnie - przyznał Rizzo - zbieraliśmy ślady związane ze śmiercią D'Incisy, jak zwykle. Nie podejrzewaliśmy przestępstwa, przynajmniej w tym stanie rzeczy, ponadto nie mieliśmy zezwolenia na rekwirowanie dokumentów ani innego materiału od zmarłego.

- I tak na razie niech zostanie - stwierdziła kategorycznie Anna Giulietti - o ile nie pozwoli na to żona, w co wątpię. Nie możemy zapominać, że doktor D'Incisa był człowiekiem na świeczniku i miał powiązania z potężnymi środowiskami. Wie pan, o czym mówię. Uważam, że żona, która została uprzedzona i wraca dzisiaj do Florencji, bo nie jest w stanie sama prowadzić, a wczoraj w nocy nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, poprosi nas o dyskrecję w tej sprawie. Nie zechce, żeby skandal splamił imię męża i rodziny. Jeszcze dziś ją odwiedzę. Pan Rizzo pójdzie ze mną. Ciekawe, czy zgodzi się na prośbę, którą sugeruje pan, panie Ferrara! Dlatego należy się skoncentrować na tym, co mamy, naszkicować jak najszerzy obraz i wyciągnąć z niego, co się da, dla działalności śledczej.

- Oczywiście pójdę z panią - powiedział Rizzo.

- Zarządziłam autopsję i proszę wykonać ją jak najszybciej, doktorze Leone, i proszę przekazać mi rezultaty natychmiast, dzwoniąc na moją komórkę o każdej porze dnia i nocy.

Wykluczmy na razie zabójstwo i dopiero kiedy inne badania nic nie dadzą,

zajmiemy się tym. Jeżeli chodzi o samobójstwo, to mamy dwie możliwości: poczucie winy albo coś innego. Jeżeli uda się udowodnić pierwsze, będziemy mogli zrobić tak, jak chce komisarz Ferrara, ale tylko wtedy, gdy będziemy mieć pewność, że D'Incisa miał coś wspólnego ze śmiercią Stelli, co w tej chwili jest trudne do przyjęcia, dobrze?

Wszyscy się zgodzili.

- Jeżeli chodzi o poczucie winy, to trzeba będzie ustalić, co robił i co robili jego znajomi. Trzeba udowodnić, że miał kontakty z Palladianim. Ufam panu i pana ludziom, komisarzu Rizzo.

- Oczywiście, pani prokurator.

- W końcu, i to jest najważniejsze, trzeba dojść do innych ewentualnych współników Palladianiego, to znaczy do uczestników imprezy, na której ofiara mogła zostać odurzona narkotykami.

- Zgoda - znów odpowiedział Rizzo.

- Dobrze, sądzę, że to już wszystko i możemy wracać do pracy. Wszyscy mamy wiele do zrobienia i na dodatek mamy trzynastego, piątek - zażartowała, starając się rozładować atmosferę, która wszystkim ciążyła. - Możecie iść, ale jeżeli komisarz Ferrara zechciałby zaczekać chwilę, mam jeszcze z nim do pomówienia. Zadzwoń, jak będę wiedziała, kiedy pójdziemy do wdowy, komisarzu Rizzo. Dziękuję panom.

Kiedy zostali sami, prokurator nie przeszła na „ty”, bo nadal mieli rozmawiać o pracy, a ona nie robiła odstępstw od swoich reguł.

- Potwierdzam, że prośba o przywrócenie została przedstawiona szefowi policji już wczoraj rano. Jak tylko się dowiem, że papiery wyszły, przywrócę pana do udziału w śledztwie.

- Dziękuję pani.

- Teraz niech pan opowie mi punkt po punkcie tę historię z narkotykami w porcie w Carrarze.

Zrobił to.

- I co teraz zamierza pan? - zapytała zaniepokojona wielkością znaleziska,

bo to czyniło sprawę wyjątkowo poważną i niebezpieczną. Było widać, że rozwój wypadków powodował u niej duży stress.

- Najpierw muszę zidentyfikować i zlokalizować Salvatore Laprua. Potem zrozumieć, co wspólnego ma Simonetta Palladiani z całą tą sprawą i czyją zabili, a jeżeli tak, to dlaczego.

Nawet jeżeli komisarz nie wymówił nazwiska Massima Vergi, Anna Giulietti zrozumiała, co znaczyłoby dla niego to odkrycie. Zawahała się, zanim odpowiedziała:

- Ale dlaczego tak pobili, żeby nie powiedzieć torturowali jej męża? Zdaje pan sobie sprawę, że to ostatnia zmiana w śledztwie na temat śmierci Palladianiego oddała go definitywnie od śmierci Stelli? Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej niemożliwego do pogodzenia jak organizacja przestępcza na taką skalę i banda zboczeńców. Jeżeli się okaże, że Stellę zabił D'Incisa, a nie Palladiani, jak teraz wydaje się myślisz, co z uporem chciałeś narzucić innym, to będzie koniec - dodała, przechodząc na „ty”.

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, ale mnie interesuje ta pierwsza. Rozwiązanie „Operacji Stella” już jest blisko, to kwestia pracy i szczęścia przy przeszukiwaniu znajomych lekarza, ale oboje wiemy dobrze, i wiedzą także inni, że w kwestii technicznej dziewczyna została zabita przez D'Incisę, przy udziale lub bez udziału Palladianiego... Stella została odurzona o wiele wcześniej, niż została znaleziona, to jasne jak słońce. Kiedy zrobili pierwsze analizy, jej organizm zmetabolizował już narkotyk, ale nie umarła, a d'Incisa żeby być pewnym, że dziewczyna umrze, odurzył ją jeszcze raz, zgadzasz się?

- Oczywiście - odpowiedziała łagodnie.

- Więc dlaczego nie znalazłaś kruczka prawnego, ty, taka zdolna, by można było natychmiast zarekwirować papiery mordercy?

- Bo nie uważam, żeby to było dobre dla ciebie, dla nas... Chodzi o śledztwa w Versilii, które w tym momencie są ważniejsze niż cokolwiek innego. Wydaje mi się to bardziej niż oczywiste. Jak sam mówisz, d'Incisa

jest na pewno winny, a jeżeli w jego papierach znaleźlibyśmy coś, cokolwiek, powiedzmy, kontrakt podnajmu pawilonu albo coś w tym rodzaju? A jeżeli to odsunęłoby podejrzenia od Palladianiego? Oprócz spinki, a trzeba udowodnić, że była jego, co grzecznie zasugerował kapitan karabinierów. Jak mam usprawiedliwić twój bezpośredni udział w śledztwie w Pietrasanta mojemu koledze? Jak rozumiem, nie chcesz, żeby sprawa z narkotykami wyszła na jaw, a bez tego i bez ewentualnego udziału pijarowca w sprawie Stelli mój kolega, prokurator Lupo, poprosi mnie o wyłączenie cię ze śledztwa. Nie sądzisz? A tego nie chcesz, bo chcesz odnaleźć swojego przyjaciela, a ja nie mogę sobie na to pozwolić, bo siedzę teraz po uszy w sprawie tych narkotyków.

- Jest jeszcze sprawa tej ucieczki, o której rozmawialiśmy - powiedział cicho Ferrara.

Anna Giulietti uśmiechnęła się gorzko.

- Gdybyś był żoną faceta, który zamierza zniknąć z kasą, nie starałbyś się go powstrzymać?

Ferrara też się uśmiechnął. To była woda na młyn Fulwiego.

- Raczej tak - powiedziała, zmieniając ton z powodu napięcia, jakie między nimi zapanowało - pamiętaj, że czas nagli. Pozwolenie na opóźnienie rekwizycji nie może trwać w nieskończoność, a te narkotyki nie mogą opuścić portu w Carrarze. Przed dwudziestą trzecią trzeba poinformować o wszystkim dyrekcję antynarkotykową po to, by zabrać narkotyki oraz po to, by zidentyfikować i złapać adresatów ładunku w Ameryce. To ogromna ilość, igramy z ogniem... - stwierdziła, patrząc mu poważnie w oczy i przełknęła ślinę, zanim dodała z wyraźną przykrością: - Opóźnianie akcji odnalezienia twojego przyjaciela może nas kosztować nie tylko karierę.

- Nie opóźnimy akcji, wręcz przeciwnie, dochodzimy do źródła - zareagował natychmiast komisarz.

- Naprawdę chciałabym, żeby tak było - to były ostatnie słowa Anny Giulietti. Rozległy się echem w tym surowym pomieszczeniu. Zabrzmiały jak

przestroga i Ferrara zdawał sobie z tego sprawę.

- Jeżeli zawiodę, jestem gotów podać się do dymisji.

⊕ XXXI ⊕

Po południu, ponieważ Rizzo był zajęty u wdowy D'Incisa, Ferrara, będąc z Anną Giulietti, kazał się połączyć z Fantim, Ascalchim i Sergim. Poinformował ich o ostatnich wynikach „Operacji Stella” i przeszedł do sprawy Laprua, zobowiązując ich do zachowania tajemnicy.

- Jest dwóch Salvatorów Laprua w Toskanii - zaczął Fanti, który w międzyczasie zdążył wykonać powierzone przez szefa zadanie. - Jeden młody technik, dwadzieścia sześć lat, zatrudniony w firmie sprzętu gospodarstwa domowego w Pistoia, i mężczyzna sześćdziesiąt sześć lat mieszkający w Viareggio od dziewięćdziesiątego trzeciego.

- To on! - zawołał Ferrara bez wahania. - Ascalchi, Sergi, zabierzcie się do roboty! Jedźcie do Viareggio i miejcie go na oku. Sprawdźcie, jak żyje, jakie ma związki z Estrattiva Mineraria, wszystko.

- Hmm.

- Tak, Fanti?

- Nie zajmuje się marmurem, ale rybami. Ma udziały w małej flocie rybackiej Ittica La Prua, która działa w porcie w Viareggio. Teraz zresztą już mniej, on jest chyba na emeryturze, ale firma działa.

- Dziwne... Sprawdźcie wszystko, co się także da na ten temat, ale żeby się nie zorientował! Pamiętajcie!

- Spokojnie, szefie - odpowiedział Ascalchi, a Serpico uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć „spokojnie, szefie, ja go przypilnuję”.

Petra dołączyła do nich na tarasie, przynosząc zimne napoje. Nawet pod pergolą słońce paliło nieznośnie i wszyscy byli jej za to wdzięczni.

Potem, kiedy jego ludzie już wyszli, Petra zapytała, czy naprawdę robi postępy, jak zrozumiała z zasłyszanej rozmowy.

- Tak mi się wydaje - odpowiedział, a ona po raz pierwszy od dawna zobaczyła, że mówi to z przekonaniem.

- Myślisz, że odnajdziesz Massima?

- Tak - powiedział z goryczą, myśląc o rozmowie z Anną Giulietti, o prawdopodobieństwie, że okrutna organizacja, z którą miał do czynienia, i ciąg przestępstw, które w ten czy inny sposób zboczyły krwią tokańską ziemię w czasie tych ostatnich tygodni, mogą doprowadzić do odnalezienia zwłok Simonetty Palladiani i Massima. - „Żywego lub martwego” jak w plakatach z Far West - wyrwało się mu.

- Nie, Michele, **ВИТЕ...** nie myśl tak nawet - prawie krzyknęła Petra, potem dodała mocnym tonem: - Massimo żyje, czuję to!

- Dziękuję, kochanie - powiedział uroczyście.

Marisa D’Incisa zakrywała oczy i uszy z przerażeniem, kiedy Anna Giulietti tłumaczyła jej okoliczności śmierci męża. Miała wąskie drżące dłonie, które nie mogły jej ochronić od świata, który aż do wczoraj wydawał się spokojny i dostatni, a teraz nagle stał się absurdalny i niemożliwy do zaakceptowania. Nie wystarczyła nawet obecność jednego z synów, adwokata Piero, który pracował w Paryżu, w europejskiej siedzibie jakiejś amerykańskiej kancelarii, mającej swoje biura na całym świecie. Dwoje pozostałych dzieci było na wakacjach z rodzinami, syn na Bali, a córka w Argentynie, i nie udało im się jeszcze dołączyć do matki.

- Przykro mi, proszę pani, ale muszę zapytać, czy wiedziała pani, że mąż używa środków odurzających?

Głęboko poruszona bólem kobiety Anna Giulietti była mimo wszystko urzędnikiem państwowym i musiała wykonywać swoje obowiązki.

Kobieta przecząco pokręciła głową kilka razy.

- Oczywiście, że nie - powiedziała w końcu głosem cichym, ale pewnym.

- Pan także nie wiedział, mecenasie?

Był to mężczyzna około czterdziestki, wysoki i dobrze zbudowany z rasowym nosem i jasnymi spokojnymi oczami. Musiał żyć za granicą od

dawna, bo stracił wszelkie naleciałości florenckie i mówił z lekkim francuskim akcentem, mocniej wymawiając „r” i używając czasami francuskich słówek, kiedy nie pamiętał włoskich odpowiedników.

- Nie. Ale czy to pewne? Rozumiem, że pozory są takie, jakie są, ale zanim stwierdzi się coś tak poważnego i... BIEN, kategorycznego, OUI, dobrze mieć jakieś dowody, prawda?

- Znaleźliśmy narkotyki. Były ukryte, nawet niespecjalnie dobrze w szafce w łazience.

- Była jego - stwierdziła żona. Kobieta była niewysoka, miała szczupłą, pełną godności twarz naznaczoną zmęczeniem. Ani Giuliotti, ani Rizzo nie określiliby jej jako wyniosłej, ale dumna była. - Ja tam nie wchodziłam prawie wcale. Dbała o nią służąca, lecz nie za dobrze - dodała z lekkim wyrzutem. - Nie mogę w to uwierzyć...

- Rzeczywiście to raczej nieprawdopodobne. Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, bardzo szanowanym i godnym szacunku, jak wiecie. Może ktoś to tam podłożył, aby to wyglądało na samobójstwo - zasugerował syn.

- Ma pan albo oboje państwo macie podstawy sądzić, że ktoś mógłby go nienawidzić aż do tego stopnia? - zapytał Rizzo.

- Nie, to nie to... Przeciwnie, prawda, MAMAN?

- Oczywiście. Mój mąż był szanowany jako profesjonalista, a kochany jako człowiek - powiedziała z dumą.

- Oczywiście ze względu na zawód, jaki wykonywał, nie można wykluczyć jakiegoś szaleńca, który chciał się zemścić za śmierć kogoś z rodziny, prawda?

- To prawda, mecenasie, ale kiedy przybyliśmy, nie zastaliśmy śladów walki ani obecności osób trzecich. Drzwi wejściowe były normalnie zamknięte i nie było oznak włamania. Wszystko wyglądało na typowe przedawkowanie, a ponieważ profesor wiedział, co robił, musimy to uznać za samobójstwo. Autopsja potwierdzi, czy zażywał narkotyki, czy nie.

- Jest konieczna? - zapytał Piero d'Incisa, widząc, że matka wybucha

szlocham.

- Tak, bardzo mi przykro.

- Trzymaj się, MAMAN, proszę - starał się ją pocieszyć.

- To nie jest możliwe, nie, niemożliwe... - powiedziała kobieta, prostując się z wyraźnym wysiłkiem, robiąc znak krzyża. - Samobójstwo? Nie... to grzech śmiertelny.

Anna Giuliatti poczuła się zakłopotana. Jeżeli śledztwo wykazałoby, że ten człowiek był nie tylko uzależniony od narkotyków, ale także był pedofilem i mordercą, to ta biedna, delikatna kobieta może umrzeć z bólu.

- Hm... - mruknął Piero d'Incisa.

- Słucham?

- No cóż - podjął profesjonalnym tonem - to wszystko jest bardzo nieprzyjemne i JE COMPREND... rozumiem, że musicie wykonywać swoje obowiązki, ale chciałbym zapytać, czy jest możliwość, by nie upubliczniać, o ile jest to wykonalne. Chciałbym, aby ta sprawa została pomiędzy nami... Widzi pani, rodzina d'Incisa to rodzina z tradycjami, szanowana... jest moje rodzeństwo, ich dzieci... dzieci mojej siostry są jeszcze maleńkie, byłby wstyd, gdyby się dowiedziały. Skandal byłby katastrofą dla tych, którzy pozostali, proszę mi wierzyć... Nawet jeżeli mój ojciec popełnił błędy, o ile je popełnił, jego potomkowie nie zasługują...

- No właśnie - powiedziała pani prokurator. - Proszę się nie przejmować. W granicach tego, co możliwe, i tylko jeśli będziemy mieli pewność, postaram się dostarczyć prasie najbardziej powściągliwą informację, jaka jest możliwa w tej sytuacji, a komisarz Rizzo oczywiście się ze mną zgadza. Będziemy musieli powiedzieć o samobójstwie, aby nie dać powodów do gorszych hipotez, ale nie ujawnimy szczegółów.

Nie odważyła się, by poprosić w zamian o możliwość przejrzenia papierów ojca. Wyobrażała sobie, że w tych okolicznościach by na to nie przystał. Jako adwokat znalazłby sposób, by odmówić, a obawiała się też, że gdyby nie odmówił, mogłaby natrafić na kontrakt podnajmu, którego wolała nie

znaleźć, przynajmniej w tej chwili.

- Samobójstwo mogło być spowodowane stresem związanym z pracą - zasugerowała pani D'Incisa, nie mogąc tego wszystkiego zrozumieć. - Pod tym względem był nieznośny, nie byłem w stanie odciągnąć go od tego przekle... od tego szpitala. To było jego całe życie. Siedział tam dniami i nocami, nawet wtedy, kiedy już mogliśmy się cieszyć starością w Viareggio.

Wolał raczej cieszyć się młodością albo młódkami, pomyśleli prawie jednocześnie Giulietti i Rizzo.

- To możliwe - zgodziła się prokurator. - Może pani zna jakieś inne ewentualne motywy? Nie wiem, sprawy finansowe, zdrowotne... Wydawał się ostatnio czymś przejęty?

- Nie, pani prokurator. Problemów finansowych, dzięki Bogu, nigdy nie mieliśmy! Dobrze się czuł, tak dobrze, jak tylko można się czuć w naszym wieku, kiedy dzieci się już usamodzielniały... powinniśmy się cieszyć emeryturą, mówiłam mu to, ale niestety...

- Tak, oczywiście. Czy poza kolegami lekarzami pani mąż spotykał się z wieloma innymi osobami?

- Bardzo wieloma. Lubił towarzystwo i często wieczorem odwiedzał znajomych, bywał na przyjęciach, zostawał dłużej, ale ja z nim tam prawie nie chodziłam. Męczą mnie takie imprezy.

- Mogłaby pani podać nazwiska tych najbliższych osób?

- Do czego to pani potrzebne? - Syn stał się nieco podejrzliwy.

- Niech się pan nie przejmuj, mecenasie. Dałam panu słowo i potrafię być dyskretna, ale w przypadku samobójstwa muszę mieć kompletny obraz osobowości... ofiary, aby zrozumieć racje psychologiczne jego postępowania - skłamała, ale adwokat wydał się uspokojony.

- Nie znam wszystkich, ale mogę spróbować.

Rizzo podał mu papier i długopis.

Marisa D'Incisa zaczęła mu niepewnie podpowiadać, ale po chwili zbladła i zemdląła. Filipiński służący, który miał chyba też wiedzę pielęgniarzką i był

kierowcą pani, przybiegł zaniepokojony i z pomocą syna zaniósł ją do jej sypialni.

- Proszę wybaczyć, ale w jej wieku... - powiedział Piero d'Incisa, wracając po chwili.

- Oczywiście, to wspinała osoba, to my powinniśmy prosić o wybaczenie, ale, niestety, taka nasza powinność.

- Oczywiście, pani prokurator. I wdzięczny jestem za troskę, jaką okazuje pani naszej rodzinie.

- Obowiązek, mecenasie, ale w zamian poproszę o przysługę. Jeżeli znajdzie pan dzienniki, notatniki, jakieś osobiste przedmioty ojca, które mogłyby nam pomóc poznać stan jego ducha w ostatnich godzinach, czy mógłby je pan dostarczyć komisarzowi Rizzowi do prokuratury?

Był to sposób, by nie obarczać go odpowiedzialnością, okazując mu zaufanie. Zaproponowała, by najpierw sam przejrzał wszystkie papiery, gdyż uważała, że może ufać jego profesjonalizmowi, bo wydawał się uczciwy i szczery.

- Tak zrobię.

- Jeszcze ostatnie pytanie, mecenasie. Czy wiedział pan, że ojciec należał do łoży masońskiej?

Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie, jakby chodziło o nieszkodliwą zabawę albo kaprys staruszków.

- Tak, oczywiście! Powiedział mi o tym, jak tylko skończyłem osiemnaście lat. Chciał, żebym ja też wstąpił...

- A pan?

- Nie, no na litość... Nie ma w tym przecież nic złego? Największe osobistości w historii, od Georgea Washingtona po Churchilla... ale w historii, powtarzam. Sądzę, że teraz masoneria to grupa tęskniących za dawnymi czasami starych ludzi. W dzisiejszych czasach przy globalizacji, która nieprzerwanie się rozszerza, trzeba sobie tworzyć inne układy.

Jeżeli mówił to człowiek, który w relacjach i interesach

międzynarodowych pracował z wyraźnym sukcesem, należało mu wierzyć.
Anna Giuliotti nie była tego jednak pewna.

Późnym wieczorem Ferrara odebrał telefon, na który czekał.

- Jutro możesz się stawić w biurze. Dzwonili do mnie z Rzymu, że prośba została przyjęta. Gdyby ktoś miał na ten temat jakieś wątpliwości, odeślij go do mnie. Powiem, że osobiście cię prosiłam, byś wrócił, nie czekając na oficjalne potwierdzenie, bo Lupo i ja potrzebujemy ciebie natychmiast do kontynuowania śledztwa.

- Dziękuję, Anno.

- Nie dziękuj. Masz rozpracować sieć handlarzy narkotyków.

⊕ XXXII ⊕

Było już prawie południe, a Elisa Rocca leżała ledwie żywa na starym tapczanie w swoim mieszkaniu w okolicy Santa Croce. To było małe mieszkanie umeblowane bardziej śmieciami i odpadkami niż kilkoma tandetnymi meblami. Wszędzie leżały porozrzucone ubrania, brudne szklanki i filizanki udawały bibeloty. Na podłodze obok kanapy kilkudniowa już gazeta pokazywała zdjęcie zmarłej w Ospedale Nuovo dziewczyny, właściwie dziewczynki. Kobieta z niejaką trudnością trzymała w dłoni butelkę chianti, kieliszek w drugiej. Straciła rachubę, ile razy już go opróżniła. Tak właśnie przyzwyczaiła się łagodzić chwile bólu i cierpienia. Innych w jej życiu było niewiele.

Kiedy w butelce nie została nawet kropelka, wyszła z domu. Przeszła przez piazza Santa Croce i udała się w kierunku Arno. Zanim dotarła do rzeki, wstąpiła do winiarni i zamówiła kieliszek czerwonego wina, potem jeszcze jeden. Opuściła winiarnię, zdając się na to minimum autokontroli, które pozwalało jej nie upaść. Było upalnie, ale ona tego nie czuła. Małymi kroczkami pokonała most na Arno. Kiedy doszła do brzegu, skierowała się ku Ponte Vecchio, który tańczył jej w oczach jak barka na wodach rzeki.

Trafiła do kolejnej winiarni. Zamówiła kieliszek i wypiła. Wyszła, ponieważ powiedziano jej, że nie podadzą następnego. Właściciel ją znał i to sprawiało jej przykrość.

Szła dalej ku Palazzo Pitti, przeszła przez ulicę. Jakiś motocyklista, by ją wyminąć, musiał wykonać niebezpieczny manewr i wywrócił się na jezdnię. To był dzieciak, przez kilka minut leżał na asfalcie, potem wyciągnął komórkę.

Elisa Rocca została odprowadzona do prefektury.



Ferrara czekał z niecierpliwością na przyjazd Rizza z Viareggio, dokąd go wysłał z samego rana, gdy znów objął w posiadanie swoje biuro, by ten sprawdził, jak przebiega śledztwo. Nikt nie podnosił obiekcji. Nie spotkał prefekta, ale Riccardo Lepri dzięki swoim długim uszom z pewnością wiedział już, że komisarz wrócił na swoje stanowisko. Nie pokazał się jednak.

Resztę przedpołudnia zajęło mu porządkowanie papierów i odbieranie wciąż dzwoniących telefonów.

Zadzwoił do Anny Giulietti, którą poprosił o zezwolenie na sprawdzenie telefonów zarejestrowanych na nazwisko Laprua. Ona z kolei opowiedziała mu o spotkaniu z wdową D'Incisa i jej synem, prosząc, by się pośpieszył, jakby czas nie był i tak największym kłopotem Ferrary. Potem przyszła kolej na Lojela, który nie miał żadnych nowych informacji na temat zabójstwa Claudii Pizzi. Zadzwoił do niego także Armando Lupo z Lukki, by powiedzieć, że cieszy się, iż Ferrara wrócił do pracy, i dodał, że kapitan Fulvi doszedł do martwego punktu, toteż liczy, że Ferrara naprawdę mu pomoże.

Ostatni telefon był od inspektora dyżurnego z prefektury.

- Komisarzu, radiowóz niedawno przywiózł niejaką Elisę Rocca, która twierdzi, że pana zna. Jest pijana.

Znał ją dobrze.

Elisa Rocca miała trzydzieści pięć lat, ale wyglądała na ponad pięćdziesiąt. Była niewielkiego wzrostu, tęgawa, miała jasną cerę, czarne oczy, czarne włosy do ramion. Jako młoda dziewczyna trudniła się prostytutką i kilka lat wcześniej opowiedziała mu coś, co pomogło mu rozpracować krąg alfonsów, którzy mieli w historycznym centrum miasta kilka apartamentów zamienionych na luksusowe agencje towarzyskie.

- To prawda, traktujcie ją dobrze, biedaczka.

- Jest pijana i chce z panem rozmawiać.

- Na litość!

Powiedział to bez złości, w sumie to też był sposób, by poczuł się znowu

„w domu”.

- Bełkocze coś o dziewczynie z Ospedale Nuovo.

- Zatrzymaj ją - rozkazał. - Już kogoś wysłałam.

Nie miał zamiaru sam tam jechać. Sprawa Stelli była teraz już prawie rozwiązana i cokolwiek mogła dodać ta biedna, postarzała przed czasem prostytutka, byłoby, w najlepszym wypadku, tylko dodatkiem. On miał coś innego do zrobienia.

Wezwał Fantiego i powiedział mu, by ten kazał Ascalchiemu zająć się kobietą, a kiedy sekretarz się oddalił, przemyślał to jeszcze raz i dodał:

- I powiedz inspektorowi, by wziął ze sobą inspektora Venturiego, on ją dobrze zna.

- Mieszka na via Sant'Andrea w dzielnicy portowej. Nic specjalnie luksusowego, mieszkanie na drugim piętrze kamienicy z początku dwudziestego wieku - opowiadał mu Rizzo po powrocie z Viareggio. - Nie widziałem, żeby wychodził. W sąsiedztwie znany jest jako osoba światła, grzeczna, dobrze wychowana. Żyje tam od wielu lat z żoną, nikt specjalnie do nich nie przychodzi. Są starzy i mało ich widać. Tylko zakupy i czasami spacer nad morze.

- A do portu?

- Czasami, ale niezbyt często, tylko on tam chodzi, żona nigdy. Zarządzanie statkami rybackimi powierzono pracownikowi, Laprua nie zajmuje się tym sam.

- Tym bardziej że to pewnie tylko działalność na pokaz... Będziemy go mieć nadal na oku, zgadza się? Jest tam Sergi i dwóch funkcjonariuszy, dwóch innych pilnuje domu.

- Doskonale. Zastępca prokuratora zezwoliła nam na kontrolę połączeń telefonicznych. Zajmij się tym, dziękuję.

Siedząc pod namiotem Piccolo Tito na molo Corrado del Greco, Serpico smakował zimną granitę. Z długimi włosami, zmierzwioną brodą, w poszarpanych dzinsach i w koszulce z napisem **IRON MAIDEN** wyglądał jak

jeden z klientów baru, jak turysta, który z uciechą patrzy na wesoły, kolorowy targ i rybaków powracających co rano z nocnego połowu.

Przybijali do nabrzeża kanału i natychmiast obok swoich statków ustawiali metalowe ławy, na których wystawiali skrzynie z jeszcze żywymi rybami. Nabrzeże było zatłoczone, ludzie przyglądali się temu wszystkiemu z zachwytem i kupowali towar z zadowoleniem.

- A dla mnie nic nie zamówiłeś? - zapytał go agent Scugni, siadając obok. On też był ubrany w dżinsy i koszulkę, a na pasku miał cyfrowy aparat marki Nikon.

- Zamówiłem ci kawę, ale sam wypilem. Była już prawie zimna. Co chcesz?

- Też wezmę granitę.

- Lepiej idź do środka, by ją zamówić, bo tu czeka się w nieskończoność.

Kiedy wrócił, Sergi popatrzył na niego pytająco.

- Jeszcze nie przyплыnęli, pytałem u innych i powiedzieli mi, że czasami się spóźniają, bo wybierają się superdaleko i wracają przeładowani. Można ich łatwo rozpoznać, bo to trzy największe statki ze wszystkich i zawsze płyną razem. Nazywają się Alfio, Vito i Tonio.

- A więc to te - stwierdził Serpico, widząc dwa z trzech trawlerów u wejścia do kanału.

Trzeci pojawił się zaraz po nich.

- Idziemy.

Przyglądali się manewrowi cumowania trzech Merlin Craft ze szkła i żywicy. Każdy miał dwanaście metrów długości i po dwa silniki o mocy trzystu pięćdziesięciu koni. Przyciągali klientelę znawców, którzy cierpliwie na nich czekali. Nie ustawiali ław, sprzedawali prosto ze statków. Kupujący wyglądali na właścicieli restauracji. Największa część połowu została jednak załadowana na furgon z napisem **ITTICA LA PRUA**. Serpico zapisał numer rejestracyjny i w towarzystwie kolegi udał się do anonimowego fiata punto srebrnego metalika, którym ruszyli do wyjazdu z portu. Kiedy zobaczył, że

wyjeżdża furgon, zaczął za nim jechać, zostawiając pomiędzy nimi kilka samochodów. Furgon wjechał na autostradę w kierunku północnym, zjechał na bramce w Carrarze i skierował się do miasta. Minął je, biorąc zjazd na drogę prowadzącą w góry, gdzie nie będzie trudno stracić go z oczu. Sergi musiał podjechać bliżej, ale nie dali się zauważyć.

Przed Colonnata furgon skręcił w lewo, w kierunku Torano i Fantiscritti. Zostały tylko dwa samochody i Sergi zwolnił niezdecydowany. Udawał, że nie wie, którą drogą ma jechać, potem on także skręcił, ale furgonu nie było. Przyspieszył, pokonał długi zakręt, lecz furgon zniknął. Przejechali jeszcze czterysta metrów. Wtedy Sergi i Scugni zobaczyli samochód w kamieniołomie. Zapisali numer: 206.

Elisa Rocca siedziała na krześle w jednej z poczekalni na parterze. Drżała z zimna mimo upału. W rękach trzymała plastikowy kubek z odrobiną kawy, którą przyniósł jej policjant. Zobaczyła, jak wchodzi Ascalchi i Venturi. Podniosła głowę.

- Patrzcie, patrzcie - powiedział Venturi, siadając na krześle obok niej - mówią, że wypijaś kilka kieliszków za dużo.

Elisa posłała mu uśmiech, a potem zwracając się do Ascalchiego, powiedziała:

- Pana nie znam... Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy, prawda?

- To komisarz Ascalchi - odparł Venturi.

- Ale ja chciałam rozmawiać z Ferrarą.

- Nie ma go, ale dzwonił do niego i kazał nam przyjechać, żebyś nam powiedziała, co masz do powiedzenia. Potem mu to przekazemy - dodał Venturi, który siedząc obok niej, poczuł nieprzyjemny odór.

Elisa siedziała, milcząc.

- Od dawna cię nie widziałem - zagaił Venturi.

Ona opuściła wzrok i kiwnęła głową z lekkim uśmiechem, ale nic nie powiedziała.

- Elisa - zagadnął jeszcze raz - szef powiedział, że możesz z nami

porozmawiać... Coś jest nie tak? Masz z kimś jakieś problemy?

Nadal trwała w milczeniu. Wydawała się nieobecna. Ascalchi zaczął się denerwować. Venturi znów zaczął mówić, by go uprzedzić.

- Jeżeli nie chcesz nic powiedzieć, nie możemy ci pomóc.

Kobieta podniosła wzrok. Oczy jej błyszczały i były bardzo podejrzliwe, jakby kobieta nagle wróciła do realnego świata.

- Inspektorze - wymruczała cienkim głosem i nieśmiałym tonem - już nie piłam, byłam na leczeniu, potem... - przerwała.

- Potem co? Mów, Elisa, szef chce wiedzieć, co masz do powiedzenia.

Popatrzyła najpierw na Asealchiego, potem spojrzała inspektorowi prosto w oczy.

- Nie chcę z wami o tym rozmawiać - powiedziała i znów zamilkła.

- O czym? Co cię niepokoi? - nalegał policjant.

- Nie wiem, czy mogę wam to powiedzieć.

- Jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów, Elisa.

Zapadła cisza.

- Ta, co ją znaleźli odurzoną... Ta, co o niej pisali w „La Nazione”.

Ascalchi siedział, milcząc, a Venturi przytaknął.

- Co wiesz, Elisa? - zapytał inspektor.

- Nie uwierzycie mi, bo jestem pijaczką i schizofreniczką - odparła.

- Ja cię znam, Elisa, i wiem, że szef ma o tobie dobre zdanie - mruknął Venturi.

- Wiem, dlatego chcę rozmawiać z nim.

- Tłumaczyłem, nie ma go.

- To powiedzcie mu, że znałam tę dziewczynkę, wiem, kim jest, skąd jest, i wiem, kto ją zabił...

Znowu zamilkła.

- Kto? - po raz pierwszy odezwał się Ascalchi. - Musi nam pani powiedzieć, nie może pani teraz milczeć!

- Ale musicie mnie chronić, ja... się boję... chcę rozmawiać z Ferrarą.

- Nie martw się, nie masz czego się bać. Komisarz o tobie pomyśli, zobaczysz - powiedział Venturi.

- Dalej, no? Kto to był? - nalegał Ascalchi.

Kobieta nie odpowiedziała.

Ascalchi wymienił spojrzenia z inspektorem, który pospiesznie wyszedł z sali. Zrozumieli się doskonale. Trzeba było zadzwonić do Ferrary.

Luigi Ciuffi słuchał, kiedy Ferrara kończył mówić mu o raporcie Serpico. Wszystko opowiedział przez telefon, wracając z Carrary.

- Powiedziałbym, że wszystko jest w porządku - stwierdził w końcu. - Są gotowi założyć się o dwie sprawy. Pierwsza, że gdyby zatrzymać furgon, w brzuchach ryb znaleźliby co?

Komisarz się uśmiechnął.

- A druga sprawa? - zapytał.

- Że jak poprosimy w kapitanacie portu w Viareggio, by monitorowali wyjście tych trzech statków, odkryjemy, że płyną poza wody terytorialne, gdzie czeka na nich statek ze wschodu i dostarcza im nadziewaną rybę.

- Nie idę na to, przegrałbym - mruknął Ferrara. - Sprawa teraz jest całkiem jasna. Odbieają narkotyki na morzu, wiozą do kamieniołomów, rozsyłają do Ameryki w blokach marmuru i po Włoszech ukryte w pyłe marmurowym, a Laprua jest na czele tego wszystkiego.

- Nie ma wątpliwości. Według mnie powinniśmy przyłapać ich przy najbliższym ładunku. Oczywiście nie przewożą tego za każdym razem, ale przy współpracy kapitanatu łatwo odkryjemy, kiedy wypływają poza wody terytorialne i będziemy mogli ich zatrzymać, gdy będą wracać.

- Zgadzam się. Skontaktujesz się z kapitanatem? Ja w międzyczasie uprzedzę zastępcę prokuratora w sprawie nakazów.

- Doskonale.

Ciuffi wyszedł, a Ferrara poinformował o wszystkim Annę Giuliatti, potem rozparł się wygodnie w fotelu i zapalił cygaro.

- Szefie - powiedział Fanti zza drzwi - Venturi mówi, że ta pijana kobieta

ma ważne informacje, ale chce rozmawiać tylko z panem... Wie, kto zabił Stellę.

My też to wiemy, pomyślał, uśmiechając się Ferrara, ale warto było posłuchać i jej wersji, a poza tym miał teraz chwilę wolnego czasu.

- Powiedz, żeby ją tu przywieźli.

⊕ XXXIII ⊕

Elisa stanęła przed Ferrarą. Komisarz popatrzył na nią z zaciekawieniem, kiedy wchodziła do pokoju. Wydawało się, że ledwie trzyma się na nogach, ważyła też więcej, niż kiedy ją poznał, i miała zupełnie inne spojrzenie. Jej oczy od zawsze przesłonięte smutkiem teraz były przestraszone.

- Komisarzu, chciałam z panem porozmawiać - powiedziała, gdy tylko usiadła na krześle dla gości.

- Właśnie wróciłem i powiedziano mi... Ale dlaczego zaczęłaś znowu pić?

- Nie zaczęłam, to znaczy, nie tak... leczyłam się... ostatnio miałam w środku taki lęk. Nie mogłam dać rady.

Wybuchnęła płaczem.

- Odwagi, Eliso, nie wolno tak.

Komisarz wstał z fotela, obszedł biurko i usiadł na krześle obok niej. Podał jej chusteczkę. Potem wezwał Fantiego i powiedział, żeby przyniósł dwie kawy i butelkę wody.

Elisa otarła łzy. Wydawała się jeszcze smutniejsza. Komisarz starał się ją pocieszyć i poprosił, by obiecała, że nie będzie już piła.

- A teraz powiedz, co się stało - zachęcił ją łagodnie.

- Nie wiem dokładnie... chyba ta biedna Anila... ona nie była nawet narkomanką, wie pan?

- Ta zmarła dziewczyna z Ospedale Nuovo?

- Właśnie tak, ona, komisarzu... ale ona nie umarła, zabili ją, brat ją zabił, wiem, prędzej czy później tak musiało się to skończyć.

- Opowiadaj po kolei - zachęcał ją Ferrara poruszony tym stwierdzeniem, które wprowadzało całkiem nowy element do całej historii. Mogły to być halucynacje kobiety zamroczonej alkoholem, ale należało to sprawdzić.

- Ale jak?
- Znałaś ją?
- Słabo, ale było mi jej żal.
- Jak ją poznałaś?

Nie odpowiedziała. Popatrzyła dookoła z tajemniczą miną.

- No więc?
 - Nie to, żebym ją często widywała, już mówiłam...
 - Rozumiem, ale gdzie ją spotkałaś?
 - U mnie w domu - odpowiedziała kobieta wyraźnie zakłopotana.
 - Jak to?
 - To nie może wyjść, komisarzu. No bo ja czasami... bo jak nie, to nie daję rady, wie pan?
 - Czasami co?
 - Wynajmuję dom któremuś ze starych klientów, a on przyprowadza sobie przyjaciółkę, rozumie pan?
 - Tak, i nie masz czym się martwić... ale nie wolno ci tego więcej robić, zgoda?
 - Tak, komisarzu - obiecała.
 - Czyli jeden z twoich klientów przyprowadził tam Anilę?
- Elisa przytaknęła.
- Kiedy?
 - Pierwszy raz ponad rok temu.
 - Ale ona była jeszcze dzieckiem.
 - Właśnie... dlatego było mi jej tak szkoda.
 - Kim był ten klient?
 - Tego nie mogę powiedzieć, komisarzu.
- Ferrara nie nalegał. Potem mógł do tego wrócić.
- Ale to nie on ją przyprowadził - kontynuowała - przyjeżdżała z bratem, Albańczykiem, który miał na imię Viktor. On potem po nią wracał.
- Imię, które Guzzi wskazał jako imię szefa Albańczyków w rozmowie z

Ciuffim, natychmiast zwróciło uwagę komisarza.

- Co to za typ?

- Gwałtowny. To on ją zabił, jestem pewna tego, co mówię, komisarzu, ale jeżeli się dowie, że o tym powiedziałam, mnie też zabije.

- Mogłabyś go opisać?

- Nie za bardzo... wysoki, blondyn, brzydka twarz ze złamanym nosem.

- Dobra, ile razy przychodzili?

Przez chwilę myślała.

- Wszystkiego trzy razy, tak mi się wydaje.

- To znaczy, że nie znałaś jej za bardzo. Tylko ją widziałaś. Nie zostawałaś wtedy tam?

- Nie, nie komisarzu - odpowiedziała prawie oburzona. - Ja muszę wychodzić, ale dwa razy brat przyszedł po nią trochę później, ja zdążyłam wrócić, kiedy klient już wyszedł. Prosiła mnie, żebym z nią posiedziała, bo ja czekałam na dole, wie pan?

- I co ci powiedziała?

- Że się boi... mówiła słabo po włosku i bez przerwy płakała, biedaczka. Przyjechała z Albanii z bratem, który ją posuwał, tak można powiedzieć, prawda, komisarzu? Odkąd miała sześć lat, bił ją i sprzedawał. Mówił, że ją kocha, ale potem kazał jej robić różne rzeczy... Tak mówiła ostatnim razem, potem już jej nie widziałam... tylko tę fotografię.

- Kiedy to było?

- Miesiąc temu mniej więcej.

- A ten Viktor? Widziałaś go potem?

- Nie, na szczęście nie - odpowiedziała z drżeniem.

- Dlaczego myślisz, że to on ją zabił?

- Bo ona nie była narkomanką, komisarzu... to była biedna nieszczęśnica, miała brata wieprza, ale ona była czysta, rozpoznałabym. To on kazał ją odurzyć, ten zwierzak! I biedna zmarła.

- Rozumiem... a nie mógł to być ten twój klient?

- Nie, nie, ten to ktoś porządny, pracuje jako pijarowiec, bogaty facet, nie dawał jej świństw.

„P” jak pijarowiec. „P” jak Palladiani, powiedział sobie Ferrara, znów myśląc o klejnocie i czując, jak zaczyna go oplatać sieć nowych skojarzeń.

- Powiedziałaś, że jak się nazywa? - zapytał.

- Ugo, Ugo Palladiani, wie pan ten - odpowiedziała, zdając sobie sprawę dopiero w tej chwili z podstępu. - Och nie! Komisarzu... To nie może się wydać...

- Nie martw się, i tak już wiedziałem, a ty nie musisz już chronić tego nazwiska... on też nie żyje - pocieszył ją.

- Jak to? - zapytała przestraszona.

- Zdarza się, niestety - tyle jej powiedział.

Pochyliła głowę, a jej oczy znów wypełniły się łzami.

- Powtórzmy - zaproponował Ferrara, mówiąc to bardziej do siebie niż do Rizza, który zajął teraz miejsce Elisy, uspokojonej po raz setny i powierzonej technikom, którzy mieli zrobić portret pamięciowy Albańczyka.

- Stella, która naprawdę miała na imię Anila, była siostrą Albańczyka o imieniu Viktor, który ją zniewolił. Została znaleziona rano dwudziestego dziewiątego lipca obok pawilonu Ugo Palladianiego, w którym, jak wiemy, tego dnia przebywała. Palladiani, który już wcześniej miał kontakty z Anilą, został zabity w nocy z czwartego na piątego sierpnia, kilka dni po śmierci dziewczyny. Mężczyzna był mężem Simonetty Tonelli, właścicielki trzech kamieniołomów w okolicy Carrary. Kamieniołomy są eksploatowane przez przedsiębiorstwo, które używa ich do przemytu narkotyków. W przemyt zamieszani są florentyńczyk i dwóch Albańczyków, którzy jakby przypadkiem należą do grupy Viktora. Simonetta Tonelli, po mężu Palladiani, i mój przyjaciel, Massimo Verga... Co może znaczyć to połączenie faktów?

Rizzo oddałby pół pensji, aby znać odpowiedź, drugie pół, żeby zapalić papierosa, bo szef nie tolerował palenia w swoim gabinecie, gdyż psuły mu

zapach, jak mówił, toskańskich cygar.

- Z jednej strony mamy handel środkami odurzającymi, z drugiej ten seks. Prawdopodobnie obie te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, ale splotły się, bo uczestniczący w przemyśle i w orgiach nawzajem się znali.

- Może tak być - przyznał niechętnie Ferrara, obracając między palcami spinkę, którą wziął od swojego zastępcy.

- Tak czy tak, prawdę poznamy, dopiero kiedy położymy łapę na tym Laprua. Kiedy sprawa się ruszy?

- O to samo zapytała mnie kilka minut temu prokurator, kiedy jej relacjonowałem zeznanie Elisy. Siedzi mi to na głowie, ale... Jeszcze nie wiem... czas nagli, ale nie mogę ryzykować błędnego posunięcia. Nie doszedłem jeszcze, co z tym wszystkim wspólnego ma Massimo Verga.

- Stary będzie wiedział - stwierdził Rizzo.

- Nie mamy definitywnych dowodów, Francesco, to najbardziej delikatny moment. Może stwierdzić, że nic nie wie o narkotykach, że to inni je przemycają, wykorzystując jego przedsiębiorstwo.

- Także to rybackie? - zapytał zastępca, zdając sobie sprawę z ogromnego napięcia, jakie przeżywał w tym momencie jego szef, nagłony koniecznością działania i powstrzymywany obawą, by nie popełnić błędu, bo błąd mógł być wyrokiem dla przyjaciela.

- Musimy ich złapać na gorącym uczynku. Zawiadomiłeś kapitanat?

- Tak, zgodzili się. Będą ich dyskretnie obserwować.

- Dobrze... albo źle. Jeszcze czegoś nam brakuje, nie ma wszystkich elementów. Może jak przesłucham tego Zancarottiego i Albańczyków, kto wie...

- Chce ich pan przesłuchać?

- W tej chwili to nieodzowne. Prokurator Giulietti dała mi zezwolenie i uzgodniłem to z dyrektorem więzienia, którego znam. Jutro po południu tam pojedę.

- Chce pan, żebym pojechał z panem?

- Nie, dziękuję, lepiej nie.

- Komisarzu - przerwał Fanti - przyszedł mecenas Piero d'Incisa. Przyniósł coś dla komisarza Rizza.

Ferrara popatrzył na zastępcę pytającym wzrokiem.

- To syn - wytłumaczył komisarz Rizzo - prokurator Giulietti prosiła go, żeby przyniósł mi dokumenty ojca.

- Niech wejdzie - powiedział Ferrara.

- Zrobiłem, co mogłem, ale niewiele tego jest, przykro mi - powiedział mecenas d'Incisa, przekazując komisarzowi Rizzowi niewielki stos papierów.

- Jego terminarz, zeszyt z notatkami, ale jak sądzę, wszystkie są związane z medycyną. Zaproszenie na kongres w Cagliari z zeszłego miesiąca z listą uczestników, może to wam się przyda, do rozmowy z kimś... Dołożyłem też jego komórkę z zapisanymi wiadomościami.

- Dziękujemy, mecenasie, był pan bardzo skrupulatny - powiedział Rizzo, kiedy Ferrara zaczął przeglądać terminarz.

- Wolałem ja to zrobić, żebyście nie niepokoili MAMAN, na ile to możliwe. Jest jeszcze w szoku, lepiej byłoby oszczędzić jej dodatkowych wrażeń, a ja, niestety, muszę jutro wyjechać. Czekają na mnie w biurze w poniedziałek, wieczorem mam samolot, ale z Fiumicino, dlatego muszę jechać do Rzymu.

- Proszę zostawić jakiś kontakt do siebie, gdybyśmy czegoś potrzebowali - poprosił Ferrara z roztargnieniem, wciąż myśląc o Massimie, Simonecie i Laprua...

- Oczywiście - odpowiedział adwokat, wyjmując wizytówkę i kładąc ją na biurku Ferrary, by dopisać na niej numer swojego prywatnego telefonu. Jakiś nieopatrzny ruch rozrzucił kilka kartek i sprawił, że leżąca na blacie spinka zatańczyła na zniszczonym sztyfcie.

- A więc znaleźliście? - zapytał zaskoczony Piero d'Incisa.

- Co?

- Spinkę taty. Gdzie ją znaleźliście? Nie miał jej na sobie, kiedy został odnaleziony, prawda?

- Jest pan pewien, że to należało do pańskiego ojca? - zapytał pośpiesznie Ferrara, nie odpowiadając mu.

- *Mais oui*¹⁷, to jego inicjały! - wykrzyknął, biorąc przedmiot do ręki i pokazując to jednemu, to drugiemu policjantowi w sposób, który jeszcze kilka minut temu wcale nie przyszedł im do głowy.

Zasugerowani zdjęciem, które zrobił Rizzo, gdzie słońce umieszczone było w górze tak, by wyraźnie widać było literę „P”, patrzyli na obraz z odwrotnej strony.

- Widzicie? „L”, „d”, „I”, czyli Ludovico d’Incisa... znam to dobrze, kazał sobie to zrobić wiele lat temu u jubilera z Genewy, jak do mnie przyjechał. Bardzo lubił ten klejnot.

Ferrara i Rizzo popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

- Niech pan posłucha, mecenasie... - zaczął szef wydziału śledczego.

Piero d’Incisa coraz bardziej bladł, w miarę jak Ferrara opowiadał mu o śmierci Anili i o rozwoju śledztwa, aż do odnalezienia klejnotu na miejscu, w którym porzucono umierającą dziewczynkę. Komisarz ominął sprawę pawilonu i prawdopodobnej działalności pedofilskiej, by nie za bardzo zadziałać na emocje syna już i tak dostatecznie poruszonego rewelacjami, ale i tak kiedy Ferrara skończył mówić, mężczyzna był całkowicie załamany.

- *Ca nest pas possible, pas possible...* To niemożliwe, niemożliwe...

Czekali w milczeniu, by uporał się z tą wiadomością i bólem.

- Niestety, takie są fakty, rozumie pan... - powiedział w końcu komisarz.

- Oczywiście, musicie... Och, **MON DIEU...**

- Niestety, będę musiał prosić prokuratora o nakaz przeszukania mieszkania, mecenasie, nie mogę tego nie zrobić.

- A gdybym ja wam pozwolił? - zaproponował d’Incisa po długiej chwili zastanowienia.

- Pan?

- Wiem, to wydaje się nielogiczne, żebym to był ja, syn, adwokat... ale oprócz tego, że nie chcę przeszkadzać w odkryciu prawdy i mam nadzieję, że

będzie inna, to wolałbym trzymać matkę z dala od tego wszystkiego. Jutro rano pójdzie do kościoła na mszę na dziewiątą... Wyjdzie z domu mniej więcej o ósmej i mogę tak zrobić, żeby potem została zabrana na spacer do parku.

- Przeszukanie może potrwać dość długo.

- Podejmę to ryzyko... W razie potrzeby wymyślę coś innego, żeby ją zatrzymać poza domem, ale nie widzę innego wyjścia. Byłoby o wiele gorzej, żebyście przyszli do naszego domu z nakazem, rozumie pan?

- Tak, rozumiem, czyli jutro rano przed dziewiątą?

Mężczyzna przytaknął, podziękował, pożegnał ich i wyszedł niepewnym krokiem podobnym do tego, jakim weszła do biura Elisa Rocca, kiedy przekraczała ten próg ledwie kilka godzin temu.

Ferrara zadrżał.

⊕ XXXIV ⊕

Ferrara wraz z Rizzem, Venturim i trzema funkcjonariuszami technicznymi zjawił się w domu d'Incisy dziesięć minut przed dziewiątą. Jeden był ekspertem od informatyki. Adwokat był sam i czekał na nich.

- Postaramy się nie narobić bałaganu - zapewnił komisarz.

Mężczyzna wzruszył ramionami z ewidentnym sceptycyzmem, ale poszedł z nimi niespokojny, chcąc, by wszystko zostało odłożone na miejsce, by nie musiał matce niczego tłumaczyć. Krążył od pokoju do pokoju, bo policjanci rozdzielili się, by przebadać wszystko w jak najkrótszym czasie. Venturi skoncentrował się na salonie, dwóch innych techników zaczęło od pomieszczeń dla służby. Ferrara i Rizzo z ekspertem od informatyki sprawdzali sypialnię i gabinet profesora, ten ostatni szczególnie dokładnie. Wysypywano zawartość szuflad, oddzielano notatki, kwity, druki czeków, fotografie. Technik włączył komputer na biurku profesora i podłączył go do swojego laptopa. Dostęp był zablokowany hasłem, więc mężczyzna starał się je złamać. Po kilku bezskutecznych próbach kazał podać daty urodzin wszystkich członków rodziny. Udało mu się przy piątej, była to data narodzin córki. Skopiował całą zawartość dysku. Rizzo, który w międzyczasie poszedł do sypialni profesora d'Incisy, zawołał Ferrarę:

- Jest tu jakiś sejf - powiedział, pokazując drzwiczki, które pojawiły się po zdjęciu ogromnych rozmiarów obrazu, który teraz stał na podłodze oparty o ścianę. Sejf mierzył około metra na metr i miał zamek na kod elektroniczny.

- Zna pan kombinację? - zapytał komisarz Piera D'Incisę, który do nich dołączył, słysząc wołanie.

- Nie. Nie wiedziałem nawet, że ojciec ma sejf.

- Jeżeli nie uda nam się go otworzyć, obawiam się, że będziemy musieli

wezwać techników, by go sforsowali - wyjaśnił Ferrara.

- Niech pan spróbuje z datami urodzenia, jak to zrobił pana człowiek.

Wezwał eksperta i kazał sobie podać kody, zaczął tym, który dał dostęp do komputera. Zamek zadziałał natychmiast. Drzwi sejfu otworzyły się ze szczękiem. Ferrara odchylił je na całą szerokość. Były tam trzy półki pełne dokumentów i różnych przedmiotów. Wielkie skórzane pudełko z pięcioma cennymi zegarkami automatycznymi, które nadal chodziły, szkatułka z błękitnego pluszu z dziewiętnastoma parami identycznych klejnotów takich jak ten odnaleziony przez Pietra Franceschiniego, co zaszokowało syna, ale nie Ferrarę, kamera cyfrowa marki Sony, różne płyty opisane numerami i symbolami oraz teczki z dokumentami. Ferrara podał płyty ekspertowi.

- Niech pan zobaczy, co zawierają.

Potem otworzył kamerę i zobaczył, że w środku jest taśma. Zamknął ją i znalazł w sejfie kabelki do podłączenia urządzenia do telewizora.

- Chce pan ze mną obejrzeć? - zapytał adwokata, idąc do studia.

Rizzo został, by przeglądać dokumenty.

- Powiedziałbym, że to mój obowiązek - powiedział adwokat.

Podłączyli kamerę do telewizora, ale zanim mogli włączyć film, technik zawołał ich z drugiego pomieszczenia. Podeszli do niego. Przez ekran komputera przepływały zdjęcia nagich dzieci.

Adwokat zbladł.

- Proszę to wyłączyć - rozkazał Ferrara.

Potem kazał włączyć film.

Dziewczynka, raczej dziecko, rozgląda się dookoła przestraszona widokiem mężczyzn, którzy ją otaczają. Mężczyźni są słabo widoczni, ale widać, że są dystyngowani, bogaci.

Starzy. Potwornie dla niej starzy, ale to na niej nie powinno robić wrażenia. Nie powinny zawstydząć jej zamglone spojrzenia ani pobudzone przebłyskami lubieżności ręce, które jej dotykają, ślady śliny, które po kolei zostawiają na jej policzkach i na szyi. Przeciwnie, to ona powinna ich

stymulować, gdyby było trzeba. Ale dziewczynka była zbyt piękna, a oni zbyt starzy i chcieli od niej sztuczek, których ona jeszcze nie zdążyła opanować.

Piękniejsza od innych, o wiele młodszych dzieci, na które trochę niestabilnie kierowała się kamera prowadzona niewprawną ręką. Tamte dzieci też były nagie, zmuszone do dotykania genitaliów starców rękoma i sutkami oraz do dotykania się nawzajem pod czujnym okiem despotów.

Kamera szybko się po nich prześlizgiwała, bezzwłocznie wracając, kiedy tylko to było możliwe, właśnie do niej. Była królową tej obscenicznej orgii.

Onieśmielona nierealnym otoczeniem, w którym mieszały się światła, kolory i nuty ogłuszającej symfonii śmiechów i sprośnych pogardliwych komentarzy panów tego domu, grzeczna i posłuszna, jak jej nakazano, Anila pozwalała się dotykać, pieścić, rozbierać, przechodziła od jednego do drugiego mężczyzny z kieliszkami szampana i pastylkami ekstazy. Słyszała słowa, które do niej szeptano, ale ich nie rozumiała. Była tam, lecz nie uczestniczyła w tym, co się działo, i to wystarczało starcom gotowym na wszystko, by choć raz jeszcze poczuć smak młodego ciała.

Wystarczało wszystkim, ale nie Ugo Palladianiemu, który nieusatysfakcjonowany pasywną dyspozycyjnością Albanki stęknął zawiedziony:

- Jest zbyt sztywna, niech ktoś ją rozluźni.

Ściśnięto jej ramię gumą, a kiedy ukazała się żyła, wbito igłę. Nie oponowała, nie protestowała. Szybko wpadła w otchłań, która pewnie pełna była obrazów, obscenicznych scen, które uwolniły się z klatki ekranu, by zalać jej mózg i rozdzwonić się ogłuszająco w umyśle. Spadła z kanapy na podłogę i starała się zakryć sobie uszy rękoma, ale nie była w stanie poruszyć ani rękoma, ani nogami. Widać było, że ma mdłości. Drżała z zimna mimo potu, który perlił się na ciałach imprezujących.

- Co za szlag teraz to jest naprawdę sztywna.

Stwierdził zaniepokojony głos spoza kadru, po którym dało się słyszeć jakieś ponure pomruki i potakiwania. Ferrara zbladł. W tym momencie obraz

zniknął, po nim nastąpił gwałtowny ruch, a potem pojawił się neutralny, brązowy kolor jakby kolor skóry. Ale kamera nadal nagrywała dźwięki.

- *Dajcie zobaczyć.*

Inny głos, który wydał się Ferrarze głosem Ludovica d'Incisy niewidocznego na nagraniu, powiedział:

- *Co jej daliście?*

- *Dostała heroinę, profesorze.*

- *Ile, idioto?! Przecież ta jest na handel!*

Nagłą ciszę przerwał histeryczny krzyk:

- *Zabierzcie ją stąd, zabierzcie ją stąd! Natychmiast! Wynocha stąd wszyscy!*



Piero D'Incisa zakrył sobie oczy. Drżał z wściekłości i bólu. Zdawało się, że został unicestwiony. Był zdruzgotany.

Ferrarze było go żal.

- *Rozpoznał pan głos?*

Mężczyzna przytaknął.

- *Szefie, może pan przyjść tu na chwilę?* - zapytał Rizzo, który wszedł z dwoma kartkami w rękę i stał w milczeniu zahipnotyzowany obrazami, które przepływały po ekranie.

Ferrara poszedł za nim, adwokat został sam. Siedział nieruchomo na kanapie w stanie całkowitego oszołomienia.

Oddalili się tylko na tyle, by mężczyzna nie słyszał, co mówią. Rizzo pokazał kartki.

W centrum na górze pierwszej z nich był ten sam herb co na klejnocie d'Incisy. Trochę niżej, starannym pismem na środku strony było napisane:



Loża Niewiniątek

Tekst był następujący:

Przysięga.

Ja niżej podpisany, Ugo Palladiani, w obecności braci tu powołanych łączę się z nimi szczerze i uroczyście. Z mojej własnej woli obiecuję nie ujawniać nikomu sekretów tego stopnia.

Przysięgam być posłuszny statutom, regulaminom i dyspozycjom należnym stopniowi Tajnego Mistrza, dopóki nie będą niezgodne ze szczerymi impulsami mojego rozumu. Obiecuję być posłuszny prawom wewnętrznym i decyzjom tej Loży, dopóki będę jej członkiem.

Obiecuję i przysięgam być wierny aż do śmierci ochronie każdej tajemnicy, która zostanie mi powierzona, każdemu zadaniu, które zostanie mi przydzielone, każdemu obowiązkowi, którego zażąda ode mnie dobro kraju, rodziny, dobro mojego brata i przyjaciela, a także przysięgam nie opuścić ich nigdy w potrzebie, w niebezpieczeństwie i w prześladowaniu.

Obiecuję zniszczyć w sobie każde uprzedzenie i przesąd i starać się pogłębiać swoją kulturę inicjacyjną i świecką.

Florencja, 24 marca 1999

Ugo Palladiani



Pod tym następowały nieczytelne podpisy inspektora regionu, oratora i sekretarza.

Drugi dokument był jeszcze bardziej poruszający. Dotyczył stopnia wtajemniczenia Palladianiego. Pośród przyjaciół, promotorów, wszystkich trzydziestego, trzydziestego pierwszego i trzydziestego trzeciego stopnia figurowało nazwisko Alberta Galla, prokuratora Republiki Włoskiej we Florencji.

To do niego należał głos spoza kadru, który słychać było na filmie.

⊕ XXXV ⊕

- Nieprawdopodobne - skomentowała Anna Giuliotti, oddając mu kartkę z przysięgą. Była bardzo poruszona, choć nie chciała w to uwierzyć. Odczuwała lęk. Do tej paskudnej sprawy związanej z wieloletnim handlem narkotykami doszła teraz wiadomość, która zatrzęsie posadami władzy sądowniczej.

Był już wieczór. Siedzieli w zaciszu pergoli na tarasie Ferrarów. Upał osłabł nieco i Petra przygotowała aperitify. Usiadła obok swojego mężczyzny. Za każdym razem, kiedy odkrywała otchłanie hańby, które mogły mieszkać w duszy ludzkiej, a w zawodzie męża zdarzało się to często, otwierała oczy ze zdumienia i wołała:

- *Ach Du lieber Gott!* Czy to prawda, Michele?

Ferrara był w złym humorze. Właśnie wrócił z przesłuchania trzech mężczyzn w więzieniu w Sollicciano. Przesłuchanie zupełnie nic nie dało. Albańczycy, Nard i Alex, milczeli, udając, że nie rozumieją po włosku, i nie pomogły ani prośby, ani groźby. Zancarotti był pozornie bardziej podatny na manipulacje, ale czy to prawda, czy nie, stwierdził, że jest malutką płotką, wręcz płoteczką, że o Zi Turim tylko słyszał i nie wie nic, jak działa jego klan i interes. Przestraszył się tylko odrobinę pod koniec, kiedy straciwszy cierpliwość, komisarz postraszył, że oskarży go o współudział w zabójstwie Claudii Pizzi. Wyraźnie się ucieszył, kiedy Ferrara zaproponował mu program ochrony świadków, jeżeli będzie współpracował, i dał nie więcej niż dziesięć godzin na decyzję.

- Teraz to jasne - powiedziała prokurator - dlaczego Galio chciał zablokować śledztwo skierowane na ślad masoński, a ja w to wpadłam jak śliwka w kompot! I wiadomo już, dlaczego poparł twoje zawieszenie. Już nie

mówiąc o tym, co przeszłam, aby dostać nakaz wydania karty szpitalnej z Ospedale Nuovo, albo, a to było jeszcze gorsze, jak się dowiedział, że petycja o twój powrót do służby wyszła także ode mnie. Uratował mnie jedynie fakt, że wmieszała się w to też prokuratura w Lukce, inaczej pewnie by mnie tu już nie było.

- Dziękuję.

Ferrara był jej naprawdę wdzięczny, niewielu zastępców ma odwagę przeciwstawić się woli własnych szefów, nawet kiedy wiedzą, że tamci nie mają racji.

Petra, która słuchała ich z uwagą, dziwiła się łatwości, z jaką raz po raz Anna i Michele zamiennie mówili do siebie per ty i per pan, pani.

- Myślałam, że ma jeszcze coś osobiście do pana z powodu tamtych starych spraw...

- Nie, wszystkie zostały zakończone - doprecyzował Ferrara.

- A poza tym... To, co się stanie, nie będzie wcale przyjemne. Będzie musiał nam powiedzieć, kim byli inni uczestnicy tej orgii, pomóc nam ich odnaleźć...

- Niektórych nie będzie trudno znaleźć. Mamy kompletną listę członków Łoży Niewiniątek¹⁸... Pomyśl, co za odwaga! Co za absurdalna, bluźniercza wręcz nazwa... Jaką mentalność muszą mieć ci zbrojeńcy!

- Założę się, że wszyscy przysięgną, iż kochają dzieci.

Ferrara i żona wymienili spojrzenia pełne obrzydzenia pomieszanego z bólem.

- Trudno będzie dotrzeć do wszystkich tych biednych dzieci - stwierdził.

- Właśnie o nich myślałam - stwierdziła Anna Giuliatti.

- Mamy film, ale jeżeli dzieciaki są nielegalnymi imigrantami, kto wie, gdzie są teraz.

- Tak - westchnęła smutno kobieta - przynajmniej dzięki temu, co pan odkrył, możemy rozszerzyć śledztwo o trzysta sześćdziesiąt stopni, włączając wszystkie siły policji narodowej i międzynarodowej. Zajmie to całe miesiące,

może lata, ale w końcu ktoś za to zapłaci, to mogę obiecać. Ferrara, ale pan...

- Tak, wiem, oczywiście, niczego nie pomijam, pamiętam o drugim aspekcie tej sprawy, mam więcej do stracenia niż pani, proszę mi uwierzyć. Tyle że muszę definitywnie dopaść tego Laprua. I nadal nie jestem w stanie zrozumieć związku pomiędzy orgiami w pawilonie a interesem narkotykowym tego starego Sycylińczyka, no może pominąwszy Viktora, brata Anili, dla którego przeznaczone były narkotyki z autostrady.

- Myśli pan, że uda nam się go zidentyfikować? To może być ważny element.

- Mamy portret pamięciowy, jest u komisarza Ciuffiego z sekcji narkotykowej. Dowiedziałem się dzisiaj, że w pewnych środowiskach mówi się o niejakim Viktorze Makregi, bezlitosnym szefie bandy, która od jakiegoś czasu działa na terenie Toskanii, co jest dość dziwne, zważywszy na naprawdę dużą mobilność albańskich grup przestępczych, ale nikt, niestety, o nim wiele nie wie. Ludzie albo się boją, co jest możliwe, zważywszy, jaki to typ, albo on umie się dobrze ukrywać.

- Rozumiem - powiedziała Anna Giulietti.

- Jednakże, jeżeli chodzi o tego Laprua, niech się pani nie obawia. Michele da radę, bo to ten mafioso, który ma w ręku Simonettę, a więc i naszego Massima - stwierdziła spokojnie Petra, omijając cichą regułę mówiącą, że nie wtrąca się do pracy męża, szczególnie w obecności osób obcych, a cóż dopiero w obecności urzędnika państwowego, ale to było silniejsze od niej i nie zdołała się powstrzymać.

- Albo on, albo Viktor - wyjaśnił komisarz.

Obie kobiety zwróciły na niego pytające spojrzenia. Oczy Ferrary zmieniły się w szparki jak oczy kota i po krótkiej pauzie mówił dalej:

- Długo nad tym myślałem. Wiemy teraz z całkowitą pewnością, kto zabił Anilę. To był wypadek, za który są odpowiedzialni wszyscy uczestnicy bankietu, przede wszystkim obaj denaci, Ugo Palladiani, właściciel pawilonu i prawdopodobny organizator tamtego wieczoru, i Ludovico D'Incisa,

przewodniczący loży i faktycznie ten, kto pozbył się ciała, wyrzucając je na drogę, a potem wstrzykując śmiertelną dawkę narkotyku.

Ciekawe, obaj główni podejrzani umierają... Dotychczas myślałem, że D'Incisa najpierw zabił Palladianiego ze strachu, że ten będzie mówił, a potem odebrał sobie życie. Możliwe? Może dla kogoś normalnego, ale ktoś, kto jest szefem potężnej klikki masońskiej z układami u władzy sądowniczej i kto wie, gdzie jeszcze...

Anna Giulietti przytaknęła zamyślona. Śledziła ciąg myślowy Ferrary i zaczynała go wyprzedzać.

- Podczas gdy Viktor...

- Właśnie. Jaka jest jedna z najczęstszych przyczyn zabójstw? Zemsta. Ałbańczyk kochał siostrę... W perwersyjny sposób, zgoda, ale kochał. Na dodatek ciągnął z niej pewne dochody. Nieletni nie prostytuują się za grosze. Tej nocy stało się coś, czego nie można było przewidzieć. Członkowie Loży Niewiniątek przyczynili się do śmierci Anili. Jak na to mógł zareagować Viktor, kiedy przyszedł tam po nią, i prawdopodobnie nie zastał nikogo? Pawilon został opuszczony szybko i w pośpiechu.

Obie kobiety przytaknęły zafascynowane mimo wszystko, bo rekonstrukcja wydawała się układać wszystkie części na swoje miejsce.

- Viktor to gwałtownik. Zna Palladianiego, prawdopodobnie innych nie. Palladiani boi się i chce uciec za granicę, Viktor dopada go w willi żony i zabija go narkotykami jak on zabił Anilę, ale tortury? Po co by to robił?

- Żeby tamten podał mu nazwiska innych? - odpowiedziała nagle Petra.

- Potem znajdujemy kolejnego, ten też przedawkował - dodała Anna Giulietti coraz bardziej zdenerwowana.

- To tylko hipoteza, zwróćcie uwagę - doprecyzował Ferrara.

- Cholernie przekonująca - stwierdziła prokurator. - O wiele bardziej niż inne, tylko gdyby naprawdę tak było...

Nie powiedziała więcej, obawiając się tego, co chciała powiedzieć. Zamiast niej powiedział to Ferrara:

- Gdyby tak było, wszyscy inni, w tym Galio, są w niebezpieczeństwie.

- Trzeba go uprzedzić, oby nie było za późno! - zawołała prokurator, szukając telefonu w torebce.

- Nie, pani prokurator - powstrzymał ją. - Nie może pani. To tylko hipoteza, załóżmy, że nie jest prawdą. Jeżeli jednak jest, tylko byśmy go uprzedzili, a wtedy możemy go nie odnaleźć nigdy, a wraz z nim i innych!

- Żartujesz, Michele? - odpowiedziała rozdrażniona, przechodząc na ty, jakby nie było już mowy o oficjalnych rozmowach. - Czego chcesz? Odwołujesz się do mojego sumienia? Życie człowieka wobec triumfu sprawiedliwości? Zdziwisz się bardzo, że to powiem, ale mam gdzieś sprawiedliwość.

Ferrara się uśmiechnął. Pierwszy raz słyszał, jak wyraża się w ten sposób i to na temat, któremu poświęciła całe życie. Wyraźnie ta kobieta miała nie tylko jaja, ale i serce.

- Zadzwoń więc do niego, ale tylko żeby się upewnić, że żyje, i żeby z nim pogadać. Wymyśl coś. Ja w tym czasie uprzedzę ludzi, aby wysłali patrol do pilnowania jego domu. Odtąd będziemy go chronić, jakby był samym prezydentem republiki, a on nawet tego nie zauważy, bądź spokojna. I wiesz, co ci powiem?

- Co?

- Założę się, że jak mu założymy kajdanki, odetchnie z ulgą.

Kiedy załatwili telefonicznie, co trzeba, wrócili do przerwanej rozmowy.

Robiło się ciemno i Petra zaproponowała, że przygotuje kolację także dla pani prokurator, która po krótkim wahaniu przyjęła zaproszenie.

- Jest tylko jeden słaby punkt w tej hipotezie - powiedział Ferrara, kiedy żona się oddaliła.

- To znaczy?

- Simonetta i Massimo. Jeżeli Viktor zabił Palladianiego, to dlaczego nie zlikwidował także ich? Po co by ich porywał?

Anna Giuliotti zniżyła głos, by Petra jej nie usłyszała.

- Przykro mi, Michele, wiesz, co myślę... Mógł zrobić to potem.

- Tak - odpowiedział po prostu komisarz, a panią prokurator zaskoczył chłód, z jakim wymówił to słowo, choć sama myśl o tym była dla niego nieznośna. - Pytam jeszcze raz: dlaczego? Dlaczego nie tam?

- Może, aby stworzyć fałszywy trop, który zmylił karabinierów.

- Myślałem o tym, Anno, i nie pasuje mi to, wierz mi. Ktoś taki jak on, wściekły, niemożliwy do znalezienia, skazany tak czy tak na nielegalność, snuje plany pościgu? Nie, nie mamy do czynienia z wyrafinowanym przestępcą, to jest bestia, ktoś, kto gwałcił własną siostrę, ktoś, kto wykorzystuje kobiety i macza palce w narkotykach... to mafioso ze wschodu.

- A to znaczy? - zapytała, nie wiedząc, co powiedzieć, Anna.

- Nie wiem i to mnie martwi... Nie wiem.



⊕ XXXVI ⊕

W poniedziałek 20 sierpnia prefektura we Florencji poruszona była gorączkową działalnością wydziału śledczego od samego rana. Będąc cały czas w kontakcie telefonicznym z Anną Giulietti, Ferrara i jego ludzie przygotowali do podpisu dla prokuratora nakazy zatrzymania dla policji sądowej obejmujące wszystkie osoby, które zostały rozpoznane na filmie. Postawiono im zarzut udziału w zabójstwie oraz posiadania i rozprowadzania substancji odurzających.

Dla osób, których nazwiska widniały na liście Loży Niewiniątek, a których nie było widać na filmie, sporządzono nakazy przeszukania osobistego oraz przeszukania domu i dołożono dodatkowo zarzut udziału w organizacji przestępczej.

Anna Giulietti podpisała wszystko i zarządziła rozpoczęcie akcji. Tak zaczęły się znużające poszukiwania konieczne do odnalezienia wszystkich tych osób, trudne w okresie letnim, bo większość wyjechała na wakacje. Ponad sześćdziesięciu ludzi, pośród nich komisarze, inspektorowie i agenci, otrzymało zadanie wykonania dyspozycji zastępcy prokuratora w jak najkrótszym czasie. Z placu przed prefekturą dochodził bezustanny ryk silników radiowozów, które wyjeżdżały z parkingu.

Ferrara rozdzielał rozkazy sprawnie na chłodno, ale jego myśli były gdzie indziej. Myślał o Massimie Verdze i w konsekwencji o Salvatore Laprua i Viktorze Makregi.

Przed sobą miał portret pamięciowy tego ostatniego, który raz po raz oglądał z bezsilną wściekłością, chcąc wydrzeć mu tajemnicę. Wydawało mu się niemożliwe, żeby ta twarz o wulgarnych rysach, jasnych oczach i jasnych, postawionych jak szczotka włosach i spłaszczonym nosie oraz wystających

kościach policzkowych mogła należeć do człowieka mającego władzę nad życiem i śmiercią jego najlepszego przyjaciela. Zresztą czy to nie ta władza, absolutna i łatwa, bo nie ma nic prostszego, niż przeciąć delikatną nić, która łączy nas z życiem, sprawiała, że pogardzał mordercami, wszystkimi, bez żadnego wyjątku?

Kiedy pod koniec poranka zadania zostały rozdzielone, Ferrara wezwał Ciuffiego. Był żądny nowin, które komisarz z sekcji narkotykowej wydzielał mu bardzo skąpo.

- Co ty masz za informatorów, Luigi?

- Nie o to chodzi, szefie... chodzi o to, że to twardziel i cwaniak. O ile chodzi o Viktora Makregi, Interpol stracił go z oczu w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Dla nich powinien się znajdować w Mołdawii, gdzie widziany był po raz ostatni, niech pan pomyśli... Jest uważany za kogoś bardzo ważnego w światku przestępczym. Jest niebezpieczny i krwawy. Wiadomo to z pewnością od czasu masakry w Tiranie. Prawdopodobnie były to porachunki z rywalami. To nie pierwszy lepszy handlarzyna, komisarzu!

- Znajdź go, Luigi. To on jest kluczem do odnalezienia Massima Vergi. Wiem, czuję to... Wykurz go z nory, a obiecuję ci...

- A co mi może pan obiecywać, komisarzu? Mnie wystarczy, jak go znajdę. Wtedy będę zadowolony na co najmniej dziesięć lat.

Ferrara wiedział, że to była szczerza odpowiedź.

Zwrot nastąpił w pierwszych chwilach popołudnia wraz z telefonem Mazzorellego zapowiedzianym przez Fantiego.

- Może to dobra nowina dla pana, komisarzu - zawiadomił go dyrektor więzienia w Sollicciano, którego poznał w trakcie śledztwa związanego z zabójstwami homoseksualistów kilka miesięcy wcześniej.

- Emilio Zancarotti? Zdecydował się na współpracę?

- Tak mówi. Twierdzi też, że ma ważne informacje dla pana.

- Może pan zorganizować przewiezienie go tutaj? Jestem unieruchomiony, jesteśmy w trakcie poważnej akcji i muszę bezustannie ją monitorować, ale

też pilne jest, bym posłuchał, co ma do powiedzenia Zancarotti.

Mazzorelli pomyślał chwilę.

- To nie będzie łatwe tak natychmiast... ale myślę, że uda mi się coś zrobić dla pana, komisarzy Ferrara.

- Dziękuję, nie wie pan, jak wiele to dla mnie znaczy.

- Kiedyś mi się pan odwdzięczy, komisarzy.

- Jestem gotów mówić, panie komisarzy, bo obiecał mi pan program ochrony świadków, a już nie chcę wracać do tamtej celi. Musi pan powiedzieć dyrektorowi, że tamci jak nic mnie zabijają...

- Spokojnie, Zancarotti.

Ferrara, Rizzo i Ciuffi patrzyli na niego. Był w kajdankach. Dwóch strażników, którzy go przywieźli, stało przed drzwiami na zewnątrz biura Ferrary. Fanti na próżno usiłował zaproponować im kawę. Nawet zatrzymany jej nie chciał, ale poprosił o szklanę wody.

- Chce pan, żebym kazał zdjąć kajdanki? - zaczął Ferrara, patrząc, jak tamten bierze szklanę dwiema rękoma.

- Nie, co mi tam. Chcę, żeby pan zrobił to, co pan obiecał.

- Powoli, powoli. Jeżeli to, co ma pan mi do powiedzenia, jest ważne i będzie miało pozytywne rozwiązanie, zapewnię panu program ochrony, słowo komisarzy. Przede wszystkim, jeżeli pańskie zenania mogłyby zagrozić pańskiemu życiu.

Mężczyzna zrobił grymas.

- Komisarzy, pan nie zna Zi Turiego. Jest potężny. Kaze mnie zamordować, jeżeli zechce. Jeżeli dowie się, że mówiłem nawet w więzieniu, to mnie dopadnie, jak zrobił z tą dziennikarką. Ja panu powiem wszystko, ale musicie mnie chronić, zabrać mnie stąd, wywieźć z tego kraju...

- Zaczynaj mówić, potem zobaczymy. Czyli zna pan go dobrze, tego Salvatore Laprua zwanego Zi Turim, przeciwnie do tego, co powiedział pan przedwczoraj. Niech pan od tego zacznie. Gdzie go pan spotkał po raz pierwszy?

- W Viareggio, jakieś siedem lat temu. Byłem zdesperowany, miałem pełno długów, myślałem, że w takim wypoczynkowym miasteczku łatwiej znajdę pracę, jakąkolwiek, choćby pracę barmana. Ktoś mi powiedział, że jest ten Sycylijczyk, tak go nazywali ludzie z portu, i on szukał ludzi na swoje statki. Ja na łowieniu się nie znam. Nawet trochę boję się morza, ale wiadomo, jak przyciśnie potrzeba... Wziął mnie, ale nie zawsze kazał mi wypływać w morze z innymi, wszyscy to Sycylijczycy jak on, zamknięci w sobie... Och, przepraszam, komisarzu.

- Nic nie szkodzi. Tak, ja też jestem Sycylijczykiem i rzeczywiście niewiele mówię, wolę słuchać, niech pan mówi dalej.

- Kiedy nie wysyłał mnie na morze, brał mnie ze sobą na objazdy. Mówił, że ma wrogów, więc robiłem za jego ochroniarza. Z czasem pozwolił mi mieć przy sobie broń. Mniej więcej po roku, tak, to był dziewięćdziesiąty piąty, obiecał mi, że ustawi mnie w jakimś barze we Florencji, jeżeli pomogę mu w ważnych sprawach. Wtedy kazał mi wypływać na statku nawet na dłuższe rejsy. Płynęliśmy daleko, tam te trzy trawlerzy spotykały statek transportowy. Ze statku braliśmy skrzynie z rybami, ryby wydawały się świeże, ale w środku miały pełno torebek z narkotykami, komisarzu.

Dokładnie tak, jak podejrzewał Ciuffi, który rzucił mu triumfujące spojrzenie. Tę część opowieści można było uważać za prawdziwą, mimo że należało jeszcze znaleźć dowody, ale było nie do pomyślenia, by zmyślał dokładnie to, co było najbardziej prawdopodobne.

- A gdzie potem się podziewały te wszystkie narkotyki?

- On ich nawet nie widział. Wieźli je gdzieś do Carrary, gdzie Zi Turi miał interesy w kamieniołomach marmuru. Tego nigdy nie widziałem na własne oczy, ale słyszałem, jak o tym mówili. A ci, co nam dali narkotyki na autostradzie, jechali właśnie z kamieniołomów.

- To wytłumaczy mi pan później. Niech mi pan powie, dlaczego miał mu pan pomóc otworzyć bar we Florencji.

- Bo służyłem mu i byłem nienotowany wtedy jeszcze. Byłem już w tym

po uszy, a Florencja to dobre miejsce na kontakty przestępcze, szczególnie ze wschodem. Jestem florentyńczykiem, byłem nienotowany, było normalne, że mogłem mieć jakąś swoją działalność. Z ich pomocą szybko zdobyłem odpowiednią klientelę. Byłem tam, żeby pieniądze krążyły i służyły do zakupu kolejnych narkotyków. To był świetny interes. Nawiązałem własne kontakty i udawało mi się przepuścić nawet pięćset milionów, raz nawet miliard. Pieniądze potem wracały do Zi Turiego pomnożone, czy ja wiem, dziesięć razy? Sto razy? Jako że narkotyki wpuszczone na rynek jeszcze je pomnażały.

Ciuffi w myślach policzył oba rachunki i zważywszy na czas, lata, przez które ten handel działał bez przeszkód, otworzył oczy ze zdumienia. Zi Turi musiał być bogatszy niż jakieś średnio uprzemysłowione państwo.

- Rozumiem. Teraz niech pan mówi o swoich kontaktach z cudzoziemcami.

Emilio Zancarotti zaczął wymieniać nazwiska osób w różnych miejscach w krajach Europy Wschodniej i podawał dane kont bankowych na całym świecie używanych do przesyłania pieniędzy za granicę. Wszystkie informacje były cenne. Ciuffi notował je z wyjątkową precyzją, ale ani razu nie pojawiło się imię Viktora ani imiona obu Albańczyków, z którymi go zatrzymano.

Na koniec Ferrara, zanim stracił cierpliwość, zdecydował się zaatakować.

- Imię Viktor nic panu nie mówi?

Emilio Zancarotti podniósł ręce do czoła, by zetrzeć pot, który pojawił się mimo włączonej klimatyzacji.

- Jasne, że mi mówi - odparł z obrzydzeniem. - To przez niego skończyliśmy w więzieniu.

- Gdzie mieszka?

- Kto? On? - powiedział bliski śmiechu. - A co ja mogę wiedzieć? Według mnie tego nie wiedzą nawet tamci dwaj, ten Alex i Nard.

- Gdzie się pan z nim widywał?

- W życiu go nie widziałem. Nie wiem nawet, jak wygląda, wiem tylko, że tamci srają ze strachu przed nim, przepraszam. Tylko o nim słyszałem. Są przerażeni, słysząc o nim. Ja też. Jeżeli chce pan wiedzieć, on ma paskudną opinię nawet wśród albańskich przestępców.

- To dlaczego mówi pan, że to przez niego?

- Bo to on wszystko zorganizował. Narkotyki mieliśmy dać jemu, bo tylko on miał odwagę szantażować Zi Turiego, niech pan się zastanowi...

- To znaczy?

- Te dziesięć kilo heroiny to była zapłata za szantaż.

Serce Ferrary zaczęło mocniej bić.

- Niech pan to lepiej wytłumaczy.

- Jasne, wszystko wiem. Wpakowali mnie w to ci dwaj, Alex i Nard. Znałem ich, przychodzili do baru, byli częścią całego interesu, wiedzieli, że jestem u Zi Turiego, sam im powiedziałem, żeby na nich zrobić wrażenie. W pewnej chwili mówią mi, że szef, ich szef, Viktor, ma wiadomość dla mojego szefa i że ja mam ją mu zanieść. Viktor ma kobietę, która jest ważna dla Zi Turiego, a nazywa się Simonetta i Viktor jest gotów ją uwolnić za dziesięć kilo narkotyku, dla niego, dla Zi Turiego taka ilość to pryszcz. Nawet się nie zastanawiał, tylko powiedział, żebym zrobił, czego żądają, i tyle. I tak zorganizowali wymianę.

- Ale kiedy zabraliście narkotyki, nie dostaliście nikogo w zamian? - zapytał Ciuffi.

- To nie tak miało działać. Viktor nie ufał mafii. Miałem pojechać z Albańczykami, wziąć narkotyki, a potem oni mieli mnie zawieźć na miejsce, skąd miałem odebrać kobietę.

- Tylko kobietę? Nie było tam też mężczyzny? - zapytał zniecierpliwiony Ferrara, niezdolny się powstrzymać, ale zdał sobie sprawę, że głos miał twardy i zmieniony.

Więzień popatrzył na niego zdziwiony.

- Czy był tam jeszcze jakiś mężczyzna? Nic mi nie mówili.

- Wiesz, dlaczego dla Salvatore Laprua ważna jest ta kobieta? - zapytał Rizzo, wyręczając Ferrarę, bo doskonale zrozumiał stan jego ducha.

- Nie, nie powiedzieli mi tego nawet oni. Ja miałem wykonać zadanie i tyle.

- Czyli nie wie pan, gdzie ją trzymają?

- Nie. Mieli mnie tam zabrać, ale interweniowała policja.

- Kobieta nadal jest w rękach Viktora?

- Myślę, że tak, o ile nie zrobili innej wymiany w międzyczasie. Pewne jest, że ten Albańczyk jej nie oddał, skoro nie dostał narkotyków.

- Teraz wszystko postaramy się potwierdzić, Zancarotti - powiedział Ferrara. - A jeżeli to, co nam pan powiedział, okaże się prawdą, program ochrony ma pan zagwarantowany. Teraz każę pana odwieźć, ale poproszę dyrektora, żeby umieścił pana w innej celi. Odtąd lepiej, żeby nie miał pan kontaktów z tamtymi Albańczykami.

- Dziękuję - odpowiedział więzień z ulgą.

Ciuffi pomyślał, że on także powinien zadzwonić do dyrektora Mazzorellego. Należało niezwłocznie odwołać inspektora Guzziego, bo bez sensu, a nawet niebezpiecznie było go zostawiać z towarzystwem Alexa i Narda.



Petra zrozumiała wszystko, gdy go zobaczyła. Nie tylko zmęczona mina i smutny wyraz oczu, ale cała postawa, ciało jakieś wiotkie. To był obraz kogoś, kto przeszedł zbyt wiele walk, ale przegrał ostatnią. Nie powiedziała nic.

Później, kiedy Ferrara męczył się z podniesieniem do ust trzeciego kęsa spaghetti, który byłby i tak ostatni, popatrzyła na niego łagodnie i spokojnie powiedziała:

- Powiedz mi, Michele.

Może to ton jej głosu, może lęk, który towarzyszył mu zbyt długo i teraz go zżerał, może napięcie, które doszło do granic, albo to wszystko naraz wyraziło się dwoma ciężkimi łzami, które popłynęły mu po policzkach.

- A więc to koniec - westchnęła kobieta z takim żalem, że Ferrara poczuł, iż musi jej wszystko opowiedzieć.

Kiedy skończył, zdał sobie sprawę, że Petra szukała słów, które byłyby odpowiednie na tę okoliczność.

- Michele, nie możesz się teraz poddać. **DAS DARFST DU NICHT.** Ten człowiek nie powiedział nic o Massimie, **NICHTS.** Dopóki nie będziesz miał pewności, musisz myśleć, że żyje i czeka na ciebie. Pamiętasz swój sen? Nie wiesz, gdzie jest, ale on cię wciąż wzywa. Ja to czuję, Michele. Słyszę jego głos, nie możesz go i ty nie słyszeć.

Tej nocy koszmar nie wrócił, by uwolnić go od napięcia, ale nie potrzebował go. Pomyślała o tym żona, a rano obudził się wcześniej bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek.

⊕ XXXVII ⊕

Ferrara zanim wcisnął guzik domofonu, sprawdził godzinę. Była punkt dziesiąta rano.

Dojazd zabrał mu niecałą godzinę, ale miał trudności ze znalezieniem via Sant'Andrea, która od kanału biegła w kierunku centrum Viareggio, nie mając marmurowych tabliczek z wypisaną nazwą na rogach domów. W końcu musiał poprosić o pomoc jednego z cywilnych funkcjonariuszy, którzy mieli pod kontrolą okolice budynku.

To był trzypiętrowy dom z balkonem na pierwszym piętrze. Miał fasadę z szarzielonego cementu imitującego kamień.

- Kto tam?

Głos był chropawy, jakby należał do starszej osoby, która ledwie wstała z łóżka.

- Policja, proszę otworzyć.

Dało się słyszeć szczeł i drewniane jasne drzwi się uchyliły. Wszedł na drugie piętro.

Salvatore Laprua czekał na niego na progu. Był wysoki, chudy, miał ciemną karnację i bielusińskie włosy zaczesane do tyłu. Miał na sobie jedwabną piżamę, na niej bordowy szlafrok, także jedwabny, na nogach bardzo eleganckie pantofle. Małe, zaciekawione oczy patrzyły na komisarza, kiedy ten wchodził.

- Jestem komisarz Ferrara, szef wydziału śledczego z Florencji - przedstawił się.

- Sam? - zapytał zaskoczony mężczyzna.

Gdyby przyszedł go aresztować, czego tamten chyba się spodziewał, nie przyszedłby bez swoich ludzi.

- Tym razem tak. Do tego, o czym mamy rozmawiać, wystarczy my dwaj - odpowiedział, wytrzymując jego spojrzenie.

Wymiana spojrzeń dopowiedziała słowa, których język nie powinien wypowiadać.

- Proszę wejść.

Szedł przed nim pięknie urządzone korytarzykiem aż do salonu, gdzie wskazał mu miejsce na kanapie obitej zielonym welurem. Sam usiadał w fotelu obok. Był to mieszczkański salon z kilkoma pięknymi meblami i starym ogromnym telewizorem. Pachniało czystością.

- Jak to się stało, że urzędnik tego szczebla pofatygował się aż z Florencji, by mnie odwiedzić? - zapytał, mieszając język włoski z dialektem sycylijskim.

- Potrzebuję pana.

Mężczyzna skinął głową. Był przyzwyczajony rozdawać i przyjmować przysługi. Starsza, tęga, niska kobieta o zupełnie białych włosach weszła do salonu i popatrzyła na Ferrarę wielkimi oczami.

- Rinuzza... spokojnie, wiesz, ten pan to szef policji we Florencji, taki, co się liczy. Przygotuj kawę - powiedział po sycylijsku.

Kobieta wyszła.

- Komisarzu, to dla mnie honor, że przyszedł pan do mnie do domu. Musi pan wiedzieć, że jesteśmy starymi ludźmi, dwojgiem biednych staruszków, niewiele mamy, jak pan widzi. To, co mamy, to moja ciężka praca, całe życie pracowałem, komisarzu. Teraz jestem na emeryturze, nie mam ani środków, ani zbyt wielu przyjaciół, nie wiem czy... - przerwał.

- To nic trudnego. Musi mi pan tylko pomóc kogoś znaleźć.

- Kogo? - zapytał zaskoczony mężczyzna. - Jakiegoś mojego przyjaciela, kogoś, kogo znam?

- Nie pańskiego, lecz mojego przyjaciela - odpowiedział Ferrara, przechodząc bezwiednie na swój dialekt. - Nazywa się Massimo Verga i zniknął razem z pewną kobietą, Simonettą Palladiani.

Laprua nawet nie mrugnął.

- Ferrara to sycylijskie nazwisko, wydaje mi się, że jest pan Sycylijczykiem. Akcent pana zdradza.

- Tak.

- Będzie nam łatwiej się porozumieć. Ale nigdy nie słyszałem o tym panu, nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

- Ale nazwisko tej pani zapewne tak - stwierdził Ferrara z takim przekonaniem, że mafioso nie zaprzeczył. Wchodzili na teren, gdzie ostrożność była podstawą, bo łatwo było popełnić fałszywy krok.

- Skoro pan tak mówi? Mogę zapalić cygaro? Pomaga odświeżyć umysł, zwłaszcza w moim wieku.

- To pański dom. Zresztą, jeżeli pan pozwoli, poczęstuję pana.

- Musi pan wiedzieć, że ja palę tylko toskańskie, komisarzu.

- Cóż, tak się składa, że ja też. - Wyjął ze skórzanego etui dwa cygara toskańskie.

Laprua zapalił swoje, posługując się złotą zapalniczką Cartiera, która leżała na stoliku. Był to jeden z niewielu dyskretnych znaków bogactwa mądrze wmieszanych pomiędzy skromniejsze sprzęty dostępne dla każdego. Komisarz zadowolił się zwykłą jednorazową zapalniczką z plastiku.

Wróciła kobieta z kawą.

- Rinuzza, zostaw nas samych, mamy do pomówienia o poważnych sprawach - rozkazał, gdy kobieta skończyła podawać.

- No to może mi pan odświeżyć pamięć, komisarzu. Kim jest ta kobieta i dlaczego powinienem ją znać?

- To właścicielka, posiada koncesję na kamieniołomy marmuru podnajęte firmie Estrattiva Mineraria, która ma siedzibę w Bellomonte di Mezzo. Pańskie tereny, prawda? I wie pan, gdzie jest. Została porwana przez Albańczyka, który albo jeszcze ją ma, albo już panu ją oddał.

Zi Turiemu nie drgnął żaden mięsień. Patrzył na Ferrarę ze splecionymi dłońmi.

- Opowiada mi pan jakiś serial telewizyjny?

Wyraźnie chciał zyskać na czasie, policjant wiedział za dużo.

- Wie pan doskonale, że tak nie jest.

Znów zapadła cisza.

- Załóżmy, że jest tak, jak pan mówi... Dlaczego miałbym panu pomóc?

- Bo wiem wszystko, Zi Turi.

Popatrzył mu głęboko w oczy. Użycie tego przezwiska nagle przeniosło piłkę na drugie boisko.

- Raczej nie wszystko. Nie wiem, gdzie jest Simonetta i czy mężczyzna, który był z nią, jeszcze żyje.

Powiedział, chcąc dać przewagę swojemu przeciwnikowi. W negocjacjach musi być jakaś wymiana, tamten musiał myśleć, że walczą tą samą bronią.

- A gdybym panu powiedział, że o tej sprawie nie wiem zupełnie nic? - spróbował Laprua, wiedząc, że to tylko kolejny, niestety, bezużyteczny ruch dla zmylenia przeciwnika.

- Opowiedziałbym o paru kilogramach narkotyków ukrytych w blokach marmuru i zostawionych w porcie w Carrarze, gotowych do wysyłki do Stanów. Powiedziałbym, że mi przykro, ale te bloki nie dotrą nigdy do miejsca przeznaczenia, i opowiedziałbym o trzech trawlerach z imionami pańskich synów jako nazwami, które czasami łowią na szerokim morzu, bardzo daleko, wielką ilość ryb... faszzerowanych... Mam mówić dalej?

Mężczyzna dał ręką znak, by przestał.

- Komisarzu, jesteśmy Sycylijszymi, jesteśmy ludźmi honoru, pan i ja. Jeżeli pan sądzi, że wie pan to wszystko, to dlaczego nie zamknie mnie pan w więzieniu?

- Bo nie mogę.

- To czego pan ode mnie chce? Pieniądzy?

- Uczyniłby pan ze mnie miliardera, gdybym tylko chciał, prawda? Nie, Zi Turi, nie dlatego potrzebuję pana pomocy. Powiedziałem już, jest mi pan potrzebny do odnalezienia jednej osoby, nic innego.

- Skąd takie zainteresowanie?

Komisarz zastanowił się, zanim odpowiedział.

- Miał pan kiedyś przyjaciela?

Salvatore Laprua popatrzył na niego i Ferrarze wydało się, że jego oczy na chwilę zaszyły mgłą.

- Jeżeli pomogę, co dostanę w zamian?

- Mogę sprawić, że nie będzie pan zamieszany w tę sprawę z narkotykami.

Odpowiedział mu śmiechem.

- Miałbym w moim wieku zacząć wierzyć policji?

- Nie policji, Zi Turi, mnie, mnie pan powinien uwierzyć.

Mafioso w ciszy rozważał tę odpowiedź.

- Prywatnie mógłby to pan zrobić, czytam to w pańskich oczach, jest pan człowiekiem honoru, ale jako policjant nie! Nosi pan odznakę, nie może pan zdradzić państwa, któremu pan służy. Ja teraz zrobię wszystko, żeby znaleźć pańskiego przyjaciela, ale kiedy go znajdę, nie będę już panu potrzebny.

- W życiu zawsze jest taki moment, w którym trzeba pójść na kompromis. Jestem i pozostanę policjantem, nie będę udawał, żeby pana kupić, że przejdę na pana stronę, i tak by mi pan nie uwierzył. Handel wykryłem i ukróczę go, tu już nic nie mogę zrobić. Bez tej sieci, co panu zostanie, Zi Turi? Staruszek z żoną. Ja tak to widzę. Po co mi taki starzec w więzieniu?

Czy mógł mu uwierzyć? I czy miał jakiś wybór?

- Jeżeli to, co mi pan opowiada, jest prawdą, zakładając mi kajdanki, zostałyby pan bohaterem. Warta tego jest ta przyjaźń? - zapytał.

- Warta jest o wiele więcej.

Stary boss zaczął odkrywać karty.

- Komisarzu, Bellomonte di Mezzo to biedny kraj, tam się urodziłem. Zna pan tamte tereny? To kraina nędzy, gdzie nie było nawet pracy, by wykonywać ją za darmo. Urodziłem się w biedzie i dorastałem w biedzie... miałem do wyboru dwie drogi, albo nadal żyć w nędzy, albo złożyć przysięgę, która zmieni moje życie... Rozumie pan?

- Rozumiem.

- Wybrałem tę drugą możliwość. Byłem dzieciakiem i przez lata potem składałem inne przysięgi, inne obietnice... Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

- Tak.

- Zacząłem pracować uczciwie, komisarzu, ale potem, w pewnym momencie musiałem dotrzymać obietnic, które złożyłem. Tych obietnic się dotrzymuje.

„Inaczej jesteś już martwy”, oczywiście, że to wiedział.

- A teraz pan mi składa obietnicę.

- Która zostanie dotrzymana. Ale pan musi być ze mną szczery.

Wymiana spojrzeń trwała odrobinę dłużej niż zwykle.

- Tak będzie - odpowiedział Zi Turi, który w końcu wydał się zadowolony.

- Gdzie jest Simonetta Palladiani?

- Ma ją ten Albańczyk.

- Viktor Makregi?

- Dobrze pan odrobił lekcję, komisarzu - powiedział mafioso z podziwem.

- Ma też mężczyznę, który jest z nią? - zapytał Ferrara z lekkim niepokojem.

- Tak, ma ich oboje.

- Oboje żyją?

- Kobieta na pewno.

- A mężczyzna?

- Nie wiem.

Ferrara wolał nie słyszeć tej odpowiedzi.

- Dlaczego zależy panu tak na tej kobiecie?

- Bo musi odnowić podnajem koncesji na kamieniołomy, najważniejsze, że musi się stawić w gminie, żeby starać się o odnowienie koncesji. Pewnie pan wie, że przy tych nowelizacjach prawa posiadacze koncesji muszą się dostosować albo tracą koncesję, a jeżeli ona ją straci, jesteśmy przegrani. Już i tak jest opóźniona o dwa lata. Jej mężowi udało się przesunąć termin, ale

teraz czas się kończy.

- Jak to dostało się w pana ręce?

- Przez męża. Poznałem go, kiedy jego firma była w kryzysie, i pomogliśmy mu. W zamian podnajął nam kamieniołomy. Kobieta nic o tym nie wie. Podpisywała i tyle, kamieniołomy jej nie interesowały.

- A Viktor? Jak tam dotarł?

- Gdzie?

- Do tej kobiety, do Simonetty.

Zi Turi uśmiechnął się gorzko.

- Przez przypadek. Poszedł zabić Ugo Palladianiego z powodu jakiejś babskiej sprawy, a ten się przestraszył. Ten jej mąż to zawsze był straszny nieudacznik, nicpoń. Chcąc się uratować, powiedział Albańczykowi, że może mu załatwić bogactwo, i opowiedział o naszym układzie i o tym, co robimy w kamieniołomach. Albańczyk zrozumiał, że żona jest dobrym towarem na wymianę i zabrał ją z tym mężczyzną. Potem zaczął mnie szantażować.

- Dlaczego nie oddał jej, skoro oferował mu pan dziesięć kilogramów heroiny?

- Wie pan sam, nigdy ich nie dostał i powiedział, że to nasza wina, bo mężczyzna, który prowadził, był od nas.

- Czyli chce, by mu znów zapłacono.

- Jasne, ale podrożał, chce trzy razy więcej, a jeżeli nie dostanie, to zwiększy i dziesięć razy.

- Trzydzieści kilo? - zadziwił się Ferrara. - Jest pan gotów tyle zapłacić?

- A co mam zrobić? Jeżeli nie zapłacę, on zabije kobietę, a my nie będziemy mieli kamieniołomów, gmina nie chce cudzoziemców, nie dałaby nam koncesji.

- Ktoś taki jak pan nie umie się obronić od szantażu? Dlaczego pan nie przejął inicjatywy i nie wykurzył Albańczyka?

- Próbujemy, ale dobrze się ukrywa.

- Ma pan do niego telefon czy coś?

Zi Turi zaprzeczył, kręcąc głową.

- To on się ze mną kontaktuje, wysyła mi wiadomość na komórkę. Liczbę od jeden do pięciu, te numery to pięć telefonów publicznych tu w okolicy, i kiedy widzę numer, idę do tej odpowiedniej budki, a on z innego telefonu tam podaje kolejny numer po półgodzinie, i po kolejnej, aż w końcu mnie znajdzie.

To był prosty i genialny system. Nie udałooby się nigdy przechwycić rozmowy tych dwóch ludzi. Ferrara kazał sobie podać miejsca, gdzie znajdowały się telefony, i numer bossa, który odpowiadał temu, który wraz z numerem domowym był już na podsłuchu.

- Jeżeli chce pan zapłacić, dlaczego pan jeszcze tego nie zrobił? - zapytał. - Już prawie dwa tygodnie, odkąd pierwsza próba się nie powiodła.

- Według pana trzydzieści kilo heroiny to ja mogę znaleźć ot tak? - powiedział starzec.

- Jasne, ale teraz już je pan ma, prawda? - zapytał Ferrara, myśląc o furgonie z rybami.

- Teraz już mam.

- A on to wie?

- Tak, powiedziałem mu, że dostawa będzie w sobotę.

- Czyli się odezwie.

- Oczywiście.

- Dobrze, jak odbędzie się wymiana?

- Nie wiem. To on poda mi warunki.

Ferrara zareagował instynktownie.

- Nie, niech pan każe przywieźć sobie zakładników do kamieniołomów, niech pan wybierze 225. Trudno tam się dostać, ma tylko jedną drogę dojazdu, najłatwiej ją kontrolować.

- To nie takie proste, jak pan mówi.

- Niech pan powie, że tym razem nie chce pan ryzykować. Niech on sam weźmie sobie te narkotyki, to jego sprawa. Niech pan mu nie zostawia

wyboru, albo albo. Chyba potrafi pan przekonywać, prawda?

- To ryzykowne. Pomyśli, że to podstęp i chcemy mu odebrać narkotyki, kiedy będzie wracał, to nasze terytorium. A co, jak Albańczyk się nie zgodzi?

- Pomyślimy, ale zgodzi się pan, że jemu nie zależy na tych dwojgu, ale z trzydziestu kilogramów narkotyków trudno mu będzie zrezygnować. Na pewno się zabezpieczy, jestem gotów się założyć.

Potem zastanawiał się często, jak mógł tak ryzykować, niczym pokerzysta. Mógł tym podpisać wyrok śmierci na przyjaciela, który był mu droższy niż własne życie. Nie umiał sobie na to odpowiedzieć, ale nauczył się, że poker to dobra policyjna szkoła. I vice versa.

- Może ma pan rację. A co się stanie potem?

- Będziemy tam i my. Postaramy się go ująć.

- Jeżeli sam się zjawi. Przecież łatwo może wysłać kogoś innego, nie?

O tym nie pomyślał.

- To nie jest najważniejsze. Ważne, by odnaleźć Massima i Simonettę.

- Jeżeli ich złapiecie, to lepiej.

Potwierdzenie półgłosem zdziwiło go.

- Boi się pan?

- Ja? - uśmiechnął się ironicznie. - Salvatore Laprua nigdy się nie boi, komisarzu! Od urodzenia w tym siedzę, a strach, teraz już nawet nie wiem, co to takiego, nie, to nie to... Tyle że nam, przestępcom, obcy się nie podobają, nie mają zasad, nie szanują kobiet, nie znają słowa honoru, zabijają ludzi bez powodu... Komisarzu, oni stawiają nasz kraj na głowie!

Mogło wydać się dziwne, że mówił to akurat on, ale nie było. Zi Turi był bossem starej generacji, co potwierdzał, odwołując się do zasad, które teraz już zanikały nawet pośród lokalnych przestępców. Był z pokolenia, które uważało Włochy albo przynajmniej ich część za własne dominium i nie tolerowało żadnych zmian. Ferrara uśmiechnął się, myśląc z ironią o tym dziwnym przymierzu pomiędzy policją a lokalną mafią, które właśnie zawarł. Siły porządkowe i świat przestępczy połączone we wspólnej walce z

najeżdżcą.

- I co teraz? - zapytał Laprua.

- Poczekamy na wiadomość.

Starzec popatrzył na zegar.

- Rinuzza! - zawołał.

Po chwili pojawiła się kobieta.

- Komisarz uczyni nam honor i przyłączy się do nas przy obiedzie.

Przynies butelkę Firriato, bardzo proszę.

Tego komisarz nie przewidział, ale zrozumiał, że nie może odmówić. Zanim żona się oddaliła, mafioso dodał:

- A, Rina, coś jeszcze ci powiem... Jeżeli ktoś by mnie szukał, powiedz, że nie czuję się dobrze, nie chcę z nikim rozmawiać. Ja i komisarz Ferrara mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do omówienia... On też jest Sycylijczykiem, wiedziałaś?

Rina wyszła, nie mówiąc ani słowa.

Obiad składał się z produktów naturalnych, wszystkich ściśle sycylijskich, jak wino, które boss wciąż chwalił.

- Robią je w naszych stronach, w Firriato niedaleko Trapani, to dobre miejsce na wino. Robią tyle co Piemont i Toskania razem wzięte... Niech pan spróbuje, jakie dobre.

Komisarz wolałby nie tykać alkoholu, ale wiedział, że byłoby obrazą nie przyjąć zaproszenia pana domu. Pijąc je, zdał sobie sprawę, że było tak dobre, iż byłaby to podwójna, niewybaczalna szkoda.

- Wie pan, dlaczego tak się nazywa?

- Wino?

- I okolica także. To stara nazwa, nadał ją książę, który, by zwiększyć populację, dał chłopom niewielkie płachetki ziemi, by hodowali winorośl na chronionych polach... Firriati...

- Dobrze wiedzieć.

Pożegnali się mocnym uściśnięciem dłoni i z porozumieniem, że stary

boss, jak tylko dostanie wiadomość, zawiadomi go trzema dzwonekami telefonu na jego prywatną komórkę, której numer mu zostawił.

- Mój dom jest dla pana zawsze otwarty!

Tak właśnie pożegnał go Zi Turi.

⊕ XXXVIII ⊕

Nazajutrz rano, kiedy w prefekturze omawiano rezultaty pierwszej fazy „Operacji Stella” i opracowywano wyniki przeszukań w domach w oczekiwaniu na przesłuchania w sprawie związku przestępczego, w prokuraturze odbyło się ważne przesłuchanie.

Była dokładnie dziewiąta. W pokoju dostosowanym do przesłuchań potencjalnych nawróconych przestępców chcących współpracować z policją pojawił się Emilio Zancarotti eskortowany przez dwóch strażników więziennych. Oprócz komisarza Ciuffiego były tam też prokurator Erminia Cosenza i Anna Giulietti.

Zatrzymany od początku wyraził wolę współpracy, by mógł skorzystać, on i jego rodzina, z programu ochrony świadków, co gwarantowało mu nietykalność fizyczną. Zaczął tłumaczyć, jak działał przemysł narkotyków i pranie pieniędzy, w które był zamieszany. Dostarczał wszelkich detali zarówno na temat organizacji albańskiej, którą znał, jak i inwestowania nielegalnych przychodów. Opowiadał o porwaniu Simonetty Palladiani i o tym, co wiedział o zabójstwie Claudii Pizzi, którego zleceniodawcą był Salvatore Laprua. Nagle Ciuffi poczuł wibracje komórki, którą miał w kieszeni marynarki, więc wyszedł z pokoju, aby odebrać telefon.

Dzwonił Serpico.

- Komisarzu, Ferrara powiedział, żeby przekazać prokurator Giulietti, że doszło do kontaktu, na który czekaliśmy.

- Co mówi?

- Cztery.

- Jak?

- Cztery - powtórzył Serpico i dodał: - Właśnie tak. Komisarz zrozumiał, o

co chodzi, i idzie do tej osoby.

- Jasne, Sergi, przekażę - stwierdził Ciuffi, kończąc rozmowę.

- Dzień dobry, Zi Turi - powiedział, ściskając mu mocno rękę. - Dostałem trzy dzwonki, więc natychmiast przyszedłem.

- Komisarzu, miałem kontakt - odpowiedział mafioso całkowicie już ubrany i gotów do wyjścia z domu.

- Co mówi?

- Cztery.

Komisarz ucieszył się, że boss dotrzymuje słowa, bo ten numer odpowiada temu, co jego ludzie zdołali przechwycić. Telefon w wyznaczonym miejscu był już na podsłuchu, tak jak i cztery pozostałe.

- Idziemy?

- Nie ma pośpiechu, mamy czas, a bar jest tuż obok.

- Wolałbym jednak już pójść - stwierdził Ferrara.

- Jak pan chce - odpowiedział Zi Turi z lekkim uśmiechem. - Rina, nie siedź za długo na zewnątrz - powiedział, zwracając się do żony.

Kobieta, która dzień wcześniej nie odezwała się ani razu, nic nie powiedziała i teraz.

Policjanci po cywilnemu czuwali, jeden czytając gazetę na ławeczce na placu niedaleko od domu, drugi paląc papierosa wsparty o framugę bramy budynku z przeciwnej strony. Zdziwili się, widząc, jak komisarz wychodzi ze starym mafiosem. Kiedy przechodzili obok tego siedzącego, Ferrara przeprosił Laprua i podszedł do funkcjonariusza. Policjant natychmiast się poderwał. Odwróciwszy się plecami do mafiosa, Ferrara przekazał mu półgłosem szybkie instrukcje i kazał za sobą iść. Zaprowadził go do bossa.

- To jeden z moich ludzi - wytłumaczył - ma za zadanie chronić pana, kiedy mnie tu nie będzie.

Stary nie skomentował tego. Zrozumiał, że to rodzaj aresztu domowego, i musiał mieć nadzieję, że to tylko asekuracyjny areszt do czasu odnalezienia

przyjaciela komisarza. Potem, jeżeli policjant dotrzyma słowa, wszystko się skończy. Jeżeli go dotrzyma.

Jeśli chodziło o Ferrarę, to wystarczyło mu, że tamten wiedział, iż nie może wychodzić z domu, kiedy mu na to przyjdzie ochota. Poszli ulicą w stronę kanału.

Laprua kroczył powoli, czasami się zatrzymując. Jego oddech był trochę przyspieszony, znak, że nie czuł się dobrze.

Przeszli wzdłuż mola pełnego ludzi. Mieszkańcy, wczasowicze i rybacy tworzyli wesoły, kolorowy i głośny tłum. Komisarz zastanawiał się, czy byliby nadal tak beztroscy, wiedząc, że pośród nich przemieszcza się możny mafijny boss, rządzący życiem i narkotykami. Czy było lepiej, czy gorzej, że tego nie wiedzieli?

Weszli do Cafe New York. Zi Turi popatrzył na zegar. Brakowało dziesięciu minut.

- Zamówmy kawę - powiedział Ferrara, siadając za stołem - ja zapraszam.

- Nie, komisarzu, przyjemność postawienia panu kawy należy do mnie, wczoraj poczęstował mnie pan cygarem, jestem tu u siebie, moja kolej.

Zamówił kawę i poprosił kelnera, aby pozwolił podać numer telefonu baru „przyjacielowi”, jak nazwał Ferrarę.

- Nie ma problemu, MISTER! - odpowiedział chłopak.

Nie wyglądało, aby kelner znał Laprua. Osoby w lokalu też nie.

Telefon zadzwonił punktualnie. Mafioso wstał. To samo zrobił komisarz, zauważając zakłopotanie tamtego, który jednak nie zaprotestował. Szedł za nim w pewnej odległości. Bar był zatłoczony i panował straszliwy hałas, więc nie udało mu się usłyszeć dobrze całej konwersacji, ale z pewnością w biurze będzie na niego czekał jej zapis.

- Viktor? - powiedział Laprua, gdy tylko wziął do ręki słuchawkę. - Mam to - dodał po chwili w perfekcyjnym włoskim bez sycylijskich naleciałości.

Potem Ferrara usłyszał tylko fragmenty zdań: „...musicie wy przyjechać tym razem... nie ma żadnego niebezpieczeństwa... to wasz problem... ja jak

już wam dam...”.

To była długa rozmowa. Ferrara poczuł, jak ściska mu się żołądek, kiedy usłyszał:

- Jest też mężczyzna?

Nie wyczytał odpowiedzi w zimnym wyrazie twarzy mafiosa, nawet gdy odłożył słuchawkę i patrzył na niego, idąc w jego kierunku.

- No więc?

- Dziś wieczorem, o dziesiątej, w kamieniołomie 225.

- Jest też Massimo Verga?

Minęło kilka sekund. Laprua patrzył mu prosto w oczy.

- Jest - powiedział w końcu.

Emocje, które ściskały mu gardło i duszę, wyrwały mu się z ust wyrażeniem, które zaskoczyło jego samego bardziej niż mafiosa, ale wzruszyłoby Petrę:

- *Gott sei Dank!* - zawołał, zamknąwszy oczy.

Wrócili do domu Laprua.

~~-----~~

Ferrara uzgodnił wszystko, lecz nie chciał odejść, zanim nie upewni się, że nie będzie dodatkowych kontaktów, mimo że wszystkie telefony były na podsłuchu, i czuł się spokojny, bo dowody lojalności ze strony mężczyzny były liczne i jasne. Jednak wolał poczekać na telefon Rizza.

Stary mafioso poprosił o możliwość udania się na spoczynek, był zmęczony, ale zostawił komórkę w salonie. Ferrara miał nadzieję, że nie ma drugiego telefonu gdzieś indziej.

Rizzo zadzwonił chwilę po drugiej.

- Szefie, wszystko zrobione, wszyscy gotowi, w prokuraturze też wszystko dobrze.

- Opowiadaj.

- Zancarotti sformalizował wszystko, opowiedział też o zamordowaniu Claudii Pizzi.

- Dobrze, Francesco.

- Skończył kilka minut temu. Ciuffi dołącza do mnie w prefekturze z kopią protokołu i podaniem prokuratury do szefa policji, by zostały ustanowione zasady ochrony dla Zancarottiego i jego rodziny.

- Dobrze, potem o tym porozmawiamy, teraz, jak to było ustalone, zbierz ludzi. Zobaczymy się na komisariacie w Carrarze o szóstej.

- Zgoda, szefie.

Laprua albo odpoczął, albo obudzony rozmową przyszedł uzgodnić strategię. Dopracowali ostatnie detale i Ferrara pozdrowił go, mówiąc:

- Wpadniemy po pana później, około piątej, odpowiada to panu?

- Będę czekał.

⊕ XXXIX ⊕

- Jedzie czarny ford fiesta, w nim cztery osoby, potem czerwona ciężarówka z zieloną plandeką. Tam jest tylko kierowca, za nią srebrny metalik 156 z czterema osobami - powiedział przez krótkofalówkę komisarz Ascalchi do komisarza Ferrary. Siedział ukryty w krzakach tuż za ostatnim wąskim zakrętem drogi prowadzącej do kamieniołomu 225. Patrole były ustawione w dwóch punktach strategicznych, w dole i w górze tuż za rozwidleniem do Fantiscritti, któredy pojazdy Albańczyków musiałyby przejechać, wracając. - Podaję numery rejestracyjne.

Brakowało dziesięciu minut do dwudziestej drugiej.

W kamieniołomie na konwój czekali Zi Turi, Ferrara, komisarz Rizzo, inspektor Sergi, nadinspektor Fanti, dwóch policjantów i jeden technik. Zajęli miejsca pracujących tam ludzi, którzy prawie wszyscy należeli do mafii. Boss ich odesłał zaraz po południu, zostawiając sobie tylko jednego robotnika, któremu ufał.

Ferrara i Fanti ukryli się za cysterną. Zi Turi stał obok konstrukcji z blachy falistej, która służyła za biuro, a Rizzo i reszta rozeszli się nieco, ale byli dobrze widoczni, bo stali niedaleko mafiosa, jakby byli jego ludźmi. Szef wydziału śledczego wolałby stanąć tak, by móc lepiej nadzorować całą akcję, ale był zbyt znany i ryzyko, że mógłby zostać rozpoznany przez Albańczyków, było, niestety, duże.

Najpierw pojawił się ford, potem ciężarówka, wreszcie alfa. Samochody zatrzymały się przy wjeździe. Światło księżycy przy słabym oświetleniu padającym z biura i reflektory samochodów oświetliły teren i odbijały się od białej ściany góry. Albańczycy wysiedli z samochodów. Było ich dziewięciu, wszyscy uzbrojeni w karabiny maszynowe. Dwóch zostało przy ciężarówce,

byli gotowi strzelać, gdyby pojawiło się najmniejsze nawet niebezpieczeństwo.

Ze swojego miejsca Ferrara usiłował dostrzec w pojazdach sylwetkę Massima, ale wydawały się puste. Zakładnicy musieli być w ciężarówce. Starał się rozpoznać Viktora Makregi, ale żaden z mężczyzn nie przypominał tego z portretu pamięciowego zrobionego na podstawie opisu Elisy Rocca.

Jak przewidział boss, przebiegły i podejrzliwy szef Albańczyków nie przyjechał. Przez kilka minut wszyscy stali nieruchomo tak z jednej, jak i z drugiej strony, oceniając nawzajem swoje siły. Potem Albańczycy nie widząc broni, porozmawiali między sobą i szef operacji albo ten, który najlepiej mówił po włosku, zaczął podchodzić.

Zi Turi nie poszedł w jego kierunku. Stał i czekał, by podkreślić swoją wyższość.

- Gdzie są? - zapytał, kiedy niski, dobrze zbudowany mężczyzna o czarnych włosach i błękitnych oczach zbliżył się do niego.

- Gdzie być towar? - zapytał Albańczyk.

- Jest schowany tutaj, ale najpierw muszę zobaczyć przynajmniej kobietę... Tak uzbrojeni, kto mi zagwarantuje, że nie weźmiecie narkotyków i znikniecie, nie dotrzymując umowy?

Mężczyzna się skrzywił.

- Uzbrojeni, tak... nie dyktować warunków, nie wy!

- Mylisz się. Jeżeli nas zabijecie, nie dostaniecie niczego. I powiem ci, żywi stąd nie wyjedziecie. Mało nas widać... ale jest nas więcej w ukryciu - blefował - są przy drodze i na wzgórzu. I mają was na oku. Mają rozkazy... jeżeli wszystko będzie dobrze, nic wam nie zrobią, nie spadnie wam włos z głowy, ale jeżeli coś będzie nie tak...

Nerwowo tik ściągnął twarz Albańczyka.

- Czekać mnie tu - powiedział i poszedł porozmawiać ze swoimi ludźmi.

Dyskutowali po albańsku przez kilka minut, które wydały się wiecznością, po czym mężczyzna wrócił z dwoma innymi. W międzyczasie Rizzo i inni

zaczęli się zbierać wokół Zi Turiego.

- Niedobrze... jeżeli twoi ludzie czeka nas, jak zrobiona wymiana, oni móc nas wykończyć, niedobrze.

- Musicie zaufać - powiedział Zi Turi.

Mężczyzna przetłumaczył, dwaj pozostali wybuchnęli szyderczym śmiechem. Potem jeden dał im krótkie instrukcje, prawie wrzeszcząc.

- My robić wymiana, a ty pojechać z nami potem.

Ferrara zeszywniał. Nie przewidział takiej sytuacji i nie spodobała mu się. Rizzowi także się to nie podobało.

- Zostawicie go, jest stary... ja pojedę z wami.

Cristo!, zaklął w myślach Ferrara. Oszalał? Co on chce zrobić? Wiedział doskonale, ale nie mógł się zgodzić na poświęcenie nikogo ze swoich ludzi nawet dla ratowania życia Massima. Dlaczego to nie on tam był? To powinien być on. Był bliski popełnienia nienaprawialnego błędu, wychodząc z ukrycia, kiedy jeden z Albańczyków się odezwał:

- Ty nie jesteś potrzebny, zabiją nas i ciebie, co szkodzi. Ale nie zabiją jego - powiedział, wskazując głową na Zi Turiego.

Nic to nie zmieniało, ale sytuacja była coraz bardziej napięta. Teraz wszystko zależało od Zi Turiego.

- Pojadę - powiedział stary boss.

To też nie spodobało się komisarzowi. Nie mógł pozwolić, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli nawet w najmniejszej części. Miał ochotę połączyć się przez radio z Ascalchim, by natychmiast interweniowały grupy, które mieli za drogą, ledwie kilka kilometrów stąd, ale skończyłoby się to strzelaniną. Powstrzymał się po raz kolejny.

- Jeden warunek - powiedział Rizzo, mroząc uśmiechy satysfakcji na twarzach Albańczyków.

- Co?

- Jedziemy za wami, aby go zabrać, jak go zostawicie.

Mężczyzna przetłumaczył. Potem ten od poleceń wymienił z resztą kilka

zdań, a w końcu ten, co tłumaczył, powiedział:

- Nikt nie śledzić nas, bo my zabić on.

Rizzo nie miał czasu odpowiedzieć, bo Zi Turi zmęczonym, ale zdecydowanym głosem stwierdził:

- Gwarantuję, że nikt za nami nie pojedzie.

Obrzucił zimnym spojrzeniem Rizza i powoli ruszył do samochodu Albańczyków. Kazali mu usiąść na tylnym siedzeniu 156. Obok siadł jeden z tamtych. Dopiero wtedy ten, który wydawał się szefem, dał znak tym, którzy stali obok ciężarówki. Otworzyli tylną klapę naczepy i wyciągnęli metalowe płaskie osie. Zakładnicy musieli być pod podwójnym dnem naczepy.

Ferrara wyostrzył wzrok, bo przeszkadzały mu reflektory ciężarówki. Widział tylko cienie i wydało mu się, że wyprowadzają najpierw mężczyznę. Tak, to był mężczyzna i komisarz z trudem powstrzymał falę emocji i ulgi. Mężczyzna miał ręce związane na plecach i worek na głowie. Wydawał się wycieńczony, co można było wywnioskować ze sposobu, w jaki się poruszał. Niepewnie stał na nogach i usiłował oprzeć się o bok ciężarówki.

Natychmiast potem wyszła kobieta, też ze związanymi na plecach rękoma i workiem na głowie. Poruszała się lepiej od mężczyzny, była sprawniejsza, jakby była lepiej traktowana podczas uwięzienia.

- Kto mi powie, że to prawdziwi zakładnicy? - zapytał Rizzo, podchodząc wraz z Sergim i dwoma agentami, i zwracając się do tego, który kaleczył włoski.

- On - powiedział Albańczyk, wskazując na Zi Turiego, który został wyprowadzony z samochodu.

Zi Turi podszedł do kobiety i uniósł worek, co pozwoliło mu rozpoznać w niej Simonettę Tonelli. Kiedy to potwierdził, został odprowadzony do samochodu.

- Wasza kolej - powiedział Albańczyk do Rizza, którego zapewne uznał za szefa albo zaufanego człowieka szefa.

Rizzo, rzuciwszy jeszcze spojrzenie na dwoje zakładników, skierował się

do miejsca, gdzie blok marmuru został oddzielony od ściany dwoma pionowymi nacięciami po bokach i jednym u podstawy. W dolnej szczelinie tkwiły metalowe płaskowniki. Polecił włączyć pompę hydrauliczną. Metalowe płaskowniki zaczęły nabierać objętości napełniane siłą wody, aż powoli podniosły ogromny blok. Albańczycy patrzyli, nie rozumiejąc. Kiedy otwór osiągnął około trzydziestu centymetrów, technik wyłączył pompę i umieścił w otworze dwie drewniane belki. Rizzo włożył tam rękę i zaczął wyciągać woreczki, które zostały ukryte w niszy wykopanej wcześniej w miejscu, gdzie stał głaz. Wraz z Serpikiem ułożyli torebki z narkotykami w dwóch niewielkich walizczkach i podali je Albańczykom. Jeden z nich otworzył walizki, wyjął z każdej przypadkową torebkę, rozdarł ją, powąchał zawartość i potwierdził.

- *Ikim!* (Jedziemy!) - rozkazał, kiedy walizki zostały ułożone w schowku w podwójnym dnie ciężarówki.

Samochody i ciężarówka zawróciły i zaczęły się oddalać.

Czując się podwójnie uwolniony, Ferrara podbiegł do reszty, wrzeszcząc do mikrofalówki:

- Nie zatrzymywać ich, niech przejadą, zawiadomić komisarza Ciuffiego!

Rizzo wyrwał mu aparat z ręki, mówiąc:

- Ja się tym zajmę, szefie. Pan ma co innego do roboty.

Massimo Verga i Simonetta Palladiani stali jak skamieniali pomiędzy dwoma policjantami, którzy rozwiązali im ręce i uwolnili z worków. Massimo poczuł przebłysk zrozumienia, kiedy wydało mu się, że rozpoznaje głos komisarza Rizza, zastępcy swojego przyjaciela, Michele, ale bał się, że to tylko halucynacja, jedna z wielu, jakie go prześladowały podczas tego absurdalnego uwięzienia, w czasie którego wiele razy czuł się bliski śmierci. W końcu nawet zaczął jej wzywać. Uratowało go chyba to, że oprawcy potrzebowali Simonetty, która do czegoś była im przydatna.

Teraz nie tylko mógł usłyszeć, ale i zobaczyć twarz Michele. Oczy wypełniły mu się łzami, których nie umiał powstrzymać.

Komisarz napawał się widokiem oświetlonej światłem księżyca, bladej, pokaleczonej i cierpiącej twarzy przyjaciela. Strach, że już nigdy go nie zobaczy, prawie go paraliżował. Teraz poczuł rodzaj czaru, którego magię chciał czuć aż do samej głębi. Wreszcie do niego podbiegł. To był długi uścisk, który nie potrzebował słów. Ferrara zrozumiał, że koszmar minął, a on wraca do życia. Do prawdziwego życia.

- Wszystko w porządku, wrócisz szybko do zdrowia - powiedział.

- Wiedziałem, że mnie nie zostawisz, Michele. Zawsze to wiedziałem, dlatego jeszcze żyję.

- Odwieźcie ich na pogotowie do Carrary - rozkazał Ferrara dwóm policjantom. Spojrzał na kobietę, która mimo dramatycznych przeżyć była nadal piękna. Potem podbiegł do samochodu, gdzie już siedzieli Rizzo, Sergi i Fanti.

- Ciuffi cały czas łapie sygnał wyraźny i mocny - powiedział Rizzo, kiedy Sergi przyspieszał w kierunku Bedizzano.

W obu walizkach ukryto nadajniki systemu lokalizującego, które przez przekaźniki GPS-u pozwalały śledzić na monitorze przenośnego komputera realną pozycję geograficzną obiektu. Wydział śledczy z Florencji dysponował furgonem wyposażonym w urządzenia pozwalające na śledzenie samochodów czy ukrywających się podejrzanych osób, doprowadzając policję wprost do ich kryjówek.

Furgon z Ciuffim i dwoma specjalistami stał zaparkowany na polanie około trzech kilometrów od kamieniołomu, w razie gdyby szef Albańczyków osobiście nie brał udziału w operacji, co uczyniłoby ich akcję nie tyle bezsensowną, ile z pewnością mniej owocną. Teraz jechali w bezpiecznej odległości za konwojem wracających do bazy Albańczyków. Samochody służbowe ustawione w dole i w górze w pobliżu zjazdu na Fantiscritti ruszyły za nimi.

- W terminalu elektronicznym tablice rejestracyjne nie są zapisane jako skradzione, ale zarejestrowane są na różne osoby mieszkające w Prato i

Pistoia - objaśniał Rizzo. - Robią wszystko, żeby sprawdzić, kto to jest i czym się zajmuje.

Tymczasem Ferrara wybierał numer do domu. Było zajęte.

- Dobrze, Francesco, może okażą się skradzione... Jeżeli kradzież miała miejsce niedawno, to może nie być śladów w dokumentacji.

Rizzo przytaknął.

Ferrara zaczynał się wreszcie relaksować. Jeżeli wszystko potoczy się według jego planów, nadajniki doprowadzą ich do kryjówki nieuchwytnego Viktora Makregi. Musiał zrobić jeszcze tylko jedno. Znów wybrał numer do domu.



- Michele? - Petra odebrała po pierwszym sygnale. - Dzwoniłam do ciebie... I co?

Słowa, które od prawie dwudziestu nieskończenie długich dni chciał móc jej powiedzieć, nie przeszły mu przez gardło. Coś mu je ścisnęło, dusząc głos.

- Halo, halo, Michele! Co się dzieje? **MEIN GOTT!** Michele, jesteś tam? **SAG' DOCH ETWAS**, proszę cię, Michele, powiedz coś!

Ferrara z trudem pokonał wzruszenie, ale głos miał słaby i drżący.

- Żyje, jest w porządku.

- A ty? - zapytała, wybuchając płaczem, który łączył niemożliwą do powstrzymania radość z powodu uratowania przyjaciela z lękiem o męża.

- W porządku, nie przejmuj się, ale jeszcze nie skończyliśmy. Zajmij się teraz Massimem. Wiozą go na oddział ratunkowy w Carrarze.

Nastąpiła pauza.

Potem usłyszał jej szept:

- Michele, kocham cię, Michele, uważaj, wiesz, że dla mnie jesteś najważniejszy...

- Ty dla mnie także.



Nieufni z natury Albańczycy nie wypuścili Zi Turiego w Carrarze ani na

wyjeździe z autostrady. Dopiero kiedy ujechali kilka kilometrów od zakrętu na Montecatini, zadzwonił telefon Rizza. Ten rozpoznał numer Ciuffiego i odebrał natychmiast.

- Sygnał się zatrzymał, zjazd z boku drogi, o, znów rusza, jadę, wy zajmijcie się tamtym.

- OK - powiedział, kończąc rozmowę.

Wiadomość przekazał Ferrarze, który polecił Sergiemu, by ten wjechał w zjazd, od którego był niedaleko, a potem wydał instrukcje, by zrobił to też jeden z samochodów śledzących. Inne miały jechać dalej i przyłączyć się do Ciuffiego.

Na miejsce dotarli kilka minut później.

Salvatore Laprua stał na parkingu Autogrill. Ferrara i jego ludzie podeszli do niego. Wydawał się spokojny. Wskazując ręką personel, który się znajdował w drugim samochodzie, szef wydziału śledczego powiedział:

- Panie Laprua, pojedzie pan z moimi ludźmi.

- Odwiezie mnie pan do domu? - zapytał niepewnie, słysząc w tonie komisarza dziwną nutę.

- Nie, Laprua, niestety, nie, to jeszcze nie koniec.

- Założyć mu kajdanki, szefie? - zapytał grzecznie Fanti, który po raz pierwszy uczestniczył w akcji.

Komisarz skinął głową, a nadinspektor wykonał polecenie z szybkością i profesjonalizmem, który zaskoczył wszystkich. Za tym prostym gestem były długie godziny ćwiczeń, które zdradzały aspiracje wiernego sekretarza.

Ferrara nie był pewny, czy ten epizod go rozbawił, czy zaniepokoił, bo w oczach Laprua dojrzał nienawiść, która dotknęła go bardziej, niż gdyby tamten splunął na niego z pogardą. Zawiódł jego zaufanie, zdradził, był zwykłym marnym gliniarzem. Wszak Salvatore Laprua pomógł mu odnaleźć przyjaciela, co liczyło się bardziej niż wszystkie policyjne operacje świata, i pomógł wydziałowi śledczemu dopaść i postawić przed obliczem sprawiedliwości niebezpieczną grupę handlarzy narkotykami i żywym

towarem. Jednak nie zrobił tego z dobroci czy poczucia obywatelskiego obowiązku, to zrozumiałe, został do tego zmuszony, trochę też zawierzył dawnemu kodeksowi honorowemu. Tak czy tak, był przestępcą. Można mafioso, handlarz narkotykami i morderca.

Ferrara nie uważał, że powinien mu się tłumaczyć, ale nie mógł mu nie powiedzieć:

- Nie jest tak, jak pan myśli, Zi Turi. Nie aresztuję pana za narkotyki, dałem panu swoje słowo. Aresztuję pana za zabójstwo Claudii Pizzi.

⊕ XL ⊕

- Wjechali w zjazd do Pistoia, ale natychmiast zawrócili... Teraz jadą w tę samą stronę, z której przyjechali - zakomunikował Ciuffi, kiedy kilka minut później auto Ferrary wyjechało z parkingu. Przed nim jechał samochód z Zi Turim. Z pełną szybkością i włączonym kogutem na dachu kierował się do biura wydziału śledczego.

- Dojeżdżamy do was!

- Może są bardziej przebiegli, niż sobie wyobrażaliśmy - skomentował Rizzo, kiedy przekazał Ferrarze wiadomość otrzymaną od kolegi - nie chcieli, żeby mafioso zorientował się, dokąd jadą.

Podczas gdy Rizzo rozmawiał przez telefon, Ferrara też dostał wiadomość z centrum operacyjnego z prefektury. Powiadomiono go, że trzy samochody Albańczyków zostały skradzione właścicielom w ostatnich dwunastu godzinach.

- To dlatego nie było śladów w dokumentacji. Wszystko było wykalkulowane, to zawodowcy. Przekaż, żeby helikoptery się podniosły, niech latają w strefie Pistoia, a jeżeli chodzi o późniejsze przemieszczenia, niech będą w kontakcie z Ciuffim.

Były dwa helikoptery Augusta Bell 212 przystosowane do nocnych lotów i do transportu grup. W każdym z nich poza ekwipunkiem było sześciu policjantów należących do specjalnego wydziału NOCS, którzy uczestniczyli w ryzykownych akcjach, a których na wszelki wypadek Ferrara sprowadził z Rzymu, kiedy razem z Rizzem ustalali plan działania i możliwe warianty akcji. Dojechali do furgonu i pozostałych samochodów niedługo przed bramkami Montecatini Terme, gdzie Albańczycy zjechali z autostrady. Oni też zjechali.

- Od tej chwili utrzymujemy skrajnie bezpieczny dystans. Nie chcę, żeby coś nieprzewidywalnego, światła czy jakiś korek sprawił, że nas zobaczą - polecił Ferrara Rizzowi, który przekazał dyspozycje innym samochodom, przede wszystkim furgonetce Ciuffiego.

- Nie ma problemu, Francesco, sygnał jest mocny i wyraźny - powiedział szef wydziału narkotykowego.

Montecatini, jeden z letnich kurortów wypoczynkowych znanych w całej Europie i precudny park termalny zajmujący 460 tysięcy metrów kwadratowych w sercu terenu zabudowanego, od kilku lat stało się ulubionym miejscem mafiosów, szczególnie tych z Katanii związanych z przemytem narkotyków, które płynęły tutaj jak rzeka w lokalach całego miasta i na wyścigach konnych, które odbywały się na sławnym hipodromie Sesana.

Miasto przyciągało mniejszych i większych bossów zorganizowanej przestępczości spoza Unii. Przyjeżdżali tu z powodu łatwego wmieszania się w tłum. Nie byli widoczni wśród zwiedzających i bywalców tutejszych term. Przyjeżdżali tu także z powodu ogromnej liczby klubów nocnych, w których jako striptizerki zatrudniane były młode dziewczyny ze wschodu Europy, które dawały mnóstwo okazji do spotkania wielu przedsiębiorców, nie tylko lokalnych.

Wiadomo już, gdzie spokojnie spędza czas Viktor Makregi, pomyślał Ferrara z ironią. Jedno z miejsc tak oczywistych... jak w powieści **SKRADZIONY LIST** Poego, którą Massimo kazał mu przeczytać w swojej niekończącej się walce o podniesienie jego kultury literackiej.

Komunikaty pomiędzy Ciuffim i innymi były coraz częstsze. Drogi, ulice i uliczki były zatłoczone, więc konieczna była dokładna i szybkie informacja, jak i gdzie jechać. Piloci helikopterów otrzymali polecenie zbliżenia się do strefy zamieszkaanej Montecatini z poleceniem, by bez nowych rozkazów nie przelatowali nad miastem.



Minąwszy strefę zamieszkaną, Albańczycy pojechali w kierunku

Montecatini Alta. Przejechali jeszcze kilka kilometrów i wjechali w wąską drogę, która prowadziła do kamiennego, starego domu o dwóch piętrach, obok którego stała stara odrestaurowana stodoła i inne zabudowania. Ukrywając samochody w stodole obok stojącego tam czarnego bmw Simonetty Palladiani, mężczyźni wzięli walizki i skierowali się do domu.

Wysoki blondyn z płaskim nosem, paskudny - jak go opisała Elisa Rocca - Viktor Makregi czekał na nich razem z czterema mężczyznami i dwiema kobietami, najprawdopodobniej prostytutkami, były bardzo piękne i bardzo młode.

- *Ne rregull, Viktor, ketu eshte maili* (Wszystko OK, Viktor, tu jest towar) - powiedział, kładąc na stole obie walizeczki, Albańczyk, który w kamieniołomach kierował akcją.

Viktor go uściskał, podczas gdy jeden z mężczyzn nalał mu alkoholu z butelki z napisem **KONJAK** do kryształowego kieliszka, które stały już na stole.

- *Gezuar!* (Na zdrowie!) - krzyknęli. Roześmiali się wszyscy, wznosząc toast z szefem.

On jeden się nie śmiał.



Ferrara wziął z bagażnika noktowizor, by obejrzeć okolicę. Podkradli się ze zgaszonymi światłami, co ułatwiała gęsta roślinność. Stanęli w bezpiecznej odległości od domu, którego okna na parterze mimo wczesnej pory były mocno oświetlone.

Nie widać było ani samochodów, ani ludzi na zewnątrz, ale to musiało być to miejsce, bo sygnał się zatrzymał tutaj, a w okolicy nie było innych zabudowań.

- Przygotujmy się - rozkazał. - Francesco, podaj namiary pilotom helikopterów. Niech tu się pojawią dokładnie za dziesięć minut... Mają oświetlić reflektorami teren i wyładować ludzi. Ty będziesz nimi dowodził. Rozdziel ich pomiędzy celem głównym a tamtymi budynkami.

Rozpoczęło się odliczanie. Odliczanie, które nieraz już robił, w trakcie

którego trzeba było z niezwykłą dokładnością kierować operacją, koordynując czas z helikopterami, by nie ostrzec mieszkańców budynku. Powinny pojawić się na miejscu, kiedy cała strefa i obiekt będą już pod ścisłą kontrolą.

W siedem, maksymalnie osiem minut, które zostały, dwudziestu ludzi pod jego komendą nałożyło kamizelki kuloodporne, przygotowało broń, którą im rozdano. Jedni mieli pistolety maszynowe Beretta M12, inni M92B. Słuchali krótkich, precyzyjnych rozkazów Ferrary. Mieli otoczyć budynek, zamknąć ewentualne drogi odwrotu i prawie równocześnie wejść do środka. Bardzo liczyli na efekt zaskoczenia.

Kiedy wszystko już było gotowe, przez radio doszło potwierdzenie, że za dwie minuty helikoptery będą nad celem. Komisarz dał rozkaz do rozpoczęcia ostatniej fazy „Operacji Stella”.

Młode kobiety zostały już odesłane spać. Rozradowani mężczyźni siedzieli wokół długiego, prostokątnego stołu, na którym pośród pustych kieliszków i butelek leżały dwie otwarte walizeczki pełne torebek z narkotykiem. Były obiektem prawdziwego zachwytu i uwagi dla większości dość już odurzonych biesiadników. Dla większości, ale nie dla Viktora Makregi, jedyne, który nigdy nie przestawał być czujny, jedyne, który zdążył na czas chwycić broń. Trzymał ją na stole obok siebie. Rozpętało się piekło. Policjanci krzyczeli, wyważali drzwi i okna. Nad wszystkim słychać było huk helikopterów. Nie podnosząc broni do ramienia, Viktor wystrzelił pierwszą kulę, kiedy drzwi opadły na ziemię i pojawiła się w nich grupa policjantów na czele z Ferrarą.

Kula ominęła komisarza, ale trafiła w lewą rękę jednego z funkcjonariuszy, którzy byli tuż za nim. Serpico dając kolejny dowód swojej gotowości i refleksu, co wraz z wyglądem sprawiły, że nadano mu to przezwisko, kiedy wystrzeliła seria z M12, powalił komisarza na ziemię. Grad pocisków uderzył w pierś albańskiego bossa. Zmarł, starając się jeszcze podnieść. Na ten widok inni członkowie bandy zrezygnowali z oporu, ktoś usiłował uciec do innych

pokoi, ale schwytano go bez trudu.

Ferrara podszedł do Viktora i ukląkł obok ciała. Nie zdołał policzyć dziur po pociskach, które w niego trafiły. Przeszukał jego kieszenie. Znalazł portfel, w którym nie było żadnych dokumentów, co było do przewidzenia. Nie było też nic innego, co mogłoby pomóc w jego identyfikacji. Były tylko liczne banknoty o nominale stu tysięcy lirów i zdjęcie Stelli, zrobione na wiejskiej drodze. Jej twarz rozświetlał radosny, żywy uśmiech. Na palcu lewej dłoni zauważył pierścionek z fałszywym ametystem. Wstał i nic nie mówiąc, mocno uścisnął Serpico. Ten człowiek uratował mu życie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim, którzy mnie zachęcali i dawali wsparcie oraz rady, bym kontynuował pisanie powieści, a szczególnie tym, którzy już wcześniej pomagali mi w trakcie pracy, kiedy wydawałem książkę **FLORENCKA GRA**. Wobec nich jestem podwójnie zobowiązany.

Podziękowania niech zechcą przyjąć między innymi: Rosaria Carpinelli, Paolo Zaninoni, Franco Grassi, Daniele Folii, Sandro Alfieri, Iris Gehrman, Tony Cartano, Roberta Tana, a także Romano Paolini - niezrównany przewodnik po kamieniołomach w Carrarze i fascynujących tajemnicach marmuru.

Przypisy

1 Woda przyszła już w nocy z 3 na 4, ale rano 4 listopada zaczął się kataklizm, Olbrzymia fala wody z rzeki Arno ruszyła na miasto z prędkością 60 km na godzinę o wysokości 3 m. Były straty w ludziach i ogromne zniszczenia. Jak dotąd była to największa powódź we Florencji. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Aluzja do filmu **TOTO, PEPPINO E LA... MALAFEMMINA** - komedia z 1956 r. w reżyserii Camilla Mastrocinque.

3 Morlesz (**PAGELLUS BOGARAVEO**) - gatunek ryby z rodziny prażmowatych (**SPARIDAE**).

4 **BOCCE** (lub **BOCCI, BOCCIE**) - dyscyplina sportu ściśle związana z **PÉTANQUE**, grą prowansalską pochodzącą z gry znanej w starożytnym imperium rzymskim. Gra rozwinęła się do swojej aktualnej formy we Włoszech, jest znana w całej Europie, a także w krajach zamorskich, gdzie przebywali włoscy imigranci.

5 *Cudzoziemiec nielegalnie handlujący, czym popadnie.*

6 *Capannina di Franceschi* - lokal w Forte dei Marmi bardzo modny w latach 60. i 70.

7 **QETESI** - alb.: Spokój!

8 *Salvatore* to włoskie imię męskie o znaczeniu „zbawca” lub „zbawiciel” a także rzeczownik o tym znaczeniu.

9 **TUOSTI** - dialekt neapolitański: „twardzi”.

10 *Moto Guzzi* - znana firma produkująca motocykle od roku 1921.

11 *Andrea Palladio* - włoski architekt i teoretyk architektury. Pozostawał pod silnym wpływem architektury i starożytnej sztuki rzymskiej, wykorzystywał wiele rozwiązań znanych z budowli antycznych.

12 *Propaganda Due* - nielegalna loża paramasońska, zwana w skrócie **P2**.

Na jej czele stał Licio Gelli, organizator zbrojnej „władzy równoległej”, która miałaby „interweniować”, gdyby do władzy we Włoszech doszli w drodze wyborów komuniści. Organizacja należała do powojennego podziemia faszystowskiego we Włoszech.

13 *Ferragosto - włoskie święto obchodzone 15 sierpnia, które zbiega się ze świętem katolickim l'Assunzione della Beata Vergine, czyli świętem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.*

14 **BUCCELLATO** - rodzaj ciasta z Sycylii. Tradycyjnie z ciasta kruchego wypełnionego nadzieniem z suszonych fig, rodzynek, migdałów i skórki pomarańczy.

15 *Drug Enforcement Administration - amerykańska agencja rządowa utworzona w 1973 roku. Jej zadaniem jest egzekwowanie prawa zawartego w Controlled Substances Act z 1970 roku i przeciwdziałanie handlowi narkotykami. Interesują ich nie tylko sprawy na terenie USA, ale odbywające się poza granicami kraju, a z USA związane.*

16 **PIANO NOBILE** - kondygnacja mieszcząca pomieszczenia o charakterze reprezentacyjnym oraz pokoje mieszkalne, charakterystyczna dla architektury pałacowej. Wejście na **PIANO NOBILE** prowadzi przez reprezentacyjną klatkę schodową. Najczęściej jest to pierwsze piętro budynku. **PIANO NOBILE** zwykle jest wyższe od pozostałych kondygnacji, a na elewacji wyróżnia go bogatszy wystrój architektoniczny i rzeźbiarski.

17 **MAIS OUI** - fr.: ależ tak.

18 Aluzja do Szpitala Niewiniątek (Ospedale degli Innocenti) we Florencji.

ŁOŻA NIEWINIĄTEK

MICHELE GIUTTARI

Tajemnicze i szalone zwroty akcji oraz krążący nad wszystkim cień mafii...

W *Łoży Niewiniątek* komisarz Michele Ferrara znajduje się w centrum zagmatwanej intrygi: z przedawkowania narkotyków umiera dziewczynka, a w mieście popełnione zostają dwa zabójstwa. W świecie podziemia wciąż toczy się bezpardonowa walka o wpływy w Toskanii między albańską mafią a *cosa nostra*.

Komisarz Ferrara będzie musiał stawić czoło zмовie milczenia i wszechmocnym organizacjom przestępczym, a po tym jak zostanie zawieszony, będzie mógł liczyć jedynie na miłość swojej żony Petry i lojalność najbliższych współpracowników. Znajdzie się w piekle, gdzie wszystko jest na sprzedaż, wszystko ma swoją cenę, a ofiarami są bezbronni, często bezimienni ludzie.

„*Łoża Niewiniątek* to jedna z 80 książek do zabrania w podróż dookoła świata”.

The Independent

patronat medialny



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

www.zysk.com.pl

ISBN 978-83-7795-638-3



Cena detaliczna
32,40 zł
(w tym 9% VAT)

zdjęcie: M. Kłobucki
© Łazienka | BookLubron.pl